kroki w nieznane

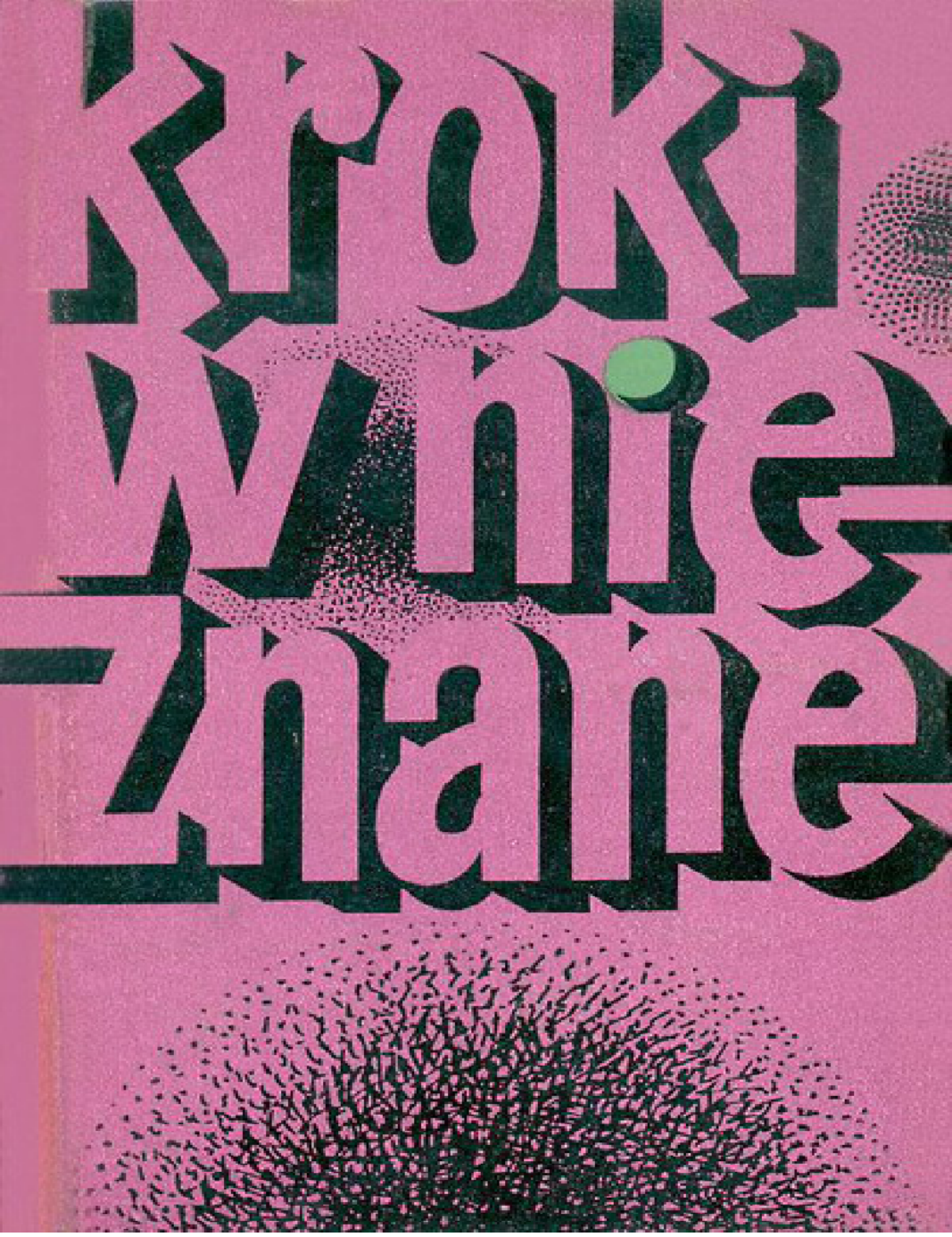

SHOUT
SHARE
IT

- Kroki w nieznane — 1976
- Od redakcji
- Arthur C. Clarke
- Daniel Keyes
- John Brunner
- Dymitr Bilenkin
- Harrington Bayley
- Konrad Fiałkowski
- R. A. Lafferty
- Michail Puchów
- Krzysztof W. Malinowski
- Kirył Bułyczow
- Zbigniew Prostak
- Bob Shaw
- Dymitr Bilenkin
- Janusz A. Zajdel
- Włodzimierz Wolin
- 1. Wstęp
- 2. Karły i giganty
- 3. Formy pośrednie
- 4. Szczególnie niebezpieczne gatunki
- 5. Ogród botaniczny
- 6. Posłowie
- Fakty, hipotezy, zagadki
- Arthur C. Clarke
- I. Brak odwagi
- II. Brak wyobraźni
- Krzysztof W. Malinowski
- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- notes
    - 1

○ 2

Kroki w nieznane — 1976

Antologia

Tom 6

Pl -1976

Od redakcji

Kolejny tom „Kroków w nieznane” otwierają klasyczne już opowiadania Clarke'a i Keyesa.

Oba weszły do monumentalnego wydawnictwa „Science Fiction Hall of Fame” — antologii najlepszych opowiadań w historii fantastyki naukowej, wytypowanych przez amerykańskich autorów. Arthur C. Clarke, człowiek o ogromnej skali zainteresowań i rozległej wiedzy, jeden z pionierów astronautyki, występuje również po raz drugi — jako futurolog. „Ryzyko prorokowania” to rozdział 2 jego głośnej (i zasługującej na wydanie w całości) książki „Profile przyszłości”.

Clarke przeprowadził tu interesujący eksperyment myślowy: przed przystąpieniem do rozważań o przyszłości postarał się wniknąć w przyczyny błędów popełnionych przez niektórych proroków w przeszłości.

Odmienny styl fantastyki reprezentuje Brytyjczyk, urodzony w 1936 roku J. C. Bollard, jeden z ojców „nowej fali”. Jego poetyckie, mroczne obrazy wyrażające nastroje zagrożenia i przeczucie nieuchronnej klęski na długo pozostają w pamięci. Jak powiedział jeden z krytyków, „jego opowiadania docierają do nas z wyjątkową natarczywością, jak listy z butelek wrzuconych do oceanu, listy wymagające natychmiastowej odpowiedzi”.

Brytyjską fantastykę reprezentuje również Bob Shaw, bardzo interesujący autor średniego pokolenia, znany już naszym czytelnikom ze swego słynnego opowiadania „Światła minionych dni”, oraz John Brunner, autor wielu opowiadań i powieści, z których najbardziej znana „Stand on Zanzibar” daje panoramiczną wizję przeludnionego świata przyszłości.

James Blish jest autorem bardzo popularnym i cenionym na terenie anglojęzycznej fantastyki. Jego dowcipne i okrutne opowiadanie ze szczególną jaskrawością uświadamia problem przeludnienia.

R. A. Lafferty, jeden z najciekawszych autorów amerykańskiej science fiction, jest samoukiem z Oklahomy. Lafferty nie potrzebuje odległych planet jako tła do swoich fantazji — miejscem akcji jego opowiadań jest nasz świat, ale odbity w wyobraźni poety czy dziecka, świat pełen tajemniczych znaków i zagadkowych powiązań. Ulubionymi jego bohaterami są Indianie, Cyganie i nieznośne genialne dzieci, w których szkolą nie zdołała jeszcze zabić całościowego, magicznego widzenia świata.

Dobiegający czterdziestki Barrington Bayley jest autorem dotychczas nie znanym polskiemu czytelnikowi. Opowiadania fantastyczno-naukowe publikował pod różnymi pseudonimami od

piętnastego roku życia. Bayley ma swój bardzo wyrazisty styl, wynikający z połączenia poetyckiego, nostalgicznego nastroju z wyrazistym i oryginalnym — to jest nie ogranym w literaturze fantastycznej — pomysłem naukowym.

Radziecka fantastyka poniosła ostatnio ciężkie straty: zmarli w pełni sił twórczych Iwan Jefremow oraz autor bardzo lubianych także przez polskich czytelników opowiadań — Ilja Warszawski. W krótkich formach na czoło wysunął się Kirył Bułyczow, który stworzył własny styl z połączenia realistycznej obserwacji obyczajowy, humoru i fantastyki. Jego ciekawa twórczość zostanie wkrótce przedstawiona szerzej oddzielnym tomem.

Niejednokrotnie już tłumaczony Dymitr Bilenkin to miniaturce „Nie zdarza się" doskonale ilustruje pewien, niestety dość rozpowszechniony, styl myślenia, pretendujący do miana naukowego.

Tradycyjną, kosmiczną fantastykę reprezentują opowiadania Puchowa. „Wyprawa myśliwska" wzbogaca katalog kosmicznych potworów, proponowany przez innego radzieckiego autora — Wolina. l wreszcie opowiadania rodzime, bardzo zróżnicowane stylistycznie. Obok autorów znanych i wypróbowanych, jak Konrad Fiałkowski — prezentujący początek interesująco zapowiadającej się powieści — i Janusz Zajdel, przedstawiamy dwóch młodych autorów.

Zbigniew Prostak z Przemyśla zwraca uwagę umiejętnością konstruowania fabuły tradycyjnego opowiadania, zaś Krzysztof Malinowski, znany dotychczas głównie jako tłumacz, pisze fantastykę eksperymentującą i awangardową, przypominającą doświadczenia nie tłumaczonego u nas Harlana Ellisona.

Arthur C. Clarke
Dziewięć miliardów imion Boga

— Hm, to trochę niecodzienna prośba — zauważył powściągliwie dr Wagner. — O ile mi wiadomo jest to pierwszy przypadek, by kogokolwiek poproszono o zainstalowanie komputera w klasztorze tybetańskim. Nie chcę być posądzony o wścibstwo, ale pragnąłbym mieć pewność, że pańska… hm… instytucja w istocie będzie miała użytek z takiej maszyny. Czy mógłby mi pan bliżej wyjaśnić, do czego zamierzacie jej użyć?

— Z przyjemnością — odparł lama, poprawiając jedwabną szatę i z namaszczeniem odkładając suwak logarytmiczny, którego używał do podręcznych rachunków.

— Wasz „Mark V" jest zdolny przeprowadzać wszelkie procedury obliczeniowe z dokładnością do dziesięciu cyfr znaczących. Jednakże w naszej pracy interesują nas nie cyfry — lecz litery. Chcielibyśmy więc, abyście tak zmodyfikowali obwody wyjściowe, by maszyna mogła drukować kolumny słów, nie liczb.

— Niezupełnie rozumiem…

— Jest to projekt, nad którym pracujemy już od trzech stuleci, a praktycznie od chwili założenia naszego klasztoru. W pewnym sensie przedsięwzięcie to jest obce waszemu sposobowi myślenia, mam przeto nadzieję, że przyjmie pan moje wyjaśnienia bez uprzedzeń.

— Naturalnie.

— Otóż w gruncie rzeczy sprawa jest prosta. Sporządzamy listę, która będzie zawierać wszystkie możliwe imiona Boga.

— Proszę?…

— Mamy powody, by wierzyć — ciągnął z niezmąconym spokojem lama — że wszystkie te imiona mogą być zapisane przy użyciu nie więcej niż dziewięciu liter pewnego alfabetu, który sami wynaleźliśmy.

— I to właśnie robicie od trzech wieków?

— Tak. Wedle naszych oszacowań miało to zająć jeszcze około piętnastu tysięcy lat.

— Och… — dr Wagner sprawiał wrażenie nieco zaskoczonego. — Teraz rozumiem, dlaczego chce pan wynająć jedną z naszych maszyn. Ale, dokładniej rzecz biorąc, co by miało być celem tego przedsięwzięcia?

Lama zawahał się przez ułamek sekundy i Wagner przestraszył się, że go uraził. Jeśli jednak nawet tak się stało — tamten w niczym nie dał tego po sobie poznać.

— Może pan to uważać za obrzęd, ale stanowi to fundamentalny

element naszej wiary. Cała mnogość imion Najwyższej Istoty: Bóg, Allach, Jehowa i tak dalej — wszystko to tylko etykietki, które wynalazł człowiek. Wiąże się to z dość trudnym problemem natury filozoficznej, którego nie będę tu dyskutował. Ważne jest to, że gdzieś, pośród wszystkich możliwych kombinacji liter, które można utworzyć, są i takie, które można by określić mianem prawdziwych imion Boga. Wszystkie te imiona, stosując systematyczną permutację liter, próbowaliśmy właśnie wypisać.

— Rozumiem: zaczęliście od AAAAAAAAA… i zmierzacie aż do ZZZZZZZZZ…

— Tak. Dokładnie tak, chociaż my stosujemy nasz własny, specjalny alfabet. Oczywiście zmodyfikowanie elektrycznych maszyn do pisania tak, by mogły sobie z tym poradzić, jest sprawą trywialną. Bardziej interesujące jest tu, rzecz jasna, skonstruowanie odpowiednich obwodów wyjściowych, przeznaczonych do eliminowania jakichś niepoważnych kombinacji. Tak na przykład, żadna litera nie powinna się w jednym imieniu pojawiać częściej niż trzy razy pod rząd.

— Trzy? Oczywiście miał pan na myśli dwa…

— Nie. Właśnie trzy. Obawiam się, że wymagałoby to zbyt długich wyjaśnień, nawet gdyby pan rozumiał nasz język.

— Z pewnością — skwapliwie zgodził się Wagner. — Proszę, niech pan mówi dalej. — Na szczęście adaptowanie waszego komputera do tego rodzaju pracy jest chyba sprawą prostą. Jeśli raz go zaprogramować, może cyklicznie permutować każdą literę i drukować wynik. To, co nam zajęłoby piętnaście tysięcy lat, można będzie zrobić w sto dni.

Do świadomości Wagnera nie docierały już prawie z dołu donośne odgłosy tętniącej życiem manhattańskiej ulicy. Był w innym świecie — w świecie prawdziwych, nie sporządzonych ludzką ręką, gór. Hen, wysoko w swoich odległych gniazdach ci mnisi trwali cierpliwie przy swej pracy, pokolenie po pokoleniu wypisując swą listę nonsensownych słów. Czyż ludzkie szaleństwo ma jakąś granicę?…

Nie, nie mógł sobie jednak pozwolić na żadną tego rodzaju aluzję. Klient zawsze ma rację…

— Niewątpliwie — odparł doktor — możemy zmodyfikować „Marka” tak, by drukował tego rodzaju listę. O wiele bardziej martwi mnie sama kwestia instalacji i zasilania komputera. Dostanie się o tej porze do Tybetu nie wydaje mi się sprawą prostą.

— My się tym zajmiemy. Fragmenty komputera są dostatecznie małe, aby móc je przetransportować drogą powietrzną. Jest to jeden z powodów, dla których wybraliśmy właśnie waszą maszynę. Jeśli tylko jest pan w stanie dostarczyć ją do Indii, my już się zatroszczymy o przeniesienie jej dalej.

— I chciałby pan również wynająć dwóch naszych inżynierów?

— Tak, na te trzy miesiące, w ciągu których powinien być zrealizowany cały projekt.

— Nie wątpię, że personalny to załatwi. — Dr Wagner zapisał coś w notatniku na biurku. — Są jeszcze dwie sprawy… Zanim skończył zdanie, lama dobył niewielki kawałek papieru. — Tu jest czek do realizacji z naszego konta w Banku Azjatyckim.

— Dziękuję. Wygląda na to, że stanowi… tego… zupełny ekwiwalent. Druga sprawa jest tak trywialna, że aż się wahałem, czy o niej wspominać. Ale, wie pan, to aż dziwne, jak często rzeczy oczywiste uchodzą naszej uwagi. Jakie macie źródło energii elektrycznej?

— Generator Diesla. Daje moc pięćdziesięciu kilowatów przy napięciu stu dziesięciu woltów.

Zainstalowano go jakieś pięć lat temu i pracuje zupełnie niezawodnie. Uczynił klasztorne życie o wiele przyjemniejszym — ale oczywiście zainstalowano go przede wszystkim z myślą o zasilaniu silników, napędzających młynki modlitewne.

— Oczywiście — przytaknął skwapliwie Wagner. — Powinienem był od razu o tym pomyśleć.

Widok ze skalnej terasy przyprawiał o zawrót głowy. Ale po jakimś czasie można się przyzwyczaić do wszystkiego. Po trzech miesiącach nie robiły już na Hanleyu wrażenia ani wiodące w otchłań półkilometrowe przepaści, ani odległe szachownice pól w dolinie. Przechylił się przez poręcz ku wypolerowanym przez wiatr głazom i ponuro wpatrywał się w szczyty gór; nigdy nie zadał sobie nawet trudu, by poznać ich nazwy.

„To jest najbardziej zwariowana historia — pomyślał — w jakiej kiedykolwiek brałem udział".

„Projekt Shrangrila" — jak to ktoś ochrzcił w laboratoriach. Od tygodni już wypluwał „Mark" hektary papieru, pokrytego tym dziwacznym szwargotem. Cierpliwie, uparcie przegrupowywał litery i zestawiał je we wszelkie możliwe kombinacje, wyczerpując każdą klasę przed przystąpieniem do następnej. Ponieważ wstęgi papieru nieprzerwanie wynurzały się z elektrycznych maszyn do pisania, mnisi pieczołowicie przycinali je i składali w olbrzymie księgi.

W ciągu następnego tygodnia — jeśli tylko niebiosa okażą się łaskawe — powinni to skończyć. Hanley nie rozumiał tylko, co mnichom strzeliło do głowy, że ograniczyli się jedynie do słów dziewięcioliterowych, a nie zafundowali sobie dłuższych: dziesięcio — dwudziesto — czy stuliterowych.

Jak zmora prześladowała go myśl, że coś w ich planach może się nagle zmienić i wtedy ten ich najwyższy lama (którego naturalnie nazwali Sam Jaffe, chociaż ani odrobinę nie był do tamtego podobny)

mógłby nagle dojść do wniosku, że projekt zostanie przedłużony choćby i do 2060 roku pańskiego.

Usłyszał łoskot ciężkich, drewnianych drzwi, które zatrzasnął wiatr. Na taras wyszedł Chuck. Jak zwykle palił jedno ze swoich cygar, które zyskały mu tak wielką popularność wśród mnichów; tamci zresztą, jak się zdaje, skwapliwie korzystali z wszelkich przyjemności życia. Jedno należało im przyznać: może oni byli szaleni, ale nie byli purytanami. Choćby te częste wycieczki, które sobie urządzali w dół, do wioski… — Słuchaj, George — powiedział z przejęciem Chuck — dowiedziałem się czegoś! Będą kłopoty…

— Co jest? Maszyna siadła? — To było najgorsze, co mógł sobie George wyobrazić.

Oznaczało bowiem opóźnienie ich powrotu, a nic nie byłoby straszniejsze. W porównaniu z tym, co czuł teraz, nawet wpatrywanie.się w reklamy telewizyjne wydawało się piciem nektaru.

Przynajmniej czułoby się jakąś więź z domem.

— Nie, nic z tych rzeczy — Chuck usadowił się na poręczy. Było to coś niezwykłego, bo zwykle bał się, że spadnie. — Właśnie odkryłem, o co w tym wszystkim chodzi.

— Jak to? Wydawało mi się, że wiemy.

— Jasne! Wiedzieliśmy, co mnisi próbują zrobić. Ale nie wiedzieliśmy dlaczego! To jest najbardziej pomylona rzecz…

— No wyduṥż̇e wreszcie!

— …więc stary Sam właśnie puścił farbę. Znasz ten jego zwyczaj wpadania każdego popołudnia, żeby popatrzeć, jak mu się kotłują te jego papiery. No więc tym razem wyglądał na podekscytowanego, jeśli oni w ogóle są do tego zdolni. Kiedy mu powiedziałem, że to jest właśnie ostatni cykl, zapytał mnie — z tym swoim śliczniutkim angielskim akcentem — czy mnie kiedyś nie ciekawiło, co oni chcą zrobić. „Jasne” — powiedziałem. I wtedy mi wszystko powiedział.

— Jedź dalej.

— No więc oni wierzą, że jak już wypiszą wszystkie te imiona Pana — a liczą, że będzie tego dziewięć miliardów — boski cel zostanie osiągnięty. Rodzaj ludzki skończy wszystko, co miał tu do zrobienia i nie pozostanie już nic do szukania na Ziemi. Doprawdy, ten pomysł wygląda mi na bluźnierstwo.

— No i czego oni w związku z tym spodziewają się po nas? śe popełnimy samobójstwo?

— Nie ma potrzeby. Kiedy lista zostanie zakończona, Bóg zstąpi tu, zwinie ten cały interes i… koniec zabawy!

— Ach, kapuję. Znaczy: jak skończymy robotę, to nastąpi koniec świata!

Chuck zaśmiał się nerwowo.

— Fakt, to jest właśnie to, co powiedziałem Samowi. I ty wiesz?

Popatrzył na mnie jakoś mętnie, jak na głupka, i powiedział: „To nie będzie nic tak trywialnego”…

George rozważał to przez chwilę.

— To się właśnie nazywa mieć szerokie spojrzenie na sprawę — powiedział wreszcie z godnością. — Dobrze, więc przypuszczasz, że powinniśmy w związku z tym coś zrobić? Nie wydaje mi się, żeby nam to robiło jakąkolwiek różnicę. Poza tym, my już wiedzieliśmy, że są pomyleni. — No dobra, ale nie rozumiesz, co się może stać? Kiedy oni skończą tę listę i mimo to nikt nie zatrąbi na Sąd Ostateczny — czy na coś, czego oni się tam spodziewają — możemy im podpaść!

To jest nasza maszyna. Ani odrobiną nie podoba mi się taka perspektywa.

— Rozumiem — powiedział wolno George. — Wstrzeliłeś się w dychę. Ale takie rzeczy już się zdarzały, sam wiesz. Jak byłem dzieckiem, to tam, u siebie w Luizjanie, mieliśmy pomylonego kaznodzieję. Raz powiedział, że w następną niedzielę będzie koniec świata. Ludzie mu uwierzyli, posprzedawali nawet swoje domy. No i jak nic się nie stało, to wcale nie wybrzydzali, jak byś się tego spodziewał. Doszli po prostu do wniosku, że się pomylił w swoich obliczeniach i nadal w to wierzyli. Podejrzewam, że niektórzy z nich wierzą w to do dziś.

— Tak, tylko że zapomniałeś zdaje się, że tu nie jest Luizjana. I jest nas tylko dwóch — przeciwko setkom mnichów. Lubię ich nawet i żal mi będzie starego Sama, jak mu to dzieło jego życia nie wypali, ale mimo wszystko wolałbym być wtedy gdzie indziej.

— Ja marzę już o tym od tygodni. Ale nic tu się nie da zrobić, dopóki nie dobiegnie końca kontrakt i nie przyleci samolot, żeby nas stąd zabrać.

— Oczywiście — powiedział w zamyśleniu Chuck. — Ale może by tak jakiś maleńki sabotażyk…

— Cholerę, a nie sabotaż! To by tylko pogorszyło cały ten interes!

— Nie wiesz jeszcze, co mam na myśli. Popatrz na to tak: jeśli maszyna będzie pracować w dotychczasowym, dwudziestogodzinnym wymiarze godzin, powinna skończyć robotę za cztery dni.

A samolot będzie dopiero za tydzień. Okay — więc wszystko, co należałoby zrobić, to wyszukać podczas jednego z planowych przeglądów jakiś element, który trzeba by niby wymienić.

Rozumiesz: coś, co przeciągnęłoby obliczenia jeszcze o parę dni… Oczywiście, naprawilibyśmy to, tyle że bez pośpiechu. Jeśli robotę umiejętnie rozłożyć w czasie, to można tak wycelować, że w chwili, kiedy im będzie wyskakiwać ostatnie imię z tego ich spisu — my będziemy już na dole, na lądowisku. Wtedy już nas nie będą mogli złapać.

— Nie podoba mi się to — powiedział George. — Nigdy jeszcze

czegoś takiego nie zrobiłem w robocie. Zresztą mogliby zacząć coś podejrzewać. Nie, nie, ja tu spokojnie dosiedzę do końca i pogodzę się ze wszystkim, co się zdarzy.

— Nadal mi się to nie podoba — powiedział George w siedem dni później, kiedy niestrudzone himalajskie kuce niosły ich krętą drogą w dół. — I nie myśl, że wieję stąd ze strachu. Głupio mi tylko z powodu tych biednych, starych facetów i nie chciałem być wśród nich, kiedy zrozumieją, jacy byli naiwni. Ciekaw jestem, jak to przyjmie Sam. — To dziwne — powiedział Chuck — ale jak mu dzisiaj powiedziałem „good-bye", to nagle odniosłem wrażenie, że on doskonale wiedział, że wiejemy. I że go to w ogóle nie obchodziło, bo wiedział, że maszyna pracuje jak trzeba i rychło skończy robotę. Poza tym… no jasne, dla niego po prostu nie ma już żadnego Poza Tym… George odwrócił się w siodle i spojrzał w górę. To była ostatnia okazja, żeby ogarnąć wzrokiem cały klasztor.

Na tle rozczerwienionego łuną późnego zachodu nieba wyraźnie rysowały się kanciaste sylwety zabudowań klasztornych, przycupniętych do skał. Gdzieniegdzie, niby w bocznych lukach oceanicznego liniowca — połyskiwały nikłe światła. Oczywiście światła elektryczne, zasilane z tego samego co i „Mark V" źródła. „Jak długo jeszcze? — przemknęło George'owi przez głowę. — Czy roztrzaskają potem komputer, zawiedzeni, przepełnieni goryczą? Czy po prostu spokojnie zasiądą, by rozpocząć od nowa swoje obłąkańcze rachunki?"

Dokładnie wiedział, co się tam teraz w górze działo. Dalajlama i jego asystenci, ubrani w jedwabne szaty, siedzieli studiując wydruki komputera. Młodsi mnisi odbierali je z maszyn do pisania i składali w potężne woluminy. Nikt nic nie mówił. Jedynym dźwiękiem był nieprzerwany, jak ulewa, stukot czcionek elektrycznych maszyn do pisania. Sam „Mark" pracował w zupełnym milczeniu. A przecież w jego trzewiach w ciągu sekundy dokonywały się tysiące operacji. „Trzy miesiące takich obliczeń — pomyślał George — wystarczyły, żeby człowiek zaczął gryźć ściany!"

— Jest! — wykrzyknął Chuck wskazując ręką w dół, na lądowisko w dolinie. — Czyż nie jest cudowny?

„Jasne, że cudowny" — przytaknął w myślach George. Stary, sfatygowany DC3 spoczywał u końca pasa startowego jak delikatny, srebrny krzyżyk. Za dwie godziny zabierze ich ku wolności.

W świat zdrowych zmysłów! Ta myśl upijała teraz bardziej niż najmocniejsza wódka. George pozwolił jej krążyć po głowie, podczas gdy kuc wytrwale, ciężko zstępował w dół zbocza.

Nad nimi zawisła już rychliwa himalajska noc. Na szczęście droga była dobra, jak zresztą i inne w tym rejonie. No i obaj mieli pochodnie. Nie było więc najmniejszego niebezpieczeństwa, może

tylko dokuczało trochę zimno. Niebo nad głową było zupełnie czyste — płonęło bliskimi przyjaznymi gwiazdami.

„Przynajmniej nie ma obawy — pomyślał George — że pilot nie będzie mógł wystartować z racji złych warunków atmosferycznych". To była jedyna rzecz, o jaką można by się było jeszcze martwić.

Zaczął śpiewać, ale po chwili dał spokój. Onieśmieliła go majestatyczna, wyniosła sceneria gór, otaczających go — niczym białokapture duchy — ze wszystkich stron. Spojrzał na zegarek.

— Powinniśmy tam być za jakąś godzinę — rzucił przez ramię do Chucka. Po chwili dodał: — Ciekaw jestem, czy już skończyli. Powinni jakoś teraz… Chuck nie odpowiadał, więc George odwrócił się w siodle. Dojrzał tylko twarz Chucka — biały owal, zwrócony ku niebu. — Patrz! — szepnął Chuck i George przeniósł wzrok na nieboskłon.

(Na wszystko jest zawsze ostatnia chwila).

Tam, nad ich głowami, bezdźwięcznie gasły gwiazdy.

Przełożył z angielskiego Krzysztof W. Malinowski

Daniel Keyes
Kwiaty dla Algernona

dziennik postępuw l — 5 mażec 1965 Dr Strauss muwi że teraz to powinienem spisywać fszystko co się zdąży. Każdą żecz. Nie wiem czemu ale on muwi że to ważne bo wtedy oni zobaczą czy ja się nadaje. Chociaż ja wieże że się nadaje. Panna Kinnian muwi że oni może zrobią ze mnie mondrego człowieka. Chciał bym być mondry. Nazywam się Charlie Gordon. Mam 37 lat. Dwa tygodnie pszed tym były moje urodziny.

Nie mam nic więcej do na pisania tak że chyba na dziś skończę.

dziennik postępuw 2–6 mażec.

Miałem dzisiaj test. Chybam go zawalił i po mojemu to oni nie będą mię chyba teraz chcieli użyć. To było tak że taki fajny człowiek był w pokoju i miał kilka białych dekturek z atramętem takim rozlanym na fszystkich. I powiedział Charlie muw co widzisz na tym. Bałem się okropnie chociaż miałem w kieszeni moją kruliczą łapkę bo jak byłem mały to zawsze zawalałem testy w szkole i potem je zalewałem atramętem. No to mu powiedziałem że widzę kleks. On powiedział że tak no to się poczułem pewniej. Myślałem że to fszystko ale jakem wstał to on mię zaczyniał.

Powiedział teraz se siadnij Charlie bośmy jeszcze nie skończyli. Potem to już dobże nie pamiętam ale on chciał żebym mu powiedział co widzę w tym atramęcie. Niczegożem tam nie widział ale on powiedział że tam są jakieś obraski i że inni to je widzieli. Notom na prawdę prubował je zobaczyć czymałem tą kartkę blisko potem daleko a potem mu powiedziałem że jak ja bym miał moje okulary to bym pewnie mug zobaczyć lepiej bo tak normalnie to ja nosze okulary jak oglondam filmy albo telewizje. Ale powiedziałem one są w pszedpokoju. To mi je dali. To ja zapytałem czy bym nie inug jeszcze raz popaczeć na tą kartkę. Powiedziałem mu że się założę że teraz to zobaczę to samo oo inni widzieli. Okropnie się starałem ale dalej nie widziałem żadnych obraskuw tylko atramęt. No to mu powiedziałem że może mi czeba nowych okularuw. A on napisał coś na papieże i się pszestraszyłem że za waliłem test. Powiedziałem że to były bardzo fajne plamy z takimi małymi kropkami na o koło. Powiedziałem proszę Pana to ja jeszcze raz po prubuje. Cza mi było na to kilka minut bo czasami to ja nie jestem za szypki. Czytam też wolno w klasie Panny Kinnian tej dla nie dorozwiniętych. Ale bardzo się staram. To on mi dał szansę z innom kartkom. Na niej to były 2 rodzaje takich atramętowych plam czerwone i niebieskie. To był bardzo fajny gość i muwił wolno tak jak Panna Kinnian muwi i

powiedział mi że to był dorszak. Powiedział ludzie widzom w tym atramęcie rużne żeczy. To ja powiedziałem niech mi Pan pokaże gdzie. On powiedział po myśl. To ja mu powiedziałem że myślę że oni tam widzą atramęt ale to też nie było dobże. A on powiedział co ci to pszypomina wymyś coś. Zanikłem oczy na długo żeby coś znaleść.

Powiedziałem mu że to może być takie piuro wieczne z atramętem co się z niego wylewa na obrus na stole. To on wstał i wyszed. Tak sobie myślę że chyba nie zdałem tego testu dorszaka.

dziennik postępuw 3–7 mażec.

Dr Strauss i Dr Nemur muwili że to nie ma sprawy ztymi kleksami. Powiedziałem im że to nie ja po plamiłem atramętem te kartki no to niemogłem w tym atramęcie nic widzieć. Oni powiedzieli że może mię jednak użyją. Powiedziałem że Panna Kinnian to nigdy nie dawała mi testuw jak ten tylko takie na muwienie i pisanie. Powiedzieli że Panna Kinnian powiedziała że ja to jestem naj lepszy jej uczeń w wieczorowej szkole dla dorosłych. Bo ja się naj bardziej staram i na prawdę chcę się uczyć. Powiedzieli że to fajno że ja sam chciałem i sam po szedłem do wieczorowej szkoły dla dorosłych. Jakeś ty ją Charlie znalaz zapytali. Powiedziałem żem pytał ludzi gdzie mam iść żeby się na uczyć dobże czytać i pisać i kturyś mi powiedział. To oni zapytali czemuś ty się teraz zgodził na to. Powiedziałem im że to dla tego że całe życie chciałem być taki mondry a nie gupek. Ale to okropnie trudno być mondry. A oni powiedzieli wiesz że to będzie prawdobnie czasowe. To ja powiedziałem że jasne że wiem. śe mi to powiedziała Panna Kinnian. I że to nic że boli. Potem to miałem dzisiaj jeszcze gupsze testy. Taka miła Pani co mi je robiła powiedziała mi jak się je nazywa i ja zapytałem jak się to pisze bo ja bym to za pisał w moim DZIENNIKU POSTĘPUW. TEMATYCZNY TEST APERCEPCJI. Nie znani 2 słuw ale wiem, co to test. Musi się go sdać albo się dostanie złe noty. Ten test wyglądał łatfo bo było widać obraski.

Tylko że teraz to ona nie chciała że bym jej muwił jakie to obraski. Tom całkiem zgłupiał.

Powiedziałem że ten gość fczoraj inuwił że bym mu powiedział co widzę jak paczę w ten atramęt ale ona powiedziała że to dla niej nie ważne. Powiedziała że bym coś o powie dział o tych ludziach co ich widzę na fotkach. To ja jej spytałem jak ja mogę mu wić coś o ludziach co ich nigdy nie spotkałem. Zapytałem czemu bym ja miał pleść kłamstfa. Nigdy nie o powiadam kłamstf bo mi się zafsze za nie dostawało. To ona powiedziała ten test i ten drugi z dorszakiem to były do indefekacji osobości. To ja się okropnie śmiałem. Powiedziałem jak Pani może takie coś się do wiedzieć z kleksuw i fotek. To się ze złościła i za brała zdjęcia. Krochmale. To było gupie. Po mojemu na tym teście też się pszewaliłem. Potem jacyś ludzie w

białych marynarkach zabrali mię do innej części spitala i dali mi taką grę do grania. To było coś takiego jak wyścigi z myszom. Białą. Oni nazywali go Algernon. Algernon był w pudle z kupą zakrentuw i kułek takich ze ścianami. A mię to dali ołuwek i papier z liniami kupą rużnych załamań. Na jednym końcu pisało START a na drugim META. Powiedzieli że to jest rabirynt i że Algernon ma taki sam do robienia. Nie wiedziałem jak to jest że on ma taki sam rabirynt jak ja bo Algernon miał pudło a ja papier ale nic nie powiedziałem. Z resztą nie było czasu bo się zaczoł ten wyścig. Jeden z tych gości miał zegarek i prubował go schować że bym nie mug widzieć ale jak prubowałem nie paczeć to się robiłem nerwus. Tak czy owak ten test to był dla mnie jeszcze gorszy niż tamte fszystkie bo oni go robili z 10 razy z rużnymi rabiryntami i za każdym razem wygrał Algernon. Nie wiedziałem że myszy są takie sprytne. Może białe myszy są mondżejsze niż inne myszy.

dziennik postępuw 4–8 Maż.

Oni mnie chyba użyją. Jestem taki ważny że wogle nie mogę pisać. Dr Nemur i Dr Strauss najpierw się o tym namawiali. Dr Nemur był w biuże jak mię pszyprowadził Dr Strauss. Dr Nemur martfił się o to czy mię użyć ale Dr Strauss powiedział mu że Panna Kinnian poleciła mię że jestem naj lepszy jej uczeń z tych co ich uczyła. Lubię Pannę Kinnian bo ona jest bardzo mondra nauczycielka. I ona powiedziała Charlie możesz mieć drugą szansę jak się zgodzisz że by zrobili z tobą ten esperymęt to może będziesz mondry. Oni nie wiedzą czy to będzie nazawsze ale jest szansa. No to ja powiedziałem ok. Nawet chociaż byłem pszestraszony bo ona powiedziała że to będzie operancja. Ona powiedziała nie buj się Charlie. Zrobiłeś tak dużo że myślę że zasługujesz na wiencej. Trochę się bałem jak Dr Nemur i Dr Strauss muwili o tym. Dr Strauss powiedział że ja mam coś co jest bardzo dobre. Powiedział że ja mam dobrą motorwancję. Jazem nigdy nie wiedział że to mam. Byłem dumny i kiedy on powiedział że nie każdy jeden o jajku 68 ma takie coś.

Niewiem co to znaczy ale powiedział że Algernon też to mało. Motorwancja Algernona to jest ser co mu go dają do pudła. Ale to nie może być tak bo ja nie jadłem żadnego sera już stydzień. Potem powiedział do Drą Nemura coś co ja nie rozumiałem tak że jak oni gadali to ja tylko zapisałem kilka słuw. On powiedział Doktoże Nemur ja wiem że Charlie nie jest tym o co Panu chodziło. śe jak na pierwszego kan xxx ta na supermena (tuzem nie mug chfycić paru słuw) z nowym potrujnym inte xxx to on jest nienajst xxx Ale wienkszoś ludzi z jego niskim pożomem umysłowym jest chospi xxx i nie nadaje się do wspł xxx. Są zwykle apetyczni i cienszcy do legur xxx. A on ma dobrą naturę a pozatym zależy mu natym i stara się. Dr Nemur powiedział pamientaj on ma być pierwszym człowiekiem o

inteligęcji potrojonej na drodze zabjegu chilur xxx. Dr Strauss powiedział właśnie. Wienc popacz jak dobże się uczy czytać i pisać. Przy jego niskim pozornie umysłowym to jest pszeciesz tak wielkie osion xxx jak dla ciebie albo dla mnie nałka teorii xxx ności ajsztajna i to bez niczjej pomocy. To fskazuje na silną motorwancję. śekbym że to kolo xxx osion xxx taka pruba z Charliem. Nie złapałem fszystkich słuw bo oni gadali za szypko ale wyglondało na to że Dr Strauss był po mojej stronie a tamten nie po mojej. Potem Dr Nemur pokiwał głową i powiedział w pożontku może i ma Pan racje. Weźmiemy Charliego. Kiedy on tak powiedział to ja się.okropnie uradowałem i potskoczyłem do gury i począsłem jego ręką że był taki dobry dla mnie. Powiedziałem mu dziękuje Doktoże nie będzie Pan żałował że mi Pan dał drugą szansę. I to powiedziałem tak jak myślałem. Po operancji będę prubował być mondry. Będę się bardzo starał.

dziennik postępuw 5 — 10 Maż.

Boję się. Kupa ludzi co tu pracują i siostry i ludzie co mi robili testy przyszli tu i pszynieśli mi cukierki i żeby mi życzyć szczenścia. Może będę miał szczenście. Mam moją kruliczą łapkę i pieniąszka na szczenście i podkowę. Tyle że czarny kot pszeleciał mi drogę jakem szed do spitala.

Dr Strauss powiedział dej spokuj Charlie to jest nałka. Ale ja i tak mam swoją łapkę kruliczą pszy sobie. Zapytałem Dr Straussa czy po operancji będę lepszy niż Algernon i on powiedział kto wie.

Jak się uda to ja pokaże temu myszy że mogę być taki mondry jak on. Albo i mondżejszy. Potem to ja będę mug każde słowo lepiej pisać i czytać i będę wiedział kupę żeczy i będę taki jak inni ludzie.

Chce być taki mondry jak inni. Jak to się teraz uda nazafsze to oni z każdego będą robić mondrego.

Na całym śfiecie. Dzisiaj rano nie dali mi nic do jedzenia. Nie wiem co to jedzenie ma do żeczy z tym że bym był mondżejszy. Okropnie jestem głodny. Dr Nemur zabrał mi moje pudełko z cukierkami. Ten Dr Nemur to jakiś taki niewyraźny. Dr Strauss muwi że je dostane spowrotem po operancji. Nie wolno jeść pszed operancją.

Dziennik Postępów? 6 — 15 marca.

Operancją nie bolała. Zrobił ją jak spałem. Dzisiej zdjęli mi badaże z głowy i oczuw tak że mogę już pisać w moim Dzienniku Postępów. Dr Nemur ktury oglondał kilka kartek powiedział że źle pisze POSTĘPÓW i powiedział mi jak się to pisze. I MARZEC też mi powiedział. Musze się starać i zapamiętać to. Ja to mam okropnie złą pamięć do pisania. Dr Strauss muwi że to bardzo dobże że ja pisze o fszystkich żeczach co się tu na o koło dziejom ale muwi że czeba pisać więcej o tym co ja myślę albo co czuje. No to cały czas jak miałem na oczach bandaże to prubowałem myśleć. Może jak ja bym go zapytał to by mi powie dział co albo jak ja mam teraz myśleć że bym był

mondżejszy. Albo o czym myślą mondży ludzie. Pewnie dziwne żeczy. Chciał bym już wiedzieć kilka takich żeczy.

Dziennik Postępów 7 — 19 marca.

Nic się nie dzieje. Miałem kupę testuw i rużne rodzaje wyściguw z Algernonem. Nie nawidze tej myszy. Zafsze mię bije. Dr Strauss powiedział że musze grać w te gry. I powiedział że czasem to oni muszą poftażać te testy. A te plamy atramętowe są gupie. I te fotki też są gupie. Ja tam lubię narysować obrazek gościa albo kobiety ale nie będę wymyślał kłamstf o ludziach. Głowa mnie rozbolała od tego że prubowałem za dużo myśleć. Myślałem że Dr Strauss to był muj pszyjaciel ale on mi nie pomaga. Nie muwi mi o czym myśleć albo kiedy będę mondżejszy. Panna Kinnian też nie pszyszła do mnie. Tak sobie myślę że to pisanie Dziennika Postępów też jest gupie.

Dziennik Postępów 8 — 23 marca.

Wracam do roboty w fabryce. Powiedzieli że będzie lepiej jak ja pujde spowrotem do roboty ale nie mam nikomu muwić po co była ta operancją i każdego wieczora musze pszychodzić na godzinę do spitala. Oni chcą mi płacić comiesiąc pieniądze za to uczenie się żeby być mondżejszy. Cieszę się że idę spowrotem do roboty bo mi się już cniło za nią i za fszystkimi pszyjacielami i za tą całą zgrywą co tam zafsze jest. Dr Strauss muwi żem powinien cały czas spisywać fszystko ale nie musze tego robić co dnia tylko ftedy jak sobie myślę coś specjalnego co się stało albo w ogóle jak coś myślę. On powiedział nie niecierplif się bo to wymaga czasu i zachodzi wolno. Muwi że dla Algernona to tagże wymagało kupę czasu. Zanim się zrobił 3 razy mondżejszy niż był pszed tym. To dla tego Algernon mię kosi za każdym razem bo jemu też zrobili operancję. No to się poczułem lepiej. Pewnie mugbym robić ten rabirynt lepiej niż zwyczajna myszą. A może kturegoś dnia pobije nawet Algernona. Narazie Algernon wygląda na takiego co to jest już na dobre mondry.

25 marca. (Nie musze już pisać DZIENNIK POSTĘPÓW u gury. Tylko ftedy jak raz na miesiąc daje go Drowi Nemurowi do czytania. Mara tylko poprostu pisać dzień. To oszczendza czas.) Dzisiaj w fabryce była kupa śmichu. Joe Carp powiedział chej paczcieno Charliemu zrobili operancję w głowie pewnie mu włożyli trochę muzgu. Chciałem im powiedzieć ale pszypomniałem sobie że Dr Strauss powiedział że by nie. Potem Frank Reilly powiedział cośty Charlie robił zapomniałeś klucza i łbem dźwi otfierałeś. Tym to mię rośmieszył. Oni są naprawdę nioji pszyjaciele i mię lubią. Czasem to nawet ktoś powie chej popacz na Joego albo Franka albo Georgea oni to naprawdę mają zgrywę z Charlie Gordonem. Nie wiem czemu tak muwią ale zafsze się śmieją. Tego rana Amos Borg co jest za 4 u Donnegana użył moje nazwisko jak kszyczał na Erniego chłopca na posyłki w biuże. Erni posiał paczkę. Powiedział do niego Ernie na rany

boskie co ty Charlie Gordona z siebie robisz. Nie wiem czemu tak powiedział. Nigdyżem nie zgubił żadnej paczki.

28 marca. Dr Strauss pszyszed wieczorem do mojego pokoju żeby zobaczyć czemużem nie pszyszed tak jak myśleli. Powiedziałem że nie chce się więcej ścigać z Algernonem. A on powiedział pszez jakiś czas nie musisz Charlie ale powinneś pszyjść. I miał dla mnie podarek tyle że to nie był taki nazafsze tylko na pożyczenie. Myślałem że to był taki mały telewizor ale to niebył. On powiedział żem powinien to puszczać conoc jak idę spać. Tom go zapytał po co toto puszczać jak i tak będę spać. I kto to wogóle o czymś takim słyszał. Ale on powiedział że jak ja chce być mondżejszy to musze robić jak muwi. I położył sfoją rękę na moim ramiu i powiedział Charlie ty tego jeszcze nie wiesz ale cały czas się robisz mondżejszy. Nie długo to zaważysz. Ale myślę że on to był tylko taki miły dla mnie żeby mi nie było gupio bo po mojemu to ja fcale nie jestem mondżejszy. Och prawiem zapomniał. Zapytałem go kiedy mogę iść spowrotem do mojej klasy w szkole Panny Kinnian. On powiedział że tam już nie pujde. Powiedział że nie długo Panna Kinnian pszyjdzie do spitala żeby mię zacząć uczyć specjalnie. Złym był na nią że nie pszychodziła do mnie jak zrobili mi tą operancje ale ja to ją tak lubię że może jeszcze będziemy pszyjaciele.

29 marca. Ten gupi telewizornaniby całą noc czyma mię na nogach. Jak mam spać jak on całą noc ryczy mi w uszy samie gupie żeczy. I wyśfietla pomylone obraski. Ło Jezu. Jak nie rozumie co toto gada jak nie śpię to jak ja bym miał co z tego wiedzieć jak w dodatku śpię. Dr Strauss muwi że fszystko jest ok. On muwi że moje muzgi się uczą jak ja śpię i że to mi pomoże jak Panna Kinnian zacznie ze mną lekcje w spitalu (tyle że jakem się dowiedział to to nie jest spital tylko rabolatorjum). Po mojemu to to fszystko jest pomylone. Jak się ma być mondżejszy jak się śpi to po co ludzie chodzą do szkoły. Myślę że ten cały cyrk nic nie warta. Tyłem oglądał nocnych szołów w telewizji i fcale się od tego nie z robiłem mondżejszy. Może musi się spać jak się na nie paczy.

DZIENNIK POSTĘPÓW 9–3 kwiztnia.

Dr Strauss pokazał mi jak się robi z tym telewizorkiem tak żeby był ciszej to teraz mogę spać. Nie słyszę go. Ale dalej nie rozumiem co on tam gada. Parę razy to go jeszcze raz puściłem rano żeby zobaczyć czegożem się nałczył jakem spał i myślę że nic. Panna Kinnian muwi że może to jest inny jenzyk alboco. Ale tak normalnie to on wygląda na amerykański. Muwi za szypko.

Szypciej nawet niż Panna Gold ktura była moją nałczycielką w 6 klasie i pamiętam że muwiła szypko i niemogłem jej rozumieć. Powiedziałem Drowi Straussowi co to jest warte takie uczenie mię jak śpię. śe ja to chce być mondry jak się obudzę. To on powiedział że to jest to samo że ja to mam dwa umysły. śe jest świadomość i

podświadomość (to się właśnie tak pisze). I że jedno nie muwi drugiemu co robi. śe one wogóle do siebie nie muwią. I to dla tego mam sny. Ło Chryste jakie ja czasem miałem popyrtane sny. Łój łój. I zafsze po nocnych szołach w telewizji. Po takich nocnych i puźniejszych i jeszcze puźniejszych. Zapomniałem go zapytać czy to tylko ja czy inni też mają po dwa umysły. (Właśniem sobie popaczył na to słuwko w słowniku ktury dał mi Dr Strauss.

To jest słowo podświadomość; podświadomy — zaliczany do kategorii operacji umysłowych dokonywanych bez udziału świadomości; np. podświadomy konflikt pragnień). Było tam napisane więcej ale i tak nie wiem co to znaczy. To nie jest zadobry słownik dla takich gupawych ludzi jak ja. Tak czy inaczej po tym party boli mię głowa. Moji pszyjaciele z fabryki Joe Carp i Frank Reilly zaprosili mię żebym poszed z nimi do „Mouggys Saloon" na parę drinkuw. Nie lubię pić ale oni powiedzieli że będzie kupa zabawy. Fajnie było. Joe Carp powiedział żem powinien pokazać dziefczynom jak czyszczę klozet w fabryce i dał mi szczotkę. No to im pokazałem i fszyscy się śmieli jak powiedziałem że Pan Donnegan powiedział że jestem najlepszy struż jakiego on miał bo ja lubię moją prace i dobże ją robię i nigdy się nie spuźniam albo nie opuszczam dnia za wyjątkiem jak miałem operancję. Powiedziałem że Panna Kinnian zafsze muwiła Charlie bądź dumny ze sfej pracy bo ją robisz dobże. Fszyscy się śmieli i było klawo i dali mi kupę drinkuw i Joe powiedział Charlie jest baba jak się fstawi. Nie wiem co to znaczy ale fszyscy mię lubią i było wesoło. Nie mogę się doczekać kiedy będę taki mondry jak moji pszyjaciele Joe Carp i Frank Reilly. Nie pamiętam kiedy party się skończyło ale myślę że jak poszedłem kupić gazetę i kawę dla Joego i Franka bo jak pszyszedłem to już nie było żadnego z nich. Szukałem ich aż się zrobiło puźno.

Potem to już za dobże nie wiem ale myślę że za chciało mi się spać albo mi było nie dobże. Jakiś miły glina zabrał mię do domu. Tak muwi moja gospodyni Pani Flynn. Ale głowa inie boli i taką mam cięszkość na niej i ciemno i niebiesko pszes cały czas. Myślałem żem się może wywalił ale Joe Carp muwi że to glina. śe oni czasem biją potciętych. Ale ja tak nie myślę bo Panna Kinnian muwiła że gliny są poto żeby pomagać ludziom. Tak czy inaczej głowa mię strasznie boli i żygam.

Chyba nie będę więcej pił.

6 kwietnia. Pobiłem Algernona. Nawet nie wiedziałem żem go pobił dopuki tester Burt mi nie powiedział. Pobiłeś go powiedział. Potem za drugim razem pszegrałem bo tak się ucieszyłem że spadłem z krzesła zanim jeszcze skończyłem. Ale potem to go jeszcze pobiłem 8 razy. Musi co się robię mondżejszy. Jak bije taką mondrą mysze jak Algernon. Ale fcale nie czuje żebym był mondżejszy. Chciałem się

jeszcze więcej ścigać z Algernonem ale Bert powiedział starczy jak na jeden dzień. Pozwolili mi go po czymać chwilkę. Klawy jest. Taki mięki jak kulka wełny. Mruga. I jak otfiera oczy to są i czarne i rużowe. Zapytałem czy bym mu nie mug dać coś zryć bo mi było gupio że go pobiłem i chciałem być dla niego miły i mieć pszyjaciela. Burt powiedział że nie bo Algernon to taka bardzo specjalna myszą co miała taką samą operancję jak moja i że to jest piersze ze fszystkich zwieżąt kture na tak długo zrobiły się mondre. On powiedział że Algernon jest taki mondry że każdego dnia musi rozwiązać test żeby dostać żarcie. To jest coś takiego jak zamek w dżwiach ktury jest za każdym razem inny jak Algernon pszychodzi żeby coś zjeść. I f tedy Algernon za każdym razem musi się nałczyć czegoś nowego żeby dostać zryć. Smutno mi się zrobiło bo to znaczy że jak by nie mug się uczyć to musiał by być głodny. Po mojemu to nie jest ładnie żeby się musiało zdawać test żeby mudz zryć. Jakby było Drowi Nemurowi jak on by musiał za każdym razem jakby chciał dostać jeść rozwiązać najpierf test. Chyba będziemy z Algernonem pszyjaciele.

9 kwietnia. Wieczorem po pracy do rabolatorjum pszyszła Panna Kinnian. Wyglądało nato że była zadowolona że mię widzi i trochę pszestraszona. Powiedziałem jej niech się Pani nie martfi Panno Kinnian ja jeszcze nie jestem mondry a ona się śmiała. Powiedziała ja mam do ciebie załfanie Charlie i wiem że się bardzo starasz żeby czytać i pisać lepiej niż fszyscy inni. Fkońcu to osiongniesz. Już nie długo. No i robisz coś dla nałki. Czytamy teraz bardzo trudną ksiązkie. Nigdy pszed tym nie czytałem takiej trudnej. Nazywa się Robinson Cruzoe. O takim gościu uwięzionym na samotnej wyspie. On jest mondry i może sobie wyobrażać fszystkie żeczy no to może mieć i dom i jedzenie i umie dobże pływać. Tylko pszykro mi że on jest cały czas samotny i nie ma żadnych pszyjaciuł. Ale tam to musi chyba na tej wyspie jeszcze ktoś być bo tam jest taki obrazek jak on stoji z takim śmiesznym parasolem i paczy na ślady nug na piasku. Mam nadzieję że on znajdzie pszyjaciela i nie będzie samotny.

10 kwietnia. Panna Kinnian uczy mię lepiej pisać. Powiedziała mi pacz na słowo i zamykaj oczy i poftażaj je razporaz dopuki nie zapamiętasz. Mam masę kopotuw z pszecież kture pisze się przecież i z przyjaciół a nie pszyjaciuł i że się nie pisze pszed tym tylko przedtem. Albo że się pisze mądrzejszy a nie mondżejszy. To tak właśnie pisałem zanim zacząłem być mądrzejszy. Gupio mi było ale Panna Kinnian powiedziała że nie ma powodu bo ona rozumie że muwi się inaczej.

14 kwietnia. Skończyłem Robinsona Cruzoe. Chciał bym znaleść więcej o tym co się z nim stało ale Panna Kinnian muwi że to fszystko co napisano. Dlaczego 15 kwietnia. Panna Kinnian muwi że się szypko uczę. Przeczytała kilka kartek z DZIENNIKA POSTĘPÓW i po patrzyła

na mnie tak jakby z rozbawieniem Muwi że jestem doskonały i że ja im fszystkim pokażę. Zapytałem ją dlaczego. Powiedziała że to nie ważne ale że nie powinnem się czuć rosczarowany jak się okaże że nie fszyscy są tacy mili jak myślę.

Powiedziała Charlie Bug dał ci bardzo mało ale ty z tym możesz dokonać więcej niż ci fszyscy ludzie kturzy nigdy nawet nie zrobili użytku ze sfoich muzguw. Powiedziałem jej że fszyscy moi przyjaciele są mądrzy i dobrzy. Lubią mnie i nigdy nie zrobili mi nic takiego coby było nie przyjemne. Ale wtedy akurat coś jej wpadło do oka i pobiegła do Toalety dla Pań.

16 kwietnia. Dziś nauczyłem, się, co to jest, przecinek, to jest, przecinek (,), taka kropka, z, ogonkiem, Panna Kinnian, mówi, że to jest ważne, bowiem czyni pisanie, lepsze, powiedziała, że można by, stracić, kupę pieniędzy gdy by, przecinek nie stał, we, właściwym miejscu, nie mam żadnych, pieniędzy, i, nie rozumie, jak, przecinek móg, by, sprawić że bym, ich nie stracił. Ale, ona mówi że, wszyscy używają, przecinkóf, więc i ja będę, ich, także używał. 17 kwietnia. Używałem przecinkóf niewłaściwie. To jest interpunkcja. Panna Kinnian powiedziała mi, że bym zaglądał do słownika na dłuższe słowa po to, by módz je potem lepiej pisać. Zapytałem co to za różnica, jeśli się je tak czy inaczej rozumie ale odpowiedziała, to jest część twojego wykrztałcenia. Więc teraz będę zawsze fcześniej patrzył na wszystkie słowa, których nie wiem jak się pisze. Takie pisanie zabiera kupę czasu ale potem od razu to zapamiętuję.

Nawiasem mówiąc tak się właśnie nauczyłem słowa interpunkcja (tak to pisało w słowniku). Panna Kinnian mówi że kropka to też interpunkcja i że jest jeszcze cała masa innych znaków do nauczenia. No to jej powiedziałem, żem myślał że wszystkie kropki muszą mieć ogonki ale ona mi odpowiedziała że nie.

Musisz się nauczyć je roz różniąc, powiedziała, i pokazała mi „jak. ich się używa! po prawnie), tak; że teraz! mogę używać" wszystkie rodzaje znakow'interpunkcyjnych? kiedy piszę: Jest cała masa' zasad! do wyuczenia, Ale. czuję… jak mi się układają w gło'wie.

Jedną rzecz to bardzo? lubię w Dro'giej Pannie Kinnian: ~(w ten sposób zaczyna się listy jak się ma interes, jeśli ja w ogóle będę miał kiedyś sfój interes) — to, że ona zawsze' podaje mi powód § jak ją; o coś pytam. Ona jest! geniuszem. Chciał bym? być taki Mądry! Jak? Ona!

(Interpunkcja: jest, okropnie; zabawna!) 18 kwietnia. Alem ja był tuman! Nie rozumiałem nawet tego co ona mówiła. Wczoraj wieczorem czytałem książkę do gramatyki i tam cała rzecz jest wyjaśniona. Dopiero wtedy zobaczyłem, że to jest to, co próbowała mi wyjaśnić Panna Kinnian — tyle, że wtedy tego zupełnie nie łapałem. Ocknąłem się w środku nocy i wszystko to mi się nagle ułożyło w

głowie.

Panna Kinnian powiedziała, że ten telewizor, co pracuje podczas snu, pomógł mi w tym.

Powiedziała, że osiągłem nasycenie. śe to jest coś takiego jak płaski wieszchołek wzgóża.

Po tym, jak zrozumiałem jak to jest z tą interpunkcją, przeczytałem jeszcze raz od początku mój DZIENNIK POSTĘPÓW. Boże, ależ ja miałem okropną ortografię i interpunkcję!

Powiedziałem Pannie Kinnian, że powinienem go przelecieć raz jeszcze strona po stronie i po poprawiać wszystkie błędy ale ona powiedziała: „Nie, Charlie, Dr Nemur potrzebuje go takim, jaki jest. Właśnie dlatego pozwolił ci go zatrzymać nawet wtedy, gdy już spożądził foto kopie. Po to, żebyś mógł obserwować swoje postępy. A robisz je bardzo szybko, Charlie!”

Miło mi było to słyszeć. Po lekcji zszedłem na dół, żeby się pobawić z Algernonem. Nie wyścigujemy się już więcej.

20 kwietnia. Jestem jakiś taki chory w środku. Nie tak, żeby iść do doktora — ale czuję się tak dziwnie w środku, jakby mnie tam jednocześnie paliło i nagliło.

Nie zamierzałem tego pisać ale jak sądzę powinienem, bo to jest ważne. Dzisiaj pierwszy raz nie poszedłem do pracy i zostałem w domu. Wczoraj wieczorem Joe Carp i Frank Reilly zaprosili mnie na party. Było tam kupę dziewczyn i kilku ludzi z fabryki. Pamiętałem jakżem się źle czuł ostatnim razem jak za dużo popiłem więc powiedziałem Joemu że nie chcę nic do picia. To mi dał zwykłą colę. Miała jakiś dziwny smak ale myślałem że to ja mam tylko taki dziwny smak w ustach.

Potem był cały cyrk. Joe powiedział, że powinienem zatańczyć z Ellen i ona zaczęła mnie uczyć tańczyć. Parę razy się przewróciłem. I nie mogłem zrozumieć dlaczego oprócz mnie i Ellen nikt nie tańczy. Ciągle się wywalałem bo przez cały czas jak tańczyłem zawsze czyjaś noga mi się napatoczyła.

Ostatnim razem jak się podniosłem to zobaczyłem coś takiego na twarzy Joego, że mi się zrobiło nie dobrze. „Z niego to można skonać” — powiedziała jedna dziewczyna. A wszyscy się śmiali.

Frank powiedział na to „jeszczem się tak nie uśmiał od czasu jakeśmy go posłali po gazetę tej nocy u Muggiego. Cośmy go potem zostawili…”

„Ej, patrzcie na niego, jaki się zrobił czerwony”.

„Zaczerwienił się! Charlie się zaczerwienił!”

„Hej Ellen, coś ty zrobiła Charliemu? Jeszczem go nigdy takiego nie widział!”

Nie wiedziałem co z sobą zrobić i gdzie się podziać. Wszyscy patrzyli na mnie i śmiali się.

Chciałem się gdzieś schować. Wybiegłem na ulicę i zwymiotowałem. Potem poszedłem do domu.

To dziwne, że nigdy nie wiedziałem, że Joe, Frank i inni lubili być ze mną po to, żeby cały czas robić ze mnie pośmiewisko.

Teraz już wiem co to znaczyło, kiedy mówili, że „Z Charlie Gordona jest zgrywa".

Wstydziłem się.

DZIENNIK POSTĘPÓW 11 21 kwietnia. Dalej nie chodzę do fabryki. Powiedziałem pani Flynn, mojej gospodyni, żeby zatelefonowała do fabryki i powiedziała panu Donneganowi, że byłem chory. Ostatnio pani Flynn jakoś dziwnie na mnie patrzy — jakby się mnie bała.

Myślę, że to dobrze, że wiem dlaczego wszyscy się ze mnie śmieją. Masę na ten temat myślałem. To dlatego, że jestem taki nierozgarnięty i nawet nie wiem kiedy robię coś głupiego.

Ludzie myślą, że to bardzo śmieszne kiedy taka głupawa osoba nie potrafi robić jakichś rzeczy w taki sposób jak to robią inni.

W każdym razie teraz już zdaję sobie sprawę z tego, że z każdym dniem staję się mądrzejszy. Znam już interpunkcję i umiem dobrze pisać. Lubię zaglądać do słownika na wszystkie trudne słowa i zapamiętuję je od razu. Masę teraz czytam i panna Kinnian mówi, że czytam bardzo szybko. Czasem to nawet nie rozumiem tego o czym czytam ale pozostaje mi to w pamięci. Zdąża się, że jak zamknę oczy i pomyślę o jakiejś stronicy, wszystko to — jak obraz — ukazuje mi się z powrotem.

Panna Kinnian powiedziała, że poza historią, geografią i arytmetyką powinienem zacząć się uczyć obcych języków. Dr Strauss dał mi kilka nowych taśm do odtwarzania podczas snu. Nadal nie rozumiem jak ta świadomość i podświadomość pracują, ale dr Strauss twierdzi, że nie ma się o co martwić. Prosił mnie, abym mu obiecał, że kiedy w przyszłym tygodniu zacznę przerabiać przedmioty uniwersyteckie, to nie będę czytać żadnych książek z psychologii. To znaczy nie będę dopóty, dopóki on mi na to nie pozwoli.

Dziś czuję się już o wiele lepiej ale przypuszczam, że dalej jestem trochę zły o to, że ludzie cały czas się ze mnie śmiali i urządzali ze mnie kpiny tylko dlatego że byłem przygłupi.,Kiedy zrobię się tak inteligentny, jak to mówi dr Strauss — trzy razy bardziej niż moje IQ 68 jakie miałem — to może wtedy będę jak wszyscy inni i ludzie mnie polubią i zrobią się bardziej przyjaźni.

Nie jestem jeszcze pewien co to jest to „IQ". Dr Nemur powiedział, że to jest coś takiego, co służy do mierzenia jak bardzo jest się inteligentnym — tak jak podziałka na wadze w sklepie. Ale dr Strauss bardzo długo się z nim później spierał i powiedział, że IQ w ogóle nie mierzy inteligencji. Powiedział, że IQ wskazuje tylko jak

wiele inteligencji można by nabyć — że to coś takiego jak górna kreska na skali menzurki. Zawsze jeszcze pozostaje problem napełnienia tej menzurki.

Więc kiedy zapytałem Burta — tego, który robi mi testy na inteligencję i pracuje z Algernonem — to odpowiedział, że oni obaj nie mają racji (tylko musiałem obiecać, że nie powiem im że on tak powiedział). Burt powiedział, że IQ mierzy masę różnych rzeczy — włącznie z tymi, których się już człowiek nauczył. I że w rzeczywistości o niczym nie świadczy.

Tak więc dalej nie wiem co to jest to IQ za wyjątkiem tego, że jak się spodziewają, moje IQ nie długo powinno wynosić ponad 200. Nie chciałem już nic mówić, ale nie bardzo sobie wyobrażam jakby to miało być, skoro oni nie wiedzą ani co to jest, ani gdzie to jest. Więc skąd mieliby wiedzieć ile tego się zyskało?

Dr Nemur powiedział, że jutro będę musiał przejść test Rorshacha. Ciekaw jestem co to jest.

22 kwietnia. Dowiedziałem się wreszcie co to jest Rorshach. To jest ten sam test, który mi robiono przed operacją. Ten z kleksami na kawałkach tektury. Mężczyzna, który mi robił ten test też był ten sam co poprzednio.

Bałem się tych kleksów śmiertelnie. Pamiętałem, że będzie chciał, żebym tam wyszukiwał jakieś obrazki. I wiedziałem, że tego nie potrafię. Myślałem sobie: żeby tylko znaleźć jakiś sposób na dowiedzenie się co to za obrazy są tam ukryte. A może tam w ogóle nie ma żadnych obrazów?

Może to był po prostu tylko jakiś trik, żeby sprawdzić czy ja jestem dostatecznie głupi żeby szukać tam czegoś, czego nie ma? To, co myślałem, rozzłościło mnie na tego człowieka.

— W porządku, Charlie — powiedział. — Widziałeś już te kartoniki przedtem, pamiętasz?

— Oczywiście, że pamiętam!

Ze sposobu, w jaki to powiedziałem, zrozumiał, że byłem zły. Wyglądało na to, że to go zaskoczyło.

— Tak, naturalnie — przyznał. — Teraz chciałbym, żebyś spojrzał na ten jeden. Co by to mogło być? Co widzisz na tym kartonie? Ludzie dostrzegają w tych kleksach i plamach różne rzeczy.

Powiedz mi co by to tobie przypominało? Co ci to przywodzi na myśl?

Byłem wstrząśnięty. To nie było to, co spodziewałem się od niego usłyszeć.

— To znaczy, że tu nie ma żadnych ukrytych obrazków? W tych kleksach?

Zmarszczył brwi a potem zdjął okulary.

— Co? — zapytał.

— Obrazki. Obrazki ukryte w tych kleksach. Ostatnim razem powiedział pan, że każdy może je dostrzec. I chciał pan, żebym ja też je odszukał…

Wtedy wyjaśnił mi, że poprzednim razem użył prawie tych samych słów co teraz. Ale nie wierzę. Nadal mam wrażenie, że mnie specjalnie wtedy zwodził, żeby zrobić sobie ze mnie zgrywę.

Jak by nie było — sam już zresztą nie wiem — nie uwierzę żebym był wtedy do tego stopnia upośledzony na umyśle…

Wolno przechodziliśmy od kartki do kartki. Jedna z nich wyglądała jak dwa splecione nietoperze albo coś takiego. Na innej było coś jak dwaj mężczyźni walczący na szable.

Wyobrażałem sobie różne rzeczy, myślę że mógłbym tak w nieskończoność — ale cały czas mu nie dowierzałem, obracałem je w kółko i nawet zaglądałem na odwrotne strony, żeby sprawdzić czy tam czasem nie ma czegoś, co mógłbym ominąć. Podczas gdy robił notatki, starałem się kątem oka wyłapać co tam zapisuje. Ale wszystko to było szyfrem i wyglądało jakoś tak: WF + AdF — Ad. oryg. WF — A SF + ob.

Ten test dalej wydaje się nie mieć sensu. Moim zdaniem każdy mógłby wymyślać różne kłamstwa w miejsce rzeczy, których w rzeczywistości wcale tam nie widzi. Skąd on miałby wiedzieć, że nie robiłem z niego balona i nie wymieniałem rzeczy, których naprawdę wcale tam nie dostrzegałem? Może to zrozumiem kiedy dr Strauss zezwoli mi na studiowanie psychologii.

25 kwietnia. Wymyśliłem nowy system współpracy maszyn w fabryce i pan Donnegan powiedział, że to mu pozwoli zaoszczędzić tysiące dolarów rocznie na robotnikach i zwiększeniu produkcji. Dał mi czek na dwadzieścia pięć dolarów. Chciałem zabrać Joego Carpa i Franka Reilly na lunch, żeby to jakoś uświęcić ale Joe powiedział, że musi kupić parę rzeczy dla swojej żony, a Frank powiedział, że się umówił na lunch ze swoim kuzynem. Coś mi się wydaje, że trzeba będzie trochę czasu żeby oni obaj przyzwyczaili się do tych zmian we mnie. Wszyscy robią wrażenie jakby się mnie bali. Kiedy podszedłem kiedyś do Amosa Borga i klepnąłem go w ramię to aż podskoczył.

Ludzie ze mną za wiele nie rozmawiają. Nawet dzieci po drodze do fabryki, chociaż zwykle to robiły. Przez to robota zrobiła się jakaś smutniejsza.

27 kwietnia. Obudziłem się dziś z postanowieniem, że poproszę pannę Kinnian żeby zjadła ze mną jutro obiad z okazji tego czeku.

Na początku nie była pewna czy to będzie w porządku. Ale zapytałem dr. Straussa i on powiedział że wszystko jest okay. Dr Strauss i dr Nemur nie robią wrażenia jednomyślnych. Ciągle się spierają. Tego popołudnia, kiedy tam wszedłem żeby zapytać dr. Straussa o obiad z panną Kinnian słyszałem jak krzyczał do dr

Nemura. Dr Nemur mówił że to był jego eksperyment i jego badania, a dr Strauss krzyknął na to, że jego wkład był równie wielki, bo to on mnie wyszukał za pośrednictwem panny Kinnian i to on wykonał operację. Powiedział, że któregoś dnia tysiące neurochirurgów na całym świecie być może zacznie stosować jego technikę.

Dr Nemur chciał pod koniec miesiąca opublikować wyniki eksperymentu. Natomiast dr Strauss chciał jeszcze dla pewności trochę poczekać. Dr Strauss powiedział, że dr Nemur jest bardziej zainteresowany w stołku psychologii w Princeton, niż w samym eksperymencie. Na to dr Nemur odparł, że dr Strauss jest niczym więcej jak tylko oportunistą, który próbuje stroić się w cudze piórka.

Kiedy wyszedłem stamtąd stwierdziłem że cały się trzęsę. Nie wiem napewno dlaczego, ale to było coś takiego jakbym obu tych ludzi po raz pierwszy ujrzał naprawdę, wyraźnie. Pamiętam jak dziś Burta, mówiącego do mnie, że dr Nemur ma żonę cholerę. śe ona nieustannie żąda od niego żeby wszystko publikował. Pragnie, żeby stali się sławni. Burt powiedział wtedy, że marzeniem żony tamtego jest posiadanie męża-bomby.

Czy dr Strauss rzeczywiście chciał się stroić w jego piórka?

28 kwietnia. Nie rozumiem dlaczego nigdy wcześniej nie zauważyłem jak piękna jest panna Kinnian? Ma brązowe oczy i puszyste brązowe włosy opadające na kark. I ma tylko trzydzieści cztery lata! Zdaje się, że od początku byłem przekonany, że jest geniuszem — i że jest bardzo, bardzo stara. Teraz, za każdym razem, wydaje mi się coraz młodsza i coraz cudowniejsza.

Zjedliśmy obiad a potem długo rozmawialiśmy. Kiedy powiedziała, że czynię bardzo szybko postępy i wkrótce zostawię ją z tyłu, roześmiałem się. — To prawda, Charlie — powiedziała wtedy. — Już teraz czytasz lepiej niż ja. Jesteś w stanie przeczytać w okamgnieniu całą stronicę, podczas gdy ja w tym czasie zaledwie zdążę przeczytać kilka linijek. I zapamiętujesz każdą rzecz, którą przeczytasz — a ja jestem szczęśliwa, jeśli jestem w stanie przypomnieć sobie główne idee i ogólny sens tego co przeczytałam.

— Nie czuję się inteligentny. Jest tyle rzeczy, których nie rozumiem.

Wydobyła papierosa i zapaliłem go jej.

— Trochę cierpliwości. Ostatecznie doskonalisz w ciągu kilku dni to, co normalnym ludziom zabiera pół życia. I to właśnie jest tak zaskakujące: jesteś jak gigantyczna gąbka, błyskawicznie wsysająca w siebie wszystko — fakty, obrazy i wiedzę. Rychło je zaczniesz ze sobą. kojarzyć.

Zobaczysz, jak wiążą się ze sobą różne dziedziny wiedzy. Jest bardzo wiele poziomów tej wiedzy, Charlie, jak szczebli w gigantycznej drabinie. Prowadzą cię coraz wyżej, tak byś mógł widzieć

coraz to więcej ze świata, który cię otacza… Ja, Charlie, mogą dojrzeć tylko drobny fragment z tego wszystkiego i nie zajdę już wyżej niż zaszłam — ale ty będziesz się wspinał coraz wyżej i widział coraz więcej. Każdy krok będzie przed tobą odkrywał nowe światy, których nigdy nie widziałeś, nie myślałeś nawet, że mogą istnieć…

Zmarszczyła nagle brwi.

— Wierzę — dodała. — Po prostu wierzę… że Bóg nie…

— Co? — Nie, nic, Charles. Po prostu mam nadzieję, że ale zrobiłam źle doradzając ci, byś tam poszedł… jako pierwszy.

Zaśmiałem się.

— A co miałoby się stać? Wszystko jest w porządku, nieprawdaż? Nawet Algernon nadal jest inteligentny.

Przez chwilę panowała cisza. Wiedziałem o czym myśli, kiedy tak obserwowała mnie bawiącego się łańcuszkiem, na którym umocowana była moja królicza łapka i klucze. Nie chciałem myśleć o takiej ewentualności — tak jak.starzy ludzie nie lubią myśleć o śmierci. Wiedziałem, że to był dopiero początek. I wiedziałem co miała na myśli, mówiąc o owych poziomach — bo kilka z nich już osiągnąłem. Myśl o tym, że mógłbym ją pozostawić w tyle zasmuciła mnie.

Kocham pannę Kinnian.

DZIENNIK POSTĘPÓW 12 30 kwietnia. Rzuciłem pracę w Zakładach Opakowań Plastikowych Donnegana. To Donnegan nastawał na to. Powiedział, że będzie lepiej dla wszystkich pracowników, jeśli wypowiem. Co ja takiego zrobiłem, że mnie tak znienawidzili? Po raz pierwszy dowiedziałem się o tym od Donnegana, kiedy pokazał mi petycję. Osiemset czterdzieści nazwisk, każde związane z zakładami. Wyjątek stanowiła Fanny Girden — kiedy szybko przelatywałem wzrokiem listę, zauważyłem że brakowało tylko jej nazwiska. Cała reszta była za tym by mnie wylano.

Joe Carp i Frank Reilly nie chcieli o tym ze mną rozmawiać. Również i nikt inny — z wyjątkiem Fanny. Była ona jedną z nielicznych osób, jakie znałem, nigdy nie zmieniającą zdania.

Zawsze uważała, iż nie ma żadnego znaczenia co myśli, mówi lub uważa reszta świata.

Fanny powiedziała, że nie sądzi bym powinien być wyrzucony. Zdecydowanie też sprzeciwiała się podpisaniu petycji i wbrew naciskom i pogróżkom nie ustąpiła. — Co jednak nie oznacza — powiedziała do mnie — że nie uważam, Charlie, iż dzieje się z tobą coś dziwnego. Coś bardzo dziwnego. I to właśnie zmieniło ich zdanie o tobie. Nie rozumiem tego. Znaliśmy cię jako dobrego, swojego człowieka — może nie za błyskotliwego, ale uczciwego. Jeden czort wie, coś ty ze sobą zrobił żeby tak zmądrzeć. Więc, Charlie, podobnie jak wszyscy naokoło i ja uważam, że to nie jest w porządku.

— Ale jak ty tak możesz mówić, Fanny? Cóż w tym złego, gdy

człowiek staje się inteligentniejszy, pragnie się uczyć i rozumieć coś ze świata, który go otacza?

Opuściła wzrok w dół, na swoją robotę. Odwróciłem się i zamierzałem wyjść, kiedy nie spojrzawszy nawet na mnie dorzuciła: — Źle się stało, gdy Ewa posłuchała węża i zjadła owoc z Drzewa Mądrości. Źle się stało, gdy po raz pierwszy zrozumiała, że jest naga. Gdyby nie to, nikt z nas nie musiałby nigdy dożywać starości, doznawać chorób, umierać…

Jeszcze teraz pali mnie wstyd. Ta moja inteligencja wbiła klin pomiędzy mnie i ludzi, których znałem i kochałem. Przedtem śmiali się ze mnie i pogardzali mną za moją ignorancję, głupotę — teraz nienawidzą mnie za wiedzę i zrozumienie. Czego oni na Boga ode mnie chcą?

Wylali mnie z fabryki. Jestem teraz bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem…

15 maja. Dr Strauss jest na mnie bardzo zły o to, że przez dwa tygodnie nie prowadziłem mojego Dziennika postępów. Rozumiem go, bo przecież laboratorium wypłaca mi teraz regularnie miesięczną pensję. Powiedziałem mu, że byłem zbyt zajęty rozmyślaniem i lekturą. Kiedy nadmieniłem, iż pisanie jest procesem tak czasochłonnym, że stawałem się niecierpliwy z tym moim nieszczęsnym odręcznym pisaniem, zasugerował, że powinienem się nauczyć maszynopisania. W istocie jest to znaczne ułatwienie — mogę teraz pisać na maszynie około siedemdziesięciu pięciu słów na minutę. Dr Strauss nieustannie przypomina mi o konieczności wysławiania się w sposób jasny i prosty, tak by inni byli zdolni do rozumienia mnie. Próbuję raz jeszcze dokonać przeglądu wszystkich wypadków, jakie miały miejsce na przestrzeni ostatnich dwóch tygodni. Algernon i ja zostaliśmy zaprezentowani w Amerykańskim Towarzystwie Psychiatrycznym. Miało akurat miejsce uroczyste posiedzenie z okazji zjazdu Światowej Unii Psychiatrycznej. Wywołaliśmy wielką sensację. Dr Strauss i dr Nemur byli z nas dumni.

Podejrzewam, że dr Nemur, który ma już sześćdziesiąt lat — jest dziesięć lat starszy od Straussa — uznał widać za konieczne przedstawienie namacalnych rezultatów jego pracy. A raczej bez wątpienia doszła do takiego wniosku jego żona.

W przeciwieństwie do moich poprzednich poglądów na jego osobę uważam obecnie, że dr Nemur wcale nie jest geniuszem. Ma bardzo sprawny umysł, jednakże umysł ten nieustannie szamocze się z niewiarą we własne siły. Nemur pragnie, by ludzie uważali go za geniusza. Przeto, najważniejsze jest dla niego uczucie uznania całego świata dla jego pracy. W moim mniemaniu dr Nemur obawia się dalszego odwlekania prezentacji w obawie, iż ktoś inny mógłby dokonać tego odkrycia i odebrać cały kredyt uznania, jakim się

cieszył.

Z drugiej zaś strony geniuszem mógłbym nazwać dr. Straussa — choć czuję, że i jego wiedza jest ograniczona. Zdobył on wykształcenie w tradycji wąskiej specjalizacji; wszelkie więc rozleglejsze aspekty takiego wykształcenia zostały zaniedbane i to dalece bardziej niż jest to dopuszczalne nawet w takiej dziedzinie jak neurochirurgia.

Byłem zaszokowany, kiedy się dowiedziałem, że jedynymi językami martwymi, jakie zna, są łacina, greka i hebrajski, a o matematyce nie wie prawie nic — z wyjątkiem rachunku wariacyjnego na poziomie elementarnym. Kiedy przyznał mi się do tego, było mi wręcz przykro.

Odebrałem to tak, jak gdyby skrył był on przede mną jakąś część siebie — w zamiarze oszukania mnie, tak jak zwykło to robić wiele ludzi: udawać, że są kimś, kim w istocie nie są. I rzeczywiście nikt spośród tych, których kiedyś znałem, nie jest tym, kim z pozoru zdawał się być.

Dr Nemur wygląda na niezadowolonego ze mnie. Czasami, gdy usiłuję z nim porozmawiać, po prostu spogląda na mnie dziwnym wzrokiem i odwraca się. Za pierwszym razem, kiedy dr Strauss powiedział mi, że wpędzam Nemura w kompleks niższości, zezłościłem się. Myślałem, że kpi ze mnie — a jestem na tym punkcie przeczulony. Skądże mogłem wiedzieć, że tak ceniony psychoeksperymentator jak dr Nemur nie zna hindustani ani chińskiego? Przecież to absurd, jeśli zważyć, że prace prowadzone obecnie w Indiach i Chinach tak ściśle się wiążą z jego dziedziną badań.

Zapytałem więc dr. Straussa, w jaki sposób Nemur zamierza odparować atak Rahajamatiego, skierowany przeciwko jego metodzie i wynikom, skoro nie jest on nawet w stanie przeczytać tego, co o nim piszą? Ów dziwny wyraz twarzy dr Straussa mógł oznaczać tylko jedną z dwóch rzeczy: albo Strauss nie chce powiedzieć Nemurowi, co się w Indiach o nim mówi, albo — i to mnie martwi dr Strauss również tego nie wie.

Muszę być ostrożny z moimi wypowiedziami, dbać o prostotę i klarowność, żeby się ze mnie nie śmiano.

18 maja. Jestem zupełnie wytrącony z równowagi. Po raz pierwszy od tygodnia widziałem się wczoraj wieczorem z panną Kinnian. Próbowałem unikać wszelkich dyskusji intelektualnych i utrzymywać konwersację na prostym, codziennym poziomie. Niestety — wpatrywała się tylko we mnie oniemiała i wreszcie zapytała, co mam na myśli mówiąc o wariacyjnym równoważniku Piątego koncertu Dorbermanna…

Kiedy próbowałem jej to wyjaśnić, przerwała mi i roześmiała się. Rozzłościłem się.

Podejrzewam jednak, że po prostu źle do tego podszedłem — to nie ma znaczenia, o czym ja z nią próbuję dyskutować, lecz jak. Po prostu jestem niekomunikatywny. Muszę jeszcze raz przejrzeć równania Vrostdta w Levels of Semantic Progression. Chyba okaże się, że nigdy więcej nie nawiążę z ludźmi kontaktu. Dzięki Bogu są jeszcze książki, muzyka i rzeczy, o których można czytać.

Siedzę samotnie w moim mieszkaniu w pensjonacie pani Flynn. Spędzam tu większość mojego czasu i sporadycznie tylko odzywam się do kogokolwiek.

20 maja. Nowego pomywacza — chłopaka lat może szesnastu — w barze na rogu nie byłbym może nawet zauważył, gdyby nie incydent z rozbitymi talerzami.

Zwaliły się z hukiem i trzaskiem na podłogę, rozpryskując po stołach odłamki białej porcelany. Chłopak stał, oszołomiony i przerażony, trzymając w opuszczonej ręce próżny kosz.

Wyglądało na to, że gwizdy.i kpiny gości („…no to czysty zysk!… Złota rączka!… długoś tu nie popracował!"), które zwykły niezmiennie towarzyszyć wszelkiemu tłuczeniu szkła i zastawy w restauracjach, zupełnie go dobiły.

Kiedy nadbiegł właściciel, by zobaczyć, dlaczego zapanowało takie poruszenie, chłopak — jakby oczekując ciosu — skulił się nieco i wyrzucił ramiona przed siebie, pragnąc niejako odparować atak.

— Dobra, dobra, matole! — krzyknął właściciel. — Nie stójże tak tu! Bierz miotłę i sprzątnij ten burdel!… Miotłę, miotłę, idioto!! Jest w kuchni! I pozbieraj mi wszystkie kawałki…

Chłopak zrozumiał, że tamten nie zamierza go bić. Przerażony wyraz twarzy znikł i jego miejsce zajął uśmiech. Mrucząc coś pod nosem powrócił z miotłą, by uprzątnąć stłuczki z podłogi.

Kilku co zadzierzystszych gości nadal rzucało jakieś uwagi, zabawiając się kosztem tamtego. — Tu, synku, tu jeszcze jest kawałeczek, za tobą…

— Powtórz no to jeszcze raz, co? — Taki głupi to on nie jest, nie? Jasne, że łatwiej tłuc niż zmywać…

W miarę jak jego bezmyślne oczy przesuwały się po tłumie rozbawionych gapiów, na twarzy z wolna zaczął mu wykwitać niepewny, nienaturalny uśmiech. Jego odpowiedź na dowcip, którego oczywiście nie rozumiał…

Zrobiło mi się niedobrze, kiedy tak patrzyłem na ten tępy pusty uśmiech, wielkie, błyszczące oczy małego dziecka — niepewne, żarliwe, pełne bezbronnego oddania.

I ja śmiałem się także.

Nagle ogarnęła mnie wściekłość na siebie samego i wszystkich tych, co się głupio uśmiechali. Zerwałem się i wrzasnąłem: — Zamknijcie się! Zostawcie go w spokoju! To nie jego wina, że nie

rozumie! Nic nie poradzi na to, że jest taki! Ale na rany boskie… przecież on jest nadal człowiekiem!

W lokalu zapadła cisza. Strofowałem się za utratę panowania nad sobą i urządzenie egzaltowanej sceny. Usiłowałem nie patrzeć na chłopaka, kiedy płaciłem rachunek i wychodziłem nie tknąwszy jedzenia. Wstyd mi było za nas obu.

Jakież to dziwne, że uczciwi ludzie, wrażliwi i uczuciowi, którzy nigdy nie byliby zdolni dworować sobie z człowieka, który urodził się bez rąk, nóg czy oczu, że ci sami ludzie nie myślą o tym, iż zabawiają się kosztem człowieka urodzonego z niedorozwojem umysłu. Doprowadzała mnie do furii świadomość, że przecież nie tak dawno ja — podobnie jak ten chłopak — robiłem z siebie błazna.

I zupełnie prawie o tym zapomniałem.

Ukryłem obraz poczciwego Charlie Gordona przed samym sobą — bowiem teraz, kiedy byłem inteligentny, stało się to czymś, co winno było być usunięte z mego umysłu. A jednak dziś, kiedy spojrzałem na tego chłopca, już w pierwszej chwili uświadomiłem sobie, kim byłem. Byłem taki jak on.

Dopiero niedawno dowiedziałem się, że ludzie śmiali się ze mnie. To boli najbardziej.

Czytuję często mój dziennik i widzę ten cały analfabetyzm, ową dziecięcą naiwność, umysł nierozgarnięty wyzierający z ciemnego pokoju przez dziurkę od klucza w oślepiające światło na zewnątrz. I myślę, że przy całej mojej głupocie zdawałem sobie sprawę z tego, że byłem upośledzony, i że inni ludzie mieli coś, czego mi nie dostawało — coś, co mnie nie zostało dane. W całej tej mojej umysłowej ślepocie myślałem, że wiązało się to jakoś z umiejętnością czytania i pisania i pewien byłem, że gdybym posiadł te dary — automatycznie stałbym się inteligentny.

Nawet niedorozwinięty umysłowo pragnie stać się taki, jak inni.

Dziecko może nie potrafić żywić się samo lub nawet nie jeść — ale przecież wie, co to głód. To był dla mnie wielki dzień. Dostrzegłszy bardziej wyraziście moją przeszłość zadecydowałem użyć całej mojej wiedzy do pracy nad podnoszeniem poziomu ludzkiej inteligencji. Któż byłby lepiej do tej pracy predysponowany? Któż jeszcze żył w obu tych światach? To są moi ludzie. Niechaj mi będzie wolno użyć mego daru dla zrobienia czegoś dla nich.

Jutro porozmawiam z dr. Straussem o sposobie, w jaki mógłbym podjąć pracę w tej dziedzinie. Mógłbym mu pomóc w rozpracowywaniu problemów upowszechniania techniki, jaką zastosował w odniesieniu do mnie. Mam też kilka własnych dobrych pomysłów.

Tyle jest jeszcze do zrobienia z ową techniką. Jeśli można było zrobić geniusza ze mnie, to co z tysiącami takich jak ja? Jakież

fantastyczne poziomy intelektualne można osiągnąć przy zastosowaniu tej techniki do normalnych ludzi? I do geniuszy?

Jest tyle drzwi do otwarcia. Z niecierpliwością oczekuję na rozpoczęcie pracy.

DZIENNIK POSTĘPÓW 13 23 maja. To się stało dziś. Algernon ugryzł mnie. Wpadłem do laboratorium, żeby go odwiedzić, jak to zwykłem czasem robić. I kiedy dobyłem go z jego domku, ukąsił mnie w rękę.

Włożyłem go na powrót i obserwowałem przez chwilę. Był nienormalnie wzburzony i rozzłoszczony.

24 maja. Burt, który na co dzień zajmuje się zwierzętami doświadczalnymi, mówi, że Algernon się zmienia. Jest już trudniejszy do pracy — odmawia biegania w labiryncie.,Zmalało ogólne nasilenie motywacji. I nie je.

Każdego męczy myśl o tym, co to może oznaczać.

25 maja. Nakarmiono Algernona, który teraz odmawia już otwierania zamka. Każdy identyfikuje mnie z Algernonem. To fakt — w gruncie rzeczy obaj jesteśmy pierwszymi w swoim rodzaju. Wszyscy udają, że zachowanie Algernona nie musi mieć koniecznie jakiegoś znaczenia w odniesieniu do mnie. Ale trudno ukryć fakt, że kilka innych zwierząt, których również używano w tych eksperymentach, wykazuje także dziwne objawy.

Dr Strauss i dr Nemur poprosili mnie, abym nie przychodził więcej do laboratorium. Wiem, o co im chodzi, ale nie mogę się na to zgodzić. Chcę zrealizować moje plany badawcze. Mimo całego mego uznania dla obu tych świetnych naukowców jestem zupełnie świadom ich ograniczonych możliwości. Jeśli istnieje tu jakiekolwiek rozwiązanie — muszę je znaleźć.

Nieoczekiwanie czas zyskał dla mnie bardzo na znaczeniu.

29 maja. Oddano mi na własność laboratorium i udzielono zezwolenia na prowadzenie badań. Mam już coś. Pracuję dzień i noc. Wniosłem tu składane łóżko. Jeśli chodzi o pisanie, to większość czasu poświęcam na robienie notatek, które trzymam w osobnej teczce. Ale od czasu do czasu odczuwam potrzebę przelania tu, na papier, wszystkich moich nastrojów i myśli. Po prostu: tępe przyzwyczajenie.

Stwierdziłem, że rachunek inteligencji to fascynujący przedmiot. Tu właśnie jest miejsce na zastosowanie całej wiedzy, jaką posiadłem. W pewnym sensie jest to problem, z którym byłem związany przez całe moje życie.

31 maja. Dr Strauss uważa, że za ciężko pracuję. Dr Nemur utrzymuje, że usiłuję wtłoczyć w kilka tygodni całe życie badań i rozmyślań. Wiem, że powinienem odpocząć, ale coś w środku mnie, co mną kieruje, nie pozwala mi spocząć ani na chwilę. Muszę wykryć przyczynę ostrej regresji Algernona. Muszę się dowiedzieć, czy i kiedy

wydarzy się to ze mną.

4 czerwca.

LIST DO DR. STRAUSSA (kopia). Szanowny doktorze Strauss!

W oddzielnym opakowaniu załączam Panu egzemplarz mojej pracy, zatytułowanej „Efekt Algernona-Gordona: studium struktury i funkcji progresji inteligencji". Chciałbym Pana niniejszym prosić o jej przeczytanie i opublikowanie.

Jak widać, moje eksperymenty dobiegły końca. W pracy załączone zostały wszystkie wzory, jak również analiza matematyczna problemu, zamieszczona w „Dodatku". Naturalnie powinny one być sprawdzone. Z uwagi na ich znaczenie tak dla Pana, jak i dr. Nemura (i — czego nie muszą już chyba dodawać — dla mnie), wyniki te sprawdzałem i weryfikowałem dziesiątki razy w nadziei wykrycia błędu. Przykro mi, że muszą pozostać takie, jakie są. A przecież to właśnie mnie przypadł w udziale zaszczyt wniesienia tego drobnego wkładu w wiedzą o funkcji ludzkiego umysłu i praw, jakie rządzą sztucznym powiększaniem inteligencji człowieka. I to napawa mnie dumą.

Pamiętam, jak kiedyś powiedział Pan do mnie, że doświadczalne obalenie lub negatywna weryfikacja teorii jest równie ważna dla postępu nauki jak powodzenie. Teraz wiem, że to prawda.

Przykro mi tylko, iż mój własny wkład w tę dziedzinę musiał stanąć w sprzeczności z rezultatami pracy dwóch ludzi, których tak wielce szanuję Pański oddany Charles Gordon Zał.: egzemplarz pracy.

5 czerwca. Nie powinienem dać się ponosić emocjom. Dane i wyniki moich doświadczeń są jasne i nawet najbardziej sensacyjne aspekty mojego błyskawicznego awansu intelektualnego nie są w stanie przesłonić faktu, iż potrajanie inteligencji przez zabieg chirurgiczny należy uznać za przedsięwzięcie posiadające małe (lub wręcz nie posiadające żadnego) znaczenie w odniesieniu do zagadnienia podnoszenia poziomu ludzkiej inteligencji.

Kiedy przejrzałem dane testów i sprawozdania o Algernonie, stwierdziłem, że chociaż pod względem fizycznym jest on jeszcze niedojrzały, jego umysł doznał już regresji. Aktywność ruchowa jest osłabiona; nastąpiła ogólna redukcja działalności gruczołów; obserwuje się przyspieszone malenie stopnia koordynacji.

Występują również znaczne objawy postępującej amnezji.

Jak to zostało wyraźnie zaznaczone w mojej pracy, te i inne fizyczne i psychiczne zespoły atrofii mogą być przepowiedziane z dużym prawdopodobieństwem (na podstawie statystycznej analizy danych) przy zastosowaniu mojej formuły.

Stymulacja chirurgiczna, której przedmiotami obaj staliśmy się, doprowadziła w konsekwencji do zintensyfikowania i przyspieszenia procesów myślowych. Nie przewidziany bieg rzeczy, który pozwoliłem

sobie nazwać Efektem Algernona-Gordona, stanowi jedynie logiczną konsekwencję przerostu inteligencji. Udowodniona przeze mnie w pracy teza może być jasno wytłumaczona w następujący sposób: sztucznie zainicjowany wzrost inteligencji podlega następnie regresji z szybkością wprost proporcjonalną do osiągniętego maksimum możliwości intelektualnych.

Czuję, że już to samo w sobie stanowi ważne odkrycie.

Dopóty, dopóki zdolny będę do pisania, będę również kontynuować pisanie mego dziennika. To jedna z moich nielicznych przyjemności. Jednakże — wedle wszelkiego prawdopodobieństwa — mój własny regres umysłowy będzie postępował bardzo gwałtownie.

Zaobserwowałem już u siebie symptomy niestabilności emocjonalnej i roztargnienia — pierwsze oznaki wypalania się mego umysłu.

10 czerwca. Regres postępuje. Stałem się roztargniony. Algernon zdechł dwa dni temu.

Sekcja potwierdziła moje przewidywania — jego mózg stracił na wadze, nastąpiło wygładzenie zwojów mózgowych, jak również poszerzenie i pogłębienie bruzd w mózgu.

Jak się spodziewam, takie same zmiany rychło zaczną występować i u mnie. Teraz, kiedy już jestem pewien, że tak się stanie — nie chcę tego. Nie chcę.

Włożyłem ciałko Algernona do pudełka po serze i pochowałem go na podwórzu. Płakałem.

25 czerwca. Dr Strauss znów przyszedł mnie dziś odwiedzić. Nie otworzyłem drzwi i powiedziałem mu, żeby sobie poszedł. Chcę, żeby mnie zostawiono samego. Stałem się drażliwy, skory do irytacji. Widzę już nadciągającą ciemność. Trudno uwolnić się od myśli o samobójstwie.

Wciąż powtarzam sobie, że ta kronika retrospekcji będzie bardzo ważna. To dziwne uczucie, kiedy bierze się książkę, czytaną kilka tygodni wcześniej i stwierdza się, że się jej nie pamięta. A przecież tak wielki wydawał mi się John Milton… Lecz kiedy wziąłem do ręki Raj utracony — w ogóle go nie zrozumiałem. Tak się zirytowałem, że rąbnąłem nią o podłogę.

Muszę się starać zatrzymać coś z tego. Kilka z tych rzeczy, których się nauczyłem. Och, Boże, proszę, nie zabieraj mi tego wszystkiego!

19 czerwca. Czasami, w nocy, wychodzę na spacer. Ostatniej nocy nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie mieszkam. Do domu przyprowadził mnie policjant. Mam dziwne uczucie, że wszystko to zdarzało się już kiedyś — kiedyś dawno temu. Nadal wmawiam sobie, że jestem jedyną osobą na świecie, która może opisać to co się z nią dzieje.

21 czerwca. Dlaczego nie jestem w stanie pamiętać? Muszę walczyć. Całymi dniami leżę w łużku i nie wiem ani kim jestem ani gdzie jestem. Potem wszystko nagle, jak grom, powraca. Fugi amnezji. Symptomy starości — drugiego dzieciństwa. Mogę je obserwować, jak nadciągają. To jest okrutne w swej logice. Nauczyłem się tak wiele i tak szybko. A teraz mój umysł gwałtownie słabnie. Nie pozwolę żeby to się stało. Będę walczył. Nie mogę powstrzymać się przed rozmyślaniem o tym chłopaku z restałracji, o tępym wyrazie twarzy, głupkowatym uśmiechu, ludziach naigrawających się z niego… Nie… proszę… nie teraz jeszcze…

22 czerwca. Zapominam rzeczy, których dopiero co się nauczyłem. To klasyczny syndrom: ostatnie rzeczy, jakie się nabyło, są pierwszymi jakie się zapomina. Ale czy to jest syndrom? Lepiej chyba będzie jeśli zajrzę jeszcze raz…

Przeczytałem ponownie mój artykuł Efekt Algernona-Gordona i doznałem dziwnego uczucia, jakby został napisany przez kogoś innego. Są tam miejsca, których nawet nie rozumiem.

Zmalała aktywność motoryczna. Stale się o coś potykam i coraz trudniejsze staje się pisanie na maszynie.

23 czerwca. Zupełnie dałem sobie spokój z pisaniem na maszynie. Moja koordynacja ruchowa jest zła. Czuję, że poruszam się coraz wolniej. Wczoraj doznałem strasznego wscząsu.

Wziąłem do ręki kopię artykułu Kriigera Uber psychische Ganzheit, z którego korzystałem podczas moich badań. Chciałem sprawdzić, czy to by mi nie pomogło w zrozumieniu tego, co zrobiłem.

Początkowo pomyślałem, że coś złego stało się z moimi oczyma. Potem uśfiadomiłem sobie, że nie potrafię już czytać po niemiecku. Sprawdziłem inne języki. Nie znam już żadnego.

30 czerwca. Po tygodniu ośmieliłem się znuw coś napisać. Wszystko pszecieka jak piasek pomiędzy palcami. Większość z książek jakie mam są już za trudne dla mnie. Rozłościłem się okropnie bo wiem że je pszecież czytałem jeszcze kilka tygodni temu. Nadał wmawiam sobie że muszę dalej pisać ten Dziennik żeby inni mogli wiedzieć co się ze mną działo. Ale coraz trudniej pszychodzi składać słowa i pszypominanie sobie pisowni. Muszę teraz sprawdzać w słowniku nawet proste słowa. Robię się przez to niecierpliwy.

Dr Strauss prawie co dziennie do mnie wpada ale powiedziałem mu że nie chcę z nikim rozmawiać. Ale też nikogo nie potępiam. Wiedziałem, że to się może zdążyć. Tylko jak to boli.

7 lipca. Nie wiem nawet gdzie się ten tydzień podział. Dzisiaj jest niedziela. Wiem to bo widzę przez okno ludzi jak idą do kościoła. Myślę że przez cały tydzień byłem w łużku ale pamiętam jak Pani Flynn pszynosiła mi kilka razy jedzenie. Wmawiam sobie bez końca że muszę coś robić ale potem zapominam albo może po prostu łatfiej jest

nie robić tego co zamieżałem robić.

Myślę teraz o mojej matce. I o ojcu. Znalazłem ich zdjęcie zemną. Na plaży. Ojciec czyma pod ręką wielką piłkę a matka czyma mię za rękę. Nie pszypominam sobie ich na tej plaży.

Wszystko co pamiętam to to że mój ojciec przez większoś czasu pił i dyskutował z matką o pieniądzach. Zafsze był nie ogolony jak czeba i jak mię ściskał to mię drapał po tfarzy. Matka powiedziała że umarł ale Kuzyn Miltie powiedział że słyszał jak jego starzy mówili że mój ojciec uciek z inną kobietą. Jak zapytałem o to matkę to udeżyła mię w tfarz i powiedziała że mój ojciec umarł. Nie wydaje mi się żebym się kiedy koi wiek dowiedział jaka była prawda ale za bardzo to mi na tym niezależy. (Powiedział że mię zabierze na farmę żebym zobaczył krowy ale tego nie zrobił. Nigdy nie doczymywał obietnic).

10 lipca. Moja gospodyni Pani Flynn bardzo się o mnie martfi. Mówi że jak tak leżę na okrągło cały dzień i nic nie robię to jej pszypominam jej syna zanim go wyżuciła z domu.

Powiedziała że nie lubi prużniaków. To że jestem chory to jedna sprawa a,że jestem prużniak to inna nie musi o tym wiedzieć. Powiedziałem jej że jestem chory.

Prubuję co dziennie po trochu czytać. Głuwnie opowiadania. Ale czasem muszę czytać tą samą rzecz raz, po raz bo nie wiem co znaczy. Wiem że powinienem zajżeć do słownika ale to jest za uciążliwe a ja cały czas taki jestem zmęczony.

Potem to pszyszła mi do głowy taka myśl żeby używać tylko łatfych słów zamiast trudnych.

To pozwala oszczędzić czas. Jakoś tak raz na tydzień kładę kfiatki na grobie Algernona. Pani Flynn myśli że jestem szaleniec że kładę kfiaty na grobie myszy. Powiedziałem jej że Algernon był specjalny.

14 lipca. Znowu jest niedziela. Nie mam nic do roboty żadnego zajęcia bo telewizor nawalił i nie mam pieniędzy żeby go dać donaprawy. (Po mojemu to musi co zgubiłem czek z laboratorjum za ten miesiąc. Nie pamiętam). Dostałem strasznych buli głowy i aspiryna mi za bardzo nie po maga. Pani Flynn rozumie żem na prawdę chory i jest jej bardzo pszykro z tego powodu. Ona to jest fspaniała kobita jak ktoś jest chory. 22 lipca. Pani Flynn zawołała do mnie jakiegoś dziwnego Doktora. Bała się żebym jej nie umar. Powiedziałem mu żem nie taki znowu chory tylko że czasem to zapominam. Zapytał mię czy mam jakiś pszyjaciuł albo krewnych to powiedziałem że nie nie mam żadnych. I powiedziałem że miałem pszyjaciela ktury się nazywał Algernon ale on był mysz. Razem mieliśmy wyścigi.

Popaczył na mnie jakoś dziwnie jakby myślał żem wariat. Jak mu powiedziałem że byłem genjusz to się tak dziwnie uśmiechnoł. Rozmawiał zemną jak z dzieckiem i pomrugiwał do Pani Flynn.

Zezłościłem się i wypędziłem go bo sobie ze mnie robił cyrk jak

inni.

24 lipca. Nie mam więcej pieniędzy i Pani Flynn muwi że muszę iść gdzieś do pracy żeby płacić za ten pokuj bom już nie płacił zgurą dwa miesiące. Nie znam żadnej pracy tylko tą robotę tam w Zakładach Opakowań Plastikowych u Donnegana. Nie chcę tam spowrotem iść bo oni fszyscy znali mię jak byłem mondry i może będą się teraz ze mnie śmiali. Ale nie wiem co jeszcze mugłbym robić żeby mieć pieniądze.

25 lipca Popaczyłem na kilka stron w mojim Dzienniku. To bardzo dziwne ale nie potrafię nawet pszeczytać com tam popisał. Mogę otczytać kilka słuw ale one nie mają nawet sęsu.

Panna Kinnian pode szła pod dźwi ale powiedziałem jej niech Pani idzie nie chce Pani widzieć. Ona płakała i ja też płakałem ale nie pozwoliłem jej wejść bo nie chciałem, żeby się ze mnie śmiała. Powiedziałem jej że jej już nie lubię. Powiedziałem że nie chce więcej być mondry.

Ale to nie prawda. Dalej ją kocham i dalej chce być mondry ale musiałem jej to powiedzieć żeby sobie poszła. Dała Pani Flynn pieniądze na mieszkanie. Nie chce ich. Musze iść do roboty.

Proszę… proszę nie dajcie mi zapomnieć jak się czyta i pisze…

27 Zip. Pan Donnegan był bardzo miły kiedyżem pszyszed spowrotem i zapytał o rotote jako struż. Na początku to był bardzo podejżliwy ale mu powiedziałem co się ze mną zrobiło i f tedy wyglądał jak bardzo smutny i położył rękę na mojim ramiu i powiedział ty masz pecha Charlie Gordon. Fszyscy paczyli namnie jak szedłem na duł i zaczołem pracować w toalecie. Czyściłem ją tak jak zwykle. Powiedziałem sobie Charlie jak oni będą sobie z ciebie robili zgrywę to niech cię to nie boli bo pszecież pamientasz że oni nie są tacy mondży jak kiedyś myślałeś. A poza tym to oni byli kiedyś tfoi pszyjaciele i jak się z ciebie śmiali to nic bo oni cię ruwnież lubili.

Jeden z nowych ludzi co to pszyszed do pracy już jak ja odszedłem zrobił gupi dofcip i powiedział hej Charlie jazem słyszał że ty jesteś cholernie mondry facet prawdziwe genialne dziecko. Powiecno coś mondrego. Pszykro mi się zrobiło ale nadszedł Joe Carp złapał go za koszule i powiedział dej mu spokuj zafszony dofcipnisiu bo ci kark pszetrące. Nie myślałem że Joe będzie po mojej stronie. Tak że po mojemu to on jest na prawdę mojim pszyjacielem. Puźniej nad szed Frank Reilly i powiedział Charlie jak ktoś ci tu miesza albo prubuje robić numery zawołaj mię albo Joego to go ustawimy jak cza. Dzięki Frank powiedziałem i tak mię ścisnęło za gardło że musiałem się odwrucić i pujść do magazynu żeby mię nie widział jak płacze.

28 lip. Zrobiłem dziś gupstfo. Zapomniałem żem nie miał więcej iść do klasy Panny Kinnian tak jakżem to sobie obiecał. Fszedem tam i siadłem na moim starym miejscu z tyłu klasy a ona tak dziwnie popaczyła namnie i powiedziała Charles. Nie pamiętam żeby mię ona

tak nazywała kiedykolwiek pszed tym. Zafsze muwiła Charlie. No to powiedziałem dzieńdobry Panno Kinnian pszygotowałem się nadzisiaj do lekcji tylkożem zapomniał mojej ksiąszki. To ona nagle się rospłakała. Fszyscy zaczęli się na mnie paczyć i ftedy zobaczyłem że to nie byli ci sami ludzie ktuży byli pszed tym w mojej klasie.

I naglem se pszypomniał troche o tej operancji i o tym jakem zmondżał i powiedziałem se niech to diabli teraz tom z siebie żeczywiście zrobił Charlie Gordona. I wyszedłem zanim Panna Kinnian wruciła do klasy. To dla tego wyjeżdżam nazafsze z Nowego Jorku. Nie chce zrobić cośtakiego jeszcze raz. Nie chce żeby Pannie Kinnian było pszykro przeżeranie. Każdy mi fspuł czuje. W fabryce też. Tego też nie chce i dla tego jadę tam gdzie nikt nie wie że Charlie Gordon przed tym to był genjusz a teraz to nawet nie umie pszeczytać ksiąszki albo pisać. Biorę ze sobą kilka książek. Nawet jak nie umiem czytać to będę prubował i może nie zapomnę fszystkiego czegom się nałczył. Jak się będę starał to może zrobię się trochę mondżejszy niż byłem pszed operancją. Mam moją łapkę kruliczą i pieniąszka na szczęście. Może mi pomogą. Jeśli kiedy to Pani przeczyta Panno Kinnian niech Pani nie będzie pszykro. To dobże że miałem taką szansę żeby być mondry. Kupę się nałożyłem i to takich rzeczy kturych nigdy nie wiedziałem nawet że mogą być na śfiecie no to jestem wdzięczny że to fszystko mogłem zobaczyć. Nie wiem czemum znowu gupi i właściwie to co ja takiego zrobiłem może się niedość starałem. Ale jak będę mocno prubował i starał się to może stanę się odrobinę mondżejszy i dowiem się jakie są te inne śfiaty.

Tak czy inaczej mogę się założyć jestem pierszy gupek na śfiecie ktury zrobił coś dla nałki.

Pamiętam że coś takiego zrobiłem tylko nie pamiętam, co. Ale zdaj e się że to było coś dla fszystkich takich nie dorozwiniętych jak ja. ségnam Panią Panno Kinnian i Dr Straussa i fszystkich. PS. I proszę powiedzieć dr Nemurowi żeby nie był taki drażliwy jak się ludzie z niego śmieją to będzie miał więcej pszyjaciuł. Można sobie robić łatfo pszyjaciuł jak się pozwoli ludziom pośmiać ssiebie. Tam gdzie jadę będę miał kupę pszyjaciuł.

PPS. Jak by Pani miała możność to proszę czasem położyć trochę kfiatkuf na grobie Algernona na podwurku…

Przełożył z angielskiego Krzysztof W. Malinowski

John Brunner
Marnotrawstwo

Zadźwięczał dzwonek u drzwi.

Hal Page zajmował się właśnie ostatnimi przygotowaniami: po pierwsze — dokładnie przeglądał całe mieszkanie sprawdzając, czy wszystko jest gotowe do tego absolutnie szałowego przyjęcia, jakie się miało odbyć; po drugie — nie mógł się zdecydować, gdzie ukryć ostrzeżenie.

Najchętniej by je zniszczył, ale gdy podszedł do wlotu pochłaniacza i otworzył go, pozwalając, aby lekki powiew odoru z odległych pieców krematoryjnych zmieszał się z mocnym zapachem perfum unoszącym się w powietrzu — zmienił zdanie. Brakowało mu właśnie dotyku czegoś konkretnego, jakiegoś szelestu, aby doprowadzić swój zamiar do końca.

Podczas przyjęcia nic w mieszkaniu nie mogło pozostać nietknięte. Był znany z lekkomyślności — goście brali więc za punkt honoru, aby odnaleźć i zniszczyć wszystko, co posiadał najcenniejszego, by zmusić go do bicia następnych rekordów, kiedy bałagan był już uprzątnięty i zastąpiono zniszczone przedmioty nowymi. Nie chciał jednak, by się ktokolwiek domyślał powodu, dla którego wydawał tak olbrzymie przyjęcie w zupełnie przypadkowo wybranym dniu. Gdyby się ktoś zorientował, że Hal dostał ostrzeżenie, rozeszłoby się to jak wieść o zarazie i spędziłby dzisiejszy wieczór samotnie, wpatrując się w nicość z uczuciem strachu, które jak zimna dłoń podpełza powoli ku sercu.

— A niech to jasna cholera! — powiedział głośno, spiesznie wpychając ostrzeżenie do kieszonki ukrytej w fałdach luźnej, jedwabnej koszuli. Machinalnie spojrzał na zegarek, chociaż wiedział, że dzwonek rozległ się dwadzieścia minut przed czasem. Był to najdroższy zegarek na świecie; kosztował go całe cztery lata. Nosił go z tyłu wskazującego palca lewej ręki. Zegarek odmierzał okres rozpadu mikroskopijnego grana radu.

Dzwonek zabrzmiał znowu. Hal podjął decyzję. Czy ukrycie ostrzeżenia miało jakikolwiek sens? Każde słowo dobrze mu się wryło w pamięć, a treść można było wyrazić jednym strasznym słowem: *jutro*!

Ale ponieważ nie zamierza tu zostać, a jutro pewnie już żyć nie będzie — co go jeszcze powstrzymuje przed zniszczeniem kawałka papieru?

Wrzucił go do pochłaniacza, tak jak miał to zamiar zrobić na początku. Ten gest przyniósł mu poczucie spokoju, świadomość

palenia za sobą mostów. Pewnym, lekkim krokiem poszedł otworzyć drzwi.

— Przyszedłeś dosyć wcześnie, ale to nic, wejdź! Nie ma sensu zwlekać z… Tyle zdążył powiedzieć, zanim się zorientował, że mężczyzna stojący naprzeciwko niego — trochę starszy niż on, tak na oko trzydziestopięcioletni, szczupły, o posępnej twarzy i jasnych oczach — był ubrany w czerń, w kolor, jaki nosili tylko dorośli. Krzywiąc się z niesmakiem, chciał zamknąć drzwi. Marzył, aby je można było zatrzasnąć z hukiem.

— Chwileczkę — powiedział miękko przybysz. — Nie przypominasz mnie sobie, Hal?

Page zawahał się. Przemógł się wreszcie na tyle, aby spojrzeć na twarz nieznajomego w czarnym stroju jak na twarz konkretnego człowieka, a nie tylko jak na anonimową maskę osoby dorosłej. To pobudziło jego pamięć. Powiedział: — No tak, na przyjęciu u… Jak się nazywała ta dziewczyna?

— Karen Sottine, ale to nie ma znaczenia. Powinieneś raczej spytać, jak ja się nazywam.

Jestem Thomas Dobson. — Mężczyzna umilkł. Spojrzenie miał ostre i przenikliwe. — No co, czy mam tak stać tutaj, gdzie każdy kto przechodzi korytarzem może mnie zobaczyć? Czy chcesz, żeby ludzie zaczęli się zastanawiać, dlaczego dorosły składa wizytę zawodowemu młodzieńcowi? Bo widzisz, ja wiem o tym ostrzeżeniu i znam powód, dla którego urządzasz dziś wieczorem tak wystawne przyjęcie. — Mam nadzieje, że nie zostaniesz — wybuchnął Page. — Powiedziałem „wejdź", ale nie miałem na myśli, do cholery…

— Nie, skądże — Dobsonowi udało się zawrzeć w tym krótkim zaprzeczeniu nieskończenie wiele pogardy. Page chciał jakoś zareagować na zniewagę, ale nie zdążył, bo Dobson ciągnął dalej: — Twoi goście spóźnią się co najmniej pół godziny. Wiesz o tym dobrze. Przyjdą, by móc chociaż zerknąć na legendarnego Hala Page'a, który lubił hazard i któremu to uchodziło na sucho, a swoim przykładem pociągał za sobą wielu innych.

Page odzyskał panowanie nad sobą i wykonał ironiczny ukłon.

— A więc przyszedłeś tu po to, żeby mnie zobaczyć, tak? śeby dowiedzieć się, co mogłeś mieć, a co nigdy nie stało się twoim udziałem? W takim razie wejdź! — Baw się dziś na mój rachunek!

Patetycznym gestem zaprosił Dobsona do środka, pokazując mnóstwo przysmaków, którymi zapełniony był pokój; aby zrobić im miejsce, antyki i dzieła sztuki zepchnięto w kąt. — Szampana? Prawdziwego szampana z Francji? Może kawioru? Języczki skowronków? Założą się, że nigdy tego nie jadłeś. Bierz, co chcesz, ja płacę! — I dodał po chwili: — Ale pospiesz się!

— Dziękuję — powiedział Dobson i wziął grzankę, żeby nałożyć

sobie czerwonego kawioru. — Wiesz — dodał z zadumą w głosie, gdy połknął pierwszy kęs — szkoda, że nie potrafisz naprawdę docenić takich rzeczy, że widzisz w nich tylko cegiełki, które podbudowują twoje gigantyczne ego.

— Ale mnie to sprawia przyjemność — odciął się Page. — A ty nie jesteś w stanie niczym się cieszyć! Mój Boże, nawet wtedy, gdy cię spotkałem po raz pierwszy, tak, to było chyba pięć lat temu, nawet wtedy nie umiałeś używać życia. Siedziałeś jak zjawa, pogrążony w rozmyślaniach, i szafowałeś filozoficznymi frazesami, których nikt nie słuchał…

— Ty słuchałeś — Dobson nałożył sobie następną porcję kawioru.

— Tylko dlatego, że nie wierzyłem, że rzeczywiście istniejesz — mruknął Page. — Siedziałeś tam i bardzo długo mówiłeś, chociaż ta ładna dziewczyna robiła do ciebie oko. Ta z rudymi włosami i ustami, które… No, mniejsza o to. I tak ją w końcu dopadłem.

— Wiem, mówiła mi — Dobson przełknął ostatni kęs grzanki i rozparł się w miękkim krześle.

Przelotny uśmiech zagościł na jego twarzy.

— To ona się jeszcze tobą interesowała? — Page'owi w pierwszej chwili trudno było w to uwierzyć.

— Pobraliśmy się — powiedział Dobson — jest to chyba coś, co by ci specjalnie nie odpowiadało.

— No jasne — powiedział krótko Page. — Nigdy nie dałbym się usidlić w ten sposób! Miała cholernie fajne ciało, ale głowę całkowicie zaśmieconą tymi samymi bzdurami, które wygadywałeś przez cały wieczór… A jednak, wiesz, wydaje mi się, że powinienem ci być wdzięczny. Aż do tego momentu byłem jednym z wielu, brałem za dobrą monetę wszystkie nabożne frazesy, którymi mnie karmiono w szkole. Spojrzałem na ciebie i pomyślałem — niech to diabli, jeżeli mam zostać urobiony na taką samą modłę jak ty, to wolę najpierw użyć życia. I… no tak! Zaraz następnego dnia poszedłem i po raz pierwszy kupiłem sobie coś, co kosztowało cały rok. Poczułem się wspaniale. I tak to się zaczęło.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie — Dobson uniósł głowę i popatrzył na Page'a z wyraźnie szczerym zainteresowaniem. — Czy nic nie czułeś, gdy twój dług przekroczył stulecie?

— Ależ tak! — Page zaśmiał się cierpko. — Czułem, że wreszcie oddycham pełną piersią.

— Nic poza tym? — indagował Dobson.

— Wiem, o co ci chodzi. Chcesz spytać, czy nie bałem się, że przyjdą i usuną mi ziemię spod stóp? Nie, do diabła! Wy, dorośli, bierzecie wszystko zbyt serio. Minimum trzydzieści lat bezpłatnego kredytu — tylko tyle wam mówią. To fakt, nie czułem się najlepiej tego dnia, kiedy się obudziłem i stwierdziłem, że przekroczyłem

trzydziestkę o tydzień — tak jakoś straciłem rachubę czasu na przyjęciu w pewną sobotę. Ciągnąłem to jednak coraz dalej i dalej i oto efekt. Trzydzieści dwa lata, jeden miesiąc i cztery dni… — Dosyć — powiedział Dobson spokojnie i sięgnął po następną porcję czerwonego kawioru. Page poczerwieniał.

— Co oni teraz z tym zrobią? Mój dług wynosi już prawie trzysta lat, i nic, do cholery, na to nie można poradzić. Wszystko zostało wydane lub też będzie wydane do świtu dnia jutrzejszego.

— A w zamian za to czym się możesz pochwalić? — Mogę się pochwalić tym, co ci zresztą każdy potwierdzi: mam silniejszy charakter od ciebie — nie przerażały mnie konsekwencje. Nie zawróciłem z obranej drogi i nie stałem się dorosłym przed wyznaczonym terminem, by gdy po mnie przyjdą — pójść przymilając się i wołając: „Spójrzcie, zachowuję się już tak, jakbym był jednym z was! Proszę, bądźcie dla mnie dobrzy!”

Nagła myśl spowodowała, że przerwał potok słów. Podniósł oskarżające palec. — No dobra, a skąd wiedziałeś o…

Zamilkł, przestraszony tym razem nie na żarty.

— Nie, nie przyszedłem tu po to, żeby cię gdziekolwiek zaciągać siłą, jeżeli tego się obawiasz — powiedział spokojnie Dobson. — Moja misja tego nie wymaga. Jeżeli chodzi o ścisłość, to kazano mi przyjść do ciebie i upewnić się, czy pojmujesz, jaką odpowiedzialność pociągają za sobą przywileje, którymi się cieszyłeś.

— Ależ pojmuję je doskonale — powiedział Page i ruszył w kierunku drzwi. — No to może byś już sobie poszedł i pozwolił mi się zabawić ten ostatni raz.

— Przepraszam. — W głosie Dobsona brzmiał niekłamany żal, ale Page doszukiwał się ironii w jego oczach o ciemnej oprawie. — Muszę wykonać zadanie, jakiego się podjąłem, i jeżeli nie skończę przed nadejściem twoich gości, to po prostu będę tu tkwił tak długo, dopóki tego nie dokonam. Masz więc do wyboru: albo siedzieć i słuchać teraz, albo siedzieć i słuchać później — bo już nikt nie będzie ci dotrzymywał towarzystwa. Plotka zacznie krążyć. A wiesz, jak przesądni są członkowie twojego klanu, jeżeli w grę wchodzi ktoś, kto otrzymał ostrzeżenie. Tak jakby nosił w sobie zarazki śmiertelnej choroby.

Ta drwina trafiła do Page'a pomimo rozdrażnienia. Sam to przedtem porównywał w myślach do zarazy. Opadł na fotel naprzeciwko Dobsona i westchnął.

— Miałbym ochotę wziąć i wepchnąć tę twoją kołtuńską gębę do pochłaniacza, ale… No dobra, wal dalej, byle szybko!

Dobson spokojnie złożył ręce na kolanach.

— Wątpię — zaczął — czy zetknąłeś się z klasykami literatury podczas swego kosztownego i burzliwego życia. Może gdybyś się tym

zainteresował, byłbyś w stanie lepiej uświadomić sobie sytuację, w jakiej się znajdujesz, szczególnie gdybyś przeczytał kilka książek dramaturga Shawa.

Początek dwudziestego wieku. Czy to ci coś mówi?

— Dojdź wreszcie do sedna sprawy! Dostałem ostrzeżenie i nie mam ochoty, żeby mnie zanudzano właśnie dziś wieczorem!

— Nudzić się to ty potrafisz, prawda? To chyba trochę nie fair… No, właściwie to chciałem ci zrobić piękny, zwięzły wykład na temat współczesnej struktury ekonomicznej, co może miałoby dosyć wątpliwą wartość, ale kto wie? Shaw powiedział podobno u schyłku życia, że młodość jest piękna; jaka szkoda, że trzeba ją było zmarnować na młodych! Bo jego pogląd — jak to obszerniej wyjaśnia w „Z powrotem do Matuzalema" — jest taki, że „tylko mądrość nabyta wraz z przeżytymi latami umożliwiłaby człowiekowi maksymalne wykorzystanie energii młodości".

Dobson rzucił okiem na pokój, tak jakby objął umysłem całość, podsumował i zdyskwalifikował wszystko, za co Page zaryzykował trzy stulecia. Page zadrżał i ostro ponaglił go do kończenia pogadanki.

Dobson ożywił się.

— Dobrze. A więc, nawet żyjąc w takim zamkniętym, psychicznie kazirodczym kręgu kompanów od zabaw musiałeś słyszeć o tym, że skolonizowaliśmy jeszcze dwie planety naszego układu, i że wyruszamy na podbój planet innych układów?

— Chyba było coś na ten temat w trójwizji — powiedział Page z ironią w głosie.

— No tak. Co więcej, mamy wysoką stopę życiową opartą na racjonalnej bazie ekonomicznej, którą uważamy za jedyne prawdziwe i niezawodne kryterium obliczania kosztu zainwestowanej energii ludzkiej.

— Moje życie kosztowało mnie trzysta lat — mruknął Page. — Czy masz dla mnie może jakieś mniej zwietrzałe nowości?

— Bądź cierpliwy! — Dobson podniósł swą szczupłą rękę. — Jak ci już mówiłem, zobowiązano mnie do wykonania tego zadania. Nawet gdybym musiał przez te twoje przerywniki strawić na tym całą noc.

— To już słyszałem! Według mnie taki wykład na tematy aktualne nie ma żadnego sensu.

Czy to znaczy, że chcesz mnie jakoś przygotować do wiadomości, że mają mnie wysłać na Marsa albo gdzie indziej, żebym wypruwał z siebie żyły przy cholernych konstrukcjach? — Też pewnie było coś na ten temat w trójwizji — podsunął Dobson z kwaśną uprzejmością. — Nie, nie wyślą cię na Marsa. Praca jest już tam prawie na etapie automatyzacji, a w przyszłości znajdzie się tam miejsce tylko dla ludzi z kwalifikacjami. Czy dasz mi kiedyś dojść wreszcie do sedna sprawy,

czy może tak bardzo lubisz brzmienie własnego głosu, że wolałbyś zaczekać z tym do rana?

Page wzruszył ramionami i opadł na oparcie krzesła.

— Dziękuję — powiedział Dobson. — Podczas ostatniego roku nauki w szkole, kiedy powinieneś już w zasadzie być na tyle dorosły, aby móc podjąć jakąś rozumną decyzję, pouczono cię o formach współczesnego społeczeństwa. Powiedziano ci na przykład o kredycie, którym możesz dysponować przynajmniej do ukończenia trzydziestki, i że ten kredyt się spłaca, jak zresztą każdy wydatek obecnie, opierając się na standardowej skali indywidualnej pracy. Chodzi tylko o czas. Oczywiście nie ma mowy o tym, żeby człowieka niezdolnego do wysoko wykwalifikowanej pracy zmuszano, by zwracał wiele lat niewykwalifikowanej harówki — tylko po to, aby rachunki się zgadzały. Jesteśmy bardzo bogaci. Nie musimy być małostkowi w takich sprawach.

Powiedziano ci, na jakiej zasadzie opiera się ten system. Mówiono ci też — i jak większość dorastających z pewnością nie wierzyłeś — że nie kończące się pasmo przyjemności i pozwalania sobie na wszystko stanie się w końcu nudne, i sadzono, że do chwili otrzymania ostrzeżenia o spłacie społeczeństwu kredytu, który zaciągnąłeś, będziesz chciał zrobić bardziej konstruktywny użytek ze swojego życia. Powiedziano ci wprawdzie, że to tylko od ciebie zależy. Istnieje pewne nieprzenośne minimum kredytu, z którego może korzystać każdy do końca życia, tak że używając życia oszczędnie, można praktycznie w nieskończoność być panem własnego losu. Tę drogę obierają głównie ludzie o buntowniczym i twórczym usposobieniu, ci, którzy wolą raczej uprawiać działkę ziemi na skraju pustyni i malować zachody słońca niż podjąć regularne stanowisko dorosłego w społeczeństwie. Nawiasem mówiąc, nie zamierzam krytykować tych ludzi; cały model ewolucji naszego gatunku dążył do rozwinięcia naturalnej dla człowieka zdolności do przedłużania okresu zabawy coraz dalej, w wiek dorosły.

Nienawykły do siedzenia i słuchania Page zaczął się denerwować.

— Oczywiście, że mi o tym wszystkim powiedziano — wybuchnął ze złością — ale nie byłem przekonany i nadal nie jestem! śyje mi się cholernie fajnie i żeby mnie ktoś teraz samowolnie brał za głowę i…

— Nie samowolnie — wtrącił Dobson z emocją w głosie, jakiej Page dotąd u niego nie zaobserwował. — Uprzedzano cię, nawet jeżeli nie zwracałeś na to uwagi.

— O czym uprzedzano? śe, jak to ująłeś, „nie kończące się pasmo przyjemności” skończy się tym, że będę znudzony! Do diabła! Jedyne chwile, kiedy się naprawdę nudzę, to takie chwile jak ta — gdy jakiś zacofany dorosły zaczyna mi prawić morały! — Wstał i poszedł nalać sobie brandy.

— Fakt pozostaje faktem — ciągnął dalej. — Nie dam się tak łatwo ogłupić jak większość ludzi.

Czy wiesz, że oni się prawie mnie boją? Tak jakbym zrobił coś specjalnego! A ja po prostu przejrzałem na wylot te głupoty o „moim długu wobec społeczeństwa"! I jak się już przyznałem, nie czułem się za dobrze, gdy sobie uświadomiłem, że dobiłem trzydziestki z długiem sięgającym trzech stuleci. Później odzyskałem równowagę. Bylibyście przerażeni, gdybyście dopadli mnie właśnie wtedy, tego dnia, w którym przekroczyłem dozwolony limit. Ludzie powiedzieliby: „To oszustwo! Hal Page dostał ostrzeżenie, bo używał życia tak, jak chciał, i miał w nosie czas, który zużył. Do licha, jeżeli z nami też tak w końcu postąpią — to używajmy, dopóki się da". Czy nie tak? — odwrócił się do Dobsona z wyzwaniem w oczach.

— Myślisz, że całe twoje pokolenie wydaje kredyt tak, jak ty — powiedział półgłosem Dobson. — Naprawdę myślisz, że to miałoby jakieś znaczenie? Mówiłem ci już, że jesteśmy bogaci. Nawet nie masz pojęcia jak bardzo bogaci! Nauczyliśmy się niczego nie marnować, musieliśmy się tego nauczyć! Gdyby każdy z gości, których przyjmowałeś na swoich wystrzałowych przyjęciach, gdyby każdy gość na każdym przyjęciu, na którym byłeś — gdyby nawet całe twoje pokolenie zdecydowało się szafować wydatkami tak swobodnie i rozrzutnie jak ty — to, aby to wyrównać, trzeba by po prostu przeliczyć ich wydatki na efektywną pracę, której mielibyśmy pełne prawo od nich wymagać w ciągu następnych lat ich życia. Ale jesteśmy nieprawdopodobnie bogaci, Hal!

Ostatnio rzadko nawet wysyłamy ludziom ostrzeżenia. Na ogół po przekroczeniu trzydziestki stają się niespokojni — tracą zainteresowanie samym „pasmem przyjemności" i pewnego dnia przychodzą i proszą, żeby im wynaleźć jakieś prawdziwe zajęcie. Sam postąpiłem w ten sposób.

— Ale ja nie jestem taki, jak ty — chrapliwym głosem powiedział Page. Pogarda, jaką chciał zawrzeć w tym stwierdzeniu, zabrzmiała sztucznie.

— Ciągle jednak chodzi tu o sedno sprawy — przerwał Dobson. — Wykorzystując zasoby, które są do naszej dyspozycji, napotykamy trudności. Na dziesięć osób dobijających obecnie do trzydziestki, dziewięć straciło już ochotę na przelotne przyjemności; zaczęli studiować lub też zajęli się badaniami naukowymi na małą skalę, niektórzy postanowili założyć rodzinę — jednym słowem zachowali się jak dorośli. A my teraz musimy sobie radzić z tym kolosalnym napływem twórczej energii, pokierować nią, starać się wykorzystać jak najlepiej… Dlatego właśnie wyruszamy do gwiazd. Upłynie jeszcze cholernie dużo czasu, zanim lot na gwiazdy stanie się czymś tak zwyczajnym jak podróż na Księżyc. Przyda się to jednak

bardzo — po prostu, aby nie zmarnować tej energii, którą społeczeństwo aż tryska.

— Skończyłeś? — burknął Page. Wychylił brandy do dna i nalał sobie następną szklaneczkę.

— Jeszcze nie. Próbuję ci właśnie wytłumaczyć, że nie możemy sobie pozwolić na brak kontroli. Nie możemy na przykład podwyższyć granicy wieku do trzydziestu pięciu lat tylko po to, aby zelżał napór chętnych do podjęcia dorosłego życia.

— Nie miałbym nic przeciwko temu! — wybuchnął Page, myśląc o tym potwornym ostrzeżeniu, które wrzucił do pochłaniacza: Jutro kończy się okres pełnego, darmowego kredytu…

— Większość ludzi z trudem wytrzymuje trzydzieści lat nieróbstwa. — Dobson podniósł brew.

— Przecież o tym ci właśnie mówiłem przed chwilą.

— Wszystko już słyszałem! Mam tego powyżej uszu! Nic nowego już nie wymyślisz. Więc może skierowałbyś się łaskawie w stronę drzwi? — Page jednym haustem przełknął następną porcję brandy.

— Tak — westchnął Dobson i szykował się do wstania. — Wszystko już słyszałeś… Widocznie nie potrafisz wyciągać odpowiednich wniosków. „Nikt nie jest tak głuchy jak ci, którzy nie chcą…”

A zresztą, mniejsza o to. Page patrzył za odchodzącym. Z jego oczu znikła wrogość, kiedy sobie uświadomił, że musi zadać koniecznie jeszcze jedno, ostatnie pytanie. Wypowiedział je na głos trochę wbrew sobie.

— Dobson! Czy wiesz może, co?…

I tu głos mu się załamał — częściowo dlatego, że wstydził się przyznać temu czarno odzianemu intruzowi, że boi się tego, co go czeka, a trochę dlatego, że bał się rzeczywiście.

Posępny gość zatrzymał się i odwrócił.

— Chodzi ci o to, czy wiem, co ci będą kazali robić? Widzisz — ja wiem. Ale nie zostałem upoważniony do wyjawienia ci tego sekretu. — Będą kazali? Myślałem, że istnieje jakaś możliwość swobodnego wyboru! — W głosie Page'a zabrzmiała znów jego zwykła pewność siebie.

— Biedny głupcze — powiedział Dobson. — Jak sądzisz, ile możliwości pozostawia się do wyboru komuś, kto roztrwonił ponad trzysta lat?

I odszedł.

To było jednak wspaniałe przyjęcie. Były tylko dwa przykre momenty: pierwszy, gdy trzeba było wezwać medy-techników, po tym jak rozgorzała bójka między dwoma mężczyznami o jakąś smarkulę, którą Page miał już w zeszłym roku i której nie uważał za wartą zachodu; drugi moment, gdy się zorientował, że krzyczy do tłumu

namawiając gości do jeszcze większej swobody w jedzeniu i piciu, i że tańczy z coraz większym zapamiętaniem, a twarze ludzi stają się coraz bardziej przerażone gwałtownością jego zachowania. Powoli się opanował i zatuszował tę chwilę, która ujawniła jego uczucia, chwytając pierwszą z brzegu dziewczynę, by zasypać jej twarz pocałunkami. Nie wolno, aby zaczęto podejrzewać, że zapadł na niego wyrok. Tego wieczoru musi być do ostatniej chwili wśród ludzi, musi słyszeć śmiech i gwar, brzęk tłuczonych bezcennych przedmiotów, pod sobą czuć miękkie, pokryte perlistym, gorącym potem ciało, jedwabną poduszkę — a w uszach echo tego spokojnego, przerażającego głosu Dobsona.

Kiedy o trzeciej nad ranem nic mu nie wyszło z trzecią dziewczyną, zrozumiał, że oto nadchodzi kres.

Nagle odepchnął ją od siebie i wstał z łóżka. Poszedł do łazienki sąsiadującej z pokojem i zamknął za sobą drzwi. Nie było tu na szczęście nikogo, chociaż wcześniej ze trzy lub cztery osoby brały tu razem prysznic i pisały mydłem koloru lawendy nieprzyzwoite wierszyki na ścianach.

Jedną ręką przytrzymując się ściany wpatrywał się w swoje odbicie w wielkim zwierciadle sięgającym od podłogi do sufitu. — Po raz ostatni — wyszeptał. — Ale dobrze mnie zapamiętają.

Kogoś, kto ich oszukał. — Był to jedyny przejaw jego ambicji. Nie był wyjątkiem. Ale inni, o których słyszał, że próbowali zrobić to samo, ci, którzy tak jak on, nie mogli znieść myśli o życiu bez nieustannego, egoistycznego dogadzania sobie — spartaczyli całą robotę. Plotkowano coś na ten temat; szeptano historie przyprawiające o dreszcz grozy, historie, które były na ogół efektem zdawkowych pytań: — Co się dzieje ostatnio z tym?…

Dawno go nie widziałem. — Och, dostał ostrzeżenie. — No i co? — Próbował się wydostać z tej matni, poderżnął sobie gardło. — No i? — Odratowali go.

— Dobson by temu pewnie przyklasnął — powiedział Page do swego odbicia, obserwując bruzdy wokół miękkiej linii ust. — Pewnie powiedziałby, że zostali ostrzeżeni i musieli ponieść konsekwencje. Ale to, że uprzedzają, nie usprawiedliwia ich postępowania. Mam w nosie spłacanie zaciągniętego długu. Nikt się mnie nie pytał o zdanie, kiedy ustanawiali ten parszywy system — i teraz ja się wycofuję z tego całego interesu!

Głos jego zabrzmiał tak donośnie, że aż się przeraził; nie chciał, żeby go usłyszano. Po jego wyjściu przyjęcie powinno trwać nadal. Chciał, żeby trwało aż do chwili, kiedy nadejdzie wielka nowina! Hal Page dokonał tego! Hal Page wydostał się jednak!

Przez chwilę opanowała go chęć zmiany decyzji, przywołał jednak w pamięci wyraz twarzy Dobsona, pomyślał o tym, co się

mogło kryć za słowami, jakie Dobson rzucił na odchodnym.

Nie — dużo lepsza jest już cicha ciemność śmierci. A on na pewno tego nie spartaczy.

Wóz powietrzny kosztował go półtora roku kredytu. Jest tego wart, pomyślał z rozmarzeniem, kiedy połykał pięć pastylek środka hipnotyzującego — kosztował trzy godziny — i skierował wóz w stronę morza. Paliwa wystarczało akurat na pięćdziesiąt mil. Do tego czasu będzie już na wysokości trzydziestu tysięcy stóp. Uderzenie w wodę z takiej wysokości to prawie jak rozbicie się o skałę. Nawet jeżeli zostanie z niego tyle, że mogliby tego użyć tylko do przeszczepów protetycznych — to będą mieli i tak dużo szczęścia. Będzie to jednak wszystko, co uzyskają jako spłatę słynnego… bijącego wszelkie rekordy, długu Hala Page's… który wynosi więcej niż… trzysta…

Ciemność.

I przerażenie!

Światło w ciemności. Świadomość. Potworny, szokujący brak ciała. Wzrok, którego nie można odwrócić, bo nie ma powiek, by móc nimi przysłonić oczy zdrajcy. Chciał krzyknąć, ale nie miał głosu; próbował wstać — ale nóg też nie było.

Znajdował się w wielkim, jasnym pokoju o bladych ścianach bez okien. Naprzeciwko niego na żelaznym krześle siedział posępny, odziany na czarno Dobson. Wydawał się jakoś dziwnie wypukły, jak gdyby uzyskał dodatkową głębię. Czyjś głos powiedział: — Włączyć. — Na krawędzi widzenia poruszała się jakaś biała postać, w zupełnie idiotyczny sposób pozbawiona proporcji — była to kobieta w sterylnym dresie.

— Soczewki są chyba zbyt oddalone od siebie — powiedział Dobson. — Ma prawdopodobnie stereowizję.

Zbliżyło się coś ogromnego, i wymiary otoczenia wróciły prawie do normy. Hal Page pocieszał się tym, aby nie dopuścić do świadomości faktu, że żyje. To byłoby nie do zniesienia.

— śal mi ciebie, Hal — powiedział miękko Dobson. — Nie staraj się mówić. Jeszcze nie podłączyliśmy obwodów głosowych. Nie sądziliśmy, że trzeba ci to będzie wszystko robić za jednym zamachem. Ale widzisz — to była tylko twoja wina, że tak głupio próbowałeś samobójstwa.

Myśleliśmy, że uda się złagodzić szok.

Świadomość Hala jak mysz w klatce zaczęła szaleńczo obiegać wnętrze mózgu — o którym wiedział i w co nie miał odwagi uwierzyć — że jest jedyną rzeczą, jaką mu pozostawiono.

— Być może zwariujesz — powiedział Dobson prawie szeptem. — Wydaje mi się jednak, że zawsze byłeś cokolwiek szalony — na pograniczu psychopatii, niezdolny do wyciągania racjonalnych

wniosków z tego, co ci mówiono, niezdolny do wczucia się w czyjeś słowa na tyle, aby w nie uwierzyć. Pomimo wszystko powinniśmy chyba być zadowoleni, że trafiają się tacy jak ty.

Prawie nic z ciebie nie zostało, Hal, ale szkoda, że nie zapamiętałeś tego, co ci powiedziałem wtedy, w twoim mieszkaniu. Nie dopuszczamy do tego, żeby się cokolwiek marnowało. Bardzo dawno temu istoty ludzkie były wielkimi marnotrawcami; z trudem nam przyszło nauczenie się, co powoduje marnotrawstwo. Teraz już jesteśmy przezorni — planujemy, a niektóre posunięcia opracowujemy na wiele lat naprzód. Jesteśmy zmuszeni do absolutnej uczciwości. Jest wiele nieprzyjemnych rzeczy do zrobienia i nigdy tego nie ukrywamy. Sam się tak urządziłeś, chociaż posiadając pełnię informacji, mogłeś się w każdej chwili wycofać, gdybyś chciał. Ale nie chciałeś. Brnąłeś dalej. Wydałeś kredyt, który opierał się na wysiłku innych ludzi, potem z wielkiej ilości rzeczy do wyboru, które stały przed tobą otworem jako forma spłaty — pozostała już tylko jedna możliwość. Rok temu, dwa lata temu, mogłeś się zatrzymać i zastanowić, dlaczego pozwolono ci wydawać bez końca, ponad jakąkolwiek sumę spłacalną w ciągu ludzkiego życia. Nigdy tego nie zrobiłeś.

Dlatego właśnie tu jestem, obarczony ciężkim zadaniem wytłumaczenia ci wszystkiego, po tym jak już popełniłeś ten błąd, kiedy myślałeś, że można się wymigać wraz z długiem. — Dobson ciężko westchnął, ciemne oczy miał utkwione w złożonej baterii protez, które utrzymywały przy życiu osobowość Hala Page'a. — Musimy wyruszyć do gwiazd, Hal. Wydostać się na zewnątrz. Jak ci już mówiłem, jesteśmy do tego zmuszeni, bo tak wiele jest energii, z którą trzeba coś zrobić, tak wiele chęci tworzenia, tyle kwalifikacji i niecierpliwości. Pewnego dnia ruszymy z prędkością światła, ale zanim ta epoka nadejdzie, potrzebujemy zwiadowców, poszukiwaczy, pionierów… Ty, Hal, polecisz z załogą na Rigel jako dowódca bardzo wolnego statku kosmicznego — a droga tam i z powrotem zajmie ci prawie trzysta lat.

Przełożyła z angielskiego Izabella Wagner-Jastrzębska

Dymitr Bilenkin
Nie zdarza się

Profesor Arcimowicz wgryzał się w problemy naukowe niczym kwas solny, a twardy był jak molibdenowa stal. Ale nawet stal podlega zmęczeniu. Tego dnia tak go wyczerpały tańczące przed oczami czarne muszki, że wbrew swoim zwyczajom wziął rower i pojechał odetchnąć świeżym powietrzem.

Z miasteczka akademickiego było blisko do pierwszych przysiółków i profesor już wkrótce znalazł się w nie znanej okolicy. Spokojnie świeciło słońce, po lewej stronie piaszczystej drogi rosły sosenki, po prawej zielenił się owies, a z naprzeciwka leciał w stronę Arcimowicza człowiek.

Ściślej mówiąc unosił go wiatr, a człowiek tylko z lekka wiosłował rękami, rozpostarty w powietrzu jak żaba. Miał wypchnięte na kolanach spodnie.

Profesor zahamował. — No i doigrałem się — pomyślał przerażony. — Halucynacje.

Wiatr ustał i człowiek zawisł o jakieś półtora metra nad Arcimowiczem. Profesor patrzył z zadartą głową. Było mu bardzo siebie żal.

— Przepraszam — odezwał się wreszcie. — Czy zna się pan na halucynacjach?

— Nie — odparł ochrypłym głosem człowiek. — Nie znam się.

— Oczywiście, oczywiście — zgodził się Arcimowicz. — Skoro sam pan jest halucynacją, to rzecz jasna nie może pan się na nich znać. Ja niestety także nie jestem specjalistą w tej dziedzinie.

— Ja nie jestem halucynacją — zaprotestował człowiek. — Nazywam się Sidorow. Posiadam dokumenty.

Człowiek pomacał się po kieszeniach obwisłej kurtki i na jego twarzy odmalował się wyraz zawodu.

— Zostawiłem w marynarce…

Arcimowicz kiwnął głową ze zrozumieniem. — Nie mogło być inaczej — powiedział. — Halucynacja wzrokowo-słuchowa, to jeszcze można jakoś strawić, ale halucynacja okazująca dokumenty, to już, wybaczy pan, nonsens.

— Co? — spytał człowiek.

— Nonsens.

— Aha…

Człowiek zamilkł zbity z tropu.

Profesor również się zadumał. Był zdenerwowany i zmartwiony, ale dumny, że postępuje, jak przystało na uczonego: nie stracił głowy,

nie wpadł w panikę i nie uwierzył w cuda. Sam ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, nie może mieć do nikogo pretensji. Nie oszczędzał się, pracował ponad siły i coś takiego musiało się przydarzyć. Jak nie halucynacje, to nadciśnienie albo, nie daj Boże, zawał. Można nawet uważać, że miał szczęście. Halucynacja to nie choroba umysłowa, ot zwykła nerwica. Leczenie łatwiejsze „niż na przykład przy nadciśnieniu i nie boli, jak na przykład zęby. A swoją drogą szkoda, że nie jest psychiatrą — taki materiał do samoobserwacji pójdzie na marne! Zresztą zrobi wszystko, co w jego mocy. Ostatecznie jest to jego obowiązek jako uczonego.

— Więc, znaczy się, pan we mnie nie wierzy? — usłyszał z góry.

— Wiara to kategoria pozanaukowa, a ja jestem uczonym. I dlatego wiem, że jest pan irrealnym wytworem mego niestety przepracowanego umysłu. — Ale przecież ja istnieję! — zawołał płaczliwie latający człowiek. — Ja mam dzieci!

— A ja wcale nie twierdzę, że pan nie istnieje. Pan istnieje pozornie.

— Ale ja latam!

— Właśnie. A człowiek bez przyrządów nie może latać. Byłby to cud. Ludzie słabo znający fizykę skłonni są w tej sprawie do łatwowierności, ale my wiemy dobrze, że w przyrodzie nie ma miejsca na cuda.

— A ja czytałem gdzieś o tej… jak ją tam… antygrawitacji! — Szkodliwość popularnych publikacji polega na tym, że rozpowszechniają półprawdy i gonią za sensacjami — zauważył surowo profesor. — Antygrawitacja w takiej postaci podważa… Pan sobie nawet wyobrazić nie może, co ona podważa.

— To prawda — przyznał człowiek. — Ja po prostu latam.

— O to chodzi! Każdy niezwykły fenomen ma ściśle naukowe wyjaśnienie. Dlatego też pański przypadek jest całkowicie jasny. Nawet gdyby antygrawitacja niczego nie podważała, to gdzie jest źródło energii, która pana unosi? W panu? Śmieszne!

— Możliwe, że na obiad zjadłem albo wypiłem coś takiego… Teraz we wszystkim są jakieś środki chemiczne i bardzo łatwo…

Profesor otworzył usta, aby zaprotestować, ale w tym momencie poraziła go myśl, że przecież rozmawia z samym sobą!

Ma przed sobą nie drugiego człowieka, lecz halucynację. I rozmawia sobie z własną halucynacją!

Arcimowicz spojrzał z nienawiścią na latającego człowieka, który kołysał się nad nim jak balonik. I przez cały czas przebierał łapkami, jakby chciał znurkować. Nogami gorączkowo młócił powietrze; na prawej nie miał buta, z dziurawej skarpety wystawał palec. — Nie mogę wylądować — w jego głosie brzmiało cierpienie. — Jak się uniosłem pół godziny temu, tak latam… Ciągnie mnie w górę… O, but

zgubiłem… Może pan by mi pomógł, co? Zahaczył czymś i doholował do drzewa?

Profesor zamknął oczy. Badacz powinien pozostać badaczem, to prawda. Ale on, cokolwiek by mówić, jest jednak specjalistą z innej dziedziny! „Policzę do stu, a potem spojrzę — postanowił. — Obiekt powinien w tym czasie ulec metamorfozie".

— Znaczy się, przyjdzie zginąć — westchnął głos nad jego głową. — Niech pan chociaż rodzinę zawiadomi… ślonę… W Małych Przysiółkach…

Głos zaczął się oddalać.

Wiatr musnął twarz profesora. „Siedemdziesiąt dziewięć, osiemdziesiąt, osiemdziesiąt jeden…"

Na „sto" otworzył oczy. Obiekt uległ metamorfozie. Zniknął. Tylko wysoko w górze czerniał jakiś punkt, ni to ptak, ni to nie ptak.

Potem i on się rozpłynął. Opustoszał bezkres błękitu.

Jeszcze tego samego dnia profesor udał się do polikliniki. Psychiatra z miną człowieka, który wszystko wie z góry, wysłuchał go, przebadał, sprawdził odruchy i bąknął: „Wszystko normalnie, profesorze…" Diagnoza brzmiała, że profesor cierpi na rozstrój nerwowy, ale nie ma specjalnych powodów do obaw.

Przez miesiąc profesor przyjmował leki i przestrzegał ustalonego trybu życia. Halucynacje się nie powtórzyły.

Przełożył z rosyjskiego Lech Jęczmyk

Harrington Bayley
Statek, który żeglował po oceanie Kosmosu

Rim należy do ludzi, którzy by wetknęli głowę do piekła po to tylko, żeby się przekonać, jak tam gorąco.

Jest krzepko zbudowany, niezbyt wysoki — ale dziś kiedy się spojrzy na niego, te cechy fizyczne po prostu się nie liczą. Zostaje obraz niechlujnego, zapijaczonego wałkonia, który się bez przerwy drapie, ponieważ od lat przestaliśmy się myć i prać garderobę.

Trzeba przyznać, że nieźleśmy się z Rimem urządzili. Siedzimy sobie w statku kosmicznym gdzieś za Neptunem i mamy za zadanie badać zasięg cząstek wysokiej energii, no i tak w ogóle.

Czy może raczej jest to zadanie Rima, bo ja nie mam zielonego pojęcia o fizyce. Moja rola polega Jedynie na dotrzymaniu mu towarzystwa — żeby nie czuł się samotny.

Może to i śmieszne, ale jestem starym kumplem Rima i jeśli mam być szczery, nigdy jakoś nie miałem na Ziemi szczęścia do pracy, więc jak mi Rim zaproponował takie jedwabne życie, chętnie zamieniłem na nie moją dotychczasową tułaczkę.

Rim jest w tej chwili jednym z najwybitniejszych fizyków naszego systemu i mógłby prowadzić znacznie poważniejsze badania, ale odkąd pobił dyrektora Ośrodka Badań Sub-Nuklearnych Uniwersytetu Londyńskiego, jest to jedyne zajęcie, jakie mu zaoferowano. Mimo to jednak podoba mi się tutaj.

Właściwie jest fajnie. Może nie jak w piekle — na to jest za zimno — ale w kabinach mamy przytulnie i ciepło. Od czasu do czasu Rim zniża się do tego, żeby poświęcić parę godzin na tropienie tych swoich cząstek, czy jak im tam, ale przeważnie obijamy się popijając i kłócąc się, co czasem prowadzi nawet do bijatyk. Z reguły zwycięża Rim, ale przysięgam, że zanim mnie wykończy, pokażę mu, gdzie raki zimują. Mamy ogromne zapasy piwa, starczą na cały rok, a jak nam się skończą, wrócimy na Ziemię zatankować i — znów w Kosmos.

Kiedy ostatnim razem byliśmy na Ziemi, zmyli Rimowi głowę za to, że przysyła kiepskie sprawozdania, ale ostatnio naprawdę nie zauważyłem, żeby robił cokolwiek.

I trudno mieć mu to za złe. Takie zajęcie musi być cholernie nudne dla faceta w rodzaju Rima, którego stać na coś więcej.

Czasem, jak już mamy dość siedzenia w środku, wkładamy skafandry i wychodzimy na zewnątrz. Rozsiadamy się wygodnie, pociągamy sobie piwo przez zawory skafandrów i podziwiamy

wszechświat. Kosmos to wspaniały widok, zwłaszcza tu, gdzie Słońce robi wrażenie po prostu bardzo jasnej gwiazdy. Jest zupełnie ciemno, ale nie mgliście, to znaczy widoczność jest bardzo dobra, tyle że w pobliżu nie ma nic do widzenia. Jest zimno i pusto. Ale nam to z Rimem nie przeszkadza. Obaj mieliśmy już w życiu dość ludzkiego towarzystwa, a jeszcze do tego słyszałem, że na Ziemi mówi się ostatnio o prohibicji.

I właśnie kiedy tak sobie siedzieliśmy pewnego dnia na zewnątrz, stwierdziłem nagle, że coś widzę.

Pokazałem to Rimowi. Mały, ciemny przedmiot, zbyt mały i odległy, by można było rozróżnić jakieś kształty; w każdym razie przesłaniał gwiazdy i odbijał ich światło.

— Wiesz co — powiedział z niedowierzaniem Rim — to może być asteroid.

Ten pomysł przypadł mu do gustu. Nigdy dotychczas nie spotkaliśmy jeszcze asteroidu, ale w magazynku mieliśmy jakieś materiały wybuchowe na wypadek, gdyby nam się trafił. Rim kocha pirotechnikę.

Wgramoliliśmy się z powrotem przez właz, zdjęliśmy hełmy i weszliśmy do sterowni. Nie minęła chwila, a Rim miał go już na monitorze i robił namiary.

— Porusza się z szybkością trzydziestu mil na godzinę — powiedział włączając dysze manewrowe. Chodźmy, przyjrzyjmy mu się.

— Trzydzieści mil na godzinę? To chyba niezbyt wielka szybkość, co?

— W stosunku do nas. — Poprzez skołtunione włosy i bokobrody, które zarastały mu twarz, dostrzegłem nieznaczną zmarszczkę na jego czole. — Wydaje mi się, że on leci po tej samej orbicie co my.

— To dlaczego ma w porównaniu z nami różnicę szybkości trzydziestu mil na godzinę?

Powinien poruszać się z tą samą szybkością.

Rim nie odpowiedział. Trzymał przy ustach butelkę. Ale kiedy zbliżyliśmy się do asteroidu, zaczął niecierpliwie postukiwać w masometr. Wreszcie grzmotnął w niego brutalnie.

— Hej, co się dzieje? — zawołałem.

— Masometr nie działa — mruknął.

— Jak to nie działa? Musi działać.

— Nie bądź idiotą, przecież ta rzecz musi mieć jakąś masę! W każdym razie jesteśmy już na tyle blisko, że możemy wyleźć na zewnątrz i dokładnie ją sobie obejrzeć.

No i cóż, okazało się, że to wcale nie był asteroid.

Dziwny ten przedmiot mógł mieć jakieś pół mili długości i mniej więcej siedem razy mniejszą szerokość. Pokrywały go biegnące wzdłuż

i zachodzące na siebie listwy z jakiegoś ciemnego materiału. Gdybym powiedział, że wyglądało to śmiesznie, użyłbym grzecznego eufemizmu. Jedno jest pewne: nie potrafiłem ocenić jego kształtu, widziałem tylko, że jest niewątpliwie dłuższy niż szerszy. Za każdym razem kiedy usiłowałem skupić na nim uwagę, żeby dokonać jego oceny wizualnej, umykał mi jakoś, nie ruszając się właściwie z miejsca. Miałem złudzenie, że jest śliski jak ryba.

I jeszcze jedna zabawna rzecz. W przestrzeni kosmicznej nie istnieje pojęcie „góry" i „dołu"; jest tylko tu i tam. A mimo to — niech mnie diabli — ilekroć na niego spojrzałem, odnosiłem wrażenie, że patrzę w górę. I cały czas miałem ochotę wdrapać się na to coś, żeby zobaczyć, co jest na wierzchu. Właściwie to obydwaj mieliśmy ochotę. Włączyliśmy silniczki skafandrowe i okrążaliśmy ten przedmiot, próbując się zorientować, co tu nie gra. Ale wszystko na nic: z każdego miejsca wyglądał tak samo i za każdym razem miałem to kretyńskie uczucie, że patrzymy na niego z dołu i że na wierzchu jest coś ciekawego, co warto zobaczyć.

W końcu zdecydowaliśmy się: wylądowaliśmy bezpośrednio na tej rzeczy. Włączyłem radiotelefon i usłyszałem, jak Rim drapie się wewnątrz swego skafandra.

— No więc to nie jest przedmiot pochodzenia naturalnego — zawyrokował. — To dzieło rąk ludzkich.

— O rany — zachichotałem — nigdy bym się tego nie domyślił, gdybyś mi nie powiedział.

— Zamknij się. — Oddalił się wściekły mrucząc coś pod nosem i pochylony zaczął badać dziwny kadłub. W chwilę później znów usłyszałem jego głos; tym razem zabrzmiał donośnie, przyjacielsko — Rim znalazł coś interesującego.

— Jakiś dziwny materiał — powiedział. — Nie mogę wydobyć z niego żadnego dźwięku.

— A jakiego dźwięku się spodziewałeś w przestrzeni kosmicznej?

— To znaczy nie widzę, żeby przekazywał drgania, kiedy uderzam w kadłub rękawicą. Nie czuję nawet, żeby moja ręka natrafiała na jakikolwiek opór — chociaż się zatrzymuje, tak jak powinna. I wiesz co? Mimo wszystko nasz masometr działał!

— Wielka rzecz! — parsknąłem ironicznie.

Rim wyprostował się i zbliżył do mnie.

— Piwo mi się skończyło. Nie masz przypadkiem?

W milczeniu wręczyłem mu butelkę słuchając niesamowitych bulgotów, wydobywających się z jego gardła, kiedy ciągnął piwo przez otwór w hełmie.

Widocznie suszyło go z podniecenia. W ciągu czterdziestu sekund opróżnił butelkę, cisnął ją w próżnię, zamrugał i mętnym spojrzeniem zaczął szacować nasze odkrycie. Miałem wrażenie, że to piwo wycieka

mu oczami.

— To jest statek — orzekł. — To nie może być nic innego. A jeżeli to jest statek, to musi być wydrążony w środku. Chciałbym tam zajrzeć. — Wolałbym raczej, żebyś poprzestał na prześwietleniu go.

— Ach… — Rim osunął się wewnątrz swego skafandra, co przy braku siły ciężkości odpowiada właściwie rzuceniu się na fotel. Miewa momenty chandry i widziałem, że właśnie jeden z nich nadchodzi.

— Zostań tutaj — polecił mi po chwili. — Idę po moją torbę z narzędziami.

Mało mnie nie wystrzelił w Kosmos strumieniem gazów ze swoich silniczków, z taką szybkością śmignął do naszego statku. Oczyma wyobraźni widziałem, jak się tam miota, przeklina i wywraca wszystko do góry nogami. Od sześciu miesięcy nie był w laboratorium i na pewno pozapominał, gdzie co ma. Mimo to jednak zjawił się po jakichś dwudziestu minutach z torbą narzędzi i baterią pomocniczą zawieszoną na szyi.

— Jupiii! Jestem! — wrzasnął pokonując błyskawicznie dziesięciomilową przestrzeń dzielącą go od obcego statku. Zanim znalazłem się w miejscu jego lądowania, zdążył już przyczepić się do kadłuba i montował właśnie świder elektryczny.

— Co masz zamiar zrobić? — zapytałem.

— Wyborować dziurę.

— Czyś ty zwariował?… — zacząłem, po czym zniżyłem głos. — Słuchaj, gdyby ci ludzie chcieli do nas wyjść, już dawno by to zrobili. Trzeba mieć trochę taktu. A poza tym nie możesz przecież po prostu wywiercić dziury w czyimś statku! Możesz im wypuścić całe powietrze!

— Nic im nie będzie — odparł niedbale. — Jeżeli są na tyle mądrzy, że potrafią odbywać podróże kosmiczne, to tym bardziej dadzą sobie radę z niewielką dziurką. Zresztą wiercę wyłącznie po to, żeby się przekonać, z czego zbudowany jest ten kadłub.

Z tymi słowy włączył prąd i pochylony nad świdrem przyłożył go do kadłuba.

Przez chwilę przyglądałem się, jak czubek wiertła wchodzi w substancję przypominającą drewno, ale wkrótce ogarnęło mnie niezwykłe uczucie i stwierdziłem, że nie mogę dłużej patrzeć.

Okrążyłem statek, bezmyślnie podziwiając jego dziwną pękatą sylwetkę. Nie wiem dlaczego, ale wypatrywałem kilu — którego oczywiście nie było. Naturalnie ulegałem temu samemu dziwnemu złudzeniu, które mówiło mi, że ten statek płynie w pozycji pionowej.

Płynie? No tak. Tak sobie pomyślałem. Można się chyba wyrazić, że coś płynie w przestrzeni kosmicznej.

Miałem właśnie wrócić do Rima, żeby zobaczyć, jak sobie radzi, kiedy moją uwagę przykuł jakiś ruch. Coś ostrego i błyszczącego

wyłaniało się z burty statku.

— Rim! — wrzasnąłem przerażony. — Wiertło przechodzi na drugą stronę!

Czubek wiertła znieruchomiał. — Jak daleko jesteś?

— Będzie z pięćdziesiąt jardów!

Rim zaklął z niedowierzaniem i śmignął w moją stronę. Mało mu oczy nie wylazły na widok metalowego czubka.

— To wiertło ma zaledwie osiem cali długości. Jak mogło wejść na grubość pięćdziesięciu jardów? Idź zobacz — nie, poczekaj!

Dodał gazu i błyskawicznie okrążył statek. l — Wyjmuję wiertło — oznajmił. — Czy czubek się rusza?

— T… tak — bąknąłem obserwując czubek wiertła, który to wychodził, to się chował. — Zrobiłeś dwie dziury zamiast jednej!

— To niemożliwe! No, złap za ten koniec i poruszaj nim trochę, musimy się upewnić.

Po chwili wahania chwyciłem mocno metalowe wiertło. Popychając i pociągając je na przemian pokonywałem opór pochodzący jedynie od Rima. Jego głos ryknął mi w ucho: — Rękojeść! Lata mi w dłoni!

— Ja się boję — wyrażał to zarówno mój ton, jak i moje słowa.

— To chodź tu do mnie, ja też się boję!

Byłem zdumiony, że Rim może się czegokolwiek bać, ale ta świadomość tylko dodała mi skrzydeł. Kiedy jednak się do niego zbliżyłem, Rim najwyraźniej zdążył już wziąć się w garść, chociaż w dalszym ciągu pochylony nad świdrem trzymał go w kurczowym uścisku.

— Wiesz, co ja myślę? — szepnął gapiąc się na mnie. — że tam w środku nie ma żadnej przestrzeni!

— Jak to, uważasz, że ten statek jest w środku pełny?

— Ależ skąd — potrząsnął głową z rozdrażnieniem. — Słuchaj, pamiętasz, na ile to wiertło wystaje z drugiej strony?

— Na jakieś cztery cale.

— A wiesz, na jaka głębokość je włożyłem? Czterech cali! Czubek wchodzi tutaj i wychodzi natychmiast pięćdziesiąt jardów dalej! Między burtami statku nie ma żadnej odległości! A brak odległości oznacza brak przestrzeni. Wewnątrz tego statku nie ma żadnej przestrzeni.

Na dłuższa chwilę zaległa cisza.

— Wiesz co, wracajmy — powiedziałem niepewnie.

Rim mruknął coś do siebie potrząsając głową, ale wyciągnął świder i wyłączył prąd.

I wtedy nagle świder zaczął się giąć i migotać jak płomień, a nie ciało stałe. Ale to nie wszystko. Ręka Rima, w której trzymał narzędzie, tak samo zaczęła się giąć i migotać, snuć się jak smuga

dymu w podmuchach wiatru. Na widok nieprawdopodobnych wprost odkształceń własnej ręki Rim dziko wrzasnął.

Teraz już i część jego wyposażenia kosmicznego zachowywała się podobnie. Wyglądało to tak, jakby nagle zaczęło Rima wsysać do otworu, który wyborował.

— Rim, uciekaj! — krzyknąłem, zbyt przerażony, żeby mu pomóc.

Przez chwilę patrzył z niedowierzaniem, jak jego ciało wydłuża się i faluje, a potem włączył silniczki skafandra i zanim się zorientowałem, co się dzieje, obaj, nie zwracając na siebie nawzajem najmniejszej uwagi, gnaliśmy nieprzytomnie w stronę naszego statku. Oślepiony z pośpiechu, wlazłem do środka i stwierdziłem, że Rim już tam na mnie czeka. — Rim — powiedziałem bez tchu. — Aleś się pospieszy: Nic ci nie jest?

— A co ma mi być! — burknął poirytowany. — Jasne że nic. Przecież to nie mnie zdeformowało, tylko przestrzeń którą ja zajmuję.

Przyjrzałem się bliżej jego ciału, ale nie dostrzegłem najmniejszych odkształceń. Był w dalszym ciągu tym samym krzepkim, odrażającym Rimem.

Zdjął zębami kapsel z butelki i zaczął żłopać piwo, które ciekło mu po brodzie i piersiach.

Ja też sobie wziąłem piwa. Było tak cudowne, że bym się w nim chętnie wykąpał, tyle że nie miałem tego w programie. — Nie rozumiesz, co się stało? — zapytał między jednym a drugim łykiem, rzucając się na leżankę. — Przez ten otwór wlewała się przestrzeń. Tam w środku nie było żadnej przestrzeni. Teraz już wiemy: przestrzeń zachowuje się jak ciecz.

— A ja myślałem, że przestrzeń to jest po prostu nic — odparłem wydając podobne jak on gulgotanie.

— Przestrzeń ma określoną strukturę — stwierdził poważnie. — Kierunki: północ, południe, wschód, zachód, zenit, nadir. Ma także odległość. Rany boskie! — Jego przejrzałe piwne oczy ożywiły się nagle z podniecenia. Zerwał się z leżanki i włączył wszystkie monitory kamer zewnętrznych. — Popatrz! Cały wszechświat gwiezdny zawarty jest w przestrzeni. Wszystko! Z wyjątkiem… — Jego głos znów przeszedł w bełkot. Wypuścił z ręki pustą butelkę i sięgnął po drugą do jednej z piętrzących się wszędzie skrzynek. Powoli znowu opadł na leżankę w ponurej zadumie.

— Jednego nie mogę zrozumieć — zagaiłem. — A mianowicie dlaczego ta rzecz przypomina mi grecką tryremę.

Byłem szczęśliwy, że znów znalazłem się w naszej przytulnej kabinie. Światło mamy zawsze nastrojowe i jeśli nie liczyć gnijących odpadków jedzenia i smrodu, jest naprawdę bardzo przyjemnie. Najchętniej zapomniałbym w ogóle o spotkaniu z tym obcym ciałem — zakłóciło nam tylko spokój. — Nie przejmuj się — powiedziałem

pocieszająco. Mieliśmy trudny dzień. Chodź, napijemy się.

Ale Rim nie dał się pocieszyć, więc zaczęliśmy się zalewać w ponurym milczeniu. Nieraz w trakcie tej wyprawy zdarzały nam się takie pijackie wyskoki, zwłaszcza kiedy ogarniały nas wspomnienia naszych niepowodzeń doznanych wśród bliźnich na Ziemi, ale nigdy jeszcze nie widziałem, żeby Rim zalewał się z taką rozpaczą.

W parę godzin później ciężko dysząc zdołał przyjąć pozycję siedzącą.

— Czy ty nie rozumiesz… — powiedział ochryple, z trudem dobierając słowa. — Czy ty nie rozumiesz, na czym polega dowcip z tym statkiem? Przecież on płynie w przestrzeni jak okręt po wodzie. Jest rzeczywiście poza przestrzenią — poza wymiarami. Ale on się na nich unosi i my widzimy tę część, która na skutek ciężaru znajduje się poniżej linii zanurzenia… to znaczy zanurzenia w przestrzeni.

— Ale przecież on nie ma żadnego ciężaru — zaoponowałem niezbyt przytomnie. Mieliśmy już wtedy obaj nieźle w czubie.

— Chodzi o ciężar w ich sensie, nie w naszym, idioto. O rany, ale jeśli przestrzeń jest dla nich wodą, to co jest dla nich powietrzem? A my, wiesz, czym dla nich jesteśmy? Rybami w morzu. Które nigdy nie osiągną powierzchni.

Macając na oślep podszedł do mnie, aż dotknął ręką mojego ramienia.

— Wiesz, co ci powiem: nigdy już nam się więcej nie trafi taka okazja.

— Jaka znów okazja?

— śeby zobaczyć, jak to jest tam, gdzie nie ma przestrzeni. Wchodzę do tego statku.

— Ale przecież nie możesz tego zrobić…

— Jak to nie mogę? Będziesz mi mówił, co ja mogę, a czego nie mogę? Mnie, Rimowi, Rimowi Wielkiemu? Gdyby nie ja, toby cię tu przecież nie było. Dalej byś się wycierał po rynsztokach na Ziemi.

Nawet w moim pijanym widzie zorientowałem się, że Rim osiągnął stadium rozdrażnienia, po którym zwykle następowało stadium rozczulania się nad sobą. I tak nie mogłem zrobić nic, żeby temu zapobiec, a przynajmniej było to jakieś urozmaicenie. W każdym razie w porównaniu z innymi szalonymi pomysłami, jakie mogły mu w tym stanie strzelić do głowy, ten był oryginalny.

Zawierał element ryzyka.

— Zastanów się — zacząłem mu jednak perswadować. — Jakim cudem zamierzasz dostać się na ten statek. Przecież on nie ma żadnych otworów. Gdybyś więcej czasu spędzał w laboratorium… — Właśnie w laboratorium! — Z oczu Rima trysnęły wielkie brunatne łzy. — Uniemożliwili mi jakąkolwiek poważniejszą pracę naukową! Zesłali mnie tu, gdzie według nich nic nie będę mógł zrobić…

— Geniusz rzadko kiedy bywa doceniony — usiłowałem go pocieszyć.

— Zobaczysz, Rim zrobi jeszcze odkrycie, które zadziwi wszystkich. Rim zbada istotę przestrzeni. Przekonasz się.

— Ale, stary, tam się naprawdę nie ma jak dostać.

— Nie ma jak! Parę uncji materiału wybuchowego w zupełności wystarczy. Najważniejsze tylko, żebym tam wszedł, zanim wedrze się do środka ta cholerna przestrzeń, i tylko patrzył… patrzył…

Jego głos przeszedł w znajomy bełkot. Zdumiony zerwałem się na nogi. Rim był naprawdę pijany!

— No dobrze, a co z ludźmi, którzy są tam wewnątrz?

Obrzucił mnie wrednym spojrzeniem, jakiego nigdy dotychczas u niego nie widziałem. Do tej pory nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo nienawidzi społeczeństwa za to, że tak się z nim obeszło — mimo że była to przecież jego wina. Teraz postanowił odegrać się na sile, jaką stanowił kodeks moralny tego społeczeństwa.

— Z ludźmi!? — ryknął. — Odrobina przestrzeni im nie zaszkodzi! To wszystko dla dobra nauki!

Potrząsnąłem głową z całą stanowczością, na jaką mnie było stać.

— Nigdzie nie idziesz.

— I ty będziesz mówił Rimowi, co ma robić, tak? — Pokiwał głową nieprzytomnie i jego pięść wylądowała na moim nosie. Zachwiałem się. Mimo bólu, mimo błyskawic, które przeszywały mój mózg, usiłowałem ocenić sytuację, zanim przewróciłem się na krzesło. Rim nacierał. Odwróciłem się na bok, żeby uniknąć następnego ciosu, i jednocześnie rozglądałem się za czymś, czym mógłbym go uderzyć. Butelka! W zasięgu ręki miałem pustą butelkę. Sięgnąłem po nią podnosząc się jednocześnie z ziemi.

Rim przyczajony, też zamierzał się na mnie butelką.

— Aha, więc idą w ruch butelki — warknął i rąbnął swoją o krawędź stołu. Tego jeszcze nie było.

— Rim! — krzyknąłem przerażony. — Przecież znamy się od dziecka!

Tyłem wycofałem się pod ścianę; z osłupienia butelka wypadła mi z ręki. Rim zbliżał się do mnie z dumą wystawiając wyszczerbione szkło i robiąc takie ruchy, jakby chciał mnie uderzyć. W ostatniej chwili cisnął stłuczoną butelkę gdzieś w bok i ulokował na mojej szczęce jeden ze swoich najpotężniejszych ciosów.

I wtedy właśnie opuściłem na jakiś czas naszą kabinę, żeby się przenieść w szczęśliwsze rejony nieświadomości.

Kiedy oprzytomniałem, Rima już nie było. Nie wiem, jak długo mogło to trwać, myślę, że z pięć, dziesięć minut.

Byłem zbyt zamroczony, żeby za nim pójść. Wstałem z jękiem, trochę się nad sobą użaliłem i znów zająłem pozycję leżącą, tym

razem jednak na kanapie. Głowa mi pękała, ale chyba nie tylko od piwa.

Po raz pierwszy w życiu poczułem wyrzuty sumienia. Dlaczego — nie rozumiem. To już raczej Rim powinien je mieć, nie ja. A jednak powlokłem się do lustra, przed którym stałem długo, acz chwiejnie, wpatrzony w przerażający widok, jaki sobą przedstawiałem.

— Wyglądasz koszmarnie — rzuciłem rozpaczliwe oskarżenie pod własnym adresem. — Wyglądasz tak samo koszmarnie jak on.

Przez chwilę pocieszałem się, że może nie aż tak, po czym zainteresowałem się, co on robi.

Włączyłem główny ekran, który ukazał mi obcy statek. Powiększając obraz kilkakrotnie spostrzegłem mojego partnera majstrującego coś w dolnej części rufowej. Nagle zobaczyłem, jak cofa się błyskawicznie i jak zaraz potem silna eksplozja wyrywa w burcie statku pokaźną dziurę.

Rim natychmiast dał nura w ten otwór, ale w ciągu tamtych paru krótkich sekund, zanim mi zniknął z oczu, zdołałem jeszcze zobaczyć, jak skręca się i wije, niby pod działaniem silnego prądu. Już po chwili jednak przestałem się nim interesować, całkowicie pochłonięty tym, co działo się ze statkiem.

Kiedy mianowicie wdarła się do jego wnętrza przestrzeń, zaczął tonąć. To znaczy stawał się jakby większy, wyrazistszy, bardziej majestatyczny. W miarę jak coraz głębiej się zanurzał, wyjaśniała się powoli zagadka jego kształtu, aż wreszcie ukazał się nam, rybom, w całej swojej okazałości: z kilem, który jednak był, wygiętą linią dzioba, burtami i rufą. Dostrzegłem nawet wiosło sterowe.

Powoli w gwiezdnym wszechświecie wyłonił się pełny obraz statku kołysanego prądami przestrzeni. Wreszcie, kiedy zatonął już całkowicie, zobaczyłem wszystko dokładnie: odkryty pokład, martwą załogę i wielki kwadrat żagla, a koło niego piękną młodą parę, która tym statkiem płynęła: młodzieńca o twarzy poety — ze złotą obręczą na szyi i krótkim sztyletem, symbolem władzy, u boku — i piękność w zwiewnej szacie, z kunsztowną fryzurą, objętych w uścisku. Na ich obliczach śmierć rozlała wyraz pogodnego spokoju. Oczywiście mieli po jakieś dziesięć metrów wzrostu…

W ciągu paru minut statek zaczął się rozpadać. Na widok maleńkiej postaci przedzierającej się przez szczątki zęz automatycznie włączyłem radiotelefon. Usłyszałem chrapliwy oddech Rima.

Wszystko odbywało się według programu. Za pomocą silniczków skafandrowych błyskawicznie pokonał niewielką odległość dzielącą go od szlachetnej pary. Na tle ich wdzięcznych postaci przypominał ordynarnego karła.

Po chwili ich zanurzone w przestrzeni ciała też się zaczęły rozpadać; rozpływały się w wirujących drobinkach, krótkich błyskach

i spiralach. Aż wreszcie cały statek, nasiąknięty wodą, a raczej przestrzenią, rozleciał się na maleńkie cząstki pogrążając się w niebycie.

— O rany — drżącym głosem wyjąkał Rim. — Jestem mordercą.

W dziesięć minut później na ekranie była już tylko czarna pusta przestrzeń. Rim wrócił na nasz statek i opryskliwie burknął, że nie dowiedział się dosłownie niczego więcej na temat, jak to jest tam, gdzie nie ma przestrzeni.

Wobec tego obaj sięgnęliśmy po butelki.

Całe sprawozdanie naukowe Rima za ten rok brzmiało: „Natknąłem się na statek żaglowy.

Zatopiłem go". Mam nadzieję, że nie stracimy przez to posady; nie wiem, czy by nam się trafiła druga taka gratka. W każdym razie piwa nam starczy jeszcze na jakieś trzy miesiące, a potem zobaczymy.

Przepraszam, obawiam się, że tego piwa starczy nam najwyżej na dwa miesiące, a może nawet na miesiąc?

Następnego dnia Rim zaśmiewając się powiedział: — Wiesz, jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić — że są takie istoty, dla których przestrzeń jest ciężką cieczą! Chciałbym zobaczyć ich samoloty.

— Właśnie — odparłem. — A ja jestem ciekaw, co będzie, jak wynajdą łodzie podwodne.

Przełożyła z angielskiego Zofia Uhrynowska

Konrad Fiałkowski
Myślak

Fragment powieści

Gdy się obudził, był dzień i przez wielkie, zajmujące całą ścianę okno widział bezlistne gałęzie drzewa, a dalej prostopadłościany zabudowań z tarczami anten kierunkowych na dachach.

Na zewnątrz był wiatr idący porywami od gór, ale pokój był dźwiękoszczelny i słyszał tylko bicie własnego serca. Czuł w całym ciele mrowienie. Ciała swego nie widział pod naciągniętym pod samą szyję prześcieradłem, na którym nie było najdrobniejszej nawet zmarszczki. Chciał poruszyć nogą… i nie mógł. I wtedy przyszedł strach.

Leżał chwilę nieruchomo, aż znowu mógł myśleć. — „Musi być wiosna, wczesna wiosna… lub późna jesień. A wtedy była zima i przymarzłe płaty lodu na szosie". Ten zakręt nie wydawał się trudny, ale gdy już skręcił kierownicę, wiedział, że ma za dużą szybkość. Potem wiedział, że nie wyjdzie z tego zakrętu, gdy pedał gazu osiągnął punkt oporu i czuł poślizg kół. Słupki, z czerwonymi światełkami odblaskowymi z przeciwnej strony szosy, były coraz bliżej. Wiedział, że nie wytrzymają ciężaru jego wozu. Na moment, zanim w nie uderzył, przekręcił w stacyjce kluczyk, bo był starym kierowcą i zawsze najbardziej bał się śmierci w płomieniach. Pamiętał jeszcze szarą płaszczyznę skały z płatami śniegu. Uderzenia nie poczuł…

„I jednak żyję — pomyślał. — Pewnie mnie połatali, jak mogli, a potem zastanawiali się, czy przeżyję. Nie zrobiłem im zawodu i będą zadowoleni. Zawiozę im kwiaty i to wszystko, co lekarze lubią najbardziej. Zawiozę w fotelu na kółkach, a potem sam się będę martwił dalej. A może miałem szczęście i będę chodził. A twarz… jak wygląda moja twarz?"… — poruszył się gwałtownie, ale lustra w pokoju nie było. Ściany były puste i wydawało mu się, że odbijają więcej światła niż zwykłe ściany, tak jakby pokryte były farbą odblaskową.

Gdzieś, ledwie słyszalny, zabuczał brzęczyk. Słyszał go tylko dlatego, że cisza była tak zupełna. Próbował unieść głowę, ale głowa była w hełmie, poczuł jego ucisk na skroniach. I wtedy usłyszał głos: — Zbudziłeś się. Czekaliśmy, aż się zbudzisz — to mówiła kobieta. Głos był czysty, bez żadnych zniekształceń, tak jakby stała tuż obok, ale w pokoju nie było nikogo. — Czujesz się pewnie słaby i jest ci może zimno, ale nie martw się, tak musi być i wszystko to jest normalne. To minie i wtedy będziesz mógł chodzić nawet na dalekie

piesze wędrówki, a zimą jeździć na nartach.

Będziesz zdrowy, zupełnie zdrowy, tak jak dawniej.

— Jesteś… jesteś tego pewna? — Tak. Wszystko sprawdziliśmy, każdy twój mięsień, kości. Wszystkie złamania się zrosły.

Twój mózg działa normalnie. śadnych większych uszkodzeń nie ma. Jeśli zechcesz, zapomnisz o swoim wypadku na zawsze.

— Zapomnę?

— Jeśli zechcesz.

Milczał chwilę i tylko ściany świeciły teraz jaśniej, a może mu się tak wydawało.

— Jak długo tu jestem? — zapytał w końcu.

— Długo. Teraz jest wiosna. Za kilka dni zobaczysz pierwsze zielone liście.

— I wyjdę stąd… sam?

— Tak. Przed tobą jeszcze wiele, wiele lat. Jesteś młody, Stef.

— Wiesz, jak mam na imię?

— Oczywiście. Opiekuję się tobą.

— Tak, rozumiem. Operowałaś mnie?

— Operował cię Telp, on jest twoim prowadzącym. Przyjdzie do ciebie potem.

— A ty?

— Jestem przecież z tobą.

— Rozmawiasz ze mną tylko.

— Zobaczysz mnie później. Teraz jesteś izolowany. Jesteś jeszcze bardzo słaby. Czujesz to przecież…

— Wracam, zdaje się, z dalekiej drogi.

— Nie rozumiem.

— Ten wypadek. Był chyba poważny. To aż dziwne, że żyję.

— Myślałeś wtedy…

— Nic nie myślałem. Właściwie bałem się, żeby się nie spalić, nic więcej.

— Miałeś szczęście, Stef. Tuż za tobą jechała ciężarówka. Wyciągnęli cię i w kilkanaście minut byłeś w szpitalu.

— Pamiętam, wyprzedzałem ją nawet tuż przed tym zakrętem. Wyobrażam sobie, ile Kar miała z tym kłopotów. Kiedy będzie mnie mogła odwiedzić?

— Kar?

— Tak. Kar, moja żona.

— Teraz jesteś jeszcze bardzo słaby. Zobaczymy, jak skończy się izolacja.

— To długo trwa?

— Nie myśl o tym. Teraz zaśniesz. I tak długo już rozmawiamy. Zbudzisz się silniejszy. Nie będziesz już czuł zimna. — Ale ja nie chcę jeszcze spać — powiedział to i równocześnie poczuł senność. Nie

dosłyszał nawet odpowiedzi. Zasnął.

— Zbudziłeś się. Świetnie. — Pochylał się nad nim niski mężczyzna. Widział jego oczy, wielkie, ciemne, o tym dziwnym wyrazie, jaki mają tylko oczy krótkowidza. — Jestem Telp, twój prowadzący. Jak się czujesz, Korn?

— Chyba dobrze. — Podciągnął nogi i usiadł. Hełm gdzieś znikł. W pokoju było jasno i przez chwilę myślał, że to świeci słońce. Ale za oknem był deszcz i tylko ściany świeciły silnym żółtym blaskiem.

— To się cieszę — powiedział Telp. — Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę. Spróbuj wstać — podał mu rękę.

„Mogę się poruszać, naprawdę mogę się poruszać" — pomyślał Korn. Bosymi stopami dotknął dywanu, którym wyłożony był pokój, i wstał.

— Wcale nie czuję się słaby — powiedział.

— W porządku. Tak właśnie być powinno. Możesz nawet początkowo odczuwać pewien nadmiar mocy twoich mięśni, zanim się do tego nie przyzwyczaisz.

— Nie rozumiem.

— Mechanizm jest nieistotny i dość skomplikowany. Ale tak właśnie jest. Pamiętaj, że jesteś silny, zapewne silniejszy niż byłeś poprzednio.

— Taka kuracja wzmacniająca?

— Coś w tym rodzaju. — Telp uśmiechnął się i wtedy Korn spostrzegł, że Telp jest młody, w jego wieku, może młodszy nawet.

Zrobił kilka kroków. Chodzenie nie sprawiało mu trudności.

— Spróbuj zamknąć oczy i przejść kilka kroków — powiedział Telp.

Zrobił to i widział, że Telp jest zadowolony. Wtedy zdecydował się zapytać.

— A twarz… moja twarz jest w porządku?

— Oczywiście. Chciałbyś zobaczyć?

— Tak.

— Lustro — powiedział Telp, mimo że w pokoju nikogo nie było.

— Przyniosą?

Telp uśmiechnął się i wskazał na boczną ścianę. Jej część odbijała wnętrze pokoju, i gdy się zbliżył, zobaczył siebie. To była jego twarz, może trochę inna, ale na pewno jego. W pierwszej chwili nie wiedział, na czym polega różnica, a potem zrozumiał. Jego twarz nie miała zmarszczek.

— Zrobiliście zabieg plastyczny? — powiedział. — Trzeba było trochę cię poprawić — Telp uśmiechnął się znowu. — Ale jesteś chyba zadowolony.

— Tak.

Patrzył teraz na swoją twarz, krótko, prawie przy skórze przycięte

włosy i na dziwny opalizujący materiał, który go szczelnie opinał. Guzików nie spostrzegł. Spojrzał na Telpa. Telp ubrany był w strój z tego samego materiału.

— Jak to się zdejmuje? — zapytał.

Telp podszedł do niego i lekko szarpnął materiał na szyi. Materiał rozszedł się wzdłuż niewidocznego szwu. Korn widział teraz swoją pierś i cienkie zbielałe blizny długich cięć.

— Krajaliście mnie?

— Tak, ale zrosło się świetnie, jak widzisz.

— Zupełnie nie czuję tych blizn — powiedział Korn. — W ogóle wydaje się, że to wszystko, coście zrobili ze mną, to dobra robota.

— Nie może być inaczej. Jesteś moim doktoratem, Korn.

Korn spojrzał na Telpa, ale twarz tamtego była poważna.

— Doktoratem? To było aż tak poważne?

— Więcej. To była rzecz zupełnie nowa. Unikalny zabieg.

— Naprawdę?

— Przekonasz się jeszcze o tym. W każdym razie twój organizm jest bez zarzutu.

Rozumiesz? Stuprocentowo sprawny, może nawet nieco więcej niż stuprocentowo. Wszystko przed tobą. Możesz zostać nawet kosmonautą.

— Ta dziewczyna mówiła mi co prawda tylko o nartach…

— Dziewczyna?

— Ta, z którą rozmawiałem tuż po przebudzeniu.

— Ach, Koma.

— Tak się nazywa?

— Właśnie. Opiekowała się tobą. Ja jestem tylko lekarzem, operacja, zabiegi wstępne. Potem oczywiście też się tobą zajmowałem, ale jako lekarz, rozumiesz?

— Tak. Pewnie masz wielu pacjentów. Kar ma ich zawsze za dużo.

— Kto?

— Kar, moja żona. Musiałeś się przecież z nią kontaktować.

— Tak, oczywiście.

— Ona mnie tu umieściła, moja żona. To jakaś bardzo nowoczesna klinika.

Telp chwilę nie odpowiadał, patrzył w okno, na gałęzie drzewa poruszane wiatrem. — Jedno jest pewne, Korn — powiedział w końcu. — To, że żyjesz, jej masz do zawdzięczenia.

— No i tobie…

— Moja rola — Telp zawahał się — jest w pewnym sensie wtórna.

— Nie rozumiem.

— Porozmawiamy jeszcze o tym. Teraz coś zjesz. Pierwszy prawdziwy posiłek po długim sztucznym odżywianiu. Cieszysz się?

— Jasne.

— Zaraz tu będzie. Wyda ci się może trochę dziwny, ale jeszcze jesteś na diecie. A ja pójdę do innych moich podopiecznych.

Korn chciał go jeszcze zapytać, kiedy skończy się izolacja, ale wtedy właśnie drzwi się otworzyły, wjechał stolik i zapachniało bulionem. Telp przysunął mu krzesło.

— Siadaj i jedz. Może chcesz posłuchać muzyki. Już starożytni doceniali wpływ muzyki na proces trawienia.

— Jest tu gdzieś radio? — Korn rozejrzał się, ale radia nie zobaczył.

— Tylko głośnik. Co chcesz posłuchać?

— Wszystko jedno. — Korn usiadł i rozłożył serwetkę na kolanach. Usłyszał cichy trzask i pierwsze dźwięki melodii.

— Włączyłeś?

— Ja? Nie. To jest automatyczne — powiedział Telp i wyszedł.

„Automatyczne… — pomyślał Korn. — Ten szpital jest w ogóle trochę nadmiernie automatyczny". Ale potem zaczął jeść, słuchał Mozarta i przestał myśleć o tym. Pomyślał o tym raz jeszcze, gdy wstał, a stolik samoczynnie wyjechał przez drzwi, które rozwarły się na chwilę. Chciał zobaczyć, co się stanie ze stolikiem, podszedł do drzwi i czekał, aż się otworzą, ale pozostały zamknięte i widział tylko ich żółtawo opalizującą powierzchnię. Wrócił na środek pokoju, spojrzał w okno, w szare niebo nadchodzącego zmierzchu, i zaczai myśleć. Potem położył się i zasnął.

Znowu był na drodze w ten poranek, gdy nocny mróz ściął wodę wieczornej odwilży. Znowu wyprzedzał niezgrabne wielkie autobusy na autostradzie i widział na horyzoncie zbliżające się góry. Wewnątrz było ciepło, bo ogrzewanie pracowało już kilkadziesiąt minut, i gdy wjeżdżał w pierwsze serpentyny, pogwizdywał marsz, który pamiętał ze swych harcerskich czasów. A potem przymarzłe płaty śniegu na szosie, zakręt i dziwny ucisk w żołądku, gdy koła oderwały się od nawierzchni. Zbudził się. Czuł tętno w skroniach. Równocześnie usłyszał głos: —…i znowu, znowu nie kontrolowany sen. To jest niedopuszczalne. Ile razy mam ci to powtarzać… — Zgodnie ze schematem rekombinacyjnym ta faza musi nadejść. — To mówiła kobieta, kobieta, której głos znał.

— Nic mnie twoja faza nie obchodzi. To mój pacjent.

Korn otworzył oczy. Telp stał koło łóżka, poza nim nie dojrzał nikogo.

— On już nie śpi. Zajmij się nim. Ja potem wrócę.

Korn spojrzał na drzwi, ale tam także nie było nikogo. Telp patrzył teraz wprost na niego.

— To nie jest przyjemne, te wszystkie sny. Ale to minie. Potem będziesz miał normalne sny, których nie będziesz pamiętał.

— A ona… dlaczego ona wyszła?

— Kto, Koma? Wróci. W najbliższym czasie będziesz bardziej pod jej niż moją opieką. Ona nadzoruje twój proces adaptacyjny.

— Jest psychologiem?

— Psychologiem też. No cóż, wracam do siebie. Przyszedłem tu, bo ciśnienie twojej krwi wzrosło, tętno ci podskoczyło i chciałem zobaczyć, co się dzieje…

— Wiesz, myślałem nad tym i mam tego dość — powiedział Korn.

— Nie rozumiem.

— Mam dość tej izolacji. Czuję się zdrowy, zupełnie zdrowy, chcę zobaczyć rodzinę, jakieś znajome twarze. Chcę stąd wyjść.

— Wyjdziesz niedługo.

— Słyszałem to już przedtem.

— A cóż byś chciał nowego usłyszeć?

— Termin, jakąś datę.

Telp spojrzał na niego uważnie.

— Przejdziesz proces adaptacyjny. To nie trwa długo, dwa, trzy dni. Potem wyjdziesz i o reszcie sam zadecydujesz. Ale te kilka dni musisz poczekać. Jesteś dorosłym człowiekiem, Korn.

Przy drzwiach odwrócił się jeszcze, spojrzał na Korna i powiedział: — Masz trzydzieści jeden lat. Wkroczyłeś dopiero w „smugę cienia" i wszystko przed tobą.

Pamiętaj o tym, zawsze.

Wyszedł, a Korn patrzył w sufit, który jarzył się w mroku ledwo widoczną niebieskawą poświatą, i zastanawiał się, co naprawdę chciał mu powiedzieć ten lekarz o szerokim czole, palcach, które jeszcze nie drżały i oczach krótkowidza. Potem sufit przygasł i leżał w ciemności.

Otworzył oczy, gdy poczuł dotknięcie na czole, tuż pod linią włosów. W pokoju znowu było jasno i zobaczył dziewczynę. Siedziała na krześle, tuż obok łóżka i patrzyła wprost na mego. „Wygląda jak portret — pomyślał. — Jak obraz starych dobrych mistrzów, którzy nie udziwniali tego świata; jak portret wyjęty z ram".

— Ty jesteś Koma? — zapytał.

— Tak. Rozmawialiśmy już ze sobą. Teraz przyszłam do ciebie.

— Wiem, jesteś psychologiem. Kierujesz moim procesem adaptacyjnym.

— Można tak to nazwać. Ale cały proces to po prostu rozmowa — mówiła spokojnie, wyraźnie, jak dobry wykładowca.

— I od czego chcesz zacząć?

— To obojętne. Kiedyś zajmowałeś się astronomią, prawda?

— Tak, jeszcze przed maturą. Skąd wiesz o tym?

— Musisz przyjąć, że wiem o tobie bardzo dużo, przyjąć to jako założenie i nie dziwić się więcej. Zgoda?

— Tak. A więc zajmowałem się astronomią, to było wcześniej,

zanim zacząłem studia na wydziale fizyki.

— Ucieszyłam się, gdy to znalazłam. Z tymi, którzy patrzyli nocami w niebo, łatwiej mi się rozmawia; są trochę ponad czasem. To zostaje na całe życie.

— Nie rozumiem.

— Rozumiesz, tylko może jeszcze nie wiesz o tym. Przypomnij sobie…

Chciał powiedzieć, że nie wie, co mógłby sobie przypomnieć, ale wtedy właśnie poczuł wieczorny wiatr ze spalonej słońcem równiny i zobaczył niebo, na którym błyszczały jasne wieczorne gwiazdy. To było dawno, dziesięć, dwanaście lat wcześniej, droga z koleinami zastygłej gliny, niskie, gliną oblepione chaty, beczenie kóz, a potem ta równina i ruiny, z których oni patrzyli w niebo.

— Nad pustynią gwiazdy są bliżej — mówił skośnooki starzec — i dlatego zbudowali tu obserwatorium. Nocami patrzyli w niebo, a rankiem, gdy wschodziło słońce, schodzili w głąb, w podziemia, na odpoczynek. To już tysiąc lat prawie, gdy odeszli, ale gdyby żyli dzisiaj, żyliby tak samo.

Pamiętał jego twarz, gdy patrzył w niebo, i zapamiętał ją wtedy, twarz tego starca, który prowadził stary rozlatujący się autobus, żuł tytoń i targował się o cenę przejazdu. Potem była noc i gdy wracali szosą przez pustynię, gwiazdy nad pustynią były bliżej.

— Ty wiedziałaś o tym obserwatorium? — zapytał.

— Tak. Ale wtedy byłeś jeszcze za młody i tak jak teraz wszystko wydawało ci się niezmienne albo raczej bardzo powoli przemijające. Tak jest zawsze, dopóki człowiek jest młody. Gdy spostrzegamy, jak wszystko się zmienia — jesteśmy starzy. Od tego momentu dni są coraz krótsze, lato łączy się z zimą i następnym latem, a jesieni i wiosny prawie nie zauważamy.

— Po co mi to mówisz?

— Bo czas jest twoim problemem.

— Problemem?

— Tak.

Nie rozumiał. Patrzył uważnie na dziewczynę, widział jej nieruchome ciemne oczy i włosy, które były gładkie i spięte z tyłu w wielki węzeł. Spojrzał na jej ręce, lecz w pierwszej chwili zobaczył tylko jasną plamę dłoni, która wyostrzyła się, gdy jej się przyjrzał. „Jak w kinie, gdy obraz nastawia niewprawny operator — pomyślał. — Ale mózg mój nie jest w porządku, jeśli widzę w ten sposób. Zresztą dobrze, że w ogóle widzę i nie powinienem myśleć o takich drobiazgach”.

— Ile ty masz lat, Koma? — zapytał.

— Ja? Czy to ważne?

— Chyba jednak tak. Przemawiasz do mnie jak, powiedzmy, dużo

starsza siostra wprowadzająca chłopaka w życie, a podejrzewam, że bawiłaś się jeszcze w piasku, jak ja robiłem maturę.

— Nigdy nie bawiłam się w piasku — powiedziała to spokojnie, jak wszystko inne, a jednak wydawało mu się, że ją uraził.

— Takie niemądre porównanie — powiedział. — W każdym razie jesteś młodsza ode mnie.

Przypuszczam, że masz mi coś do powiedzenia i chciałbym, żebyś powiedziała to możliwie prosto i jasno.

Przez chwilę nie odpowiadała, a potem uśmiechnęła się.

— Stef — powiedziała — powiem ci jedno… prosto i jasno. Ta rozmowa, jak wiele innych, to moja praca. Wiem, co robię i dlatego będziemy jeszcze trochę rozmawiać, chyba że jesteś zmęczony.

— Nie, nie jestem zmęczony i chciałbym to jak najszybciej mieć za sobą. Potem mogę rozmawiać z tobą na wszystkie tematy, jakie zechcesz, ale jak z dziewczyną.

— Myślisz, że będziesz chciał. Nie przypuszczam, byś tu wrócił. Powiedz mi, chciałeś zostać kiedykolwiek kosmonautą?

— Każdy chłopak z mego pokolenia chciał.

— Ale potem myślałeś jeszcze o tym?

— Może… kiedyś. Nie pamiętam.

A jednak pamiętał. To było wtedy, gdy pierwsza załoga wylądowała na Wenus. Widział w ekranie telewizora tłum na ulicach, chorągiewki ze srebrnym grotem kosmonauty i kwiaty, które dziewczyny rzucały do samochodów. A w samochodach widział ich twarze, znane z fotografii w gazetach, twarze ludzi, którzy wrócili stamtąd. Tych, którzy wrócili w metalowych skrzyniach w ładowniach rakiet, nie pokazywano, ale byli w tle tego wszystkiego, bo podkreślali bohaterstwo żywych. Potem spóźnił się do kina, bo transmisja była długa i chciał widzieć wszystko do końca.

Ale miał już wtedy tyle lat, że nie potrafił sobie wyobrazić siebie uśmiechniętego w samochodzie razem z nimi. Może jeszcze potrafiłby wyobrazić siebie tam na Wenus, w chwili gdy opuszcza rakietę i wchodzi w skafandrze w biały bezwietrzny opar planety.

— Ja kosmonautą. Jakoś trudno mi w to uwierzyć — powiedział. — Wyprawa do odległych planet, powrót po latach…

— Nie, to nie dla mnie. Milczała chwilę.

— A czy nazwisko profesora Bedforda mówi ci coś? — zapytała wreszcie.

— Nie. Jakieś jego twierdzenie, dowód. A może powinienem go pamiętać z jakiegoś zjazdu?

— Nie. To dawniejsze czasy. Przed twoim urodzeniem. Twój ojciec pamiętałby zapewne to nazwisko.

— To zadzwoń do niego i zapytaj o to.

— Nie żartuj.

— Mówię poważnie. Jeśli ci na tym zależy…

— Ja wiem, kto to był Bedford. Nie jest zresztą istotne, czym się zajmował. Do historii wszedł jako pierwszy człowiek, który pozwolił się zamrozić, żeby przetrwać. Umierał na raka i gdy stan był beznadziejny, ciało jego ochłodzono, tak że procesy życiowe w jego organizmie ustały, a rozpad tkanek nie nastąpił. Potem zamkniętego w hermetycznej powłoce zanurzono w płynnym azocie. Teoretycznie proces był odwracalny. Ale tylko teoretycznie… W jego czasach nikt nie potrafił naprawdę zrealizować tego procesu.

— I on postanowił przetrwać zamrożony?

— Przetrwać tyle lat, aż ludzie zdobędą sztukę przywracania zamarzłemu ciału życia i sztukę leczenia raka. Dla niego czas się zatrzymał.

— On umarł.

— Nie, on trwa. Jest to ten trzeci stan między życiem a śmiercią — trwanie. Stan, gdy się nie umiera i jest się ponad czasem. Stan, w którym kosmonauci lecą do Urana i Neptuna. Gdy on się obudzi, Wega przesunie się na niebie i w głębi Kosmosu rozbłysną nowe słońca…

Widział jej nieruchome oczy i twarz, która się wyostrzała, gdy jej się przyglądał.

— Dla niego także czas będzie problemem? — zapytał w końcu.

— Tak.

Zrozumiał. Patrzył na ściany, które płonęły niezmiennym blaskiem, i milczał. — Ile… ile lat? — zapytał w końcu.

— Czterdzieści jeden. Czterdzieści jeden lat minęło w zimie.

— To dużo? — powiedział i zrozumiał, że pytanie nie ma sensu. Ona jednak zrozumiała.

— Chyba dużo — patrzyła na niego tym nieobecnym spojrzeniem.

— Miałbym teraz siedemdziesiąt dwa lata…

— Nie myśl tak. Masz trzydzieści jeden. Pamiętaj, trzydzieści jeden. To tylko jest prawdziwe i tylko to jest ważne. Wracasz z podróży, z dalekiej podróży, jak kosmonauta.

— Wierzysz w to, Koma?

— Ty w to wierzysz!

— Wierzę… i co z tego. To już jest inny świat.

— Ludzie są zawsze tacy sami. A reszta to techniczna dekoracja.

— Może tacy sami, ale już nie ci sami. Miałem rodzinę, przyjaciół…

— To wszystko przed tobą.

— Cóż innego możesz mi powiedzieć! Ale to nie będzie proste.

— Wolałbyś umrzeć, nie zbudzić się więcej?

— Nie wiem. Chyba nie. — Popatrzył znowu na ściany i wtedy jej twarz rozmazywała się w jasną plamę z ciemnym zarysem włosów.

— Poza śmiercią to było jedyne wyjście.

— Jak u Bedforda.

— Tak. Tylko ty od początku miałeś lepsze szansę. On jeszcze trwa. Dla niego świat będzie jeszcze trudniejszy…

— Ale on się na to zgodził!

— Czy to ważne? Czy na swoje urodzenie wyrażałeś zgodę?

— Tak, ale w moim przypadku dwukrotnie mnie o to nie pytano.

— Nie jest najgorzej, Stef, jeśli mogę z tobą dyskutować w ten sposób.

Spojrzał na nią i pomyślał, że chce być sam.

— Ty mnie obserwujesz jak… jak obiekt. Ty także pewnie robisz doktorat — powiedział i po raz drugi spostrzegł, że ją uraził.

— Nie, nie robię doktoratu — powiedziała. — Pójdę już. Reszta to sprawy techniczne. Chcę ci ułatwić poruszanie się w tym trochę innym świecie.

— Więc izolacja skończona?

— Tak. Twoje ubranie czeka na ciebie — wskazała uchyloną ścienną szafę. Korn pomyślał, że przedtem szafy tam nie było, ale nic nie powiedział. — Jutro pokażę ci kilka stereowidów, to znaczy filmów. — …i mogę stąd wyjść? — przerwał jej.

— Tak.

— W każdej chwili, teraz, za godzinę?

— Tak. Odradzałabym ci pośpiech, ale zrobisz, jak zechcesz. I jeszcze jedno: tu jest twój zlicz — podała mu małą plastykową tabliczkę z tłoczonymi znakami.

— ASMI — 413 — 9221 — przeczytał. — Co to jest? Karta identyfikacyjna?

— Więcej. Jest to jedyna rzecz, która jest ci niezbędna. Zapamiętaj swój zlicz. Możesz zapomnieć, jak się nazywasz, ale zlicz musisz pamiętać.

— ASMI — 413 — 9221 — powtórzył.

— Świetnie — uśmiechnęła się. — Teraz zaśniesz.

Światła jakby przygasły i twarz dziewczyny widział niewyraźnie.

‚Nie chcę zasnąć" — pomyślał i więcej już nic nie pamiętał.

Gdy się zbudził i dotknął swego czoła, czuł pod palcami wgniecenie skóry, jakie zostawia hełm. Był dzień. Za oknem widział drzewo i pierwsze drobne zielone liście. Michaił Puchów — Nad przepaścią Złotow stał na stopniu drommera i mrużąc oczy przyglądał się, jak Sandler, sunąc długimi susami, zbliża się do niego. Jego sylwetka, czarna w promieniach zachodzącego Słońca, rosła w oczach.

— Jest robota? — zapytał, kiedy tamten wskoczył już na stopień. Sandler skinął głową. Weszli do kabiny i pojazd natychmiast wzbił się w niebo. Zamglona tarcza Księżyca topniała w dole, z wolna zlewając się z błękitną kulą Ziemi. — Statek w Orionie — powiedział Sandler. — Dwudziesty wiek. Albo początek dwudziestego pierwszego.

Pojazd zadrżał nagle, znalazłszy się w ognisku hiperanteny marsjańskiej. Potem wibracje ustały i drommer przeskoczył 1013-kilometrową przepaść lekko jak fala radiowa — tyle tylko, że nieporównanie szybciej. Słońce było teraz gwiazdą średniej wielkości.

— śe też trzeba po takiego rupiecia… — mruknął Złotow.

Sandler wprowadził do pamięci maszyny równanie statku, któremu lecieli na spotkanie.

Drommer znów wykonał skok — tym razem już samodzielnie — i ponownie wychynął z zadaną prędkością w żądanym punkcie przestrzeni.

— Dziwny jakiś — powiedział Złotow. — Zupełnie jak nie nasz.

Reflektory drommera oświetlały starodawny gwiazdolot, powracający z dalekiego rejsu na Ziemię. Dziób i rufa statku tonęły w mroku. Cylindryczny korpus równomiernie wirował wokół osi symulując pole ciężkości. Drommer sunął wolno wzdłuż przezroczystych pokładów niby kanoe z ciekawskimi tubylcami.

— Po prostu jest bardzo stary. — Sandler zatrzymał pojazd. — Spróbujemy tutaj.

Drommer wykonał jeszcze jeden skok — już ostatni — i znaleźli się we wnętrzu gwiazdolotu, w pustym, przestronnym korytarzu. Siła odśrodkowa miękko ułożyła pojazd na podłodze wykonanej z przezroczystego materiału. Sandler wyskoczył z kabiny, po chwili Złotow poszedł za jego przykładem.

— Świetne — powiedział, spoglądając na gwiazdy pod stopami. — Jakby się chodziło po niebie.

Tylko czemu tu tak pusto?

— Widocznie mają tu teraz noc — odparł po chwili zastanowienia Sandler. — I wszyscy śpią.

Śnią sobie o tym, jak to za rok będą lądować na Ziemi. — A my tu mamy dla nich niespodziankę — uśmiechnął się Złotow. — Kocham niespodzianki! Słuchaj, czy oni tu nie mają żadnej wachty? — Jest, z pewnością… Pewnie gdzieś na przodzie, w sterowni. Szli szybko po szklanej podłodze. W korytarzu trwała cisza i tylko gdzieś na jego końcach szemrało echo kroków. Nagle Złotow — ledwie dosłyszalnie — roześmiał się. Sandler spojrzał na niego, zaskoczony.

— Całe życie marzyłem o takiej okazji — powiedział Złotow. — Postaw się w miejscu tego wachtowego. Siedzisz tyle godzin pod rząd w tej sterowni sam jeden przy pulpicie i tu nagle ni stąd, ni zowąd pojawiam się ja. Potrząsam cię za ramię i mówię: „Niech pan będzie łaskaw to podpisać, o tu…”. Przecież byś zemdlał.

— No i co? — Nic, śmieszne — odparł Złotow. Potem westchnął. — Tyle że to się nigdy nie zdarza. Zawsze ci ktoś wcześniej zedrze z głowy urojoną perukę i w sumie ci nie do śmiechu. I kiedy wreszcie wszystko wyjaśnisz, tamci długo i nudnie będą się rozwodzić nad tym,

jak to lecieli setkę lat, dotarli do Syriusza, siedzieli tam całe trzy dni i teraz wracają, niosąc swój wkład do skarbnicy ludzkiej wiedzy…

— Dość — cicho powiedział Sandler. — Nie ma się z czego śmiać.

— Nie masz poczucia humoru — obruszył się Złotow. — Ja nie jestem temu winien, że się tak nadymają. Może nawet bardziej niż ty pragnąłbym, żeby któryś z nich się odwrócił i powiedział: „Obleciałem całą Galaktykę, byłem w układach tysięcy gwiazd, widziałem obce cywilizacje…”

Niestety, to się nie zdarza.

Resztę drogi przebyli szybko, w milczeniu. Drzwi sterowni były tylko przymknięte. Złotow błagalnie spojrzał na Sandlera.

— No dobra — powiedział tamten z ociąganiem. — Dokonaj tego nikczemnego aktu.

Ostrożnie weszli do środka. Sterownia także okazała się przestronniejsza, niż się tego spodziewali. Pod przeciwległą ścianą, odwrócony do nich plecami, siedział w obrotowym fotelu jakiś mężczyzna. Jego łysa czaszka wyraziście rysowała się na tle płyt aparatury.

Złotow bezgłośnie podkradł się do człowieka w fotelu, czując na sobie pełne wyrzutu spojrzenie Sandlera. Ale pokusa była wielka. Położył dłoń na ramieniu wachtowego. Ten przez sekundę pozostał jeszcze nieruchomy, potem strząsnął rękę Złotowa z ramienia i odwrócił się na fotelu ku niemu. Wszystko na jego twarzy — począwszy od nienormalnie jasnej skóry — wskazywało, że jest przybyszem z przeszłości. Jasne, błękitne oczy spojrzały na Złotowa.

— Jest pan wachtowym? — spokojnie spytał Złotow, dobywając z kieszeni na piersi zawczasu wypełniony blankiet. — Niech pan będzie łaskaw to podpisać.

Wachtowy w milczeniu odebrał arkusz papieru, szybko przebiegł oczyma tekst, podpisał się pod nim i zwrócił blankiet Złotowowi. Potem odwrócił się do pulpitu.

Po minucie raz jeszcze obejrzał się przez ramię.

— Podpisać coś jeszcze? — N-nie — odparł Złotow.

— To cóż pan tu tak stoi? Chce pan zrobić wywiad?

Złotow nie był w stanie wykrztusić słowa. Słyszał za plecami dziwne dźwięki, jakby płacz dziecka, ale nie miał sił obejrzeć się, żeby zobaczyć, co tam się dzieje.

— Wobec tego, jeśli pan pozwoli, pójdę już — powiedział wachtowy. — Koniec dyżuru, czas trochę pospać. Zaraz tu powinien być mój zmiennik.

Wstał z fotela, okazując się nadspodziewanie wysoki i skierował do wyjścia. Złotow osunął się na opuszczony fotel. Po chwili podszedł tam Sandler, poszperał przy ścianie pokrytej blokami aparatury i wydostał stamtąd składany stołeczek, usadawiając się na nim. Nie

mógł już się śmiać, opanowała go czkawka. Jakiś czas w milczeniu spoglądali po sobie.

— I tak zawsze — mruknął wreszcie Złotow. — A ten co? Telepata jakiś?

Z korytarza dały się słyszeć szybkie kroki. Do sterowni wszedł mężczyzna może czterdziestoletni, również nienormalnie jasnoskóry. Skierował się wprost ku nim, wyciągając na powitanie rękę.

— Dzień dobry. Aleksander Kuncew, drugi pilot.

Wymienili uściski dłoni.

— No i jak się wam podobał Sklar? — zainteresował się Kuncew. — To nasz dowódca.

Spotkałem go przy wejściu do kajuty, powiedział, że pojawili się chłopcy z Ziemi, żeby nas powitać. I poszedł spać. No więc przybiegłem…

— Czy wasz dowódca to telepata? — spytał Sandler.

— Nie sądzę. Ale intuicję ma piekielną. Jeszcze przy starcie powiedział nam: powrócimy tu za, trzy wieki. Postęp w tym czasie jest nieunikniony i powrót na pewno będzie wyglądać zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażacie. Z pewnością przechwycą nas jeszcze w trakcie drogi i zgrabnie usadzą gdzieś na Księżycu…

— Tak powiedział? śe na Księżycu?…

— Dokładnie tak — potwierdził Kuncew. — Tylko że Księżyc do tego czasu się zmieni, powiedział, i pojawią się tam pewnie morza, atmosfera, zbudują uzdrowisko. „Jeszcze w tym kurorcie poodpoczywamy”, powiedział.

— To znaczy, że się już teraz niczemu nie dziwicie?

— Czemu nie? — odparł Kuncew. — Dziwimy się, tyle że w rozsądnych granicach. Osobiście wierzę Sklarowi; jeśli mówi, że coś będzie, to będzie… Ale ja wam tu zabierani czas, a wy się pewnie spieszycie. Pomóc wam w czymś?

— Nie, dzięki — powiedział Sandler. — Roboty mamy nie więcej niż na pół godziny.

— Mógłbym popatrzeć, jak to będziecie robić? — Jasne — zgodził się Sandler.

Powoli skierowali się do wyjścia. Nagle — nieoczekiwanie dla samego siebie — Złoto w zwrócił się do Kuncewa: — Opowiedz nam po drodze, jak wam to szło, na Aldebaranie?

— Dlaczego na Aldebaranie?!

— No, mam na myśli tę gwiazdę, na którą lecieliście…

Wyszli na korytarz o szklanej podłodze.

— Program był zupełnie luźny — powiedział Kuncew. — Trasa przebiegała przez setki słońc, oblecieliśmy cały zespół gwiazd.

Złotow drgnął.

— Nie, no oczywiście nie całą Galaktykę — uściślił Kuncew. —

Tylko Cmentarzysko Neutronowe.

— Cmentarzysko? — zdziwił się Sandler.

Kuncew uśmiechnął się.

— Nazwa brzmi złowieszczo, ale ten rejon w istocie robi takie wrażenie. Kiedyś była tam gromada kulista, ale potem to wszystko eksplodowało.

— Eksplodowało? — powtórzył znów Sandler. — Rozumiem, że może wybuchnąć gwiazda, ale cała gromada?!

— To wszystko jest ze sobą powiązane w jeden łańcuch — powiedział Kuncew. — To miało miejsce miliardy lat temu. Najpierw zaczęło się od supernowej, poziom promieniowania gwałtownie wzrastał, naruszona została stabilność sąsiednich gwiazd. No i rozpoczęła się reakcja łańcuchowa. Bardzo szybko wszystkie gwiazdy przekształciły się w supernowe pozostawiając po sobie mnóstwo pulsarów, czy jak kto woli — gwiazd neutronowych… — Interesujące! Ale dlaczego ja o tym nigdzie nie czytałem?

— Nie wiem — powiedział Kuncew. — Kiedy odlatywaliśmy, słyszał o tym każdy uczeń. To jasne, pierwsza ekspedycja gwiezdna!

— Pierwsza?

— Oczywiście.

— Zaraz, chwileczkę — wtrącił się Złotow. — Nie rozumiem. Mówi pan, że pierwsza ekspedycja międzygwiezdna — a mimo to postawili przed wami takie skomplikowane zadanie, jak oblecenie setki gwiazd? Nawet teraz nie organizuje się takich lotów!

— No, wtedy był to dowód słabości, nie siły — przyznał Kuncew. — Inaczej nie można było lecieć. I, na przykład, jakaś Alfa Centauri była dla nas nieosiągalnym marzeniem. Przecież szliśmy karambolem… Spojrzał na osłupiałe twarze.

— Tak — westchnął. — Postęp jest jednak nieubłagany. Widać wszystko zapomnieliście, przechodząc,na nowe silniki. Karambol też przestał być aktualny. Ale, jeśli was to tylko interesuje, to mogę wam palnąć cały wykład.

— Oczywiście że interesuje — powiedział Sandler. — Opowiadaj!

— Wiecie co to bilard? To świetnie. Karambolem nazywa się tam złożone uderzenie, przy którym bila, zanim zderzy się z kulą-tarczą, uderza wcześniej w jedną lub kilka kuł pośrednich. My posługujemy się tym terminem na określenie lotów z grawitacyjnym rozpędzaniem i zakręcaniem.

Czasem nazywa się to „manewrem perturbacyjnym”, ale moim zdaniem „karambol” to lepsze określenie. Pierwsze takie rejsy realizowano jeszcze w XX wieku, kiedy to oblecenie Wenus albo Jowisza, w drodze ku innym planetom, pozwalało na nabranie dodatkowej prędkości i zaoszczędzenie paliwa. Potem koncepcja ta została na jakiś czas zarzucona i zyskała na znaczeniu dopiero podczas

pierwszych lotów ku gwiazdom. Faktem jest, że przeznaczenie karambolu również się wtedy zmieniło. Wcześniej stosowano go w zasadzie tylko do zwiększania prędkości statku, teraz natomiast wykorzystuje się go do zmiany kierunku…

Z uwagą przysłuchiwali się drugiemu pilotowi. Kuncew zrobił krótką przerwę, a potem znów podjął w lektorskim tempie: — Wyobraźcie sobie gwiazdolot, poruszający się z dala od wszelkich centrów grawitacji.

Kiedy wreszcie napotka gwiazdę, to oblatuje ją po hiperboli, zmieniając swój kurs o pewien kąt.

Trasę statku można tak zaplanować, by statek po wykonaniu kilku kolejnych zwrotów powrócił do miejsca startu. W porównaniu ze schematem klasycznym — kiedy to statek hamuje przed gwiazdą— celem, a potem znów się musi rozpędzać — przy zamkniętym karambolu można zaoszczędzić kupę energii i materii. Zauważcie, jakie mamy tu przestronne pomieszczenia…

— Przepraszam, że przerywam — powiedział Sandler. — Ale niezupełnie rozumiem, w jaki sposób gwiazda może zmienić kierunek statku, jeśli posiada on tak dużą prędkość… — Słuszna uwaga — przyznał Kuncew. — Dostatecznie silne pola grawitacyjne występują tylko w pobliżu pulsarów i czarnych dziur. Takim standardowym punktem zwrotu jest właśnie gwiazda neutronowa. Można ją łatwo zidentyfikować na podstawie jej promieniowania radiowego — zwłaszcza w Cmentarzysku Neutronowym. Jest ich tam pełno, podczas gdy czarnej dziury praktycznie nie sposób odkryć. Zdarzyło się to nam tylko jeden raz.

— To znaczy, że cały wasz lot odbył się bez lądowania?

— Jakie znowu lądowanie — żachnął się Kuncew. — Przelot obok gwiazdy trwa mgnienie oka!

Zwykle przez kilka dni oglądaliśmy potem nakręcone filmy; wszystkie zresztą są na ogół do siebie podobne. Chociaż, oczywiście, zdarzają się i niespodzianki… — A oto nasz drommer — przerwał mu Sandler. — Podoba ci się?

Złotow wskoczył na stopień i otwarł drzwi kabiny.

— Interesująca zabawka — przyznał Kuncew. — Jak to działa?

— Właź tutaj — powiedział Złotow. — Kabina jest wprawdzie obliczona na dwie osoby, ale jakoś się pomieścimy. No, rozgość się…

Usadził Kuncewa w fotelu, a sam przycupnął obok, na pokrywie silnika. Sandler zajął swoje miejsce.

— Naciskam ten oto guzik — powiedział — i wasz statek jest już gotowy do przerzutu. Jeśli teraz nacisnę ten, to znajdziemy się na Księżycu.

— A jak to wszystko działa?

Sandler speszył się.

— Nie wiem. Naciska się guzik… To wszystko.

— Tak… Postępu nie sposób zatrzymać — przyznał raz jeszcze Kuncew. — Nam by się taka zabawka przydała. Nawiązalibyśmy masę kontaktów.

— Z kim?

— No, odkryliśmy kupę cywilizacji — powiedział Kuncew. — Dobra, więc naciskaj ten twój guzik.

— Ej, słuchaj no — odparł Sandler. — Niczego nie nacisnę, dopóki wszystkiego nam nie opowiesz.

— Interesuje was to? — zdziwił się tamten. — No dobra, to słuchajcie. To się zdarzyło właśnie podczas badania czarnej dziury, o której wam wspomniałem. Prawdopodobnie wiecie, co to takiego? Czy może zmieniła się przez ten czas terminologia?

— Nie, wiemy, wiemy — powiedział Sandler. — To taka masywna gwiazda, niepohamowanie zapadająca się pod wpływem własnego pola grawitacyjnego. Teraz częściej nazywa się ją „kolapsarem".

— No dobra — przytaknął Kuncew — Tak więc, gdybyście tam zaczęli opadać, to po kilku godzinach nic by z was nie zostało. Faktem jest jednak, że kolaps grawitacyjny zmienia upływ czasu… Dla obserwatora, pozostającego poza jego granicami, takie opadanie trwałoby wiecznie.

Jest to bardzo ważna okoliczność. Ale kiedy któregoś dnia w sali zgasło światło, nie pamiętałem o tym. Podobnie jak inni, nie spodziewałem się po przeglądzie, filmu żadnej niespodzianki.

Na ekranie trwała ciemność trwała bardzo długo i wielu z nas doszło nawet do wniosku, że musiała się zerwać taśma. I wtedy właśnie, nieoczekiwanie, na tle owej nieprzejrzanej czerni rozjarzył się jakiś amebokształtny kleks. Rychło plama rozpłynęła się po całym ekranie. Szum w sali ucichł. Przecież to były oryginalne kadry, nie tknięte jeszcze montażem. Zarysy kleksa zniknęły już po chwili poza granicami ekranu i przed nami rozpościerała się teraz świetlista, pofałdowana powierzchnia. Długo to trwało, zanim niespodzianie, w rogu ekranu, pojawił się jakiś przedmiot, sunący zgodnie z ruchem kamery.

„Stop!" — krzyknął ktoś w sali i obraz zastygł nagle przed oczami, ostry i wyrazisty. Po rzędach przemknęło głośne westchnienie. To był statek kosmiczny. Nie — nie miał ani stożkowatego, ani cylindrycznego, ani opływowego kształtu. Z drugiej zaś strony jednak nie było w nim również niczego z owych kulistych czy dyskowych tworów, zrodzonych w wyobraźni uczestników biurakańskich sympozjów. Jeśli już się doszukiwać jakiejś geometrycznej analogii, to określiłbym go jako równoległościan. A spośród wszystkich środków transportu najbardziej przypominał mi zwykły kolejowy czy

tramwajowy wagon…

Wyobraźcie sobie ów znieruchomiały na ekranie obraz: głęboką czerń opasaną świetlistą błonką. Przelatujemy nad nią na niewielkiej wysokości, wszystko wydaje nam się płaskie jak lód, pod którym skryła się pociemniała woda. A z rogu ekranu wpełza w pole widzenia nie wiadomo czyj statek kosmiczny, podobny do wagonu tramwajowego!

Patrzyliśmy z niedowierzaniem na ekran. Specjalnie zbudowane radioteleskopy od dawna nadaremnie przeszukiwały Wszechświat. I nikomu jeszcze nie udało się odebrać ani jednego pozaziemskiego sygnału…

— Jasne — przytaknął Złotow. — I do tej pory nikt jeszcze niczego nie odebrał. Nieźle wam się poszczęściło z tym statkiem.

— Poszczęściło się… — powtórzył Kuncew. — Zwłaszcza jeśli zważyć, że tamten miał pecha.

Nikt z nas w to nie wątpił. Jak cegła, skuta lodem jeziora, bezradnie zawisł nad przepaścią. A my sunęliśmy ponad nim po zakrzywionym nieboskłonie, niezdolni do przyhamowania, żeby mu pomóc. Przecież nie mieliśmy żadnej możliwości zatrzymania się na trajektorii. Inaczej nigdy nie bylibyśmy się znaleźli tak nisko nad kolapsarem.

Tak czy inaczej, nasza pomoc nigdy nie była spóźniona — gdybyśmy tam nawet powrócili za milion lat, nic by się nie zmieniło; na tamtym statku bowiem upłynęłoby zaledwie kilka minut. Ale wtedy nikt z nas o tym nie myślał. O tym, że to, co widzimy, to tylko filmowy zapis — również nie pamiętaliśmy. Przelatywaliśmy nad ginącym statkiem i w świetlicy panowała cisza.

„Dalej” — powiedział półgłosem Sklar i obcy gwiazdolot, pozostając w miejscu, znów począł sunąć po ekranie. Ale nie zdążył się przesunąć nawet pół metra, kiedy w sali rozległo się nowe westchnienie. W polu widzenia pojawił się jeszcze jeden statek kosmiczny. Jego sytuacja była nie mniej krytyczna. „To pomoc” — powiedział ktoś nagle. I oto nieoczekiwanie ujrzeliśmy wszystko to, co się tam rozgrywało, z innej strony. Było przecież nieprawdopodobieństwem, aby dwa różne statki doznały nagle awarii tak blisko siebie. Nie — to jeden z nich miał awarię, a drugi przybył mu na pomoc, dobrowolnie oddając się we władanie grawitacji kolapsara. To był heroiczny wyczyn, rozciągnięty na całe wieki… W każdym razie tak się nam wydawało.

„Nie — powiedział wtedy Sklar. — To kontakt”.

A w kadr — jak mrówki — wpełzły dwa następne statki kosmiczne. Potem, już podczas powtórnego przeglądania filmu, wielu z nas przyznało, że to te dwa statki sprawiają takie wrażenie.

I stało się wtedy jasne, że nie mamy tu do czynienia z

przypadkowym incydentem, czy nawet akcją ratunkową. Może mieli rację… Mnie, w każdym razie, najbardziej zapadł w pamięć pierwszy statek — kiedy tak wisiał w świetlistej mgiełce, podobny do wagonu tramwajowego, a my przelatywaliśmy ponad nim po czarnym niebie, nie mając możliwości udzielenia mu jakiejkolwiek pomocy…

A coraz to nowe statki kosmiczne, pojawiające się w polu widzenia kamery, wywoływały w nas jedynie uczucie niesamowitej ciekawości — ileż ich jeszcze będzie? Ich liczba przekroczyła już setkę, a one wciąż jeszcze się pojawiały. Zdawało się, że nigdy nie będzie temu końca. — Ale skąd one przybyły? — wmieszał się Sandler. — Przecież każdy gatunek biologiczny istnieje tylko pewien czas. A istoty rozumne nawet zwykle tego limitu czasu nie wyczerpują. Więc w Galaktyce nie może istnieć tyle cywilizacji!

— To wszystko prawda — zgodził się Kuncew. — W moich czasach też tak uważano.

Cywilizacje pojawiają się i umierają w różnych epokach i ich przedstawiciele nie mają praktycznie żadnych szans na spotkanie. Ale w sumie to była tylko teoria — a praktykę mieliśmy przed sobą…

Tak… Potem statki zaczęły się pojawiać coraz rzadziej i wreszcie ostatni z nich zniknął z ekranu.

Kuncew umilkł.

— I to wszystko?

— Prawie — powiedział Kuncew. — Wiele razy przeglądaliśmy taśmę. I powstało, rozumie się mnóstwo hipotez. Ale jedyna, naprawdę rozsądna, oparta była na przypuszczeniu, które Sklar wypowiedział od razu — kiedy jeszcze widać było pierwsze dwa statki. Jak zwykle, strzelił w dziesiątkę.

Zasadniczą trudność w nawiązaniu kontaktu stanowi wybór miejsca spotkania. Cywilizacje żyją w różnych epokach i prawdopodobieństwo nawiązania kontaktu jest dostatecznie duże jedynie w obszarach, w których czas płynie wolniej w stosunku do reszty Wszechświata — w pobliżu kolapsujących gwiazd. W takich miejscach statki obcych cywilizacji — nawet jeśli przybyły w odstępach miliarda lat — znajdą się praktycznie jednocześnie. Dlatego też planety, poszukujące kontaktu, kierują swoich przedstawicieli właśnie ku czarnym dziurom. Stopniowo gromadzi się tam coraz więcej statków różnych kultur, wymieniają się tam one informacjami, a potem powracają, przeżywszy tych, którzy je tam posłali.

Wcześniej czy później każda cywilizacja poznaje zdolność kolapsara do spowalniania czasu. Czarna dziura to idealne miejsce kontaktu. Być może nawet, że niektóre cywilizacje podlegają zupełnie świadomemu rozpraszaniu się po kolapsarach, by potem, bogatsze o nową wiedzę, wychodzić stamtąd po milionach lat i restaurować swoją cywilizację. No, ale to już tylko domysły…

— Czemu — sprzeciwił się Sandler. — Moim zdaniem to niesamowite! A jeśli oni rzeczywiście znajdują się w takim „zamrożonym” stanie? I gotowi są w pewnym ściśle określonym momencie powrócić do zwykłego czasu? Wyobraź sobie: dzień „X” — cała cywilizacja wychodzi na arenę Wszechświata? To się może wydarzyć choćby jutro! — Nie, to już tylko domysły — powtórzył Kuncew. — Tak w każdym razie uważa Sklar. No, a teraz włączajcie tego swojego drommera. A propos: dlaczego on się tak nazywa?

Sandler wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Pracuję na nim już trzeci rok, ale nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

— Zapytaj swojego Sklara — dorzucił Złotow. — On pewnie będzie wiedział.

Przełożył z rosyjskiego Krzysztof W. Malinowski

R. A. Lafferty
Najdłuższy obraz świata

Był to bardzo długi, poszarpany, nieprawdopodobnie zawiły i bogaty w szczegóły brzeg rzeki. Potem zdarzyła się z nim rzecz zabawna. Został podzielony, pocięty na kawałki. Niektóre z tych kawałków zwinięto i sprasowano w bele. Inne zrolowano w rolki. Jeszcze inne pocięto na mniejsze kawałki i używano jako ozdób i amuletów. Fragmenty brzegu w szpulach i belach trafiły do stodół i szop, na strychy i do jaskiń. Niektóre zostały zakopane w ziemi.

Mimo to sama rzeka nadal istnieje i jej brzegi również, o czym każdy łatwo może się przekonać. Ale brzeg, jaki zobaczycie wzdłuż rzeki dzisiaj, różni się od tego, który został podzielony, zbelowany w bele i zrolowany w rolki, jest niezupełnie taki, jak na fragmentach, które znajdziecie na strychach i w jaskiniach.

Nazywał się Leo Nation i znany był jako bogaty Indianin. Jednak obecnie całe to bogactwo ulokował w swoich kolekcjach, jako że był człowiekiem dociekliwym i przedsiębiorczym. Miał stada bydła, miał pszenicę, miał nieco nafty i wydawał wszystko, co zarobił. Gdyby miał jeszcze większe dochody, to też wszystko wydawałby na swoje zbiory.

Kolekcjonował stare pistolety, stare kule armatnie, żarna, stare wiatraki, kieraty, zgrzebła do lnu, wozy plemienia Conestoga, beczki z mosiężnymi okuciami, ceremonialne szaty czcicieli bawołów, meksykańskie siodła, siodła kowbojskie, kowadła, lampy Arganda, piecyki na siano, wędzidła, żelaza do piętnowania bydła, kuchnie polowe, rogi longhornów, wyszywane poncza, meksykańskie i indiańskie wyroby ze skóry, skórzane spodnie, paciorki, pióra, bransoletki na nogi z wiewiórczych ogonów, groty strzał, koszule z jeleniej skóry, lokomotywy, tramwaje, koła młyńskie, barki rzeczne, bryczki, jarzma, stare fisharmonie, brukowe powieści, stare plakaty cyrkowe, dzwoneczki od uprzęży, meksykańskie dwukółki, drewniane figury Indian ustawione niegdyś przed sklepami z tytoniem, piekielnie mocny, stuletni tytoń, spluwaczki (czterysta sztuk), diabelskie młyny, wozy i różne rekwizyty z wesołych miasteczek, wielkie reklamy malowane na płótnie. Teraz miał zamiar zbierać coś nowego. Rozmawiał o tym z jednym ze swych znajomych, Charlesem Longbankiem, człowiekiem, który wiedział wszystko.

— Charley — spytał go — czy wiesz coś o „Najdłuższych Obrazach Świata", które pokazywano kiedyś w wesołych miasteczkach i hipodromach?

— Tak, wiem o nich co nieco. To ciekawe americana: przykład dziewiętnastowiecznej prowincjonalnej manii. Przedstawiały rzekomo

brzeg Missisipi. Reklamowano je jako długie na milę, pięć czy nawet dziewięć mil. W rzeczywistości najdłuższy odcinek miał, jak mi się wydaje, około stu jardów. Przedstawiały niechlujnie odmalowane na marnym płótnie koślawe drzewa, bagnisty brzeg, uproszczone sylwetki, a wszystko powtarzało się jak wzór na tapecie. Silny facet z dużym pędzlem i większą ilością taniej farby w trzech kolorach mógł tego namalować ładnych parę jardów dziennie, ale to rzeczywiście coś specyficznie amerykańskiego. Chcesz je zbierać, Leo?

— Tak. Ale autentyczne nie są takie, jak mówisz.

— Leo, widziałem jedno z nich. To tylko bardzo duże prymitywne malowidła.

— Mam dwadzieścia takich, o jakich mówisz, Charley, ale mam też trzy zupełnie inne. Tutaj masz stary jarmarczny afisz, który wspomina o jednym z tych autentycznych.

Leo Nation mówiąc pomagał sobie wymownymi gestami. Teraz pieczołowicie rozwinął pożółkły plakat: WĘDROWCY Z ARKANSAS. Najlepsze wesołe miasteczko świata. Osiem wagonów.

Diabelski młyn. Dzikie zwierzęta. Tańczące dziewczęta. Zagadkowy pokaz. Potwory. Koło Fortuny oraz Najdłuższy Obraz Świata, cztery mile niezrównanego malarstwa. To nie marna imitacja, ale gwarantowany fragment oryginalnej panoramy.

— Sam widzisz, Charley, że była różnica: istniały fragmenty oryginału i prymitywne kopie.

— Możliwe, że niektóre były wykonane lepiej, bo trudne sobie wyobrazić coś gorszego.

Oczywiście możesz je zbierać, jeżeli chcesz. Kolekcjonowałeś już mniej ciekawe rzeczy.

— Charley, ja mam fragment tego obrazu, który kiedyś wystawiali Wędrowcy z Arkansas.

Pokażę ci go. A tu jest inny plakat.

WESOŁE MIASTECZKO KINGA. Król wesołych miasteczek. Czternaście wagonów.

Dziewięć tysięcy atrakcji. Zobaczcie Człowieka-Gumę. Zobaczcie Ognistych Nurków. Zobaczcie Najdłuższy Obraz Świata, zobaczcie słonie nad Missisipi. Autentyczna panorama brzegu, a nie fuszerka, jaką pokazują gdzie indziej.

— Powiadasz, Leo, że masz dwadzieścia zwykłych obrazów i trzy inne?

— Tak jest, Charley. I spodziewam się zdobyć więcej tych prawdziwych. Mam nadzieję, że odnajdę całą rzekę.

— Obejrzyjmy jeden z nich, Leo, i zobaczmy, na czym polega różnica.

Udali się we dwójkę do jednej ze stodół, gdyż Leo Nation przechowywał swoje zbiory w stodołach.

— A co miałem robić? — tłumaczył. — Zawołać cieślę i kazać postawić muzeum?

Powiedziałby mi — Leo, nie mogę budować muzeum bez planów i wszystkiego, co trzeba. Postaraj się najpierw o plany. — A skąd miałem wziąć plany? Dlatego zawsze każę mu budować stodołę sto stóp na sześćdziesiąt i wysoką na pięćdziesiąt stóp. Potem zawsze sam dzielę ją na cztery albo pięć pięter, zostawiając otwory na wyższe eksponaty. Poza tym uważam, że stodoła kosztuje taniej niż muzeum. — To będzie nieprosta sprawa, Charley — powiedział Leo Nation, gdy wchodzili do jednej z jego stodół. — Będzie ci potrzebna cała twoja wiedza ze wszystkich dziedzin, żeby to rozgryźć.

Każdy z moich trzech autentyków ma około stu osiemdziesięciu jardów długości. Sądzę, że jest to w zasadzie długość standardowa, choć niektóre odcinki mogą być jej wielokrotnością. W latach kiedy je wystawiano, uchodziły za malowidła, ale to nie są obrazy, Charley.

— W takim razie co to jest, Leo?

— Płacę ci za to, żebyś znalazł odpowiedź na to pytanie. Jesteś przecież człowiekiem, który wszystko wie.

No więc stały tam dwie szpule, każda wysokości człowieka, a za nimi kilka innych.

— Ten stary mechanizm obrotowy jest prawdopodobnie więcej wart niż sam obraz — powiedział Charles Longbank do Leo Nationa. — Był napędzany przez muła chodzącego w kieracie i niewykluczone, że pochodzi z osiemnastego wieku.

— Tak, ale ja podłączam go do motoru elektrycznego — odparł Leo. — Jedyny muł, jaki mi pozostał, jest moim osobistym przyjacielem i nie każę mu chodzić w kieracie, bo wiem, że on też by mi tego nie zrobił, gdybym to ja był mułem. Wydaje mi się, że ustawiłem wszystko tak, jak trzeba: pełna szpula od północy, a pusta od południa. Teraz puścimy. W ten sposób będziemy oglądać obraz, jakbyśmy płynęli z południa na północ, w górę rzeki, z twarzą zwróconą na zachód.

— Dziwne płótno i dziwna farba, znacznie lepsza od tych, które widziałem — zauważył Charles Longbank. — I wcale nie zniszczone po tylu latach.

— Bo to nie jest ani płótno, ani farba — wtrąciła Ginger Nation, żona Lea, wyłaniając się nie wiadomo skąd. — To jest obraz.

Leo Nation puścił szpule w ruch. Obraz przedstawiał porośnięty lasem brzeg rzeki. Brzeg był żwirowo-wapienny z warstwą tłustej gleby, nieco podmyty. I do samego brzegu dochodził gęsty las.

— Niewątpliwie dobra robota — przyznał Charles Longbank. — Po tym, co dotychczas widziałem i czytałem na ten temat, jestem naprawdę zaskoczony.

Nie było wątpliwości, że obraz się nie powtarza, choć widz mniej

uważny od autora obrazu mógł pomyśleć, że sam brzeg jest nieco monotonny.

— To jest dziewiczy las, głównie liściasty — mówił Charles Longbank — i jestem pewien, że w strefie umiarkowanej nie ma już takiego lasu nad brzegiem dużej rzeki nigdzie na świecie. Zostałby dawno wycięty. Nie sądzę, aby nawet w dziewiętnastym wieku przetrwało wiele takich połaci lasu.

A mimo to mam wrażenie, że to jest wierne odtworzenie rzeczywistości, a nie dzieło wyobraźni.

Przed ich oczami przesuwał się brzeg: drzewa bawełniane, sosna karaibska, platan, wiąz gładki, znowu sosna. — Jak już będę miał bardzo dużo tych obrazów, sfilmujesz je, Charley, i przeanalizujesz je sam albo dasz jakiemuś komputerowi. Na podstawie kąta padania promieni słonecznych będziesz mógł określić właściwą kolejność fragmentów i to, jak duże są między nimi przerwy.

— Niestety, Leo. Byłoby to możliwe tylko pod warunkiem, że wszystkie obrazy były zrobione tego samego dnia i o tej samej godzinie.

— Ależ to był ten sam dzień i ta sama godzina — wtrąciła się Ginger Nation. — Jak można zrobić jeden obraz w różnych godzinach i w różne dni?

— Ona ma rację, Charley — powiedział Leo Nation. — Wszystkie autentyczne obrazy są fragmentami jednego oryginału. Zawsze byłem tego pewien.

Znowu brzeg z sosną, dębem laurowym, orzechem olejnym, persymonem, znowu sosną.

— Cokolwiek to jest, zadziwia wiernością — zauważył Charles Longbank — ale obawiam się, że po pewnym czasie i tak będzie to nudne jak powtarzający się wzór na tapecie.

— Jak na człowieka inteligentnego masz wyjątkowo nierozgarnięte oczy — powiedział Leo. — Każde drzewo, każdy liść są inne. Wszędzie zieleń jest młoda. To musi być obraz zrobiony gdzieś pod koniec marca. Wszystko zależy od tego, jaką część rzeki przedstawia. To może być koniec marca albo początek kwietnia. A ptaki — człowieku, który wiesz wszystko — dlaczego nie widzimy więcej ptaków na tym kawałku? I w ogóle co to za ptaki?

— Gołąb wędrowny, Leo, wymarły już ładne kilkadziesiąt lat temu. Dlaczego nie widzimy więcej ptaków? Mam na to zabawną odpowiedź, ale trzeba założyć, że ta rzecz jest autentyczna i bardzo stara. Nie widzimy więcej ptaków, ponieważ są zbyt dobrze zamaskowane. Ameryka Północna jest teraz rajem dla ornitologów-amatorów, ponieważ bardzo wiele kolorowych ptaków zostało przywiezionych z Europy i wyparło gatunki rodzime. Nie zdążyły przystosować się do miejscowego krajobrazu i dlatego rzucają się w

oczy. Tak, Leo, to fakt. Ptak nie może się przystosować przez głupie czterysta czy pięćset lat. A na tym obrazie jest mnóstwo ptaków, jeżeli się dobrze przyjrzeć. — Ja się dobrze przyglądałem, Charley. Chciałem tylko, żebyś ty się dobrze przyjrzał.

— Ta przewijająca się wstęga płótna, czy co to jest, ma sześć stóp szerokości i według mnie skala obrazu jest jak jeden do dziesięciu, sądząc po wysokości dorosłych drzew i innych oznakach.

— Tak, ja też tak sądzę, Charley. Myślę, że każdy z moich dobrych fragmentów przedstawia około mili brzegu. Jest jednak w tych obrazach coś, o czym prawie boję się powiedzieć. Nie jestem pewien, czy masz dość mocne nerwy. Ale możesz przekonać się sam, jeżeli przyjrzysz się obrazowi z bliska.

— Powiedz mi lepiej od razu, żebym wiedział, czego szukać. — Tam jest wszystko, Charley. Najmniejszy listek, każde załamanie kory, każda kępka mchu. Oglądałem wycinki pod mikroskopem, w dziesięciokrotnym, pięćdziesięciokrotnym i czterystakrotnym powiększeniu. Są tam szczegóły, których nie można dostrzec gołym okiem, choćby się jeździło nosem po płótnie. Widać nawet komórki liści i mchu. Weź zwykły obraz pod takie powiększenie i zobaczysz tylko drobiny farby oraz góry i doliny po pociągnięciach pędzla.

Charley, na całym obrazie nie znajdziesz ani jednego śladu pędzla! To dotyczy wszystkich autentyków.

Przyjemnie było posuwać się w górę rzeki w powolnym tempie odpowiadającym może czterem milom na godzinę, jeżeli przyjąć skalę jeden do dziesięciu. W rzeczywistości to obraz przewijał się przed ich oczami z prędkością około pół mili na godzinę. Wiąz, sosna, czarna wierzba, srebrna wierzba…

— Powiedz mi, Charley, dlaczego są tu srebrne wierzby, a nie ma białych? — spytał Leo.

— Jeżeli to jest rzeczywiście Missisipi i obraz jest autentyczny, to znaczy, że oglądamy odcinek północny.

— Nie. To jest Arkansas, Charley. Zawsze potrafię rozpoznać Arkansas. Skąd srebrna wierzba w Arkansas?

— Jeżeli to jest Arkansas i jeżeli obraz jest autentyczny, to znaczy, że wtedy było chłodniej.

— A dlaczego nie ma białych wierzb?

— Biała wierzba jest przybyszem z Europy, choć przybyła bardzo wcześnie i rozprzestrzeniła się gwałtownie. Są na tym obrazie rzeczy, które pasują do siebie aż nazbyt dobrze. Czy te trzy dobre obrazy, które masz, są podobnej jakości?

— Tak, ale przedstawiają różne odcinki rzeki. Słońce świeci na każdym pod nieco innym kątem i poszycie leśne jest nieco inne.

— Czy myślisz, że uda ci się zdobyć więcej tych obrazów?

— Tak. Sądzę, że oryginał obejmował przeszło tysiąc mil brzegu.

Sądzę, że zdobędę przeszło tysiąc fragmentów, jeżeli tylko będę wiedział, gdzie ich szukać.

— Zapewne większość z nich dawno uległa zniszczeniu, jeżeli w ogóle było ich kiedykolwiek więcej niż tuzin, sądząc po ogłoszeniach. I prawdopodobnie wśród tych reklamowanych też trafiały się kopie. Wesołe miasteczka często zmieniały atrakcje i może nigdy nie było więcej niż te trzy obrazy. Każdy z nich mógł być wystawiony w różnym czasie w różnych wesołych miasteczkach i hipodromach. — Było ich więcej, Charley. Brak mi jeszcze tego ze słoniami. Myślę, że jest tych obrazów ponad tysiąc. Ogłoszę, że ich poszukuję (oryginałów, a nie marnych kopii), i wkrótce zacznę otrzymywać oferty.

— Ile ich było, tyle jest — powiedziała Ginger Nation. — One się nie niszczą. Jeden z naszych miał spaloną szpulę, a obraz był cały. One się nie palą.

— Obawiam się, Leo, że wydasz masę pieniędzy na masę starego płótna — powiedział Charles Longbank. — Ale skoro chcesz, mogę je dla ciebie zbadać, kiedy tylko uznasz, że masz ich wystarczająco dużo.

— Zaczekaj, aż zbiorę więcej — powiedział Leo Nation. — Dam sprytne ogłoszenie. Napiszę, że uwalniam ich od tych gratów i myślę, że ludzie będą zadowoleni mogąc pozbyć się staroci, które się nie palą, nie dają się zniszczyć i ważą ze szpulami tonę. Tylko autentyczne obrazy nie podlegają zniszczeniu. Spójrz na tego wielkiego suma tuż pod powierzchnią! Spójrz na te złośliwe oczka.

Rzeka nie była wówczas tak zamulona jak dzisiaj, mimo że obraz pochodzi z okresu wiosennego przyboru.

Przesuwający się brzeg i drzewa: sosna, dereń, czerwony cedr, dąb, pękań, znowu sosna, hikora. A potem obraz się skończył.

— Nieco ponad dwadzieścia minut — powiedział Charles Longbank. — Rzeczywiście kmiotek z ubiegłego wieku mógł uwierzyć, że obraz ma milę albo nawet pięć czy dziewięć mil długości.

— Nie — powiedział Leo. — Oni nie byli tacy głupi, Charley. Najprawdopodobniej ten kmiotek wiedziałby, że obraz ma — około dwustu jardów długości, tak jak to jest naprawdę, ale i tak by mu się podobał. Poza tym może są fragmenty długości pięciu lub nawet dziewięciu mil. W przeciwnym razie po co mieliby je tak reklamować? Myślę, że jeżeli trochę pojeżdżę, to uda mi się wywęszyć całą masę takich obrazów. Będę co jakiś czas dzwonić i Ginger powie mi, czy ktoś odpowiedział na ogłoszenia. Przyjedź za pół roku, Charley, a będę miał wystarczająco dużo fragmentów, abyś mógł przystąpić do analizy. Wytrzymasz chyba te sześć miesięcy samotności, Ginger?

— Wytrzymam. Będą tu żniwiarze i mężczyźni przyjeżdżający na aukcję bydła, poszukiwacze nafty, i Charley Longbank może tu zajrzy, będą mężczyźni z miasteczka i z Tawerny na Wzgórzu. Nie będę się

nudzić.

— Nie słuchaj jej, Charley. Ona wcale nie ugania się za mężczyznami.

— Wcale nie żartuję — powiedziała Ginger. — Jeśli o mnie chodzi, możesz wyjechać i na siedem miesięcy.

Leo Nation najbliższe pięć miesięcy spędził w podróżach. Zdobył przeszło pięćdziesiąt autentycznych fragmentów rzeki i wydał na nie ładnych parę tysięcy dolarów. Zadłużył się na kilka lat, aby je kupić. Byłoby dużo gorzej, gdyby nie to, że niektórzy dawali mu obrazy za darmo, a wielu żądało za nie bardzo mało. Byli jednak także ludzie uparci, którzy obstawali przy wysokiej cenie. Jest to coś, co obrzydza życie wszystkim kolekcjonerom. Jednak te drogo kupione fragmenty były szczególnie wartościowe i Leo nie mógł wypuścić ich z rąk.

W jaki sposób znalazł aż tyle kawałków, pozostanie jego tajemnicą, ale Leo Nation rzeczywiście miał nosa do takich rzeczy. Kolekcjoner musi mieć dobrego nosa.

Pewien profesor w Roiła, w stanie Missouri, wyłożył sobie podłogę w całym domu kawałkami autentycznego obrazu.

— Niezwykle trwały materiał, panie Nation — mówił ten jegomość. — Leży u mnie na podłodze od czterdziestu lat i ani śladu zużycia. Niech pan spojrzy, jak świeżo wyglądają te drzewa! Musiałem to ciąć piłą łańcuchową i powiadam panu, że pomimo elastyczności jest to twardsze od najtwardszego drewna.

— Ile pan chce za te wszystkie chodniki, za wszystkie kawałki, jakie pan ma u siebie? — spytał Leo niepewnie. Było coś niewłaściwego w użyciu kawałków obrazu na chodniki, ale sam profesor sprawiał wrażenie sympatyczne.

— Nie sprzedam panu moich dywaników, dam je panu, skoro tak to pana ciekawi, dodam też duży kawałek, jaki mi jeszcze został. Nigdy nie mogłem tym nikogo zainteresować.

Analizowaliśmy próbki materiału na uczelni. To ogromnie skomplikowany materiał.

Potrafilibyśmy go odtworzyć albo zrobić coś bardzo zbliżonego, ale kosztowałoby to nieprawdopodobnie drogo, tymczasem niewiele tylko gorsze tworzywa są zupełnie tanie.

Najzabawniejsze jednak, że mogę prześledzić historię tego obrazu do czasów wyprzedzających o kilkadziesiąt lat wyprodukowanie pierwszego plastyku. Jest w tym. jakaś wielka zagadka dla kogoś, kto jest na tyle dociekliwy, by się tym zająć.

— Ja jestem tak dociekliwy, że już się tym zająłem — odparł Leo Nation. — Ten fragment, który ma pan na ścianie… wygląda to jak… gdybym tylko mógł zobaczyć to w powiększeniu…

— Ależ oczywiście, panie Nation. To wygląda jak rój pszczół i to jest rój pszczół. Zrobiłem z małego wycinka przeźrocze. Proszę je sobie

obejrzeć. Pokazywałem je wielu inteligentnym ludziom i wszyscy mówili: „No to co?” Jest to podejście, którego zupełnie nie rozumiem.

Leo Nation studiował przeźrocze z zadowoleniem.

— Tak — powiedział. — Widzę nawet włoski na nogach pszczół, na jednym z włosków można nawet dostrzec komórki. — Przez dłuższą chwilę manipulował powiększeniem. — Te pszczoły są jakieś dziwne — powiedział. — Ojciec opowiadał mi kiedyś o takich pszczołach i myślałem, że kłamie. — Nasze obecne pszczoły są późnymi przybyszami z Europy, panie Nation. Rodzime pszczoły amerykańskie były dziwne i mało wydajne z ludzkiego punktu widzenia, ale nawet do dzisiaj nie wymarły całkowicie. Na niektórych kawałkach są jeszcze dziwniejsze stworzenia.

— A co to za pocieszne zwierzaki, które pan ma na podłodze w kuchni? — spytał Leo. — Oj!

Ależ one są wielkie!

— Leniwce olbrzymie, panie Nation. Przesuwa to datę powstania obrazu dość daleko w przeszłość. Jeżeli są mistyfikacją, to byłaby to najznakomitsza mistyfikacja, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem. Trzeba niezłej wyobraźni, aby wyposażyć wymarłe zwierzę w szczególną formę uwłosienia, jakiej nie posiadają dzisiejsze leniwce żyjące w tropikach, a jaką najprawdopodobniej miały leniwce z chłodniejszego klimatu. Lecz ile trzeba lat, aby namalować choć parę decymetrów kwadratowych z taką drobiazgowością? Nigdzie nie ma najmniejszego przeoczenia, panie Nation, każdy centymetr kwadratowy obrazu pełen jest zadziwiających szczegółów.

— Dlaczego konie są takie małe w porównaniu z bizonami?

— Nie wiem, panie Nation. Trzeba by specjalisty od setek nauk, by odpowiedzieć na wszystkie pytania, chyba że taki właśnie specjalista dokonał mistyfikacji. I skąd by się wziął taki człowiek dwieście pięćdziesiąt lat temu?

— Więc może pan prześledzić historię swego obrazu tak głęboko w przeszłość?

— Tak. Natomiast przedstawiona scena pochodzi sprzed około piętnastu tysięcy lat.

Powiadam panu, że to tajemnicza historia. Tak, może pan zabrać te kawałki, a resztę wyślę na pański adres.

Pewien człowiek w Arkansas ustawił fragment obrazu w jaskini. Jaskinia miała być atrakcją turystyczną, ale panorama brzegu rzecznego nie wzbudziła entuzjazmu.

— Ludzie myślą, że to jakaś projekcja filmowa — powiedział. — „Kto włazi do jaskini oglądać filmy — mówią. — Jak będziemy chcieli obejrzeć brzeg rzeki, to pojedziemy obejrzeć brzeg rzeki — mówią — a nie będziemy go oglądać w jaskini”. Myślałem, że to przyciągnie turystów, ale okazało się, że nie.

— Jak pan to tutaj wtaszczył, człowieku? — spytał Leo Nation. — Otwór jaskini jest przecież za mały.

— To już tu stało, razem z rolkami, kiedy piętnaście lat temu przerąbałem wejście, aby się tu dostać.

— A więc obraz musiał tu być bardzo długo, a ściana powstała później… — Nie, nie bardzo długo. Kurtyny wapienne tworzą się szybko, zwłaszcza jeżeli woda dosłownie kapie ze skały, tak jak tutaj. Ta rzecz mogła tu być wniesiona nie dawniej niż pięćset lat temu. Owszem, chętnie ją panu sprzedam. Wyłamię nawet kawałek ściany, żeby móc to wyciągnąć.

I tak muszę powiększyć wejście dla zwiedzających. Turyści nie lubią wczołgiwać się do jaskiń. Nie rozumiem dlaczego. Ja zawsze lubiłem wczołgiwać się do jaskiń.

Ten fragment panoramy był jednym z najdroższych, jakie Leon Nation zakupił. Zapłaciłby jeszcze drożej, gdyby zdradził się ze swym zainteresowaniem dla pewnych scen widocznych za drzewami. Nationowi serce podskoczyło do gardła, gdy dostrzegł tę scenę, ale musiał połknąć je z powrotem i zachować kamienne oblicze. To był fragment ze słoniami nad Missisipi.

Słonie (Mamut americanum) były ściślej mówiąc mastodontami. Leo wiedział to od Charlesa Longbanka. Najważniejsze, iż miał wreszcie słonie: jeden z kluczowych fragmentów łamigłówki.

Dużo obrazów można znaleźć w Meksyku. Wszystko, co nabiera patyny, przecieka w końcu do Meksyku. Leo Nation rozmawiał z bogatym mieszkańcem Meksyku, Indianinem jak i on.

— Nie, nie wiem, skąd przywędrował Długi Obraz — powiedział Meksykanin — ale wiem, że przybył do nas z północy, skądś znad brzegów Missisipi. W czasach De Soto, a więc niespełna pięćset lat temu, krążyły jeszcze indiańskie legendy o Długich Obrazach, których on nie rozumiał.

Wy, z północy, jesteście jak dzieci. Nawet plemiona pamiętające, jak Kaddosi, nie sięgają pamięcią głębiej niż na pięćset lat.

My mamy lepszą pamięć. W tej sprawie jednak wiemy tylko tyle, że każda z naszych wielkich rodzin wzięła ze sobą kawałek Długiego Obrazu, kiedy ruszyliśmy do Meksyku. Było to może z osiemset lat temu i przybyliśmy wówczas na południe jako zdobywcy. Te obrazy są teraz jak skarby dla starych wielkich indiańskich rodzin, jak ukryte skarby, są pamiątką po jednym z naszych poprzednich miejsc zamieszkania. Inni członkowie starych rodzin nie zechcą z panem o nich rozmawiać. Będą nawet zaprzeczać, że je mają. Ja mówię z panem o tym, pokazuję to panu, a nawet daję to panu, ponieważ jestem heretykiem, człowiekiem zgorzkniałym i innym niż wszyscy.

— Czy stare indiańskie podania, Don Caetano, mówią, skąd się wziął Długi Obraz i kto go namalował?

— Oczywiście. Mówią, że malowała je bardzo dziwna olbrzymia istota, która nazywała się (i tu niech pan uważa) Wielki Malarz Obrazu Brzegu Rzeki. Myślę, że bardzo to panu pomoże. Co zaś do kiepskich imitacji, to niesłusznie ma je pan w takiej pogardzie. Nie są tym, za co je pan uważa i nie były robione dla zysku. Te marne naśladownictwa powstały w Meksyku, podczas gdy lśniące oryginały pochodzą ze Stanów. Malowano je dla nowych wielkich rodzin, które małpowały stare wielkie rodziny w nadziei, że zapewni im to powodzenie i uczestnictwo w pradawnym dziedzictwie przodków. Ponieważ sam niedawno przestałem małpować inne wielkie rodziny, więc dobrze rozumiem te imitacje. Pech chciał, iż sporządzono je późno, w okresie upadku sztuk, lecz kontrast w stosunku do oryginału zawsze byłby równie rażący: każda sztuka musiałaby się wydać bezsilna wobec tej, jaką rozporządzał Wielki Malarz Obrazu Brzegu Rzeki.

Niektóre z tych marnych imitacji zostały zrabowane przez amerykańskich żołnierzy wraz z innymi skarbami rodzinnymi w czasie Wojny Meksykańskiej. Z rąk grabieżców obrazy trafiły do ubiegłowiecznych wesołych miasteczek w Stanach. — Don Caetano, czy wie pan, że fragmenty obrazu wytrzymują każde powiększenie, że są na nich szczegóły niezwykle małe, niedostrzegalne gołym okiem?

— Cieszę się, że pan to potwierdza. Dotychczas wierzyłem w to na słowo, ale moja wiara była zbyt chwiejna, abym ją wystawił na próbę. Tak, my zawsze byliśmy przekonani, że te obrazy kryją w sobie nieznane głębie.

— Dlaczego tu widać meksykańskie dzikie świnie, Don Caetano? Wygląda na to, że ten fragment ma w sobie coś meksykańskiego.

— Nie, panie Nation. Pekari zamieszkiwało całą Amerykę aż do lodów Północy. Później wszędzie, z wyjątkiem naszych lasów, wyparły je świnie europejskie. Chce pan ten obraz? Każę go służbie zapakować i wysłać na pański adres.

— Chętnie coś panu zapłacę za niego, oczywiście… — Nie, daję go panu w prezencie. Pan mi się podoba. Niech pan bierze i Bóg z panem! I jeszcze na pożegnanie… Skoro zbiera pan kurioza, to może zainteresują pana te błyskotki. Myślę, że to tylko bezwartościowe granaty, ale czy nie są ładne?

Granaty? To nie były granaty. Bezwartościowe? To dlaczego Nationowi pociemniało w oczach, a serce podeszło mu do gardła? Z uwielbieniem obracał kamienie w drżących palcach. I kiedy Don Caetano oddał mu je za symboliczną cenę tysiąca dolarów, nie posiadał się z radości.

A jednak to rzeczywiście były bezwartościowe granaty. A co pomyślał sobie Leo Nation w owej decydującej chwili? I jaki urok rzucił na niego Don Caetano, że tak się pomylił?

No, cóż, zysk i strata chodzą w parze. Zresztą Don Caetano naprawdę wysłał obraz na swój koszt.

*** Po pięciu miesiącach wędrówek i poszukiwań Leo Nation wrócił do domu.

— Wytrzymałam bez ciebie pięć miesięcy — powiedziała Ginger. — Ale nie wytrzymałabym sześciu miesięcy, a już na pewno siedmiu. Żartowałam. Nie zadawałam się z żadnymi mężczyznami. Kazałam cieśli zbudować nową stodołę na obrazy, które przysłałeś. Było ich przeszło pięćdziesiąt.

Leo Nation sprowadził swego przyjaciela Charlesa Longbanka.

— Pięćdziesiąt siedem nowych — powiedział Leo. — To razem sześćdziesiąt z tymi, które miałem wcześniej. Sądzę, że mam teraz sześćdziesiąt mil brzegu rzeki. Przeanalizuj je, Charley.

Wyłuskaj z nich jakoś dane i przepuść je przez swoje komputery. Przede wszystkim chcę wiedzieć, w jakiej kolejności idą po sobie z południa na północ i jak duże są między nimi przerwy.

— Leo, usiłowałem ci już wytłumaczyć, że to jest możliwe — założywszy ich autentyczność — tylko wówczas, jeżeli wszystkie były zrobione o tej samej godzinie i tego samego dnia.

— Załóżmy to, Charley. Obrazy były zrobione w tym samym czasie, a w każdym razie przyjmiemy, że były. Będziemy pracować opierając się na tym założeniu. — Leo… — ja miałem przez cały czas nadzieję, że nie uda ci się odnaleźć tych obrazów. Nadal uważam, że nie powinniśmy się nimi zajmować. — Co do mnie, to miałem przez cały czas nadzieję, że mi się uda i moja nadzieja okazała się mocniejsza. Czyżbyś bał się duchów? Ja stykam się z nimi bez przerwy. Tylko dzięki nim mamy jakiś powiew w tym upale.

— Boję się tego, Leo. Dobrze, sprowadzę tu jutro aparaturę, ale boję się. Do diabła, Leo, kto tu mógł być?

— Nie było nikogo — zaprotestowała Ginger. — Powiadam panu, że żartowałam i że inni mężczyźni mnie nie interesują.

Następnego dnia Charles Longbank sprowadził aparaturę. Wyglądał nie najlepiej, nieco jakby skacowany, zdenerwowany i ciągle oglądał się za siebie, jakby mu zmora siedziała na karku.

Mimo to pracował przez kilka dni filmując kolejno fragmenty obrazu. Następnie miał zaprogramować swój komputer i nakarmić go danymi z taśmy filmowej.

— Jest coś jakby cień, jak lekki obłok na niektórych obrazach — powiedział Leo Nation. — Czy zastanawiałeś się, co to może być, Charley?

— Słuchaj, Leo, wczoraj w nocy wstałem i przebiegłem ze dwie mile po tej twojej kamienistej drodze, żeby się trochę otrząsnąć. Zdjął mnie strach, bo zacząłem się domyślać, czym są te rzadkie obłoki. Na Boga, Leo, kto tu był?

Charles Longbank zabrał taśmy do miasta i przepuścił je przez swoje komputery.

Po kilku dniach wrócił z wynikami.

— Leo, to mnie przeraża coraz bardziej — powiedział i rzeczywiście wyglądał, jakby upiory dobrze go wzięły w obroty. — Dajmy lepiej temu spokój. Chętnie ci nawet zwrócę zaliczkę.

— Nie, człowieku, nie. Wziąłeś zaliczkę, więc jesteś zaliczony. Czy ustaliłeś właściwą kolejność obrazów? — Tak, masz tu kolejność z południa na północ. Ale nie rób tego, Leo, nie rób tego.

— Zaraz je poprzerzucam i ustawię we właściwej kolejności. Za godzinę będę gotów.

I po godzinie był gotów.

— Dobrze, teraz obejrzymy najpierw południowy odcinek, a potem północny.

— Nie, Leo, nie, nie! Nie rób tego.

— Dlaczego?

— Bo mnie to przeraża. One rzeczywiście układają się w pewien ciąg. Wygląda na to, że naprawdę były zrobione tego samego dnia, o tej samej godzinie. Kto tu był, Leo? Czuję, że jakiś olbrzym zagląda mi przez ramię.

— Tak, musiał być wielki, prawda, Charley? Ale był dobrym artystą, artyści zaś mają prawo do małych dziwactw. Ja też mam często uczucie, że ktoś zagląda mi przez ramię.

Leo Nation puścił południowy odcinek Długiego Obrazu. Był na nim ląd i woda; wysepki, starorzecza i bagna, odnogi j fale oceanu zmieszane z mulistą rzeką.

— Owszem, ładne, ale to nie jest Missisipi — odezwał się Leo, patrząc na przewijający się obraz. — Poznałbym ją nie wiem po ilu latach. To jest ta druga rzeka.

— Tak — jęknął Charles Longbank. — To jest Atchafalaya. Dzięki porównaniu wysokości kątowej słońca na tych odcinkach, które udało się ściśle zidentyfikować, komputer umiejscowił dokładnie wszystkie fragmenty. To jest rzeka Atchafalaya, która w geologicznej przeszłości wielokrotnie stanowiła główne ujście Missisipi. Ale skąd on mógł o tym wiedzieć, jeżeli go tu wówczas nie było? Boję się, Leo. Znowu czuję potwora za plecami.

— Słuchaj, Charley, człowiek powinien się dobrze przestraszyć przynajmniej raz dziennie, żeby potem dobrze spać w nocy. Co do mnie, to jestem przestraszony co najmniej od tygodnia, ale czuję sympatię do tego wielkiego faceta. No więc to byłby koniec, a teraz zobaczymy drugi, północny. Tak, Charley. Przeraża cię to, że te obrazy są prawdziwe. A ja się zastanawiam, dlaczego on musi patrzeć nam przez ramię, kiedy je oglądamy. Jeżeli on jest tym, o kim myślę, to przecież zna je wszystkie.

Leo Nation puścił ostatni północny fragment obrazu.

— Jak daleko na północ sięga ten odcinek? — spytał. — W przybliżeniu na wysokości późniejszych rzek Cedar i Iowa.

— I to jest najdalszy? W takim razie brakuje mi jednej trzeciej długości rzeki w północnym biegu.

— Tak, ten odcinek sięga najdalej na północ, Leo. To jest ostatni fragment.

— Co to, na tym fragmencie też chmura? Co powiesz, Charley? Bardzo mroźna scena, jak na wiosnę nad Missisipi. — Wyglądasz, jakby ci było niedobrze, Charley — powiedziała Ginger Nation. — Czy nie myślisz, że trochę whisky z krwią oposa dobrze ci zrobi?

— Czy nie mógłbym dostać whisky bez dodatków? Zresztą niech będzie, może to jest to, czego potrzebuję. Pośpiesz się, Ginger.

— Nadal nie rozumiem, jak obraz może być aż tak doskonały? — zastanawiał 'się Leo.

— Jeszcze nie rozumiesz, Leo? — powiedział Gharley i przebiegł go dreszcz. — To nie jest obraz.

— Mówiłam wam to od początku, ale nie słuchaliście — odezwała się Ginger Nation. — Mówiłam, że to nie jest płótno ani farby tylko obraz. I Leo powiedział to samo, a potem zapomniał.

Wypij to, Charley.

Charles Longbank pił leczniczą mieszankę dobrej whisky z krwią oposa, patrząc na przewijający się północny odcinek rzeki.

— Znowu cień na obrazie — powiedział Leo. — Wygląda, jak wielka plama w powietrzu między nami a brzegiem.

— Będzie ich więcej — jęknął Charley. — To znaczy, że zbliżamy się do końca. Kim o n i byli, Leo? Jak dawno temu to się działo? Zresztą obawiam się, że na to ostatnie pytanie znam odpowiedź, ale przecież wtedy nie mogło jeszcze być ludzi, prawda? Słuchaj, jeżeli to był tylko marny druk reklamowy, to dlaczego oni wciąż jeszcze unoszą się w powietrzu? — Spokojnie, Charley, spokojnie. Spójrz, rzeka jest coraz bardziej spieniona. Czy nie mógłbyś tego wszystkiego skopiować na mikrofilmie i przeanalizować w swoich komputerach? — Na Boga, Leo, przecież to już jest… — Hej, co to za mgła? I co to za masa bieleje we mgle? — To lodowiec, ty zakuta pało, lodowiec! — jęknął Charley Longbank. I najdalej na północ wysunięty odcinek Długiego Obrazu dobiegł końca. — Zrób nam jeszcze trochę dobrej whisky z krwią oposa, Ginger — powiedział Leo Nation. — Zdaje się, że wszystkim nam to dobrze zrobi.

— Więc to jest takie stare? — spytał Leo w chwilę później, kiedy wszyscy z trudem łapali oddech po wypiciu piekielnej mieszanki.

— Tak, to jest takie stare — odparł drżącym głosem Charles Longbank. — Ale powiedz, kto tu był, Charley?

— Mówiłeś, że to już jest co?…

— śe to już jest mikrofilm, Leo. Dla nich. Odrzucona rolka, jak sądzę.

— Mogę zrozumieć, dlaczego whisky z krwią oposa nie przyjęła się jako napój — powiedział Leo. — Czy były tu wtedy oposy?

— Oposy były. Nas jeszcze nie było — zadrżał Charles Longbank. — Ale znowu mam uczucie, że coś większego od oposa węszy wokół nas swoim znacznie większym nochalem. Charlesem Longbankiem wstrząsnął dreszcz. Niewiele brakowało, aby stracił panowanie nad sobą. — A te chmury na filmie, Charley, co to może być? — spytał Leo Nation.

I Charles Longbank stracił panowanie nad sobą.

— Boże Wszechmogący — jęknął rozlatanymi wargami. — Chciałbym, żeby to były chmury.

Kim oni byli, powiedz, kim oni byli? — Zimno mi, Charley — powiedział Leo Nation. — Skądś tu powiało diabelnym chłodem.

Ślady na taśmie filmowej… przypominające coś dobrze znanego, ale o wiele za duże: linie papilarne o średnicy osiemnastu stóp…

Przełożył z angielskiego Lech Jęczmyk

Michail Puchów
Wyprawa myśliwska

Stado odpoczywało właśnie w cieniu wielkiej geopodobnej planety, kiedy grupa rakiet wypadła zza horyzontu, pędząc torem równoległym do orbity. Okręty szły lotem koszącym, przedzierając się przez górną warstwę atmosfery, a potem wyskakiwały ku górze, zrzuciwszy najpierw lekkie pojemniki z „harpiami", które już same robiły resztę.

— Tak — powiedział komodor.

Ściany sterówki flagowca były od góry do dołu usiane rozjarzonymi ekranami. Każdy z nich odbierał sygnały nadawane przez jeden ze statków eskadry.

— Jeszcze trochę — powiedział komodor.

Ekrany przekazywały obraz planety. Krągły glob oplatany nićmi siatek celowniczych zbliżał się i oddalał, olbrzymiał i malał, stawał się raz niewielką plamką, raz ostrym srebrzystym sierpem, to znów ogromną dymną kulą zajmującą cały ekran. W ciemności nocnej strony globu szybkie iskierki harpii ukryte wśród warstwy chmur posuwały się błyskawicznie do przodu.

— Chyba przeskoczyły — powiedział komodor.

Inne ekrany pokazywały obrazy widziane z dołu przez sfalowaną oponę chmur. Wszystko mieszało się i kłębiło w zawirowaniach stratosfery. Przemykały kleksy chmur i strzępy lodowych obłoków, a od czasu do czasu pojawiał się skrawek błękitnego nieba. Harpie wychodziły na cel.

— Niech pan przejrzy się w lustrze — powiedział inspektor. — Wygląda pan teraz jak jakiś generał. Obrzydliwość!

Harpie wychodziły na cel. Podkradły się do niego od dołu, kryjąc się pod osłoną chmur, i teraz zadzierały ku górze drapieżne dzioby, pędziły coraz wyżej i wyżej, niemal pionowo, aż pomknęły prosto w zenit.

— Generał… — powiedział komodor. — Niech pan wreszcie zrozumie, że z naszych usług korzystają wszystkie kolonie w okupowanej strefie Galaktyki. To przecież oczywiste. Statki są potrzebne wszystkim, a żywe transportowce są o wiele tańsze od zwykłych gwiazdolotów.

— Pańskie słowa również wzbudzają obrzydzenie — powiedział inspektor. — Kolonie, okupacja…

Stado poruszyło się niespokojnie. Samce pilnujące jego bezpieczeństwa dały sygnał alarmowy, natychmiast wzmocniony do zespolonego radiokrzyku. Stado niemal natychmiast rzuciło się do

ucieczki. Ale było już za późno…

— Dlaczego nie nazywać rzeczy po imieniu? — powiedział komodor.

*** — Humaniści! — burknął komodor. — Gdyby nie wy, bylibyśmy już w domu.

Siedzieli w przeciwległych kątach sterówki, ale myśleli o tym samym.

Inspektor czekał na Ziemię. Wszak Ziemia to jego własne osiemdziesiąt kilogramów wsparte nogami o prawdziwy, twardy grunt. Ziemia to delikatne niebo zamiast bezbrzeżnej, lecz dusznej otchłani, to swobodna przestrzeń zamiast ciasnoty statków i baz planetarnych, to ciekawa praca zamiast nużących inspekcji i kontroli. Na Ziemi inspektor przestawał być inspektorem i chciał się na niej znaleźć jak najprędzej, żeby wreszcie zająć się prawdziwą robotą.

Komodor również myślał o Ziemi, ale myślał zupełnie inaczej. Na Ziemi czekał go trybunał.

— Wasza instytucja to zwyczajne towarzystwo przyjaciół zwierząt — powiedział komodor. — Zbiorowisko czułostkowych panienek!

— A pan jest zwyczajnym przestępcą — odparł inspektor.

Byli nadal na flagowcu eskadry, ale sama eskadra zmieniła już miejsce pobytu. Polowanie skończyło się i teraz statki leciały szykiem torowym poganiając stado promieniami hipnotyzatorów, utrzymując je na kursie wiodącym wprost ku coraz większej żółtawej tarczy.

Eskadra wchodziła do Układu Słonecznego. To inspektor rozkazał, aby się tam udała.

— Jestem myśliwym — ciągnął komodor. — Przez całe życie zajmowałem się tą robotą, lubię ją i nieźle sobie z nią radzę. Aż tu nagle dowiaduję się, że popełniam przestępstwo, że polowania trzeba się wstydzić…

— Tak jest w istocie — powiedział inspektor.

— Dowiaduję się, że moja załoga jest aresztowana, majątek skonfiskowany, a my wszyscy razem, nie wiadomo po co, musimy lecieć na Ziemię. — Wiadomo po co — rzucił sucho inspektor. — Moi ludzie porządnie się napracowali. Wracamy z bogatą zdobyczą. Złowiliśmy przywódcę stada, a to jeszcze nikomu się nie udało.

— Moje gratulacje.

— Wracamy bez strat.

— Szczerze współczuję.

Zamilkli.

— Nie — odezwał się po chwili komodor. — Pan jest Ziemianinem i pan tego nie zrozumie. Pan wierzy w to, co mówi.

— To należy do moich obowiązków. — Paskudne ma pan obowiązki — parsknął komodor. — Zamiast pracować jak każdy przyzwoity człowiek, szwenda się pan po całym kosmosie i szuka

ludzi, którzy robią coś, wedle pana, niezgodnego z prawem. To znaczy akurat tych, którzy robią pożyteczną robotę.

— Tyle że kryminalną — dodał inspektor.

— Ściga pan porządnych facetów, którzy tu, w tym obcym dla nas świecie, powtarzają bohaterskie czyny przodków oswajających wilki i siodłających dzikie konie. Prześladuje pan chłopaków, którzy zaopatrują w transportowce kosmiczne całą Galaktykę. Nie wspomnę już, że nadstawiają przy tym własne głowy.

— Gangsterzy również ryzykowali — powiedział inspektor.

— Powód może być tylko jeden: ktoś na Ziemi stara się utrwalić wasz monopol na produkcję kosmicznych środków komunikacyjnych. Tylko po to wyłazi pan ze skóry. Takie to są pańskie obowiązki, inspektorze.

— Proszę skończyć z tą demagogia! — wybuchnął inspektor. — Sam pan przecież doskonale rozumie, że to było wstrętne. To pańskie tak zwane polowanie, to strzelanie brudnymi elektrodami i podporządkowywanie sobie wolnych istot.

— Ale to przecież nie ludzie, to tylko zwierzęta.

— Niech pan nie udaje naiwnego!

— Zaraz pan, inspektorze, powtórzy raz jeszcze, że astrobiolodzy nie dali negatywnej odpowiedzi na pańskie pytanie. Ale nie dali też odpowiedzi pozytywnej!

— Proszę skończyć z tą demagogią — powtórzył inspektor.

— To nie jest demagogia. Ale pan jest Ziemianinem i dlatego nie potrafi tego zrozumieć.

Zapomnieliście już, co to łączy brak energii. Jeśli potrzebujecie statku, po prostu go wypożyczacie.

W koloniach jest zupełnie inaczej i nie należy o tym zapominać.

— Oczywiście — zgodził się inspektor, który jednak czymś zapomniał. — Pan za to o niczym nie zapomina.

— Tak — powiedział komodor. — Właśnie dlatego zaopatrujemy w transport kosmiczny niemal całą Galaktykę. Nie obchodzi nas, jak te transportowce są zbudowane i jak działają. Najważniejsze jest to, że te pojazdy są lepsze i tańsze od wszystkiego, co kiedykolwiek udało się stworzyć człowiekowi. Ważne jest to, że dziś nawet najmniejsza kolonijka może samodzielnie eksplorować kosmos i że jedynym potrzebnym do tego celu urządzeniem technicznym jest niewielka kapsuła orbitalna. Nigdy o tym nie zapominamy i żaden trybunał nas do tego nie zmusi!

Inspektor milczał. Coś się wydarzyło. Odnosił wrażenie, że powinien sobie coś przypomnieć. — Zbyt późno pan do nas trafił, inspektorze. Trzeba się tu było zjawić wcześniej, kiedy to polowanie miało mniej umowny charakter. Kiedy w koloniach brakowało nie tylko energii, lecz także pożywienia, kiedy panował w nich zwyczajny

głód. Wtedy potrzebne były nie rakiety, tylko kotlety. Wy tam na Ziemi jesteście bardzo humanitarni, ale nie wiecie, jaka to frajda, gdy wszyscy są syci. Nigdy nie dowiecie się, co znaczyła tona prawdziwego tłuszczu zwierzęcego w czasach, gdy w koloniach nie było syntetyzatorów żywności. Ale możecie sobie chyba wyobrazić, ile takiego tłuszczu daje zwierzę wielkości asteroidu? Pytał mnie pan, inspektorze, dlaczego na naszych statkach są takie ogromne pomieszczenia. To proste — sprawialiśmy w nich zwierzęce tusze. Tak, tak, inspektorze, tutaj były prawdziwe jatki, tu płynęły rzeki krwi itd., itd. To rzeczywiście obrzydliwe z punktu widzenia waszego taniego humanitaryzmu, ale gdybyście byli na naszym miejscu, robilibyście to samo!

Inspektor milczał, bo usiłował coś sobie przypomnieć.

— Teraz pan mówi, że to mogą być istoty rozumne. Moim zdaniem nie ma pan racji. Nie ma pan dowodów i dlatego w to nie wierzę. Ale przypuśćmy, że tak jest, że to istoty rozumne. Natura, tworząc rozum, miała zupełnie konkretny cel — samopoznanie. Te stworzenia nie mogą tego osiągnąć samodzielnie. Są idealnie przystosowane do badania przestrzeni kosmicznej, ale nie planet. Dlatego muszą uciec się do naszej pomocy, gdyż my ze swej strony jesteśmy dobrze przysposobieni do badania planet, lecz nie potrafimy samodzielnie przemieszczać się w przestrzeni kosmicznej. Wobec tego z czyjejś inicjatywy musi dojść do współpracy między nami. Nasze przedsiębiorstwo wykazało taką inicjatywę. I skoro oni są naprawdę rozumni — choć ja nadal w to nie wierzę — to powinni godzić się z naszą działalnością. Co więcej — powinni ją popierać.

— Być może ma pan rację — powiedział inspektor. Jeszcze przed minutą powiedziałby coś innego, ale teraz nic już go nie obchodziło. O czymś zapomniał i za wszelką cenę musiał to coś sobie przypomnieć. — Tak jest — powiedział. Było mu wszystko jedno, więc mógł powiedzieć i to. — Współpraca. Przedtem jakoś o tym nie pomyślałem.

— No właśnie — ucieszył się komodor. — Wreszcie pan zrozumiał.

— Tak — powiedział inspektor.

Ale to nie było najważniejsze. O najważniejszym zapomniał.

— Zresztą to wszystko głupstwa — dodał. — Mówmy o czym innym.

— Zgadzam się z panem — powiedział komodor. — Cała ta historia nie jest warta złamanego grosza.

Zamilkli.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział komodor — ale o czymś zapomniałem. Za chwilę sobie przypomnę i wtedy powrócimy do naszej rozmowy. Znów zapadła cisza. Tym razem nie wytrzymał jej

inspektor.

— Niech pan mówi o czymkolwiek — poprosił. — W ten sposób łatwiej sobie przypomnieć.

— Dobra — zgodził się komodor. — Pomówmy o Ziemi. Zostanę tam pewnie na zawsze.

Wątpię, aby po waszym trybunale chciało mi się jeszcze wyruszać w kosmos. Nie. Znajdę sobie jakąś przyzwoitą dziewczynę, ożenię się i osiądę gdzieś na wsi. Z kosmosem dam sobie spokój i panu radzę to samo.

Inspektor milczał. Te sprawy go nie interesowały. Kosmos to kosmos. Dobra, pluńmy na kosmos.

I nagle sobie przypomniał.

— Nie — powiedział poważnym tonem — z kosmosu nie wolno rezygnować.

— Pewnie! — zgodził się komodor. — Kosmos nam się jeszcze przyda.

Inspektor przypomniał sobie jeszcze jedną rzecz. Dziwne, że nie przypomniał sobie tego od razu.

— Ludzie — rzucił krótko.

— A niech to diabli! — wykrzyknął komodor. — Ja też o nich zapomniałem. Wie pan co?

Przerobimy nasze statki na liniowce pasażerskie i będziemy wozić ludzi po całym Wszechświecie.

To dobrze, że pan o tym pomyślał.

— Tak — przytaknął inspektor. — To będzie chyba już wszystko. — Popatrzył na ekran. W siatce linii celowniczych wyrastała Ziemia. Statki nadal szły dawnym szykiem; obok leciało stado spętane niewidzialnymi promieniami. Jeszcze trochę i eskadra, wytraciwszy ostatecznie szybkość, wejdzie na orbitę wokółziemską.

— Zbliżamy się do mety — powiedział komodor. — Nareszcie!

— Ach! — wykrzyknął inspektor, który znów sobie coś przypomniał. — Broń!

— Genialne! — powiedział komodor. — Aż dziw bierze, skąd pan czerpie takie wspaniałe pomysły. A ja, stary dureń, zapominam o najprostszych sprawach. Broń to akurat to, co potrzeba.

Pochylił się nad mikrofonem.

— Wszyscy członkowie załóg natychmiast pobiorą broń od dowódców statków.

Inspektor roześmiał się triumfalnie. Pewnie! Bardzo dobrze, że sobie to przypomniał.

Ludzie, kosmos i broń! Komodor ma rację — właśnie to jest potrzebne. Podróż dobiegała końca i w zamieszaniu mogli zapomnieć o najważniejszym.

O tym, jak ludziom jest ciasno na Ziemi, jaki bliski jest tam

horyzont, jakie ogromne ciążenie i jak paskudnie błękitne niebo. O tym, jak wielu ludzi musi przez całe życie zajmować się żmudną, nieciekawą pracą, zamiast spełniać najważniejszą misję i badać planety Galaktyki. Strach pomyśleć, że mało już brakowało, żeby setki tysięcy ludzi nigdy nie ujrzały czarnego nieba kosmosu!

Inspektor zatarł ręce z zadowolenia. Wyobraził sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak wznoszący się pionowo pośród miasta, przebudowany na statek pasażerski flagowiec eskadry myśliwskiej płomienieje w promieniach słońca, przytłacza swym ogromem wieżowce metropolii.

Wyobraził sobie pielgrzymkę ludzi znikających w jego wielkich, gościnnych pomieszczeniach.

Może nie wszyscy zechcą lecieć. Trudno, nie wszyscy są na to dość mądrzy. Ale przecież on, inspektor, pamiętał o wszystkim, a komodor już wydał odpowiednie rozkazy.

Inspektor był szczerze przekonany, że to zawsze było jego najskrytszym marzeniem, że zawsze pragnął stać w szeregu jemu podobnych z bronią gotową do strzału i robić to samo, co oni będą czynić. Nie wiedział jednak, kto mu tę myśl zasugerował.

Nie wiedział, że już nie on prowadzi, lecz jego popędzają, że nie jest już panem, tylko niewolnikiem, że przestał być członkiem Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, a stał się zwierzęciem chronionym.

Nie wiedział, że istnieje rozum dorównujący okrucieństwem rozumowi ludzkiemu. śe stado, które prowadzili ku Ziemi, było zgrają drapieżców lecących po Ziemię.

Przełożył z rosyjskiego Tadeusz Gosk

Krzysztof W. Malinowski
Wizja III

„The New Art" vol. 23, Sept. 17, 2471 Nowa sztuka starej cywilizacji Z niejakim zaskoczeniem przeczytałem artykuł krytyczny Donalda van Eykerena, poświęcony jednemu z obrazów ostatniego londyńskiego festiwalu — filmowi „Der Raummeister" Heinza Wohlbacha.

Zanim wyłożę racje, jakie skłoniły mnie do zabrania głosu w dyskusji, pozwolę sobie pokrótce naszkicować najważniejsze argumenty krytyczne mojego oponenta. Regułą jest bowiem, iż reakcja krytyków filmowych nie pozostaje zwykle w żadnej relacji do zamierzeń twórców — a często kłóci się również z recepcją publiczności. W szczególności właśnie Donald van Eykeren nieraz już stawać musiał w szranki ze swymi kolegami po piórze i co zapalczywszymi widzami, oburzonymi na jego skostniały i pragmatyczny sposób interpretacji walorów dzieł filmowych. Jego skandalizujące rozprawki krytyczne, odsądzające od czci i wiary co najlepsze współczesne obrazy filmowe, zyskały mu w ostatecznym rozrachunku przydomek „Zezowatego Donalda", co — nie pozostając wprawdzie w żadnym związku z jego walorami fizycznymi — dość trafnie odzwierciedla Eykerenowski sposób widzenia współczesnego kina.

Otóż, w mniemaniu mego szacownego polemisty, film „Der Raummeister" to „…obraz, który jako skandalizujący tylko i trawiony żądzą ukazania wszystkiego, co w życiu najohydniejsze i najbrutalniejsze — byłby jeszcze do przyjęcia. Ale trudno się pogodzić z myślą, że do wyrażenia tego wszystkiego, do odtworzenia owych dantejskich wizji potrzebował był reżyser aktorów żywych — dzieci nieraz! Bowiem w moim — nadwapniałym może — mniemaniu zmuszanie ludzi do odtwarzania na ekranie tego, do czego żaden człowiek nie byłby zdolny, jest już przestępstwem, wykroczeniem przeciwko wszelkim normom etycznym i moralnym naszej cywilizacji; to nie dzieło sztuki — lecz zbrodni! Dowód rzeczowy przeciwko człowiekowi, który wymierzył policzek całej ludzkości…"

Zgoda. Nie wiem wprawdzie, co jeszcze jest w stanie obrazić ludzkość; zapewniam, że mam prawo tego nie wiedzieć. Ale co do „norm moralnych i etycznych" — skłaniałbym się raczej ku stwierdzeniu, iż ludzkość zauważa wprawdzie czasem, że są one łamane, lecz Bogiem a prawdą trudno jest łamać coś, co od wieków już jest z gumy. Co dziwniejsze, van Eykeren — przy całej swojej pasji i uporczywym dążeniu do zdyskwalifikowania twórcy w oczach

potencjalnego widza — okazał się człowiekiem (być może nawet jedynym), który odcyfrował z tego obrazu więcej, niźli się tego spodziewać mogłem. Jak sam pisze: „…realizator potraktował tu nasz glob jak swoistą scenę, atrapę sporządzoną jeno gwoli nadania realnego podłoża całej owej apokaliptycznej scenerii, jaką zrodziła ta chora wyobraźnia. Jego «terrytales», jak je chełpliwie nazywa, to koszmarne zwidy, przepojone okrucieństwem epizody z życia zboczeńców, opętanych żądzą mordu, totalnego gwałtu, wyrafinowanej tortury… Wiem, że każda cywilizacja ma prawo do własnego języka, do dominanty szczególnie preferowanych środków wyrazu — i akceptuję to prawo. Nasi twórcy szukają takich środków również. Poszukują ich zarówno tu, na Ziemi, jak i w Galaktyce. Nawet artyści z innych układów w naturalny przecież sposób izolowani od ewolucji ziemskich prądów w filmie i — tym samym — niezaangażowani ani w rozwój postnaturalizmu, ani w nowe kino intelektroniczne zdają się rozumieć owe chlubne cele… Nadesłane przez nich na festiwal filmy — czasem niedojrzałe jeszcze, czasem zaś zaskakujące swym pięknem i sposobem widzenia Wszechświata — to przede wszystkim filmy twórców, świadomych zadań, jakie stoją przed naszą cywilizacją. I film O. Seusa z Khrgh (układ Wolfa 359) — „Galaktikoon" (II nagroda w kategorii filmu zaangażowanego) — jest tego najlepszym przykładem. Nic więc dziwnego, że w kontekście wszystkich tych obrazów to, co uprawia Heinz Wohlbach w „Der Raummeister", można określić jeno mianem *filmactwa*".

Cóż więc mi pozostaje w obliczu równie kategorycznej konkluzji mego oponenta? Chyba tylko stwierdzenie — choć ex post nieco ryzykowne — iż w istocie taką właśnie reakcję przewidywałem. To fakt, że obraz może mieć wydźwięk dość szokujący — niestety, wszystkie wycinki, z jakich został stworzony, są najzupełniej autentyczne. Film „Der Raummeister" zrealizowany został bowiem na podstawie nie wykorzystanych wycinków gigantycznego filmu popularnonaukowego „życie i Śmierć Istot"; a wspomniane fragmenty — właśnie z racji ich drastycznej wymowy — zostały z tego obrazu wyeliminowane. Z satysfakcją również przyznać muszę van Eykerenowi, iż Ziemia faktycznie spełnia tu rolę osobliwą — planeta szanownego krytyka to w istocie tylko atrapa. To jedna z dekoracji, jakie dokładnie trzy miliardy lat temu zbudowane zostały dla potrzeb wspomnianego obrazu. Po zakończeniu jego realizacji Organizacja Zjednoczonych Cywilizacji, której sumptem zbudowane zostało studio — chełpliwie określone przez Eykerena mianem „Galaktyki" — udostępniła kilku młodym twórcom wycinki taśm z poszczególnych planet, na których dwa miliardy lat temu scenografowie „zaszczepili" pod różnymi postaciami życie.

Ponieważ szczególnie interesujące wydały mi się właśnie

materiały „ziemskie”, z nich to postanowiłem stosując montaż zrealizować film „Der Raummeister”. Po uzyskaniu zgody OZC film ten — za pośrednictwem naszego ziemskiego łącznika Heinza Wohlbacha — przedstawiony został do festiwalowego pokazu w Londynie. Pozostaje mi więc tylko życzyć memu krytykowi wielu dalszych równie udanych i trafnych opinii. żywię zarazem nadzieję, iż upłynie jeszcze wiele lat, nim scenografia „życia i Śmierci Istot” zostanie ostatecznie zlikwidowana…

J. G. Ballard Trzynastu do Centaura Abel wiedział. Domyślił się trzy miesiące temu, dokładnie po swoich szesnastych urodzinach, ale był zbyt niepewny, zbyt przytłoczony logiką swego odkrycia, by zwierzyć się z tego rodzicom. Czasem, drzemiąc w swojej koi i słuchając, jak matka nuci pod nosem jedną ze starych piosenek, próbował usunąć ten problem z podświadomości, ale na próżno — powracał natrętnie zmuszając go do odrzucenia niemal wszystkiego, co od dawna uważał za rzeczywistość. śadne z dzieci na Stacji nie mogło mu w tym pomóc — albo były zajęte zabawą w Sali Rekreacyjnej, albo ślęczały nad lekcjami.

— Co ci jest, Abel — zawołała za nim Zenna Peters widząc, że idzie do pustego magazynu na Pokładzie D. — Znów jesteś smutny.

Abel zawahał się na widok jej serdecznego, pełnego troski uśmiechu, po czym wsadził ręce w kieszenie i zbiegł szybko po żelaznych schodkach, żeby za nim nie poszła. Kiedyś wśliznęła się do magazynu nieproszona i wtedy wyrwał żarówkę z oprawki i trzy tygodnie warunkowania poszło na marne. Doktor Francis był wściekły.

Spiesząc korytarzem Pokładu D chłopak pilnie wypatrywał doktora, który miał go ostatnio na oku: zawsze w Sali Rekreacyjnej obserwował go uważnie zza plastykowych modeli. Może matka Abla mówiła mu coś o sennych koszmarach chłopaka, o tym, jak budzi się zlany potem, z oczyma utkwionymi w płonący krąg.

Gdybyż tylko doktor Francis potrafił go uleczyć!

Co jakieś sześć jardów Abel zatrzymywał się, przekraczał kolejną grodź i od niechcenia dotykał ciężkich skrzyń z aparaturą po obu stronach przejścia. Świadomie broniąc się przed skupieniem odcyfrował niektóre litery nad przełącznikami M-T-R SC-N ale jak tylko usiłował odczytać całe zdanie, zlewały mu się w jedno. Warunkowanie było za mocne. Przyłapana przez niego w magazynie Zenna zdołała odczytać kilka napisów, ale doktor Francis przegnał ją, zanim zdążyła je powtórzyć. Kiedy wróciła w parę godzin później, nic już nie pamiętała.

Wszedł do magazynu i jak zwykle odczekał kilka sekund, nim zapalił światło. Przed oczyma miał niewielki płonący krążek, który we snach rozrastał się wypełniając mu cały mózg niby tysiąc lamp łukowych. Krąg wydawał się nieskończenie daleki, a jednak obdarzony

potężną tajemniczą siłą magnetyczną, która rozbudzała uśpione rejony świadomości Abla, zbliżone do tych, które reagowały na obecność jego matki.

Krąg zaczął się powiększać" i chłopak nacisnął guzik wyłącznika.

Ku jego zdumieniu pokój pozostał ciemny. Kiedy znów szukał po omacku wyłącznika, mimo woli z jego ust wydarł się cichy okrzyk.

Nagle rozbłysło światło.

— Jak się masz, Abel — powiedział doktor Francis od niechcenia, prawą ręką wciskając żarówkę. — Niespodzianka, co? — Oparł się o metalową skrzynię. — Wiesz co, Abel, chciałbym z tobą porozmawiać o twoim wypracowaniu. — Abel siadł sztywno, a doktor Francis wyjął zeszyt ze swojej białej plastykowej teczki. Pomimo poważnego uśmiechu i ciepłego spojrzenia było w doktorze Francisie coś takiego, że Abel zawsze miał się przed nim na baczności.

A może doktor Francis też wie?

— „Zamknięte społeczeństwo" — odczytał doktor. — To dziwny temat wypracowania.

Abel wzruszył ramionami.

— Temat był dowolny. Przecież chyba o to chodzi, żeby wybrać coś niebanalnego.

Doktor Francis uśmiechnął się.

— Bystra odpowiedź. Ale tak na serio, Abel, dlaczego właśnie ten temat?

Abel przebierał palcami po zaworach swego skafandra. Nie służyły one właściwie żadnym praktycznym celom, ale można było nadmuchać przez nie skafander.

— Próbowałem jakoś scharakteryzować życie na Stacji, nasze wzajemne stosunki. O czym jeszcze można pisać? Nie uważam, żeby to było takie dziwne.

— Może masz rację. Dlaczego miałbyś nie pisać o Stacji? Pozostała czwórka też o tym pisała. Ale ty zatytułowałeś swoją pracę „Zamknięte społeczeństwo". Przecież Stacja nie jest zamknięta, Abel, jak uważasz?

— Jest zamknięta w tym sensie, że nie możemy wydostać się na zewnątrz — wyjaśnił Abel powoli. — Nic innego nie miałem na myśli.

— Na zewnątrz — powtórzył doktor Francis. — Ciekawy problem. Musiałeś sporo nad nim myśleć. Kiedy zacząłeś się tą sprawą interesować?

— Po tym, jak miałem sen — odparł Abel. Doktor Francis celowo zaakcentował to jego,na zewnątrz" i chłopak zastanawiał się, jak by to inaczej wyrazić. W kieszeni czuł mały pion murarski, z którym się nie rozstawał. — Doktorze, czy mógłby mi pan odpowiedzieć na jedno pytanie?

Dlaczego Stacja się obraca?

— Obraca się? — Doktor Francis się ożywił. — Skąd wiesz?

Abel przyczepił pion do filara wspierającego sufit. — Odległość pomiędzy ciężarkiem a ścianą jest około jedną ósmą cala większa na dole niż na górze. Siła odśrodkowa. Obliczyłem, że Stacja obraca się z szybkością około dwóch stóp na sekundę.

Doktor Francis z namysłem skinął głową.

— Tak, słusznie — powiedział rzeczowo wstając. — Chodźmy do mojego gabinetu. Czas, żebyśmy porozmawiali poważnie.

Stacja miała budowę czteropoziomową. Na dwóch niższych poziomach znajdowały się pomieszczenia dla załogi: dwa koliste pokłady z kabinami mieszkalnymi dla czternastu przebywających na Stacji osób. Najstarszym rodem byli Petersowie, na czele z kapitanem Teodorem, potężnym, surowym, małomównym mężczyzną, który rzadko opuszczał Sterownię.

Ablowi nie wolno było tam wchodzić, ale syn kapitana, Matthew, często opowiadał o kopulaste sklepionym pomieszczeniu ze świetlistymi tarczami i mrugającymi lampkami, wypełnionym dziwną cichą muzyką.

Wszyscy męscy przedstawiciele rodu Petersów pracowali w Sterowni — dziadek Peters, siwy starszy pan o wesołych oczach, był kapitanem, zanim się Abel urodził — i wraz z żoną obecnego kapitana i Zenną stanowili elitę Stacji.

Grangerowie jednak, rodzina Abla, była, jak się chłopak zorientował, pod wieloma względami znacznie ważniejsza. Choćby taki codzienny rozkład zajęć — dokładne planowanie alarmów ćwiczebnych, rozkłady dyżurów, aprowizacja — za to wszystko odpowiedzialny był ojciec Abla Matthias. Bez jego silnego, ale elastycznego kierownictwa Bakerowie, którzy zajmowali się sprzątaniem kabin i prowadzeniem kuchni, byliby bezradni. Albo wspólne rekreacje celowo przez ojca obmyślane — gdyby nie one, Bakerowie i Petersowie w ogóle by się nie widywali; po prostu nie wytykaliby nosa ze swoich kabin.

No i był jeszcze doktor Francis, który nie należał do żadnego z trzech rodów. Czasami Abel zadawał sobie pytanie, skąd on się właściwie wziął, ale zawsze wtedy mąciły mu się myśli: blokady warunkujące hamowały ich bieg jak bariery (logika była na Stacji niebezpiecznym narzędziem). Nikt nie wykazywał tyle energii, żywotności i pogody co doktor Francis — on jeden właściwie żartował. I mimo że czasem denerwował Abla swoim wścibstwem i wtrącaniem się we wszystko, chłopak musiał przyznać, że bez doktora życie na Stacji byłoby nudne.

Doktor Francis zamknął drzwi kabiny i wskazał Ablowi krzesło. Wszystkie meble na Stacji były przymocowane do podłogi śrubami, ale chłopak zauważył, że doktor odkręcił swój fotel, tak żeby móc się w

nim bujać. Ze ściany wystawał ogromny, odporny na działanie próżni walec, którego masywne metalowe ściany wytrzymałyby każdą awarię. W tym właśnie pojemniku sypiał doktor Francis. Abel za żadne skarby nie chciałby w czymś takim sypiać; na szczęście wszystkie pomieszczenia dla załogi były w pełni zabezpieczone i chłopak nie mógł się nadziwić, że doktor zdecydował się mieszkać sam na pokładzie A.

— Powiedz mi, Abel — zaczął doktor Francis — czy nie zadawałeś sobie kiedy pytania, po co istnieje Stacja?

Abel wzruszył ramionami.

— Stacja jest tak pomyślana, żebyśmy mogli w niej żyć, jest naszym domem.

— Oczywiście, to prawda, ale zdajesz sobie chyba sprawę, że poza stworzeniem nam warunków do życia ma jeszcze jakieś inne cele. Przede wszystkim jak sądzisz — kto ją zbudował?

— Myślę, że nasi ojcowie albo dziadkowie. Albo ich ojcowie.

— Słusznie. A gdzie żyli, zanim ją zbudowali?

Abel bronił się przed sprowadzeniem całej rzeczy do absurdu.

— Nie wiem, unosili się chyba po prostu w powietrzu!

Doktor Francis zawtórował mu śmiechem.

— Świetny pomysł. I wcale nie taki daleki od prawdy. Ale trudno to przyjąć w takiej formie.

Samowystarczalny gabinet doktora natchnął Abla pewną myślą.

— Pewnie przybyli z jakiejś innej Stacji? Może jeszcze większej niż nasza?

Doktor Francis zachęcająco skinął głową.

— Wspaniale, Abel! Piękny przykład dedukcji. Dobrze więc, przyjmijmy, że tak właśnie było. Gdzieś, w oddaleniu od nas, istnieje olbrzymia Stacja — sto, może nawet tysiąc razy większa od naszej. Dlaczego nie?

— To zupełnie możliwe — przyznał Abel, godząc się z tą myślą zdumiewająco łatwo.

— W porządku. Przypominasz sobie z mechaniki wyższej umowny układ planetarny z orbitującymi ciałami przyciąganymi przez siły grawitacyjne? Przyjmijmy, że taki układ istnieje naprawdę, zgoda?

— Tu? — zapytał Abel szybko. — W pana gabinecie? — Po czym dodał: — W pana pojemniku do spania?

Doktor Francis rozparł się wygodnie w fotelu.

— Wiesz co, Abel, naprawdę wyskakujesz czasem z rewelacjami. Masz ciekawe skojarzenia.

Nie, ten układ byłby na to za duży. Spróbuj sobie wyobrazić układ planetarny obracający się wokół jakiegoś jednego ciała olbrzymich rozmiarów, w którym każda planeta byłaby milion razy większa od naszej Stacji. — Abel skinął głową i doktor Francis ciągnął dalej: — I

przyjmijmy, że ludzie na jednej z planet, nazwijmy ją wielką Stacją, chcą się przenieść na inną planetę. Budują więc mniejszą Stację, powiedzmy tej wielkości co nasza, i wysyłają ją w Kosmos. Jasne?

— W pewnym sensie. — Dziwne, ale pojęcia zupełnie abstrakcyjne wydały się Ablowi znacznie mniej odległe, niż sobie wyobrażał. W jego świadomości ożyły pewne niejasne wspomnienia pasujące idealnie do tego, czego się właśnie domyślił na temat Stacji. Nie spuszczał oka z doktora Francisa. — Czy pan chce powiedzieć, że właśnie tak jest z naszą Stacją? I że układ planetarny istnieje?

Doktor Francis skinął głową.

— Sam się tego właściwie domyśliłeś, zanim ci powiedziałem. Podświadomie wiesz o tym już od kilku lat. Za chwilę usunę niektóre blokady warunkujące i kiedy się obudzisz, za parę godzin, będziesz rozumiał już wszystko. Zrozumiesz, że w rzeczywistości nasza Stacja jest statkiem kosmicznym lecącym z naszej ojczystej planety Ziemi, gdzie przyszli na świat nasi dziadkowie, do innej planety odległej o miliony mil, w dalekim systemie planetarnym. Nasi dziadkowie żyli zawsze na Ziemi i my jesteśmy pierwszymi ludźmi, którzy przedsięwzięli taką wyprawę. Powinieneś być dumny z tego, że jesteś jednym z nas. Twój dziad, jeden z pierwszych ochotników, był wielkim człowiekiem i ze względu na jego pamięć powinniśmy zrobić wszystko, żeby Stacja działała jak najlepiej.

Abel szybko skinął głową.

— A kiedy dolecimy do tej planety?

Doktor Francis starannie oglądał swoje dłonie; jego twarz przybrała ponury wyraz.

— Nigdy, Abel. Nie zdążylibyśmy. To jest podróż kosmiczna obliczona na wiele pokoleń, tak że dopiero nasze dzieci, i to już w podeszłym wieku, tam dotrą. Ale nie przejmuj się, w dalszym ciągu będziesz uważał Stację za swój jedyny dom, jak to zostało rozmyślnie zaprogramowane, więc i ty, i twoje dzieci będziecie tu szczęśliwi.

Podszedł do odbiornika telewizyjnego, za pomocą którego utrzymywał łączność z kapitanem Petersem, i zaczął kręcić gałkami. Nagle ekran rozbłysnął i do kabiny wtargnęła chmara ostrych punktów świetlnych, rzucając na ściany silną fosforyzującą poświatę i układając się na rękach i ubraniu Abla w cętkowany wzór. Chłopak gapił się na wielkie kule ognia jak gdyby zastygłe w trakcie potężnej eksplozji w dużych konstelacjach. — To jest globus astronomiczny — wyjaśnił doktor Francis. — Ten jego wycinek, w którym porusza się Stacja. — Wskazał jasny punkt świetlny w dolnej części ekranu. — A to Alfa Centauri, gwiazda, wokół której krąży planeta stanowiąca cel naszej podróży. Znasz te wszystkie terminy, którymi się posługuję, prawda, Abel, nie są ci obce? — upewnił się doktor. Abel skinął głową; w miarę jak doktor Francis mówił, coraz to nowe sfery jego

świadomości budziły się do życia. Obraz zniknął, a na jego miejsce pojawił się inny. Przed oczyma mieli olbrzymią metalową konstrukcję przypominającą pylon, na tle obracającego się wolno, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, firmamentu.

— To jest nasza Stacja — wyjaśnił doktor Francis — widziana z kamery umieszczonej na dziobie. śadnych obserwacji nie można dokonywać bezpośrednio, ponieważ promieniowanie gwiezdne mogłoby oślepić. Dokładnie pod Stacją widzisz pojedynczą gwiazdę, Słońce, z którego wyruszyliśmy pięćdziesiąt lat temu. Jest w tej chwili tak odległe, że go prawie nie widać, ale jego obraz pozostał głęboko w twojej podświadomości, jawiąc ci się w snach jako płonący krąg.

Robimy wszystko, żeby go wymazać, ale podświadomie każdy z nas go widzi.

Doktor Francis wyłączył telewizor i jasny zespół punktów świetlnych skurczył się i zgasł.

— Mechanizmy społeczne wbudowane w statek są znacznie bardziej precyzyjne od wszelkich innych urządzeń. Minęły trzy pokolenia, odkąd wyruszyliśmy w podróż, i narodziny, śluby i znów narodziny następowały po sobie w swoim naturalnym porządku. Tobie, jako synowi twego ojca, stawia się szczególnie wysokie wymagania, jeśli chodzi o cierpliwość i stopień świadomości. Każde najmniejsze zakłócenie mogłoby spowodować katastrofę. Program warunkujący może dać ci jedynie ogólne wytyczne co do twojej postawy. Ale tak naprawdę wszystko zależy od ciebie.

— A czy pan tu będzie zawsze?

Doktor Francis wstał.

— Nie, Abel, nie zawsze. Nikt z nas nie jest wieczny. Umrze i twój ojciec, i kapitan Peters, i ja. A teraz chodźmy na zajęcia warunkujące. Za trzy godziny, jak się obudzisz, będziesz innym człowiekiem.

Znalazłszy się z powrotem w swojej kabinie doktor Francis zmęczony oparł się o grodź.

Czuł pod palcami potężne nity wystające tu i ówdzie z rdzewiejącego powoli metalu. Zapalił telewizor i znękany, zniechęcony, patrzył bezmyślnie na ostatnią scenę, jaką pokazywał Ablowi: ujęcie statku przez kamerę zainstalowaną na dziobie. Miał właśnie wybrać jakiś inny kadr, kiedy zobaczył przesuwający się po powierzchni kadłuba czarny cień. Zaniepokojony zbliżył się do ekranu, żeby mu się lepiej przyjrzeć, i wtedy cień oddalił się i zniknął wśród gwiazd. Francis nacisnął inny guzik i ekran przybrał postać wielkiego pola szachowego pięć na pięć klatek. Górny rząd ukazywał Sterownię, automatycznego pilota, pulpit nawigacyjny oświetlony mdłym blaskiem przyrządów i kapitana Petersa siedzącego bezczynnie przed ekranem busoli.

Następnie ukazał się Matthias Granger rozpoczynający swoją

popołudniową inspekcję statku. Większość ludzi robiła wrażenie zadowolonych, ale ich twarze nie wyglądały zdrowo. Wszyscy spędzali dwie do trzech godzin dziennie w Sali Rekreacyjnej pod kwarcówkami, ale bladość nie ustępowała. Był to prawdopodobnie skutek tkwiącego głęboko w ich podświadomości podejrzenia, że rodzą się i żyją w czymś, co stanie się również ich grobem. Bez ciągłych ćwiczeń warunkujących i hipnotycznego oddziaływania głosów poddźwiękowych dawno już staliby się bezwolnymi automatami.

Doktor Francis zgasił telewizor: czas najwyższy wejść do pojemnika sypialnego. Właz miał trzy stopy średnicy i znajdował się na poziomie jego talii. Zamek czasowy nastawiony był na zero; doktor Francis posunął go o dwanaście godzin do przodu i zablokował tak, by można go było otworzyć tylko od wewnątrz. Odsunął zasuwę i wśliznął się na uformowany według jego sylwetki materac z gumy piankowej, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Leżąc w bladym żółtym świetle wsunął palce w kratę wentylatora zainstalowanego w tylnej ścianie, po czym wcisnął go i energicznie przekręcił. Zadrgał gdzieś krótko silnik elektryczny i tylna ściana pojemnika otwarła się powoli jak drzwi krypty, wpuszczając blask dzienny.

Francis wyszedł szybko na niewielką metalową platformę wystającej z górnej części wielkiej, pokrytej białym azbestem kopuły. Pięćdziesiąt stóp ponad nią wznosił się dach ogromnego hangaru. Powierzchnię kopuły pokrywała plątanina rurek i kabli przypominająca siatkę żyłek na ogromnej przekrwionej gałce ocznej. Ze statku prowadziły na dół wąskie schodki. Cała kopuła, licząca około stu pięćdziesięciu stóp średnicy, obracała się powoli. W końcu hangaru, pod magazynem żywnościowym, stało rzędem pięć ciężarówek. Z jednego z przeszklonych budynków biurowych pomachał do Francisa mężczyzna w brązowym mundurze.

Znalazłszy się na dole schodów, doktor zeskoczył na podłogę hangaru ignorując ciekawe spojrzenia żołnierzy rozładowujących wozy dostawcze. Mniej więcej pośrodku hangaru zadarł głowę, żeby popatrzeć na obracającą się kopułę. Zawieszony u sufitu hangaru, ponad biegunem kopuły, znajdował się czarny perforowany żagiel o powierzchni pięćdziesięciu stóp kwadratowych, symbolizujący firmament, tuż pod nim kamera telewizyjna, a w odległości około pięciu stóp od kamery duża metalowa kula. Jedna z lin puściła i żagiel przechylił się lekko, ukazując wąski chodnik biegnący środkiem dachu.

Francis wskazał to sierżantowi z obsługi grzejącemu sobie właśnie ręce w jednym z otworów wentylacyjnych kopuły.

— Trzeba to będzie przywiązać. Jakiś idiota łaził po dachu

rzucając cień prosto na model.

Widziałem wyraźnie na monitorze. Na szczęście nikt poza mną tego nie zauważył.

— W porządku, doktorze, zrobi się. — Zaśmiał się kwaśno. — A to dobre. Będą się mieli teraz o co martwić.

Ton mężczyzny zaniepokoił Francisa. — I bez tego mają dość zmartwień.

— Ja tam nie wiem. Niektórzy uważają, że im niczego nie brakuje. Mają cicho i ciepło i nie muszą nic robić poza braniem udziału w tych seansach hipnotycznych. — Spojrzał ponuro na bezludne lotnisko ciągnące się aż do zimnej tundry za horyzontem i podniósł do góry kołnierzyk. — To my tutaj na Matce-Ziemi odwalamy całą robotą w tej zakazanej dziurze. Gdybyście, doktorze, ogłaszali jakiś nowy zaciąg do służby kosmicznej, pamiętajcie o mnie.

Francis zmusił się do uśmiechu, po czym wszedł do budynku biurowego. Przy stołach roboczych siedzieli urzędnicy. Każdy z nich nosił imię jednego z członków załogi statku i prowadził zapis wszystkich jego testów psychometrycznych i programów warunkujących. Inne diagramy, których kopie rozlepiał właśnie rano na statku Matthias Granger, były to rozkłady dyżurów.

W gabinecie pułkownika Chalmersa Francis rozsiadł się w cieple, zadowolony, zdając sprawę z najważniejszych obserwacji poczynionych tego dnia.

— Chciałbym, Paul, żebyś tak mógł tam wejść i trochę wśród nich pobyć — zakończył. — Podglądanie za pomocą kamery telewizyjnej to nie to samo. Powinieneś z nimi porozmawiać, zmierzyć się z takimi ludźmi jak Granger i Peters.

— Masz rację, to wspaniali ludzie, tak jak i reszta, szkoda, że się tam marnują.

— Kiedy oni się wcale nie marnują — odparł z naciskiem Francis. — Każda najdrobniejsza informacja dzięki nim zdobyta będzie na wagę złota, kiedy wyruszą pierwsze statki kosmiczne. — Zignorował ciche „Jeśli w ogóle kiedykolwiek wyruszą” Chalmersa i podjął: — Martwię się trochę Zenną i Ablem. Może byłoby dobrze przyspieszyć termin ich ślubu. Wiem, że to wywoła zdziwienie, ale dziewczyna jest tak samo dojrzała teraz, mając lat piętnaście, jak będzie za cztery lata, a może mieć dobry wpływ na Abla, uspokajający, przestanie tyle myśleć.

Chalmers z powątpiewaniem potrząsnął głową.

— Sam pomysł niby nie jest zły, ale piętnastoletnia dziewczynka z szesnastoletnim chłopakiem?… Czy ty sobie wyobrażasz, Roger, jaką wywołasz burzę? Organizacyjnie są pod kuratelą sądową i wszystkie stowarzyszenia typu obyczajowego podniosą straszny krzyk.

Francis ze zniecierpliwieniem machnął ręką.

— A czy muszą wiedzieć? Mamy z Ablem poważny kłopot. Chłopak jest za inteligentny.

Sam właściwie doszedł do tego, że Stacja jest pojazdem kosmicznym, tylko nie bardzo to potrafił wyrazić. Teraz kiedy zaczynamy usuwać blokady warunkujące, zechce wiedzieć wszystko. Będzie bardzo trudno nie dopuścić do tego, żeby się domyślił, o co chodzi, zwłaszcza przy naszym niechlujstwie. Widziałeś może ten cień na monitorze? Mamy cholerne szczęście, że Peters nie dostał ataku serca.

Chalmers skinął głową. — Podkręcę ich, Roger. Ale czasem może się zdarzyć błąd. Pamiętaj o tym, jak strasznie marzną chłopcy pracujący na zewnątrz kopuły. I nie zapominaj, że oni są równie ważni, jak ci wewnątrz.

— Oczywiście. A najgorsze w tym wszystkim jest to, że nasz budżet już zupełnie nie odpowiada obecnym potrzebom. Przecież rewiduje się go raz na pięćdziesiąt lat. Może by tak generał Short zainteresował nami czynniki oficjalne, wywalczył dla nas jakieś korzystniejsze warunki. Sprawia wrażenie obrotnego. — Chalmers zrobił powątpiewającą minę, ale Francis ciągnął dalej: — Nie wiem, czy to może taśmy się zużyły, ale warunkowanie negatywne nie działa już tak jak dawniej. Będziemy musieli prawdopodobnie w ogóle je ograniczyć. Zacząłem już od tego, że przyspieszyłem szkolenie Abla.

— Właśnie. Obserwowałem cię na ekranie. Chłopcy z obsługi, tu obok, są wykończeni. Paru z nich jest tak samo w gorącej wodzie kąpanych jak ty, Roger. Programują już na trzy miesiące naprzód. Stanowi to dla nich ogromne obciążenie. Powinieneś jednak porozumiewać się ze mną przed podejmowaniem takich decyzji. Stacja nie jest twoim prywatnym laboratorium.

Francis przyjął wymówkę. Powiedział niepewnie: — Byłem w sytuacji bez wyjścia, przepraszam. Nie miałem wyboru.

Chalmers delikatnie, ale konsekwentnie nie dawał za wygraną.

— Wcale nie jestem taki pewny. Wydaje mi się, że przeholowałeś z tą swoją dalekowzrocznością. Dlaczego mieszasz się w nie swoje sprawy i mówisz chłopakowi, że nigdy nie wyląduje na planecie? To tylko wzmaga poczucie izolacji i utrudni nam sytuację, gdybyśmy się zdecydowali skrócić podróż.

Francis spojrzał zaskoczony.

— Ale to chyba nie wchodzi w grę?

Chalmers milczał zamyślony.

— Roger, proszę cię, nie angażuj się za bardzo w tę sprawę. Powtarzaj sobie: „Oni nie lecą na Alfa Centauri. Są tu na Ziemi i jeśli rząd uzna za stosowne, jutro zostaną wypuszczeni”. Wiem, że musiałby to zatwierdzić parlament, ale to tylko formalność. Zaczęliśmy ten eksperyment pięćdziesiąt lat temu i sporo wpływowych

osób jest zdania, że sprawa zaszła już za daleko. Od kiedy kolonie na Marsie i Księżycu nie zdały egzaminu, ograniczono eksperymenty kosmiczne.

Uważają, że wyrzuca się pieniądze dla przyjemności kilku sadystycznych psychologów.

— Wiesz przecież, że to bzdura — odparł Francis. — Może jestem trochę w gorącej wodzie kąpany, ale naprawdę cały eksperyment jest prowadzony bardzo skrupulatnie. Jeśli masz zamiar wysłać kilkanaście osób w podróż do Alfy Centauri, obliczoną na kilka pokoleń, trudno wyobrazić sobie lepszą metodę, jak właśnie powtórzenie każdego szczegółu tu na Ziemi, do najdrobniejszego mrugnięcia czy kichnięcia włącznie. Gdybyśmy wiedzieli wcześniej to, co wiemy teraz, kolonie na Marsie i Księżycu z pewnością by nie przepadły.

— To prawda. Tyle że nie o tym mówimy. Czy nie rozumiesz, że kiedy podróże kosmiczne stały się modne, idea małej grupki osób zamkniętej w pojeździe na sto lat cieszyła się ogólną aprobatą, zwłaszcza wśród pierwszych ochotników. Ale teraz, kiedy zainteresowanie osłabło, większość, uważa, że jest coś nieprzyzwoitego w tym maleńkim ludzkim zoo, i to, co zaczęło się jako wielka przygoda w stylu Kolumba, stało się upiornym żartem. W pewnym sensie nauczyliśmy się zbyt wiele — różnice społeczne wśród trzech rodzin to element niekorzystny dla eksperymentu.

Drugi to całkowita łatwość, z jaką nimi manewrowaliśmy zmuszając ich do wierzenia we wszystko, co nam jest na rękę. — Chalmers przechylił się ponad biurkiem. — Mówiąc między nami, Roger, generał Short tylko po to został mianowany, żeby zwinąć cały ten interes. To może potrwać jeszcze lata, ale w końcu musi do tego dojść, uprzedzam cię. I najważniejsze w tej chwili to wyciągnąć stamtąd tych ludzi.

Francis gapił się ponuro na Chalmersa.

— Czy ty rzeczywiście w to wierzysz?

— Tak, Roger. I mówiąc szczerze, nie powinniśmy w ogóle zaczynać tego eksperymentu.

Nie wolno tak z ludźmi igrać, jak my to robimy — pomyśl o tych ciągłych seansach hipnotycznych, o kojarzeniu dzieci na siłę. Popatrz, przecież ty sam jeszcze pięć minut temu zupełnie poważnie chciałeś połączyć ślubem parę nastolatków po to tylko, żeby przestały myśleć. Cała ta historia jest poniżająca z punktu widzenia ludzkiej godności. Pomyśl o tych wszystkich ograniczeniach wynikłych z warunkowania, o wzrastającej introspekcji — przecież Peters i Granger po dwa, trzy tygodnie nie mają do kogo ust otworzyć — o tym, że życie w Stacji stało się dla nich znośne jedynie dzięki temu, że zupełnie obłędną sytuację przyjęli za normalną. Uważam, że reakcja przeciwko eksperymentowi jest zdrowa.

Francis patrzył na kopułę. Właśnie grupa ludzi ładowała do tak zwanego zsypu żywnościowego tak zwane „produkty prasowane" (notabene mrożonki z pozdzieranymi etykietami). Nazajutrz rano, kiedy Baker z żoną wybiorą z zestawu odpowiednie menu, artykuły żywnościowe zostaną dostarczone natychmiast z rzekomego magazynu na statku. Francis zdawał sobie sprawę, że dla niektórych cały ten eksperyment jest jednym wielkim oszustwem.

Powiedział cicho: — Ci, co się zgłosili na ochotnika, ponoszą dobrowolnie tę ofiarę i przyjmują wszystko, co z tego wynika. W jaki niby sposób Short ma zamiar ich wypuścić? Po prostu otworzy drzwi i zagwiżdże?

Chalmers uśmiechnął się ze znużeniem.

— On nie jest idiotą, Roger. Tak samo mu zależy na tych ludziach jak i tobie. Połowa załogi, zwłaszcza starsi, zwariują w ciągu pięciu minut. Ale niesłusznie czujesz się zawiedziony, eksperyment okazał się w pełni owocny.

— Nie okaże się owocny, dopóki oni nie „wyładują". Gdyby go teraz przerwać, oznaczałoby to naszą klęskę, nie ich. Trudno operować argumentami, że jest okrutny czy nieprzyjemny. Tym czternastu osobom w kopule winni jesteśmy kontynuowanie lotu.

Chalmers popatrzył na niego poważnie.

— Czternastu? Chciałeś raczej powiedzieć trzynastu. Chyba że sam zostajesz w kopule, co, doktorze?

Statek przestał się obracać. Siedząc przy swoim biurku w Dowództwie i planując ćwiczenia przeciwpożarowe na dzień następny, Abel zauważył nagły brak ruchu. Cały ranek spacerując wokół statku — przestał już używać terminu Stacja — czuł jakąś wewnętrzną siłę, która ciągnęła go ku ścianie, jak gdyby miał jedną nogę krótszą.

Kiedy wspomniał o tym ojcu, Granger powiedział po prostu: — Za statek odpowiada kapitan Peters. W sprawach nawigacji trzeba się zwracać do niego.

Taka rada nie miała już dla Abla żadnego znaczenia. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy jego umysł atakował zaciekle wszystko, co go otaczało, sondując, analizując, badając każdy element życia na Stacji. Ogromny zasób terminów abstrakcyjnych i skojarzeń, niegdyś eliminowanych, tkwił w jego podświadomości, utajony, i żadna siła nie zdołałaby już teraz Abla powstrzymać przed wykorzystaniem go.

W jadalni podczas posiłków zadręczał Matthewa Petersa pytaniami o tor lotu statku, o wielką parabolę, którą zmierzali ku Alfie Centuari.

— A co z prądami wbudowanymi w statek? — pytał. — Ruch obrotowy miał wyeliminować bieguny magnetyczne powstałe w czasie budowy statku. Jak sobie z tym dajecie radę?

Matthew był zaskoczony.

— Właściwie to nie wiem. Prawdopodobnie instrumenty są regulowane automatycznie. — Na widok sceptycznego uśmiechu Abla wzruszył ramionami. — Ojciec się w tym wszystkim orientuje.

W każdym razie nie ulega wątpliwości, że trzymamy kurs. — Miejmy nadzieję — wymamrotał Abel sotto voce. Im więcej wypytywał kolegę o urządzenia nawigacyjne, które Matthew obsługiwał razem z ojcem, tym bardziej oczywiste stawało się dla niego, że dokonują jedynie bardzo prostych przeglądów instrumentów, a ich rola ogranicza się do wymiany przepalonych światełek sygnalizacyjnych. Większość przyrządów była automatyczna i Abel wcale nie miał pewności, czy oni przypadkiem nie gapią się po prostu na wypchane pakułami szafki.

Toby dopiero było!

Uśmiechając się do siebie, Abel doszedł do wniosku, że trafił w dziesiątkę. Istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że powierzono nawigację załodze, skoro najmniejszy błąd mógł oznaczać utratę kontroli nad statkiem i spowodować zderzenie z jakąś gwiazdą. Budowniczowie statku musieli dobrze zabezpieczyć i ukryć wszystkie automatyczne urządzenia nawigacyjne, pozostawiając załodze jedynie najprostsze czynności typu porządkowego, by stworzyć w ten sposób złudzenie, że to oni prowadzą statek.

Na tym właśnie polegała cała tajemnica Stacji. śadnej z ról nie można było traktować poważnie. Codzienne układanie drobiazgowego planu zajęć, co do minuty, które należało do obowiązków Abla i jego ojca, było jedynie dobieraniem różnych wariantów z góry ustalonego programu. Tych odchyleń była niezliczona ilość, ale przecież fakt, że mógł wysłać Matthewa Petersa do jadalni o dwunastej zamiast o wpół do pierwszej, nie stanowił o jakimkolwiek jego wpływie na życie przyjaciela. Programy wzorcowe, drukowane przez komputery, zawierające wybrane przez maszynę menu, rozkład ćwiczeń przeciwawaryjnych i pauz rekreacyjnych oraz listę osób, według której należało obsadzać dyżury, z rezerwą dwóch czy trzech nazwisk na wypadek czyjejś choroby, nie pozostawiały Ablowi praktycznie żadnej swobody działania.

Pewnego dnia, obiecywał sobie chłopak, nie zaprogramuje dla siebie sesji warunkujących.

Jak się inteligentnie domyślał, warunkowanie blokowało znaczną ilość ciekawych informacji wyłączając połowę jego umysłu. Było w statku coś takiego, co nasuwało przypuszczenie, że kryje się w tym wszystkim coś więcej niż…

— Cześć, Abel, nad czym tak myślisz? — Doktor Francis usiadł koło niego. — Co cię trapi?

— Obliczałem właśnie jedną rzecz — wyjaśnił Abel pospiesznie. — Niech mi pan powie: przyjmując, że każdy członek

załogi zużywa około trzech funtów żywności niewtórnej dziennie, czyli z grubsza pół tony rocznie, cały ładunek musiałby wynosić około 800 ton, nie licząc żadnej rezerwy potrzebnej po wylądowaniu. Z tego wynika, że na statku powinno być co najmniej 1500 ton. To duże obciążenie. — Ale nie w liczbach bezwzględnych, Abel. Stacja jest zaledwie niewielką cząstką całego statku. Główne reaktory, zbiorniki paliwa i magazyny ważą w sumie 30 000 ton.

Stąd się bierze siła grawitacyjna, która utrzymuje cię na podłodze. Abel wolno potrząsnął głową.

— Chyba nie, doktorze, przyciąganie musi być wynikiem gwiezdnych pól grawitacyjnych; w przeciwnym razie waga statku musiałaby wynosić około 6×1020 ton.

Doktor Francis przyglądał się Ablowi z namysłem, świadom, że młody człowiek przyparł go do muru. Liczba, którą wymienił, była bliska masy Ziemi.

— To bardzo skomplikowane zagadnienia, Abel. Ja bym sobie na twoim miejscu nie zawracał tym głowy. Mechanika gwiezdna to sprawa kapitana Petersa.

— Nie mam zamiaru włazić na jego podwórko — zapewnił go Abel. — Chcę się po prostu trochę dokształcić. (Czy nie uważa pan, że warto w tym celu złamać nawet do pewnego stopnia przepisy? Byłoby na przykład ciekawie zbadać skutki stałej izolacji. Można by wybrać małą grupkę osób, poddać ją jakimś sztucznym bodźcom czy nawet ściśle odizolować od reszty załogi i uwarunkować psychicznie tak, żeby wierzyły, że są znów na Ziemi. Byłby to bardzo cenny eksperyment, doktorze.

Czekając w sali konferencyjnej, aż generał Short zakończy swoje przemówienie inauguracyjne, Francis powtarzał sobie w myśli ostatnie zdanie Abla, zastanawiając się, co by chłopak, ze swoim bezgranicznym entuzjazmem, powiedział na krąg tych ponurych, zrezygnowanych twarzy wokół stołu.

— …przykro mi tak samo, jak i wam, panowie, że musimy poniechać eksperymentu, teraz jednak, kiedy Departament Kosmosu podjął tę decyzję, naszym obowiązkiem jest zastosować się do niej. Oczywiście nasze zadanie nie będzie, łatwe. Należy wycofywać się etapami i przystosowywać załogę stopniowo tak, żeby ich powrót na Ziemię miał charakter łagodnego lądowania ze spadochronem. — Generał był energicznym mężczyzną po pięćdziesiątce, krzepkim, o ostrych rysach, ale łagodnych oczach. Zwrócił się do doktora Kersha, odpowiedzialnego za sprawy wyżywienia i zdrowia na Stacji. — Z tego, co pan mi mówi, doktorze, wynika, że możemy nie mieć tyle czasu, ile byśmy sobie życzyli. Wygląda na to, że z tym Ablem są rzeczywiście problemy.

Kersh uśmiechnął się.

— Słyszałem, jak w jadalni mówił do doktora Francisa, że chciałby przeprowadzić eksperyment z małą grupką osób wybranych spośród załogi. Próba na odosobnienie, wyobraża sobie pan. Obliczył, że dwuosobowe załogi traktorów mogłyby działać w odosobnieniu do dwóch lat, kiedy zaczną się pierwsze wyprawy eksploracyjne.

Kapitan Sanger, mechanik, dodał: — On próbuje także bojkotować sesje warunkujące. Ma pod słuchawkami podkładki z gumy piankowej, dzięki czemu traci około 90 % poddźwięków. Zauważyliśmy to, kiedy taśma elektroencefalografu nie wykazała fal alfa. Z początku myśleliśmy, że to uszkodzenie kabla, ale kiedy sprawdziliśmy na monitorze, okazało się, że ma oczy otwarte. Po prostu nie słuchał.

Francis bębnił palcami po stole.

— To i tak było bez znaczenia. Ten program z poddźwiękami to była lekcja matematyki — czterocyfrowy układ antylogarytmów.

— Może lepiej, że to stracił — roześmiał się Kersh. — Prędzej czy później zorientuje się, że kopuła porusza się po orbicie eliptycznej dziewięćdziesiąt trzy miliony mil odległej od czerwonej gwiazdy klasy spektralnej G0.

— A co pan na to bojkotowanie ćwiczeń warunkujących, doktorze Francis? — zapytał Short.

Kiedy Francis niezdecydowanie wzruszył ramionami, dodał: — Myślę, że trzeba się tą sprawą zająć poważnie. Od dzisiaj będziemy ściśle przestrzegali programu.

Francis odrzekł apatycznie: — Abel sam podejmie warunkowanie. Nie ma potrzeby nic robić. Bez codziennego normalnego kontaktu poczuje się wkrótce zagubiony. Ćwiczenia z poddźwiękami opierają się na elementach głosu jego matki; kiedy przestanie je słyszeć, straci równowagę psychiczną, będzie się czuł kompletnie opuszczony.

Short wolno skinął głową.

— Miejmy nadzieję. — Następnie zwrócił się do doktora Kersha: — Doktorze, czy mógłby pan z grubsza powiedzieć, ile czasu potrzeba na zorganizowanie ich powrotu? Biorąc pod uwagę, że należy im dać całkowitą swobodę i że każdy z nich będzie musiał udzielić przynajmniej setki wywiadów dla telewizji i prasy z całego świata.

Kersh starannie dobierał słowa.

— Oczywiście to musi potrwać lata, generale. Trzeba będzie zrewidować wszystkie programy warunkujące i… może jako punkt zwrotny upozorować zderzenie z meteorem… No cóż… plus minus trzy do pięciu lat. Może więcej.

— Dobra. A pan co o tym sądzi, doktorze Francis?

Francis obracał w rękach suszkę, chciał potraktować problem poważnie.

— Nie mam pojęcia. Zorganizować ich powrót. Co pan właściwie

ma na myśli, generale?

Zorganizować powrót czyj? Zirytowany warknął: — Sto lat.

Przy stole rozległy się chichoty i Short uśmiechnął się do niego nie bez sympatii. — To o pięćdziesiąt lat więcej, niż miał trwać sam eksperyment, doktorze. Trochę pan przesadził.

Francis potrząsnął głową. — Pan się myli, generale. Pierwotny projekt przewidywał, że mają dotrzeć na Alfę Centauri.

Nie było ani słowa o powrocie. — Śmiechy ucichły, a Francis był wściekły na siebie za swoją głupotę; zadzieranie z generałem nie pomoże ludziom ze Stacji.

Ale Short nie robił wrażenia urażonego.

— W porządku, wiadomo, że to musi potrwać. — I spoglądając na Francisa dodał dobitnie: — Mamy na względzie dobro kobiet i mężczyzn na statku, a nie nasze; jeżeli potrzeba na to stu lat, to będzie sto lat, ani roku mniej. Czy pan wie, że szefowie z Departamentu Kosmosu myślą o piętnastu latach? Co najmniej. — Przy stole dało się zauważyć ożywienie. Francis przyglądał się Shortowi zdumiony. W ciągu piętnastu lat wiele może się zmienić, może znów wzrosnąć zainteresowanie opinii publicznej Kosmosem.

— Departament zaleca kontynuowanie eksperymentu, z pewnymi niezbędnymi cięciami budżetu. Zawrócenie statku na początek. Należy teraz wzbudzić w załodze przekonanie, że są w drodze powrotnej, że ich misja polegała na rekonesansie i że lecą ku Ziemi z niezwykle ważnymi informacjami. Kiedy wysiądą ze statku, będą traktowani jak bohaterowie i łatwo się pogodzą z odmiennością otaczającego ich świata. — Short popatrzył po obecnych w oczekiwaniu odpowiedzi.

Kersh niepewnie spoglądał na swoje ręce, a Sanger i Chalmers bezmyślnie bawili się suszkami.

Zanim zdążył podjąć, Francis wziął się w garść. Zdawał sobie sprawę, że jest to ostatnia szansa na uratowanie eksperymentu. Niezależnie od tego, jak dalece inni nie zgadzali się z Shortem, nie odważyliby się z nim dyskutować.

— Obawiam się, generale, że tego się nie da zrobić — powiedział — chociaż doceniam dalekowzroczność Departamentu i pana życzliwe podejście do sprawy. Plan, który pan przedstawił, wydaje się sensowny, ale w życiu nie może zdać egzaminu. — Wyprostował się na krześle; mówił w sposób opanowany, precyzyjnie formułując myśli. — Generale, tym ludziom od wczesnego dzieciństwa wpajano, że są odizolowaną grupą, która nigdy nie będzie się stykała z innymi. Tkwi to w ich podświadomości, w samym ich systemie nerwowym. Nikt na świecie dla nich nie istnieje; neuronową podstawą ich rzeczywistości jest odosobnienie. Nigdy nie zdoła ich pan przestawić psychicznie na tyle, żeby wywrócić ich wszechświat do góry nogami, tak samo, jak nie nauczy pan ryby fruwać. Jeśli naruszy pan

równowagę ich elementarnych predyspozycji psychicznych, wywoła to tak silne kompleksy, jakie zdarzają się mańkutom, których usiłuje się przestawić na praworęczność.

Francis spoglądał na doktora Kersha, który z aprobatą kiwał głową. — Niech mi pan wierzy, generale, że wbrew wyobrażeniom, naturalnym zresztą, pana i Departamentu Kosmosu, ci ludzie wcale nie chcą opuścić kopuły. Gdyby im kazano wybierać, z pewnością woleliby tam zostać, jak złota rybka w swojej szklanej kuli.

Short odpowiedział nie od razu, najwyraźniej od nowa oceniał Francisa.

— Może i pan ma rację, doktorze — przyznał. — Ale co: z tego? Dano nam piętnaście lat, w najlepszym razie dwadzieścia pięć.

— Jest tylko jeden sposób — odparł Francis. — Trzeba kontynuować eksperyment, i to na tych samych zasadach co poprzednio, z jedną tylko różnicą: nie należy pozwolić im się żenić i mieć dzieci. Za dwadzieścia pięć lat będzie żyło tylko obecne młode pokolenie, a za następne pięć lat nie zostanie już nikt. Człowiek żyje w kopule niewiele dłużej niż czterdzieści pięć lat. Około trzydziestki Abel najprawdopodobniej będzie starcem. Kiedy zaczną wymierać, nikt już się nimi nie będzie interesował.

Na jakieś pół minuty zaległa cisza, po czym odezwał się Kersh: — To byłoby chyba najlepsze wyjście, generale. Humanitarne, a przy tym w zgodzie zarówno z pierwotnymi zasadami eksperymentu, jak i z zaleceniami Departamentu Kosmosu. Brak potomstwa będzie jedynie nieznacznym odstępstwem od założonego przez warunkowanie programu. Wzmocniłoby się jeszcze poczucie izolacji tych ludzi i utwierdziło ich w przekonaniu, że nie doczekają lądowania na planecie. Jeżeli poniechamy ćwiczeń pedagogicznych i przestaniemy eksponować sam element lotu kosmicznego, staną się wkrótce małą zamkniętą społecznością nie różniącą się wiele od innych wymierających społeczności.

Przerwał mu Chalmers: — I jeszcze jedna sprawa, generale: byłoby znacznie łatwiej i taniej robić to stopniowo: w miarę jak członkowie załogi będą wymierali, zamykać statek powoli, aż wreszcie zostałby tylko jeden pokład, czy wręcz parę kabin.

Short wstał, podszedł do okna i wyjrzał przez przezroczyste szkło ponad matowymi szybkami na wielką kopułę w hangarze. — To straszliwy pomysł — rzekł. — Szalony. Ale może to rzeczywiście, jak pan twierdzi, jedyne wyjście.

Przemykając się cicho pomiędzy ciężarówkami zaparkowanymi w ciemnym hangarze Francis zatrzymał się na chwilę, żeby spojrzeć na oświetlone okna budynku biurowego. Dwu — czy trzyosobowa nocna zmiana walcząc z sennością obserwowała na ekranach telewizyjnych śpiących mieszkańców kopuły. Francis wychynął z cienia i pobiegł do

statku. Wdrapał się po schodach do włazu mieszczącego się na wysokości trzydziestu stóp. Otworzył zawór zewnętrzny, wśliznął się do środka i zamknął właz za sobą. Następnie otworzył klapę włazu wewnętrznego, odepchnął się i z pojemnika sypialnego wylądował wprost w cichej kabinie.

Mdłe światełko rozjaśniało ekran telewizyjny, na którym widać było trzech dyżurnych w Sterowni. Siedzieli spowici w obłok dymu papierosowego, rozparci wygodnie w odległości jakichś sześciu stóp od kamery.

Francis nastawił głośniej, a następnie zastukał mocno pięścią w mikrofon.

Zaspany, w nie zapiętej piżamie, pułkownik Chalmers nachylił się do ekranu, a dyżurni tuż za nim.

— Wierz mi, Roger, niczego nie udowodniłeś. Generał Short i Departament Kosmosu nie cofną swojej decyzji teraz, kiedy wyszła specjalna ustawa. — Ponieważ Francis miał w dalszym ciągu minę sceptyczną, dodał: — Naraziłbyś ich tylko.

— Zaryzykuję — odparł Francis. — Zbyt wiele obietnic już złamano w przeszłości. Tu będę mógł przynajmniej wszystkiego dopilnować. — Starał się być chłodny, opanowany; kamery filmowe zarejestrują tę scenę, więc zrobienie właściwego wrażenia miało kolosalne znaczenie. Komu jak komu, ale generałowi Shortowi będzie zależało na uniknięciu skandalu. Jeśli uzna, że Francis nie będzie sabotował tego projektu, najprawdopodobniej zostawi go w kopule.

Chalmers, poważny, przysunął się z krzesłem.

— Nie spiesz się, Roger, i przemyśl wszystko jeszcze raz. Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jaki możesz wprowadzić zamęt. Pamiętaj, że nie ma nic łatwiejszego, jak cię stamtąd wyciągnąć — przecież ten zardzewiały kadłub przetnie dziecko tępym otwieraczem do puszek.

— Nie radzę ci tego próbować — ostrzegł go spokojnie Francis. — Przeniosę się na pokład C, więc gdybyś mnie poszukiwał, wszyscy by się dowiedzieli. Wierz mi, nie będę torpedował akcji likwidowania eksperymentu. I nie będę też kojarzył małżeństw nastolatków. Ale myślę, że ludzie na statku mogą mnie potrzebować więcej niż przez osiem godzin dziennie.

— Francis! — wykrzyknął Chalmers. — Jak tam zejdziesz, to już się nigdy stamtąd nie wydostaniesz. Czy nie rozumiesz, że pakujesz się w sytuację zupełnie nieżyciową? świadomie uciekasz w mrzonkę, skazujesz się na podróż bez końca i donikąd!

Francis, zanim zdążył zamknąć telewizor, odpowiedział krótko: — Nie donikąd, pułkowniku, na Alfę Centauri.

Francis z ulgą usiadł na wąskiej koi w swojej kabinie. Postanowił odpocząć chwilę, zanim pójdzie do jadalni. Cały dzień był zajęty — przygotowywał dla Abla taśmy perforowane i bolały go już oczy od

patrzenia na tysiące drobniutkich dziureczek, które wykonywał własnoręcznie. Siedział bez przerwy osiem godzin w małej izolatce, z elektrodami przyczepionymi do piersi, kolan i łokci, a Abel mierzył mu tętno i oddech.

Pomiary te nie miały nic wspólnego z dziennymi programami, które Abel opracowywał teraz dla ojca, i Francis z trudem tylko zdobywał się na cierpliwość. Początkowo Abel sprawdzał jego zdolność wykonywania określonego zestawu poleceń, w wyniku czego otrzymywali nieskończoną funkcję wykładniczą, a następnie cyfrową wartość n do tysiącznego miejsca po przecinku. W końcu wymusił na Francisie wzięcie udziału w znacznie trudniejszym teście — chodziło mianowicie o uzyskanie zupełnie przypadkowego ciągu liczb. Ilekroć doktor nieświadomie powtarzał jakiś ciąg uporządkowany, co zdarzało się zwykle, kiedy był zmęczony czy znużony, albo też fragment jakiegoś większego ciągu, komputer, który kontrolował jego pracę, włączał sygnał alarmowy na biurku i Francis musiał zaczynać od nowa. Po kilku godzinach brzęczyk buczał co dziesięć sekund jak utrapiony owad. Tego dnia doktor, uwikłany w przewody, doczłapał jakoś do drzwi i ku swemu wielkiemu zaniepokojeniu stwierdził, że są zamknięte (jakoby po to, żeby ekipa przeciwpożarowa nie przeszkodziła w doświadczeniu). Przez mały otwór w tychże drzwiach zobaczył, że komputer w sąsiednim pomieszczeniu pracuje bez żadnego dozoru.

Kiedy wreszcie łomotanie Francisa dotarło na koniec drugiego laboratorium, gdzie właśnie przebywał Abel, chłopak był dosłownie wściekły na doktora, że przerywa eksperyment.

— Do pioruna! Przecież dziurkuję te taśmy już od trzech tygodni. — Francis łypnął spode łba na Abla, który właśnie odłączał przewody bezceremonialnie zrywając mu plastry. — Ciągi przypadkowe to nie taka prosta sprawa. Zaczynam tracić poczucie rzeczywistości. — (Czasem zastanawiał się, czy Abel po cichu na to nie liczy). — Należy mi się chyba wdzięczność.

— Ale przecież test miał trwać trzy dni, doktorze — wypomniał mu Abel. — Najcenniejsze wyniki otrzymuje się właśnie pod koniec. Interesujące są błędy, które pan popełnia. W tej sytuacji cały eksperyment traci sens.

— On i tak jest najprawdopodobniej bez sensu. Niektórzy matematycy utrzymują, że ciąg przypadkowy nie da się zdefiniować.

— Ale przyjmijmy, że to możliwe — upierał się Abel. — Robiliśmy przecież ćwiczenia, zanim zaczęliśmy na liczbach pozaskończonych.

Tu Francis się zbuntował.

— Bardzo cię przepraszam, Abel. Może ja już nie jestem taki sprawny jak dawniej. A zresztą mam swoje obowiązki, których nie

mogę zaniedbywać. — One panu wiele czasu nie zajmą, doktorze. Mówiąc między nami, nic pan właściwie nie ma do roboty.

Francis musiał przyznać, że Abel ma rację. W ciągu tego roku, który spędził w kopule, Abel w znacznym stopniu usprawnił dzienny rozkład zajęć zapewniając im obydwóm mnóstwo wolnego czasu, zwłaszcza że doktor nie chodził na zajęcia warunkujące (bał się głosów poddźwiękowych, a Chalmers i Short okazali się bardzo, może nawet nadmiernie wyrozumiali). życie w kopule było dla Francisa znacznie bardziej wyczerpujące, niż przypuszczał.

Codzienna rutyna, brak rozrywek, zwłaszcza typu intelektualnego — na statku w ogóle nie było książek — wszystko to sprawiło, że coraz trudniej było mu zachować dawną pogodę. Zaczął popadać w koszmarną apatię, której poddała się większość załogi. Matthias Granger, zamknięty w swojej kabinie, szczęśliwy, że może zwalić całe programowanie na Abla, spędzał czas na majstrowaniu przy zepsutym zegarze; dwaj Petersowie też prawie nie wychodzili ze sterowni. Kobiety nie udzielały się zupełnie — zajęte wyłącznie robótkami na drutach i plotkami. Dni płynęły szare i monotonne. Czasem Francis powtarzał sobie z goryczą: „A przecież chwilami niemal wierzyłem, że lecimy na Alfę Centauri. Ale byśmy zrobili numer generałowi Shortowi”.

O wpół do siódmej, kiedy poszedł na wieczorny posiłek, okazało się, że jest piętnaście minut spóźniony.

— Terminy pana posiłków zostały dziś po południu zmienione — powiedział mu Baker zamykając okienko. — Nic dla pana nie mam.

Francis zaczął go beształ, ale mężczyzna był nieugięty.

— Przecież nie będę specjalnie chodził do magazynu dlatego tylko, że nie chciało się panu przeczytać dziennego rozkładu zajęć, doktorze.

Wychodząc Francis natknął się na Abla i usiłował go skłonić, żeby odwołał to zarządzenie.

— Mogłeś mnie chociaż uprzedzić, Abel. Całe popołudnie siedziałem uwięziony w tej swojej cholernej aparaturze.

— Ale przecież był pan już u siebie, doktorze — gładko odparował Abel. — Po drodze z laboratorium ma pan trzy biuletyny. Niech pan nie zapomina, że trzeba je czytać. Zawsze w ostatniej chwili mogą się zdarzyć jakieś zmiany. Obawiam się, że będzie pan musiał teraz czekać do wpół do jedenastej.

Francis wrócił do swojej kabiny podejrzewając, że ta nagła zmiana to zemsta Abla za przerwanie eksperymentu. Musi być trochę bardziej ustępliwy; inaczej chłopak zamieni mu życie w piekło, zagłodzi go po prostu na śmierć. A ucieczka z kopuły była w tej chwili wykluczona — każdy kto by wszedł nie upoważniony do urządzenia pozorującego kosmos, dostawał z miejsca dwadzieścia lat.

Po godzinnym odpoczynku, o ósmej, udał się na Pokład B — do jego obowiązków należało sprawdzanie zaworów ciśnieniowych znajdujących się koło ekranu meteorytowego. Zawsze skrupulatnie udawał, że odczytuje dane: złudzenie uczestniczenia w locie kosmicznym, które w sobie starannie podsycał, sprawiało mu przyjemność.

Zawory były zamontowane w punktach kontrolnych rozmieszczonych co dziesięć jardów wzdłuż przesmyku, który wąską obręczą obejmował korytarz główny. Sam wśród tykających i trzaskających mechanizmów czuł się dobrze na statku kosmicznym.

— Ziemia sama krąży wokół Słońca — rozmyślał sprawdzając zawory — a cały układ słoneczny zmierza z szybkością czterdziestu mil na sekundę do konstelacji Liry. Problem intensywności złudzenia jest skomplikowany. Coś przerwało jego rozważania.

Zegar ciśnienia zaczął lekko drgać. Igła wahała się pomiędzy 0,001 a 0,0015 psi. Ciśnienie wewnątrz kopuły lekko przekraczało atmosferyczne, co umożliwiało wydalanie kurzu przez przypadkowe szczeliny (jakkolwiek główna rola zaworów ciśnieniowych polegała na tym, by w razie uszkodzenia statku wymagającego napraw wewnętrznych przenieść załogę bezpiecznie do awaryjnych pojemników odpornych na próżnię).

Na moment ogarnęła Francisa panika — bał się, że Short mimo wszystko po niego przyszedł — odczyt bowiem, choć nieznacznie odbiegający od normy, wskazywał na jakąś szczelinę w kadłubie. Następnie wskazówka wróciła do zera, a w korytarzu radialnym pod kątem prostym za następną grodzią rozległy się kroki.

Doktor pospiesznie ukrył się w cieniu grodzi. Stary Peters przed śmiercią spędzał sporo czasu włócząc się tajemniczo po korytarzu i najprawdopodobniej majstrując jakąś prywatną skrytkę na żywność za jedną z rdzewiejących płytek poszycia.

Kiedy kroki przecinały korytarz, Francis wychylił się nieco.

— Abel?

Patrzył, jak młody człowiek ginie mu z oczu na schodkach, po czym ruszył korytarzem radialnym obmacując stalowoszare poszycie w poszukiwaniu ruchomej płytki. Do zamykającej korytarz ściany przylegała mała budka przeciwpożarowa.

Na podłodze tej budki leżał kosmyk białych włosów.

Włókno azbestowe! Francis wszedł do budki i w ciągu kilku sekund znalazł ruchomą płytkę z przerdzewiałymi nitami dziesięć na sześć cali, która łatwo ustąpiła. Tuż za nią była ściana zewnętrzna, a w niej taka sama ruchoma płytka, przytrzymana prymitywnym haczykiem.

Francis zawahał się, po czym uniósł haczyk i odchylił płytkę.

Patrzył w tej chwili prosto w hangar!

Na dole w świetle dwóch reflektorów wyładowywano ze stojących szeregiem ciężarówek na betonową podłogę żywność. Jakiś sierżant wykrzykiwał do. brygady operacyjnej polecenia. Na prawo widać było budynek biurowy, a w nim Chalmersa i całą nocną zmianę.

Okienko znajdowało się dokładnie pod schodami, które zasłaniały je przed wzrokiem ludzi w hangarze. Azbest został nieznacznie uszkodzony, tak że w dalszym ciągu maskował ruchomą płytkę, a druciany haczyk zardzewiał jak reszta kadłuba i Francis ocenił, że okienko było używane od jakichś trzydziestu-czterdziestu lat.

Niewątpliwie stary Peters regularnie przez nie wyglądał i wiedział doskonale, że statek to czysta fikcja. Mimo to jednak pozostał na pokładzie, zdając sobie sprawę, że wyjawienie prawdy byłoby dla innych potwornym wstrząsem. A może wolał być kapitanem fikcyjnego statku kosmicznego, niż go opuścić i stać się przedmiotem sensacji.

Najprawdopodobniej podzielił się z kimś swoim sekretem. Ale nie z własnym ponurym, małomównym synem; raczej z kimś innym, kto obdarzony żywą inteligencją, nie tylko dochowałby tajemnicy, ale potrafiłby zrobić z niej użytek. Z sobie tylko wiadomych powodów ten ktoś również wybrał życie w kopule, zdając sobie widocznie sprawę, że wkrótce sam zostanie kapitanem i będzie mógł swobodnie prowadzić swoje eksperymenty z psychologu stosowanej.

Mógł się nawet nie domyślić, że Francis nie jest prawdziwym członkiem załogi. Ale jego całkowite opanowanie programowania, spadek zainteresowania nawigacją i nonszalancja w sprawach dotyczących bezpieczeństwa — wszystko to mogło oznaczać tylko jedno: Abel wiedział!

Przełożyła z angielskiego Zofia Uhrynowska

Kirył Bułyczow
Dialog o Atlantydzie

Platon zabrał się do pracy. W tym celu zrobił to, co tak przed nim, jak i po nim robili inni pisarze i uczeni: powiedział niewolnikowi, by w żadnym przypadku nie wzywano go na areopag — nawet jeśli napadną Persowie; potem posłał chłopaka do redakcji z obietnicą oddania rękopisu koło listopada, popatrzył na niebo i przeliczył mewy przyrównując je w myślach do krzykliwych krytyków. Wreszcie zdjął z wysuszonego, zakurzonego papirusu ciężką muszlę i zanurzył pelikanie pióro w kałamarzu z napisem: „Od przyjaciół i współpracowników w dniu trzydziestolecia działalności naukowej i społecznej".

Wtem weszła synowa ze słowami: — Platon, idę do kosmetyczki. Załatwiła mi ją żona Arystotelesa.

— Idź — odparł sucho wielki uczony. Z Arystotelesem miał jeszcze dawne porachunki.

— Ale Krytiasa nie mam z kim zostawić — powiedziała.

— A od czego niewolnicy?

— Dałam im wychodne — powiedziała. — Przecież wiesz, jakie mam miękkie serce.

— No to odłóż wizytę u kosmetyczki — powiedział Platon, z lubością wygładzając papirus.

— Nie mogę — westchnęła synowa. — Ona zna sekret wiecznej młodości. Już ją chcą ściągnąć do Rzymu…

— Do tej podłej mieściny?

— Jedna prorokini powiedziała, że Rzym stanie się stolicą wielkiego cesarstwa.

— Też mi bzdura! — oburzył się Platon. — Twoja prorokini nie ma pojęcia o ekonomice. Rzym leży z dala od szlaków handlowych.

— Więc posiedzisz z Krytiasem? Ja na niedługo…

— A kto będzie za mnie pracować? — Platon zdobył się na beznadziejny sprzeciw.

Synowa wyszła.

Na tarasie pojawił się urwis Krytias. Platon od czasu do czasu przypominał sobie o jego istnieniu, niepokojąc się, czy chłopak nie zleciał ze skały. Odciągnął Krytiasa od balustrady i opowiedział mu bajkę o małym Ikarze, który nie chciał słuchać papy Dedala i utonął.

Krytias podszedł do dziadka, dotknął palcem muszli i powiedział: — Daj mi. Zrobię z niej łódkę i popłynę do Iberii.

— Muszla utonie — odparł Platon. — Każde ciało traci na swoim ciężarze tyle, ile waży wyparta przez nie ciecz. Woda waży taniej niż

muszla.

— Dużo wiesz — powiedział pogardliwym tonem Krytias — iale do wojska cię nie biorą. — To oszczerstwo! — oburzył się Platon. — Walczyłem pod Koryntem!

— Wszystko jedno, dawaj muszlę. A jak nie, to będę krzyczeć, że mnie bijesz.

— Nie mogę. Ona należy do nie znanego nauce gatunku.

— Tym bardziej!

— Ona kryje w sobie wielką tajemnicę. — Tajemnicę? — Krytias zainteresował się. — Opowiedz.

— Bo widzisz… — Platon jakoś nie mógł wymyślić dostatecznie ciekawej tajemnicy. — Bo widzisz… Ta muszla to wszystko, co pozostało po pewnej wielkiej krainie… Gdzie? No, oczywiście… Utonęła w morzu.

Platon odetchnął z ulgą. Pierwszy krok został zrobiony.

— Cała utonęła?

— Cała.

— Dlaczego?

— To było bardzo dawno — Platon na próżno żywił nadzieję, że odpowiedź zaspokoi ciekawość urwisa.

— Jak tak dawno, to skąd ty to wiesz?

— Opowiedział mi o tym jeden kapłan egipski.

— A on skąd?

— Jemu opowiedział dziadek.

— Egipski dziadek?

— Oczywiście, egipski.

— A co mu opowiedział dziadek?

Krytias rzucił wyzwanie wyobraźni Platona. Uczony nie lubił się poddawać: — Opowiedział mu o tym, jak to bóg Posejdon zakochał się w tutejszej dziewczynie i osiedlił się z nią na wielkiej górze. Urodziło im się pięć par bliźniąt — tak, jak twojej' cioci.

— Ciocia ma tylko jedną parę bliźniąt i one się nie urodziły, tylko przyniósł je bocian.

— Słusznie — zreflektował się Platon. — Posejdonowi też bociany przyniosły te bliźnięta. Całe stado bocianów. Później te bliźnięta zostały królami i rządziły po kolei owym krajem.

— Czy oni byli silni?

— Silni. Jak Atlant. Opowiadała ci o nim mama?

— Chłopaki mi opowiadali. On podtrzymuje niebo. Dziadku, a kto podtrzymuje niebo, jak Atlant idzie do klozetu?

Platon zmieszał się. Tego nie wiedział.

— Nieważne — uciął i opowiadał dalej. — Tak oto kraina owa zwała się Atlantyda. — To tam Atlant podtrzymywał niebo?

— Tam, tam…

— A wilków się nie bał?

— Wilków? No, oczywiście, bał się.

— A bliźniacy się bali?

— Krytias, przeszkadzasz mi. Nie przerywaj, bo inaczej wszystko zapomnę.

— Dziadku, a kto to jest sklerotyk?

— Skąd ty znasz to słowo?

— Mama mówiła — Krytias spoglądał niewinnym wzrokiem na dziadka i Platon nie zdecydował się już zapytać go, przy jakiej to okazji matka użyła tego słowa. Podjął więc swoją opowieść: — Oczywiście, Posejdon bał się wilków. Otoczył nawet swoją górę kanałem, taką zamkniętą w koło rzeką, żeby wilk nie zjadł jego bliźniaków…

— A jeśliby wilk przeskoczył rzekę?

— Więc zrobił jeszcze jeden kanał.

— A jeśli wilk…

— Więc zrobił jeszcze jeden kanał! I przestań mi wreszcie przerywać!

Niezauważalnie dla samego Platona ta historia pochłonęła go. Od dawna interesował się problemem idealnego ustroju społecznego. Wyłożył więc Krytiasowi swoje poglądy na społeczno— ekonomiczną strukturę Atlantydy, nie zauważając, że chłopcu już dawno się to znudziło i bawi się drogocenną muszlą.

— I wtedy oto — zakończył swoje opowiadanie Platon — bogowie rozeźlili rsię wielce i nasłali na Atlantydę wybuch wulkanu, potop i inne klęski. Powinienem był ci powiedzieć, chłopcze, że osobiście pesymistycznie odnoszę się do perspektywy stworzenia idealnego państwa… Tak więc, pewnego pięknego dnia rozległo się „Bach!”

— Bach! — wesoło zakrzyknął spod balustrady Krytias.

Właśnie zrzucił w dół muszlę i cieszył się na widok fontanny rozbryzgów, jaką wzbiła. — Coś ty zrobił?! — Platon zerwał się z miejsca.

— Coś ty zrobił?!

— Puszczaj! Nic nie zostanie z Atlantydy! Pewnie wszystko sobie sam wymyśliłeś. Trzy kanały, pięć par bliźniaków! Jak tak można łgać? I nie bij mnie, bo powiem mamie!

— Nigdy nie biję dzieci — powiedział wielki uczony. — A w ogóle, nie przeszkadzaj mi w pracy. Nie jestem twoją niańką! Jak ci przyłożę rózgą, to wtedy zobaczymy, który z nas ma sklerozę! Krytias zrozumiał, że żarty się skończyły, westchnął cicho i poszedł łapać motyle.

Kiedy po godzinie z wydawnictwa przyszedł niewolnik po rękopis, przed Platonem leżał już rulon papirusu, pokryty

niewyraźnym pismem wielkiego człowieka. U nóg filozofa drzemał Krytias. Śnił mu się wielki wilk, skradający się do bliźniąt.

— Weź i każ im wstawić do numeru — powiedział niewolnikowi Platon.

Był już prawie zmierzch, kiedy wróciła synowa. Uczony sam nakarmił i ułożył wisusa spać.

Po wielu latach otyły Krytias mówił swym przyjaciołom i kompanom od butelki: —…I jak ja wtedy nie machnę tej muszli przez balustradę! Stary jęknął tylko: „Stój! W ten sposób nie pozostało nic z Atlantydy!" A ja mu na to: „Siedź cicho, dziadku, ty masz sklerozę". No to on się rozeźlił i napisał o Atlantydzie.

Przyjaciele spoglądali z żalem i politowaniem na Krytiasa. Nie wierzyli w ani jedno jego słowo. Właśnie gotowali statek, którym ruszali na poszukiwanie zaginionego kontynentu.

Przełożył z rosyjskiego Krzysztof W. Malinowski

Zbigniew Prostak
Boja

Roman Krab odczuwał już znużenie. W dole pod nim rozciągał się Pacyfik.

Ciemnoniebieskie o stalowym odcieniu fale przewalały się niespokojnie. Nawet z tej wysokości widać było, że ocean jest wzburzony. Nie był to na szczęście sztorm. Raczej dalekie echo huraganu, któremu przed kilkoma godzinami zszedł z drogi. Wszystko zaczęło się właśnie od tego przeklętego huraganu. Miał spokojny lot. Prowadzili go jak po sznurku. Maszyna spisywała się doskonale. O ściśle określonej godzinie odrzucił oba puste zbiorniki zapasowe i spokojnie położył się na kurs powrotny. Jeszcze niecałe dwie godziny lotu i będzie w Bazie. Miał umówione spotkanie z Martą.

Nareszcie po trzech miesiącach znajomości zgodziła się na wycieczkę samochodem we 'dwoje. Marzenia cokolwiek brutalnie przerwała mu Baza.

Na jego drodze szalał huragan, kazali mu go obejść łukiem od wschodu. Zaklął pod nosem, ale posłusznie zmienił kurs. Zły był jak diabli, a d zmęczenie zaczynało powoli dawać się we znaki.

Ponad cztery godziny za sterami tej piekielnie szybkiej maszyny to nie żarty. W słuchawkach narastały trzaski i szumy. Wtedy po raz pierwszy przerwał silnik. Króciutko, na ułamek sekundy, ale to wystarczyło, aby poczuł zimne krople potu na czole. Ponaddźwiękowa maszyna to nie turbośmigłowiec, szybować się nie da. O posadzeniu jej na falach też nie może być mowy.

Pozostaje tylko katapultowanie się. Wsłuchiwał się w pracę silnika, napięty jak struna. Ale wszystko było w porządku. Odetchnął z ulgą i wtedy silnik zamilkł. Bez żadnego ostrzeżenia, bez przejściowych zakłóceń. Stanął i już. Zaczai szybko tracić wysokość. Ba… tracić wysokość? Tak się to tylko ładnie mówi. Po prostu leciał w dół jak kamień. Nie było na co czekać. Dźwignia naboi odrzucających owiewkę kabiny, ster od siebie, dźwignia katapulty i już był w powietrzu.

Koziołkował w jakimś obłędnym młyńcu i dopiero potężne szarpnięcie przywróciło światu właściwe pozycje. Nad głową rozwinęła się olbrzymia czasza spadochronu. Był jeszcze wysoko i z tej wysokości nie rozróżniał fal. Widział, jak jego maszyna runęła w wodę i znikła w mgnieniu oka w olbrzymim gejzerze. Znosiło go na wschód. Ocean pod nim jak okiem sięgnąć — a z tej wysokości obejmował solidny obszar — był pusty. Ani lądu, ani żadnego statku. Ba, nawet śladu jakiegokolwiek dymu czy bieli żagla na horyzoncie. Nic, tylko

setki mil wodnej pustyni i stykające się z wodą błękitne pogodne niebo. Zresztą spodziewał się tego. Wiedział, że znajduje się z dala od uczęszczanych szlaków żeglownych, w akwenie omijanym nawet przez rybaków. Na pewno z Bazy, zaniepokojonej nagłym zerwaniem kontaktów z maszyną, wyruszono na poszukiwania.

Powinni mniej więcej orientować się, gdzie nastąpiła katastrofa. No tak. Ale przez to omijanie huraganu zboczył potężnie z trasy i nie tylko Baza, ale on sam nie bardzo orientował się, gdzie jest.

Spojrzał w dół. Powierzchnia wody zbliżała się zastraszająco szybko. Odróżniał już potężne rozkołysy wzburzonych niedalekim przejściem huraganu fal. Powoli zaczął rozluźniać pasy mocujące przy fotelu katapulty, potem odkręcił zawór butli ze sprężonym powietrzem. Maewestka, kamizelka ratunkowa, napełniła się ciasno, oblepiając pierś, jednocześnie, wiedział o tym, zaczai działać miniaturowy nadajnik wysyłający specjalny sygnał radiowy. Znalezienie na bezmiarze oceanu pyłku, jakim jest w zestawieniu z jego ogromem człowiek, jest przedsięwzięciem! prawie beznadziejnym. Wszyty do kamizelki ratunkowej automatyczny nadajnik wysyła serię krótkich sygnałów i te, odebrane przez odbiornik samolotu poszukującego rozbitka, pozwalają odnaleźć ofiarę. Zasięg nadajnika jest stosunkowo niewielki, a baterie wystarczają zaledwie na pięćdziesiąt godzin nieprzerwanej pracy. Widocznie konstruktorzy doszli do wniosku, że jeżeli przed upływem pięćdziesięciu godzin rozbitek nie zostanie wyłowiony, to nie ma po co go już wyławiać. Spojrzał raz jeszcze w dół i aż krzyknął zaskoczony. W odległości około trzystu, czterystu metrów od miejsca, gdzie powinien upaść, widniał wyraźny, wystający z wody kształt jakby kiosku łodzi podwodnej czy boi. Ale skąd tu boja? Zresztą mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą niczego tu nie było. Ocean był pusty. Patrzył przecież uważnie, a wystający przedmiot był na tyle iduży, że musiałby go niechybnie dojrzeć z dużo większej wysokości. Nie spuszczał zeń oka. Co za różnica, skąd się wziął? Grunt, że jest. Szansę ocalenia nagle podskoczyły w górę. Tylko co to jest? Chyba nie łódź podwodna, bo tajemniczy przedmiot tkwi w miejscu; a przecież ze względu na dużą przejrzystość wody musiałby dostrzec jej kadłub. Nie, to nie była łódź podwodna. Raczej boja hydrograficzna. Zresztą pal licho jałowe rozważania. Cokolwiek by to było, niosło mu ocalenie.

Przynajmniej na razie. A to jest w tej chwili najważniejsze, potem się zobaczy, co będzie dalej.

Przecież nikt nie ustawił tak olbrzymiej boi, ot tak sobie, z kaprysu. Służyła jakiemuś celowi i ktoś musiał się nią opiekować. A może jest wyposażona w aparaturę notującą stan morza i co jakiś czas ktoś wymienia taśmy z wykresami? A może posiada automatyczny

nadajnik dużego zasięgu i wtedy zakłócając jego pracę da znać o sobie? Powierzchnia wody była już blisko. Zdecydowanym ruchem odpiął pasy, chwilę jeszcze odczekał i skoczył. Z rozmachem trzepał rękami o wodę. Fotel ze spadochronem, uwolniony od ciężaru człowieka, poszybował w bok i zniknął za nadbiegającymi górami fal. Maewestka utrzymywała go na wodzie, a w odległości jakichś stupięćdziesięciu metrów od niego łagodnie kołysała się potężna beczka boi. Tak. Teraz już nie miał wątpliwości. To była boja. Widział stąd wyraźnie obły kształt, podobny do czubka rakiety, okalającą ją wokoło galeryjkę i ochronne kreski relingu. Energicznie zagarniając rękami wodę zaczął płynąć ku niej. Niestety. Nie było to takie łatwe i minęło chyba z pół godziny, nim znalazł się przy boi. Boja była dużo większa, niż to wydawało się z daleka. Tuż przy nim wznosiła się gładka, metalowa ściana wysokości około półtora metra bez jakichkolwiek występów czy nierówności, mokra i śliska. Nawet przy silnym wybiciu się z wody nie sięgał do połowy wysokości. Opłynął ją wkoło. Wszędzie to samo. Gładka beczka o średnicy około czterech metrów. Ani trapu, ani drabinki. Nic! Kilkakrotnie, z całej siły odbijając się nogami od wody, usiłował dosięgnąć krawędzi platformy, ale ręce bezsilnie ześlizgiwały się po gładkiej ścianie. Nie zrezygnował jednak. Po którymś kolejnym wyskoku uderzył łokciem lewej ręki w żelazo, aż pociemniało mu w oczach z bólu. Nie da rady.

Trzeba coś wymyślić. Skacząc nie dosięgnie platformy. Machinalnie, półleżąc na plecach masował prawą ręką rozbity łokieć i nagle wzrok jego padł na rzemienny pas przechodzący przez oba ramiona w dół i przez pachwinę.

To szelki typowego spadochronu, w które wyposażony jest każdy skafander pilota. Począł gorączkowo rozpinać je. Nie było to wcale łatwe. Musiał najpierw rozluźnić kamizelkę ratunkową, odpiąć klamry i, wykonując przeróżne ewolucje, przeciągnąć rzemienie. Napił się przy okazji kilka łyków słono-gorzkiej wody, ale miał w ręce skórzany, zakończony dużą klamrą pas długości około dwu metrów. Podpłynął do boi. Kołysała się łagodnie na fali tuż przy nim. Platforma, otoczona barierką, wydawała się tak blisko. Ustawił klamrę pasa prostopadle i wyczekawszy na moment, i kiedy boja w rozkołysie pochyliła się w jego stronę, rzucił. Z metalicznym trzaskiem klamra zniknęła za krawędzią platformy i kiedy ją pociągnął, z pluskiem opadła z powrotem. Rzucił raz jeszcze. Nic z tego. Po prostu na końcu pasa nie było haka, a sama klamra nie miała o co zaczepić się na tyle, by utrzymać ciężar jego ciała. Rzucał raz po raz, opływając dziesiątki razy boję. Na próżno. Spojrzał na zegarek. Była szesnasta trzydzieści. Więc już prawie od pięciu godzin usiłuje bezskutecznie dostać się na tę przeklętą beczkę. Poczuł głód. Sięgnął więc do hermetycznie zamkniętej kieszeni, umieszczonej od wewnętrznej strony, i palce jego

natknęły się na niewielki hak spinający szleje kamizelki. Gorączkowo zaczai odrywać hak od tkaniny, głośno przeklinając solidne wykonanie kamizelki. Wreszcie trzymał w ręku upragniony kawałek zakrzywionego żelaza.

Uwiązanie go do rzemienia było dziełem jednej chwili. Zapomniał o głodzie. Znów zaczął rzucać i.wreszcie za którymś razem celnie rzucony hak zaczepił o reling. Szarpnięciom spróbował, czy hak wytrzyma i zaczął powoli wspinać się do góry. Był młodym wysportowanym człowiekiem, ale gdy przewalił się przez barierkę, legł bez sił na wąskiej platformie: Nie wiedział, jak długo leżał tuląc policzek do chłodnego metalu. Był szczęśliwy, że udało mu się wejść na boję, choć ten fakt nie zmieniał w sposób zasadniczy jego bądź co bądź beznadziejnego położenia. Ocean uspokajał się powoli i coraz mniej kołysało. Wyciągnął rękę i wstał opierając się plecami o ścianę beczki. Poczuł na twarzy lekki, orzeźwiający wiatr i to przywróciło mu pełną świadomość. Bacznie przyjrzał się swemu schronieniu i postukał palcem w mokrą ścianę. Zastanowił się chwilkę i postukał ponownie.

To, co początkowo wziął za metal, nie było wcale metalem. Na gładkiej powierzchni, schnącej teraz szybko, nie było śladu farby ochronnej, jaką zwykle powleka się boje, nie było też ani śladu rdzy. Jak gdyby dziwną boję dopiero co ustawiono. Sprawiała wrażenie fabrycznie nowej i nie metalowej, ale odlanej czy też wytłoczonej z jakiegoś nie znanego mu tworzywa sztucznego. I jeszcze jedno. Fale oceanu nie docierały do wysokości platformy, a jednak górna część boi była wilgotna i dopiero teraz w podmuchach wiatru wysychała. Na stronie zawietrznej, co sprawdził obchodząc wąską galeryjkę, była jeszcze zupełnie mokra, jakby niedawno wynurzyła się z głębin.

Spojrzał baczniej i teraz dopiero spostrzegł na wysokości mniej więcej własnego pasa szereg wypukłości, jakby małych, wielkości grochu nitów o bardzo spłaszczonych główkach. Były dokładnie wpasowane, może stanowiły całość z gładką ścianą. Co czwarty lśnił lekko, jakby powleczony cieniutką warstewką szkła. Przykucnął przyglądając się bacznie jednemu z nich i opierając jednocześnie ręce na dwu sąsiednich, po obu stronach. Cichy zgrzyt sprawił, że wyprostował się raptownie i cofnął. Tuż przed nim gładka, bez najmniejszej rysy ścianka boi jakby rozpękła się odsłaniając wąskie i niewysokie wejście do wnętrza. Stał bez ruchu niezdecydowany.

Minuta, może dwie, i powoli oba boki wejścia przysunęły się do siebie i znów miał przed sobą tylko ścianę bez najmniejszej rysy.

Przykucnął przed błyszczącym punktem. Nic. Oparł obie ręce o punkty sąsiednie i znów ściana rozsunęła się, ukazując wejście. Ostrożnie przytrzymał rękoma obie krawędzie i wetknął głowę do środka. Wewnątrz boja była zupełnie pusta. Czysta, o zielonkawym odcieniu podłoga i taki sam jak na zewnątrz rząd wypukłych nitów z

co czwartym błyszczącym. Nie miał wyboru.

Schyliwszy głowę, bokiem przecisnął się do wnętrza. Ledwie dał krok do przodu, gdy wejście za nim zamknęło się i u góry rozbłysło łagodne światło, zalewając wnętrze ciepłym blaskiem pogodnego dnia. Nie dostrzegał źródła światła. Po prostu padała z góry, jakby znikąd. W pewnym momencie poczuł dziwną lekkość i natychmiast zorientował się, co to oznacza. Był przecież pilotem. To było uczucie spadania… Boja tonęła. Tonęła z szybkością szybkobieżnej windy.

Znieruchomiał z przestrachu. Pozornie nic się nie zmieniło. Wciąż świeciło łagodne światło, ale całym sobą czuł coraz szybsze opadanie; Trwało to długą chwilę. Nagle uczucie opadania znikło i ściana naprzeciw niego rozsunęła się, ukazując jasno oświetlony obszerny tunel. Tym razem nie wahał się. Nie miał nic do stracenia. Pewnym krokiem wszedł do tunelu i wyprostował się, bacznie lustrując otoczenie. Za nim, z cichym, ledwie słyszalnym mlaśnięciem, zamknęła się szara nieprzezroczysta ściana. Korytarz był krótki, miał trzy, cztery metry i kończył się kolorową mgłą, w której kłębiły się złote błyski jak gdyby bezgłośnych wyładowań elektrycznych. Podszedł ostrożnie bliżej. Długą chwilę przypatrywał się bacznie, wreszcie powoli dotknął ręką kłębiącej się mgły. Dłoń nie napotkała żadnego oporu. Wsunął rękę głębiej. Weszła jak w dym niknąc z oczu.

Zdecydowanie dał krok do przodu. Przez krótką chwilę uczuł lekki zawrót głowy, coś jakby ciepły powiew, i wszystko wróciło do normy. Stał w ogromnej sali zalanej jasnym blaskiem płynącym znikąd. Pośrodku wklęsłej jak miska podłogi wznosiło Się niewysokie podium, na którym jaśniały srebrnym blaskiem jakieś łagodnie zaokrąglone kształty ni to bań, ni to wypukłych, obrosłych ciemnymi guzami oparć foteli. Jeżeli były to fotele, to chyba tylko dla Pigmejów. Z trudem zmieściłby się w którymkolwiek z nich, mimo że nie zaliczał się do ludzi rosłych. Wprost przeciwnie. Jego niski wzrost był nieustającym tematem żartów i docinków kolegów z Bazy.

Wolno, rozglądając się dookoła, z zapartym tchem zbliżał się do środka. Był już może dwa, trzy metry od podium, gdy stanął jak wryty. Przy bocznej ściance bani czy też fotelika coś się poruszyło. Poczuł krople potu na czole, a ręka instynktownie odszukała w wewnętrznej kieszeni bluzy znajomy kształt służbowego pistoletu. Dotknięcie zimnej stali przywróciło mu przytomność i dodało odwagi. Nie myślał o niczym. Nie analizował. Był tylko tym wszystkim wstrząśnięty i oszołomiony. Nie dobywając broni, lecz nie wyjmując ręki z kieszeni, zrobił dwa kroki do przodu.

Znów ten ruch koło fotela. Teraz zobaczył. Tuż koło jednej z bań stał na kilku jakby pajęczych nóżkach okrągły jak piłka przedmiot, z którego wysuwało się właśnie w jego kierunku kilkanaście pręcików. Jeszcze jeden krok do przodu i przypominająca jeża piłka uniosła się

w górę na swych pajęczych niby-nogach. Jednocześnie dał się słyszeć ostry syk. Wyrwał pistolet z kieszeni i wtedy jakby huragan zakłębił się wokół niego. Jakaś potworna siła zgniotła mu barki. Pistolet wypadł ze zdrętwiałej nagle ręki, a on pchnięty mocnym choć łagodnym podmuchem, poleciał ogromnym łukiem aż pod ścianę sali. Upadł plecami do podłogi, w ostatnim ułamku sekundy jakby wyhamowany i delikatnie ułożony. Zerwał się natychmiast. Zaczynał się teraz bać, a jednocześnie narastała w nim jakaś głucha determinacja. Jego pistolet odbijający wyraźnie czernią oksydowanej stali od jasnego tła podłogi leżał tam, gdzie wytrąciła mu go z ręki nieznana siła. Szybkim i zdecydowanym krokiem podszedł i schylił się po broń. Aż krzyknął ze zdumienia d bólu. Palce zamiast chłodnej rękojeści napotkały na wysokości jakichś dwudziestu centymetrów od pistoletu twardą choć absolutnie niewidzialną przeszkodę. Przejechał szybko dłonią po niewidzialnym przedmiocie i wyprostował się zdumiony 'niezmiernie. Jego służbowy pistolet spoczywał jakby wtopiony w bryłę lodu czy szkła. Był więc pozbawiony jedynej broni, ale miast zaniepokoić się tym, poczuł przypływ zupełnie nieuzasadnionego optymizmu. Owszem. Coś czy ktoś pozbawił go broni, ale jednocześnie nie zrobił mu nic złego. A przecież równie dobrze nie tylko pistolet, ale i on sam mógł w tej chwili spoczywać wtopiony w odpowiedniej wielkości sześcian szkła. Nie.

Stanowczo nic mu tu nie groziło. Przynajmniej do chwili, kiedy sam specjalnie lub 'nieświadomie zagrozi uszkodzeniem jakiegoś istotnego mechanizmu. Nie tak dawno się o tym przekonał. Gdy tylko dobył pistoletu, natychmiast zadziałały jakieś siły. Najgorsze jednak było to, że on, pilot pierwszej klasy, nie mógł się w tym wszystkim połapać. Ostatni rok spędził w bazie doświadczalnej, gdzie dla potrzeb lotnictwa wypróbowywano najnowocześniejsze urządzenia, jakie wytworzył intelekt ludzki. To jednak, co napotkał, było obce. Nie tylko zresztą obce. Stopniem niezawodności i automatyzacji przewyższało wszystko, z czym zetknął się kiedykolwiek, i to było właśnie najbardziej niezrozumiałe. Nawet gdyby miejsce, do którego przypadkiem się dostał, było bazą jakiegoś obcego mocarstwa, to i tak coś tu nie grało. Po pierwsze sam był przedstawicielem jednego z przodujących w technice i wynalazczości mocarstw, a po drugie nawet inni nie byli w stanie wynaleźć, a tym bardziej wyprodukować czegoś, o czym bodaj słuchy nie dotarłyby do nich.

Nie! Tu wszystko było obce i niezrozumiałe. Spokojnie już teraz zaczai rozglądać się wokół.

Podłoga od środkowego podium łagodnym łukiem podchodziła do góry kończąc się raptownym uskokiem pionowych ścian. Naprzeciw niego, po drugiej stronie, jaśniał duży prostokąt, jakby podświetlony od spodu. Sprawiało to wrażenie okna w podłodze, okna

wychodzącego na jasno oświetloną przestrzeń. Powoli okrążył podium obserwując tego niby jeża na pajęczych nogach.

Znowu drgnął, lekko uniósł się ku górze i skierował grzbietowe pręciki w jego stronę. I znów cichy syk wydobywający się nie wiadomo skąd. Tym razem nie zareagował na tę (nie wiedział, czy wrogą, czy przyjacielską) demonstrację. Minął podium i skierował się ku jasnej plamie w podłodze.

Niestety to nie było okno. Plama w (kształcie prostokąta była nieprzezroczysta, choć bił od niej lekki, przyjemny seledynowy blask. Końcem buta dotknął opalizującej powierzchni. Była twarda i gładka jak reszta podłogi. Bezceremonialnie wszedł na jasną plamę i tupnął nogą. W tej samej chwili bez jakichkolwiek oznak cały prostokąt wraz z nim ruszył w dół. Gładko, bez najmniejszych wstrząsów, błyskawicznie jak upadek. Mignęła mu przed twarzą ciemna krecha podłogi i nie zdążył nawet krzyknąć, gdy płyta zatrzymała się. Miękko, bez śladu szarpnięcia, jakby nie podlegała prawu grawitacji. Nad głową na wysokości trzech metrów miał jednolitą, matową płytę sufitu. Absolutnie żadnego śladu, że właśnie stamtąd przed sekundami spłynął. Stał w sali jeszcze obszerniejszej niż poprzednia, lecz w odróżnieniu od tamtej bardzo słabo oświetlonej i pełnej jakichś, nie dających się zidentyfikować w półmroku, przedmiotów. Za ciemno tu. Ledwie myśl ta przemknęła mu przez głowę, salę zalało jasne, słoneczne światło. Nie szukał jego źródła. Zaczynał się przyzwyczajać do tego, że w tych dziwnych, podwodnych pomieszczeniach (bo nie miał wątpliwości, że znajduje się głęboko pod powierzchnią oceanu) światło istniało, choć nie wiadomo było, skąd się bierze. Zdziwiła go tylko szybka realizacja jego pragnień nie wyrażonych zresztą głosem. Przyszedł mu na myśl dziwny eksperyment. Tak dziwny i nieprawdopodobny, że aż roześmiał się w głos. Spróbujemy! „Za jasno” — pomyślał. I w tej sekundzie światło ściemniało dostrzegalnie, choć nie zgasło. Tego już było trochę za wiele, jak na niego. Cóż u diabła? Pilot — kosmonauta czy Alicja w Krainie Czarów? Wszystko to zaczęło niepokojąco wyglądać na halucynacje. — Jaśniej! — zażądał już teraz głośno. I o dziwo światło rozbłysło pełnym, słonecznym blaskiem. Rozejrzał się uważniej. Cała przestrzeń sali wypełniona była dziwacznymi urządzeniami.

Na wprost niego ciągnęło się ażurowe rusztowanie z matowoniebieskiego tworzywa. Jakiś system wzajemnie przenikających się kratownic, miękkich, wijących się spiralnie przewodów oplatających kraty w nie dający się określić, ale sprawiający wrażenie regularności sposób. Po chwili przypatrywania się dostrzegł, że całość nie jest nieruchoma. Po spiralnych przewodach, jak gdyby Skręconych z wielu kolorowych linek, przebiegało ledwie dostrzegalne, rytmiczne pulsowanie. Tak jakby od

dołu, gdzieś spod podłogi, wyrastała we wnętrzu opływowa gruda i pełzała ku górze, przepychając się przez ciasne uzwojenia, rozdzielała się na coraz to drobniejsze, by zniknąć wraz z ruchem gdzieś u sufitu. Sprawiało to wrażenie oddechu lub raczej krwiobiegu. Fala za falą, rytmicznie jak puls żywego organizmu. I jeszcze jedno. Płynęło stamtąd wyraźne tchnienie ożywczego, przesyconego ozonem powietrza. Całość tego dziwacznego urządzenia miała kształt potężnego stożka. Bo sala ta nie była okrągła jak ta na górze. Była raczej, jak zdążył się zorientować, prostokątna. Nie mógł jednak nawet w przybliżeniu określić jej wielkości, bo przeciwległy kraniec gubił się przysłonięty piętrzącymi się w zasięgu wzroku urządzeniami czy maszynami. Przejścia między nimi przesycone były jak zresztą wszystko, jak cała przestrzeń, znikąd płynącym światłem. Bez wahania zapuścił się w labirynt. Nie miał ostatecznie nic do stracenia. Musiał poznać dokładniej to dziwaczne, podwodne schronisko czy laboratorium, a może stację badawczą? Nic tu na razie nie dało się zidentyfikować. Nie było ani jednej rzeczy, przedmiotu, maszyny, których cel czy przeznaczenie mógłby jednoznacznie określić. Jednego tylko był zupełnie pewien. Wszystkie te urządzenia działały. Wyczuwał poprzez stalowe grodzie drgania pracujących mechanizmów, słyszał basowe mruczenie transformatorów. Właśnie minął duży, czarny blok i stanął na niewielkim, wolnym placyku, pośrodku którego zieleniał znajomy prostokąt windy.

— Pojedziemy jeszcze niżej — pomyślał z humorem i pewnie wszedł na seledynową powierzchnię. Nic! Tupnął lekko nogą i tafla bezgłośnie ruszyła, tym razem niespodziewanie ku górze. Na moment ogarnęła go ciemność, winda stanęła i jednocześnie zapłonęło łagodne światło.

Już pierwszy rzut oka upewnił go, że tym razem nie mógł lepiej trafić. To chyba była centrala.

Niewielką, nieledwie ciasną w porównaniu z poprzednio poznanymi, salkę otaczał zamiast ścian panoramiczny ekran telewizyjny. Przed ekranem, oddalony nieco od niego, ciągnął się wokół salki stół przypominający swoimi niezliczonymi przyciskami, okienkami wskaźników, pulsującymi bez przerwy różnokolorowymi światełkami, stół dyspozytorski dużej Centrali Kosmiki. Widywał już przecież podobne. Pośrodku, tuż koło miejsca, gdzie stał, tkwiły trzy przedmioty, w których przy dużej dozie wyobraźni można było domyślić się foteli czy krzeseł ustawionych oparciami ku sobie. Z lekkim niepokojem rozejrzał się wokół i mimo woli odetchnął z ulgą. Sala była pusta. Nie było w niej jej twórców czy gospodarzy. Nie wiedział, czy cieszyć się z tego, czy smucić. Ich obecność mogłaby się przyczynić do szybkiego wyjaśnienia sytuacji i ratunku, nie wiedział jednak ani się nie domyślał, kim są i jak ustosunkowaliby się do

nieproszonego bądź co bądź gościa. Zamyślił się i usiadł w jednym z fotelików i w tym samym momencie fotelik drgnął i przesunął się gładko do przodu, zatrzymując się koło zakreślonego niebieską, falistą linią odcinka stołu. Przed nim błyszczał niewielki, kwadratowy ekranik. Nad ekranem widniał szereg okienek. Niektóre z nich były ciemne, w innych drgały różnokolorowe linie i ruchome punkty. W rogu tuż przy prawej ręce zapłonął rubinowy punkcik.

— Stanowisko trzecie gotowe.

Znieruchomiał zdumiony. Mógłby przysiąc, że nic nie przerwało panującej w pomieszczeniach ciszy. A jednak wyraźnie usłyszał melodyjny głos kogoś meldującego o gotowości stanowiska. Nachylił się niżej nad stołem.

— Stanowisko trzecie gotowe.

Teraz już był pewien. Nikt nic nie mówił. W sali trwała nadal niczym nie zmącona cisza.

Tajemniczy głos odezwał się w jego mózgu. Po prostu urządzenie przekazywało meldunek z pominięciem mowy, bezpośrednio do jego mózgu. Zaświtała mu w głowie pewna myśl. Jeżeli tak, to być może istnieje możliwość kontaktu odwrotnego? Możliwość wydania polecenia tą samą drogą? Teraz przypomniał sobie historię ze światłem posłusznie zmieniającym swoje natężenie.

Tak. Chyba tak! Zdaje się, że jest na dobrej drodze. Znów pochylił się.

— Proszę o informacje z powierzchni — pomyślał.

— Wizualne czy subakustyczne? — To pytał tajemniczy głos.

Przez chwilę zastanawiał się intensywnie.

— Wizualne z komentarzem subakustycznym — zaryzykował, wypowiadając bezwiednie to zdanie na głos. Na maleńkim ekraniku przed nim rozbłysły świetliste, szybko drgające kreski i jednocześnie na dużym wycinku ściennego ekranu przeleciały barwne pasma i pojawił się trójwymiarowy, przestrzenny obraz. Niezmierzona płaszczyzna oceanu. Pogodne, bezchmurne niebo i chylące się ku zachodowi słońce.

— Stan aktualny na powierzchni. Wiatr stały północno-wschodni o sile 0,6. Ocean 2,6. Do zachodu słońca jedna godzina, trzynaście minut i cztery sekundy — informował beznamiętny głos automatu. Chwila przerwy i znów ten sam głos, szybszy teraz i jakby zacinający się.

— Masz przy sobie uszkodzony autoinform. Daje wadliwe sygnały zakłócając synchronizację wewnątrzukładową. Wygaś go. Spojrzał zdziwiony po sobie i nagle zrozumiał. Wchodząc do wnętrza boi miał na sobie nadmuchaną kamizelkę i działający nadajniczek ratunkowy. Zaabsorbowany zdarzeniami nie wyłączył go aż do tej chwili. Nie wypuścił też powietrza W z kamizelki. Przesunął przełącznik zaworu i

powietrze uleciało z sykiem. Pękata kamizelka stała się znów zwykłą, obcisłą kamizelką z mnóstwem kieszeni. Umilkł też awaryjny nadajniczek.

— Podawać dalej? — spytał melodyjny głos.

— Nie… Poczekaj… Może teraz dane z ostatniego okresu, powiedzmy… — Tu zawahał się przez chwilę… — Powiedzmy z ostatnich czterech dni.

— Łączę z Centralną Pamięcią…

Panoramiczny ekran zszarzał na moment, by znów rozbłysnąć barwnym obrazem. Znowu widać było bezbrzeżny ocean, ale jakże inny niż poprzednio. Hen aż po widnokrąg przewalały się potworne zwały wody niby ruchome łańcuchy górskie sunące jeden po drugim na tle ciemnego, zaciągniętego chmurami nieba. W lewym górnym rogu ekranu wyodrębnił się jasny kwadracik i zaczęły w nim przeskakiwać jakieś dziwne kształty. W pierwszej chwili nie mógł zorientować się, co to może znaczyć. Gdzieś już widział coś podobnego. Tylko gdzie? Nagle przypomniał sobie. To chyba to. Prawie zawsze na ekranach monitorów statków kosmicznych oprócz aktualnego obrazu komputer wycinał część i w wycinku tym podawał na bieżąco upływ czasu. Tu było to samo, choć cyfry, o ile były to cyfry, były dla niego zupełnie nieczytelne. Pewnie jakiś szyfr. Obraz tymczasem nieco się zmienił. Widocznie sztorm ucichł, bo fale były coraz mniejsze i niebo pojaśniało dostrzegalnie. Wtem. od horyzontu przebiegł jakby srebrny błysk przesuwający się po nieboskłonie. Rozpoznał od razu. Był przecież pilotem. To był samolot.

— Proszę o zbliżenie. — I obraz natychmiast się przybliżył i wyostrzył.

Skąd zna tę sylwetkę? Wielkie nieba! To przecież jego maszyna. To on właśnie siedzi za sterami tego srebrzystego trójkąta. Wtem maszyna bez jakichkolwiek oznak poprzedzających katastrofę, jakby tracąc sterowność, runęła ukośnie w dół. Po kilku sekundach od samolotu odłączył się mały czarny punkcik i opadał szybko ku powierzchni wzburzonego jeszcze morza, wlokąc za sobą pęczniejącą czaszę spadochronu.

— Maszyna ziemska. Turboodrzutowy. Szybkość ponaddźwiękowa. Typ nie znany.

Wygaszam mu silnik. Wzmacniam sygnał awaryjny pilota. Spad nie kontrolowany za pomocą prymitywnego urządzenia aerodynamicznego. Brak zabezpieczenia czasobytowego. Konieczność przyjęcia rozbitków w Transbazie. Maszynę zabezpieczam. Nowy typ. Dużo większa prędkość niż w aparatach dotychczas badanych. — Na ekranie duża hala hangaru czy warsztatu — Pośrodku jego samolot w jakże żałosnym stanie. Rozmontowany na części porozrzucane w pozornym bezładzie. Wśród tego wszystkiego mnóstwo krzątających

się gorączkowo obcych automatów badających skrupulatnie szczątki wspaniałej do niedawna maszyny. Patrzył na to wstrząśnięty. Przecież konstrukcja tego samolotu stanowiła tajemnicę państwową. Istniały tylko dwa doświadczalne egzemplarze. Jeden na hamowni w Bazie, drugi to właśnie ten. Zaczęło mu coś świtać, ale w pierwszej chwili odrzucił tę myśl jako zbyt nieprawdopodobną. Chociaż? Trzeba koniecznie sprawdzić. Musi mieć pewność.

— Proszę o komentarz akustyczny.

I znów rozległ się głos. Tym razem autentyczny głos. W niewielkiej sali zabrzmiały dziwne, nieznane dźwięki. Było to coś w rodzaju modulowanego gwizdu przerywanego jakby klaśnięciami.

Nie było to przykre dla słuchacza. Wprost przeciwnie. Dźwięki były niegłośne i przyjemne dla ludzkiego ucha. Ale nie był to żaden ze znanych mu sposobów porozumiewania się ludzi. Teraz był prawie pewien. To nie była mowa ludzka. Podwodna stacja nie była stacją ludzką. Więc czyją? Kto zbudował w głębinach oceanu to wspaniałe dzieło intelektu i techniki? Kim są przybysze, którzy z takim uporem badają technikę i cywilizację ziemską? Z jakich układów gwiezdnych pochodzą i jaki cel im przyświeca? Wrogi czy przyjazny? W tej chwili przypomniał sobie, że w tym rejonie już kilkakrotnie ginęły bez śladu zarówno samoloty, jak i statki. Akwen ten miał ustaloną złą sławę i dlatego w miarę możności omijali go wszyscy. Jego zagnała tu burza. Cyklon, na który w każdym zaistniałym wypadku składano winę za brak łączności i zaginięcie jednostek czy to żeglugi powietrznej, czy morskiej.

— Dość tego! — pomyślał i w tej samej sekundzie ekran zgasł i umilkł dziwny głos. Zdawał sobie sprawę z tego, że sam tu nic nie poradzi. To zadanie dla całej wyprawy badawczej złożonej z uczonych różnych dziedzin. Teraz jasno stanęła mu przed oczami jego rola w tej dziwnej awanturze. Musi, bezwzględnie musi wydostać się stąd, dotrzeć do Bazy i powrócić tu z grupą naukowców. Przypadek, który go tu sprowadził, może być punktem zwrotnym w dziejach ludzkości. Pierwszy kontakt z inną cywilizacją. Być może udaremnienie wrogich zamiarów, a może właśnie nawiązanie przyjaźni? Chwileczkę. Od jego katastrofy nie minęło jeszcze pięć godzin. W myśl teoretycznych założeń jego nadajniczek nadal powinien nadawać sygnały, a wiedział, że dopóki nie minie ten okres, samoloty ratunkowe będą przeczesywać obszar przypuszczalnego wypadku. Może więc w tej chwili przelatują nad nim koledzy czekając, kiedy w ich odbiornikach odezwie się sygnał rozbitka? Zatem jak najprędzej na powierzchnię. Nie powinno to chyba być zbyt trudne. Teraz, gdy wiedział, że stacja jest nie zamieszkana, poczuł się pewniej.

Centralna pamięć powinna chyba zawierać dokładne plany stacji oraz drogi i sposoby wyjścia. Ma trochę czasu. Gdyby nie brak

pożywienia, mógłby tu spędzić całe miesiące. Na wspomnienie jedzenia poczuł niesamowity głód. Czym prędzej więc wydobył czekoladę. Niewiele tego było, ale jednak po zjedzeniu trzech tabliczek, to znaczy całego zapasu, samopoczucie jego poprawiło się na tyle, że cała ta przygoda zaczęła wydawać mu się całkiem przyjemna i interesująca. Znów pochylił się nad stołem.

— Centralna Pamięć. Proszę o plan stacji!

— Centralna Pamięć Sekcja Sytuacyjna. Stanowisko drugie.

Po ekranie przebiegł szereg pionowych linii i znikł. Aha! Więc ścisły podział funkcji.

Przesiadł się na sąsiednie krzesełko i pochylił głowę nad stołem.

— Stanowisko pierwsze gotowe.

Więc to nie tu. Przesiadł się na trzecie.

— Stanowisko drugie gotowe.

— Proszę o plan stacji z zaznaczeniem wyjść na powierzchnię.

Trochę niespokojnie wpatrywał się w ekran. Pojawił się na nim rysunek czegoś, co z pewnością przedstawiało stację, a raczej jej pian. Chaos nieregularnych linii, kwadratów, rombów, kół, kolorowych plam. Od centralnej, granatowej plamki biegła zielona, pulsująca linia do prawego, dolnego rogu, zakończona żółtym punkcikiem. To chyba droga wyjścia. Być może, że dla twórców tej stacji plan był ideałem przejrzystości i prostoty. Ale dla niego? Zdawał sobie sprawę, że tego rebusu nie rozwiąże za sto lat. Granatowa plamka to najpewniej sterownia, w której się znajduje, a dalej co? Chwileczkę. Może przecież cofać się tą samą droga, którą przybył. śe też od razu nie wpadł na to najprostsze rozwiązanie! Zielony prostokąt windy był tuż za jego plecami.

Zerwał się więc z fotelika i, gdy ten posłusznie odsunął się ku środkowi, wszedł na zieloną plamę i tupnął nogą. Winda ruszyła w dół. Znalazł się znowu w hali pełnej dziwnych przyrządów. Było jasno. Rozglądał się wkoło. Gdzie teraz? We wszystkich kierunkach ciągnęły się identyczne przejścia. Które prowadzi do windy? Nie miał wyboru. Z determinacją zapuścił się w pierwsze z brzegu i po kilku krokach odetchnął z ulgą. Jest winda. Jak tego oczekiwał, po lekkim tupnięciu uniosła go ku górze. Ta sama sala o wklęsłej podłodze z podium pośrodku. Ale co to? Gdzie się podział ten niby jeż na pajęczych nogach? Obok dziwnych fotelików na podium nie było nic.

Zniknął też jego służbowy pistolet wtopiony w niewidzialny sześcian. Obleciał go strach. A może ta piłka z pręcikami to właśnie gospodarz i współtwórca stacji? Wzruszył ramionami. To co z tego?

Nie zrobił mu nic złego, kiedy chciał dobyć broni, to i teraz mu chyba głowy nie urwie. Ta myśl tak go podniosła na duchu, że bez wahania ruszył ku wnęce, w której kłębiła się szara mgła i bezgłośne iskierki wyładowań. Nagle przystanął. Chwileczkę. Nie wyjdzie stąd z

pustymi rękami. Mogą mu w Bazie nie uwierzyć. Trzeba zabrać ze sobą jakiś niewielki przedmiot. Zbadają go uczeni i stwierdzą ponad wszelką wątpliwość, czy jest dziełem rąk i technologii ludzkiej, czy też nie. Co by tu zabrać? Spostrzegł, że niedaleko niszy, tuż nad podłogą, biegnie przy ścianie wąska półka. Na półce tej, jakieś trzy metry od niego, leżał czarny, płaski przedmiot. Coś w rodzaju pudełka czy kasety. Niewielki, poręczny, w sam raz dla niego. Oby tylko nie był przymocowany. Szybko podbiegł do leżącego przedmiotu. Na szczęście nie był przymocowany. Przypominał sztywny futerał z tworzywa, w którym dawał się wyczuć twardy kanciasty przedmiot. Ciekawe, co to może być? To nic. Sprawdzą to specjaliści w Bazie. Wetknął futerał do wewnętrznej kieszeni kamizelki i wszedł w niszę. Tu już był znajomy teren. Za ścianą z kłębiącej się mgły oświetlony tunel zakończony wypukłą przegrodą i szeregiem nitów, z których co czwarty błyszczał jak pociągnięty szkliwem. Uśmiechnął się. To przecież jego boja. Przykucnął opierając ręce na dwu sąsiednich.

Ściana się rozsunęła. Jakże to wszystko proste. Tupnięcie nogą i podłoga boi naciska na stopy.

Kilkanaście sekund i stop. Znów przysiadł i już stoi na galeryjce otaczającej błyszczącą, mokrą beczkę. Ocean jest już spokojny. Słońce tuż nad horyzontem. Za kilkanaście minut zapadnie noc.

Trzeba było jednak zostać w głębi stacji i dopiero rano próbować wyjścia. Zresztą nic straconego.

Odetchnie świeżym powietrzem i zjedzie na dół. Wtem jakiś dziwny znajomy dźwięk dobiegł jego uszu. Co to? Czy go słuch myli? To już by był fantastyczny zbieg okoliczności. Od wschodu dolatywał wyraźnie grzmot silników lecącego turbośmigłowca. Pośpiesznie przesunął dźwignię zaworu, napełniając sprężonym powietrzem kamizelkę. Nie była mu ona potrzebna, ale był to jedyny sposób na uruchomienie nadajniczka. W tym samym momencie krzyknął ze strachu. Boja pod jego stopami zaczęła błyskawicznie tonąć. Nie zdążył uchwycić się barierki, kiedy potworny wir wciągnął go w głębiny. Zachłysnął się wodą i rozpaczliwie zaczął młócić rękami wokół siebie.

Czuł, że się dusi. Brak tchu! Czerwone płaty przed oczami i… kamizelka wyniosła go na powierzchnię. Szeroko otwartymi ustami spazmatycznie łapał ostre, morskie powietrze. Tego tylko brakowało. Zginąć teraz, kiedy ratunek tak blisko. Samolot był już nad nim. Widział wyraźnie jego sylwetkę i rozpoznał nawet typ. To była Catalina-372. Pomacał ręką kieszeń. Tajemniczy futerał był na swoim miejscu. To znaczy, że wszystko w porządku. To nic, że boja zatonęła. Pilot Cataliny określi dokładnie współrzędne, a sposób dostania się do wnętrza stacji obmyślą uczeni po zbadaniu zawartości futerału. Ciekawe, co też tam może w nim być? Załoga Cataliny usłyszała chyba

sygnał jego nadajnika i umiejscowiła go, bo maszyna w ostrym skręcie szła w dół, by po kilku minutach, wzniecając fontanny, wodować o niecałe pięćdziesiąt metrów od niego. Zaczai płynąć w jej kierunku i po chwili mokry jak szczur ściskał w przestronnej kabinie ręce kolegów. Rosły kapitan Grace, o twarzy pokrytej dziobami po przebytej ospie, z rozmachem klepał go po mokrych plecach.

— Ale masz szczęście, chłopie. To ostatni lot. Wszystkie maszyny już w Bazie. Trzydzieści sześć samolotów przeszukiwało akwen. Nikt nic nie słyszał. Co z twoim nadajnikiem? Ja sam dwa razy przeleciałem tędy i nic. Co się z tobą działo? — Spokojnie, Grace. Jak dowiesz się, to usiądziesz. Nie mogłeś mnie słyszeć. Nie byłem na powierzchni.

— A gdzie?

— W głębi. Na dnie.

— Gdzie?

— Na dnie!

Kapitan Grace spoważniał i spojrzał znacząco na towarzyszy.

— No, dobrze, Krab. Byłeś na dnie. W porządku. Opowiesz nam to w Bazie. Teraz lecimy, bo już noc.

Roman Krab roześmiał się w głos.

— Co, nie wierzycie mi? Myślicie, że zwariowałem? A to co? To jest właśnie dowód, że mówię prawdę. Co to za przedmiot? Znacie go? — Gorączkowo wyszarpnął z kieszeni czarny futerał.

Grace wziął go bez słowa, chwilę ważył w dłoni patrząc w oczy Krabowi i wreszcie jednym szarpnięciem rozpiął z boku futerału zamek błyskawiczny. Potem wysunął zeń coś i pokazał Krabowi. Krab spojrzał i zrobiło mu się gorąco. Na szerokiej dłoni kapitana Grace leżał jego własny pistolet służbowy.

Bob Shaw
Najszczęśliwszy dzień twojego życia

Jean Bannion przytuliła do siebie najmłodszego syna i zamrugała szybko powiekami. Nagle zapiekły ją oczy.

Ośmioletni syn wtulił się w jej ramię. Czoło miał suche i chłodne, a włosy przesiąknięte zapachem świeżego powietrza, które przypominało jej zapach bielizny dopiero co ściągniętej ze sznura na dworze. Poczuła, że wargi jej drżą.

— Spójrzcie na nią — powiedział Doug Bannion z niedowierzaniem w głosie. — Zaczyna pociągać nosem! A co by się dopiero działo, gdyby Philip wyjeżdżał na wiele lat do szkoły?

Pochylił się nad nią, klęczącą z chłopcem w ramionach, i pogładził po głowie. Miał minę pełną — dostojeństwa a zarazem rozbawienia. Dwaj starsi chłopcy uśmiechnęli się wyrozumiale.

— Mama jest typem rozrzutnym emocjonalnie — powiedział dziesięcioletni Boyd.

— Wskazywałoby to na duchową gotowość do składania siebie w ofierze — powiedział jedenastoletni Theodore.

Jean spoglądała na nich bezradnie. Oni zaś odpowiadali jej spojrzeniem swoich mądrych oczu pełnych czegoś, co nauczyła się nienawidzić od czasu, gdy przeszli przez Royal Road — pełnych tej cholernej życzliwości.

— Chłopcy! — odezwał się surowo Doug Bannion. — Więcej szacunku dla matki!

— Dzięki — powiedziała Jean nie czując wdzięczności. Wiedziała, że Doug skarcił synów nie przez wzgląd na jej uczucia, lecz po to, by nie dopuścić do jakichkolwiek skaz zniekształcających ich harmonijnie rozwijające się charaktery. Przytuliła do siebie Philipa tak mocno, że zaczął się niepewnie kręcić przypominając jej, że i tak za kilka lat musiałaby się prawdopodobnie z nim rozstać.

— Philip — wyszeptała z desperacją do jego chłodnego ucha. — Co widzieliśmy na filmie, na którym, byliśmy wczoraj?

— Pinokia.

— Prawda, że to było zabawne?

— Na miłość boską, Jean! — Doug Bannion prawie szorstko odsunął ich od siebie. — Chodź, Philipie, nie możesz się spóźnić na rozpoczęcie tego jedynego dnia w szkole.

Wziął Philipa za rękę i poszli po błyszczącej, sprężystej podłodze do zimnej, zielonej sali przyjęć Royal Road. Jean patrzała, jak idą trzymając się za ręce, by wmieszać się w tłum dzieci i rodziców zebranych w auli. Philip powłóczył trochę nogami w sposób, który

znała tak dobrze, i wyczuła, z nagłym ukłuciem w sercu, że on się bał tego, co go oczekiwało. Nie odwrócił się jednak.

— No, nadeszła i jego kolej — powiedział z dumą dziesięcioletni Boyd. — Mam nadzieje, że go tata przyprowadzi jutro na praktykę. Przydałaby mi się jego pomoc.

— W moim biurze jest więcej miejsca — powiedział jedenastoletni Theodore. — A poza tym w przyszłym tygodniu kończymy przygotowywanie nowej Ustawy o Powiernictwie i będę zajęty tuzinem rozpraw o odszkodowanie. Będzie mi więc bardziej potrzebny niż tobie.

Obaj byli młodszymi wspólnikami w firmie prawniczej Douga Banniona. Jean patrzyła przez chwilę na spokojne, mądre twarze swoich dzieci i chwycił ją strach. Odwróciła się i odeszła na bok starając się powstrzymać od szlochu. Naokoło stali rodzice — zadowoleni z siebie, chłodno triumfujący. Wyraz ich twarzy sprawiał, że coraz trudniej jej było zapanować nad sobą.

Wybrała w końcu jedyną możliwą drogę ucieczki. Pobiegła do prawie opustoszałej sali wystawowej Royal Road. Chwalebną historię akademii przekazywały skrzące się, trójwymiarowe obrazy przy akompaniamencie łagodnego, mechanicznego szeptu.

Najpierw pojawiły się dwie grupy słów: migoczące w powietrzu bladozielone litery na granatowym tle. Jadąc koło nich ruchomym chodnikiem w kompletnej ciszy Jean czytała: „Wiedzę zdołasz posiąść jedynie uczeniem; Nie zyskasz jej po ojcu samym dziedziczeniem".

— Gay „Gdyby tak Gay mógł nas teraz zobaczyć…"

— Martinelli W następnej części pokazano wielki portret Edwarda Martinellego, założyciela akademii i szefa zespołu naukowców pracujących nad udoskonaleniem zestawu do manipulacji korą mózgową. Nagrany na taśmę na kilka miesięcy przed śmiercią głos Martinellego zabrzmiał w uchu Jean z zaskakującą precyzją celnie wymierzonej wiązki dźwięków.

„Od kiedy wiedza stała się najważniejszą bronią człowieka i jego głównym sprzymierzeńcem w walce o przetrwanie — ludzie szukali sposobów na przyspieszenie procesu nauczania. W połowie dwudziestego wieku społeczeństwa osiągnęły punkt, w którym od ludzi wolnych zawodów wymagano, aby jedną trzecią swego pożytecznego życia spędzali na bezproduktywnym przyswajaniu wiadomości…"

Jean przestała słuchać starannie modulowanych słów. Słyszała już to nagranie dwa razy i to bezduszne, fachowe podejście nie robiło na niej większego wrażenia. Zastosowane przez akademię dodatkowe środki, jak: wielowarstwowa hipnoza, środki psychoneurotyczne, elektronowa modyfikacja ścieżek białkowych w mózgu, wielokrotne nagrania — wszystko to było dla niej mało ważne w porównaniu z

rezultatem końcowym.

A rezultat był taki, że każde dziecko — założywszy, że posiada wymagany stopień inteligencji — może posiąść cała formalną wiedzę dzięki wszczepieniu jej do mózgu w ciągu dwóch godzin — wiedzę, którą zdobywałoby przez dziesięć lat w zwykłej szkole i na uniwersytecie.

Aby zostać wybrane, dziecko musi wykazywać się wskaźnikiem inteligencji nie mniejszym niż 140, i musi posiadać rodzinę, która może sobie pozwolić na opłacenie gotówka sumy mniej więcej równej kosztom dziesięciu lat edukacji w tradycyjnej szkole. Dlatego właśnie twarze rodziców w sali przyjęć jaśniały taką dumą. Dlatego nawet Doug Bannion — znany z flegmatyczności — rozglądał się dookoła twardym, jasnym wzrokiem człowieka, który wypełnił swą powinność.

Był ojcem trzech synów bez skazy — każdy ze wskaźnikiem inteligencji kwalifikującym go do grupy geniuszów; pomyślnie przeprowadził ich przez procedurę selekcji, która tak wielu zagradzała drogę do Royal Road. Niewielu mężczyzn mogło się pochwalić podobnym osiągnięciem, a i niewiele kobiet dostąpiło zaszczytu dzielenia z kimś takiego sukcesu.

Ale dlaczego, zastanawiała się Jean, właśnie mnie to musiało spotkać? I moje dzieci?

Dlaczego nie zostałam obdarzona — takim umysłem jak Doug? Wtedy Royal Road jeszcze bardziej zbliżyłaby dzieci do mnie zamiast…

Ruchomy chodnik unosił ją cicho, a żywa wystawa szeptała przekonywająco o wyższości Royal Road nad starym, długotrwałym, zbrodniczo marnotrawnym systemem edukacji. Głos mówił o nieprawdopodobnym wprost szczęściu Philipa, że urodził się dokładnie w momencie, gdy dzięki najwyższym osiągnięciom ludzkiej techniki mógł zdobyć stopień naukowy w dziedzinie prawa w ciągu dwóch krótkich godzin.

Jean jednak nie słyszała tego, była głęboko pogrążona w rozpaczy.

Natychmiast po ceremonii promowania Jean przeprosiła Douga i chłopców i, zanim zdołali zaprotestować, wyszła spiesznie z sali z powrotem do samochodu. Nagrzany słońcem plastyk tylnego siedzenia parzył przez cienki materiał sukni.

Zapaliła papierosa i siedziała tak, patrząc na lśniące maski samochodów, zanim nie nadszedł Doug z chłopcami. Doug usiadł za kierownicą, a chłopcy obok niego, śmiejąc się i poszturchując. Z tyłu za nimi Jean czuła się odcięta od reszty rodziny. Nie mogła odwrócić wzroku od zgrabnej głowy Philipa. Nic jeszcze nie wskazywało na zmiany, które zaszły w jego mózgu; wyglądał jak zwykły, zdrowy ośmioletni chłopiec…

— Philip! krzyknęła nagle pod wpływem jakiegoś impulsu. Chłopiec odwrócił głowę.

— O co chodzi, mamo?

Słysząc wzruszenie w jej głosie Theodore i Boyd też się obejrzeli. Trzy różowe, prawie identyczne twarze spoglądały na nią z chłodnym zaciekawieniem.

— To nic. Ja… — dławiący ucisk w krtani nie pozwolił jej dokończyć.

— Jean? — głos Douga Banniona był pełen irytacji, gdy się pochylił nad kierownicą. Kostki palców przeświecały przez skórę koloru starej kości słoniowej.

— To normalne, tato — powiedział dziesięcioletni Boyd. — U większości kobiet przecięcie psychicznej pępowiny wywołuje zazwyczaj silny wstrząs. — Nie martw się, mamo — powiedział Philip. Poklepał Jean po ramieniu takim dziwnym dorosłym gestem.

Odsunęła rękę syna. Po policzkach zaczęły jej spływać gorące łzy, których nie potrafiła tym razem powstrzymać. Nie musiała bowiem patrzeć, żeby wiedzieć, że oczy jej ośmioletniego Philipa są mądre, życzliwe i stare.

Przełożyła z angielskiego Isabella Wagner-Jastrzębska

Dymitr Bilenkin
Dawać i brać

Andrzej Izydorowicz Dumkin nosił się nieco staroświecko. Uznawał jedynie ciemne garnitury w nikłe paseczki, poruszał się godnie i wyrażał z niedzisiejszą galanterią. Ta jego staromodność doskonale harmonizowała z wysokimi regałami pełnymi starych książek. Andrzej Izydorowicz był bibliografem, a charakterystyczne dla tego zawodu solidność i obowiązkowość stały się przyczyną dziwnej przygody, która mu się przydarzyła.

Zasiedział się do późna w swoim kantorku, który równie trudno było odnaleźć w labiryncie biblioteki, jak pojedyncza komórkę pamięci we wnętrznościach maszyny cybernetycznej. Gdy oderwał się wreszcie od pracy, wokół niego było cicho i pusto, tylko w odległym kącie popiskiwała uszkodzona świetlówka. Przed zgaszeniem lampy na biurku Andrzej Izydorowicz z westchnieniem ulgi rozprostował ramiona, zdjął zarękawki i pomyślał, że dziś chyba pojedzie do domu linia średnicową.

Z reguły wybierał linię obwodową, która nie wymagała przesiadek, no ale czasami, nawet kosztem wygody, trzeba sobie jakoś życie urozmaicić.

Andrzej Izydorowicz zgasił lampę, sprawdził, czy ma w kieszeni pióro, zastanawiał się przez chwilę, czy nie zabrać ze sobą notatek. Spojrzał na telefon, jakby aparat mógł mu przypomnieć o jakiejś zapomnianej rozmowie. A wszystko po to, by łatwiej przeistoczyć się z bibliografa w pasażera komunikacji miejskiej i marzącego o wypoczynku domatora.

Nie wtedy akurat, lecz znacznie później przyszła mu do głowy myśl, że ludzie jego pokroju odbywają w swym życiu drogę podobną do zamkniętej orbity planetarnej. Istnieją tysiące innych światów, które mogą z dala obserwować, ale nigdy się do nich nie zbliżą i nie poznają inaczej, jak z książek. Jakiś wyjątkowy wypadek mógłby go na przykład wprowadzić do świata artystycznego, ale czułby się w nim źle i niepewnie, bowiem w tym świecie panują własne obyczaje. Co innego w nim ludzi pociąga i odpycha, co innego martwi i raduje i toczy się on nawet według innego rytmu dobowego niż ten, do którego przywykł. A wszak świat artystyczny jest nie mniej egzotyczny niż, powiedzmy, świat hodowców owiec lub dyplomatów.

Ale tego wieczoru bibliograf Dumkin o niczym takim nie myślał. Obrócił się już do wyjścia, gdy zauważył fioletowy promień prześlizgujący się wzdłuż półek.

Nie był to zresztą promień, lecz fioletowy krążek o średnicy około

trzech centymetrów, przed którym w powietrzu nie rozbłyskiwała ani jedna drobinka kurzu.

W pierwszej chwili Andrzej Izydorowicz nie poczuł niczego: ani zdenerwowania, ani strachu, ani nawet ciekawości. Po prostu stał i patrzył na poruszający się fioletowy krążek. A krążek prześlizgiwał się wolno po grzbietach woluminów, nigdzie nie rozpłaszczając się w owal, nie rozszerzając się i nie zwężając, jakby emitujące go źródło światła prowadziła mechanicznie precyzyjna ręka. Ledwie bibliograf wyobraził sobie tę rękę za swoimi plecami, a już spokój go opuścił. Odskoczył do tyłu omal nie wywracając krzesła. Z tyłu jednak nikogo nie było, nie było też zresztą żadnego widocznego źródła światła. Dumkin był zupełnie sam w pustej bibliotece, w swoim kantorku, po którym jak gdyby nigdy nic wędrował widmowy promień.

Inny człowiek na jego miejscu mógłby wrzasnąć z przestrachu lub pomyśleć trzeźwo, że ma halucynacje. Andrzej Izydorowicz był jednak zbyt opanowany i dobrze wychowany, żeby podnosić gromki alarm, zaś o halucynacjach nawet nie pomyślał. Może dlatego, że promień zachowywał się zbyt zwyczajnie, choć równocześnie miał właściwości, które wydawały się nieprawdopodobne nawet jak na najbardziej rozpasaną halucynację. Andrzej Izydorowicz zrobił to, co mu dyktował jego charakter. Otrząsnął się z odrętwienia i z bijącym sercem, lecz bez paniki, obszedł dokoła wszystkie biblioteczne regały. Przekonał się dzięki temu, że promień nie prześwietla półek na wylot. Po obu stronach widział niknące w mroku długie szeregi książek, nieliczne palące się lampy i całkowity ład, który był równie powszedni i nienaruszalny, jak raz na zawsze nakręcony zegarek.

Andrzej Izydorowicz nieco uspokojony wrócił do swego kantorka.

Promień szperał już po najwyższych półkach. Ani wówczas, ani nigdy potem bibliograf nie potrafił zrozumieć, co skłoniło go do wzięcia drabiny. Umysł w takich sytuacjach pracuje niezbyt sprawnie i człowiek, jeśli tylko nie zdrętwiał całkiem ze strachu, stara się przynajmniej dotknąć i pomacać. Dumkin nie bał się, lecz w głowie miał całkowitą pustkę. Wszedł na drabinę i dotknął palcem fioletowego krążka.

Nie poczuł ani ciepła, ani zimna. Plamka zaś nie drgnęła i nie zniknęła: jak gdyby nigdy nic wędrowała swoją drogą. Ale najdziwniejsze było to, że palec nie rzucał cienia.

Zdumiony Andrzej Izydorowicz wszedł na wyższy stopień drabiny, żeby spojrzeć wzdłuż osi promienia.

W mózg wbiło się rozpalone żelazo! Błysk, potem upadek, ciemność i ból…

Nie wiadomo, jak długo leżał z ostrym bólem w głowie, bezsilny i nieruchomy jak rozdeptany robak. Wreszcie z otchłani rozpaczy i mroku dobiegł cichy głos.

— Łatwiej mi będzie panu pomóc, jeśli odsunie pan rękę.

Czyjeś palce odsunęły jego dłoń. Andrzej Izydorowicz rozróżnił pochyloną nad nim twarz z krążkiem światła połyskującym niewyraźnie u nasady nosa…

Ból zniknął.

— Teraz proszę otworzyć szeroko oczy… Krążek zbliżył się, powiększył. Wionęło chłodem i przestrzeń rozpościerająca się dokoła nabrała nagle głębi i ostrości.

— Widzę! — wykrzyknął Andrzej Izydorowicz.

Patrzył, widział i był szczęśliwy. Ale nie trwało to długo. Nagle zjawiła się myśl: tu nie powinno być teraz żadnego obcego człowieka!

Andrzej Izydorowicz poderwał się na równe nogi i zagapił na swego wybawcę.

Krążek gdzieś znikł. Dumkin miał przed sobą zwyczajną twarz najzwyklejszego w świecie człowieka. Zbyt zwykłego na to, czego tu dokonał!

Umysł pracował niezwykle jasno i precyzyjnie, a wzrok mimo woli podążył ku półkom z książkami.

— Niech się pan nie trudzi — powiedział nieznajomy. — Sadzę, że należą się panu wyjaśnienia, na które pan w pełni zasłużył.

Śmieszna rzecz: po tym wszystkim Andrzej Izydorowicz machinalnym, lecz uprzejmym gestem wskazał nieznajomemu krzesło i sam usiadł naprzeciwko. Zachowywał się jak człowiek z wysoką gorączką, był na przemian to zupełnie spokojny, to znów bliski omdlenia.

— Zawiniliśmy i prosimy o wybaczenie. — Ludzka postać i zwyczajny strój przybysza wzmagały jeszcze niecodzienność jego słów. — To, co tu robimy, nie powinno być widzialne, lecz drobne awarie sprzętu zdarzają się niestety nawet u nas.

— Co, co tu robiliście?! — wykrzyknął Andrzej Izydorowicz.

— Czytaliśmy wasze książki.

— Jasne — powiedział Dumkin z przygnębieniem. — Badanie prymitywnej cywilizacji, kosmiczna etnografia, że się tak wyrażę…

Był rad, że w słowach, które z siebie wydusił, można było wyczuć sarkazm.

— Nie tylko i nie przede wszystkim — odparł pośpiesznie nieznajomy. — Wy tutaj, sami o tym nie wiedząc, uczestniczycie w wielkiej zespołowej pracy, którą rozum prowadzi we Wszechświecie.

— Nie rozumiem — powiedział Andrzej Izydorowicz i westchnął. — Nie rozumiem…

— Zaraz pan zrozumie. W waszym mieście jest wiele ludzi… Ale czy jego mieszkańcy mogą prowadzić wszystkie potrzebne im badania? Rozwijać kulturę równie szybko jak społeczność całego świata? Nie. Gdyby zerwać kontakty intelektualne miasta, nastąpi

zastój. Powód jest prosty.

Możliwości rozumu, każdego, dowolnie potężnego rozumu — indywidualnego lub zespołowego — są skończone. A świat, który ten rozum usiłuje poznać i przebudować, nie ma granic. Oto sprzeczność, na którą nieuchronnie natrafia każda cywilizacja, gdy tylko jej zasoby intelektualne się wyczerpią. Sposób jest tylko jeden, ten sam, jakiego używacie w skali Ziemi: podział wysiłków, wymiana informacji, kooperacja na skalę kosmiczną. Od niedawna wy również w niej uczestniczycie, zdobywacie bowiem wiedzę, której my nie mamy.

— To niemożliwe! — wykrzyknął Andrzej Izydorowicz niemal z rozpaczą. — Przecież my w porównaniu z wami… z waszą…

— Głęboko się pan myli! Kto u was, na Ziemi, skonstruował bumerang? Komu zawdzięczacie kajak, strój polarny, najszybszy sposób pływania? Tym, których niezbyt mądrzy ludzie uważają za dzikusów. A czyż wasza sztuka jest o wiele lepsza niż sztuka nie rozwiniętej technicznie Grecji starożytnej? Nie należy więc zbyt pochopnie mówić j o prymitywizmie jakiejś cywilizacji.

— Chwileczkę… — Andrzej Izydorowicz poczuł przepływ natchnienia. — Powiedział pan: wymiana. Ale wymiana zakłada… Tak, tak, rozumiem! Jawny kontakt jest niemożliwy, dopóki ludzkość… To znaczy, że i wy dajecie nam… potajemnie?…

Przybysz uśmiechnął się ciepło i serdecznie. Jego wzrok zdawał się mówić: „niech pan dobrze pomyśli!” Dumkinowi wydało się, że pojął prawdę. Odpowiedzi nie będzie. „Nie” oznaczałoby hańbę całej kosmicznej wspólnoty, „tak” równałoby się ukrytej kurateli rozciągniętej nad całą ludzkością. Tymczasem jawny kontakt jest bezużyteczny, a nawet szkodliwy, dopóki na Ziemi są ludzie gotowi zagarnąć dla siebie każdy dar przybysza.

— Nietrudno się domyślić, o czym pan myśli — zaszemrał głos i wyrwał Andrzeja Izydorowicza z zadumy. — W istocie wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane. Odpowiedź, której pan oczekuje, nie leży na płaszczyźnie „tak” lub „nie”, proszę mi uwierzyć. Jak by to wytłumaczyć? Wasi uczeni przez dwieście lat zadawali naturze pytanie: czym jest światło, falą czy korpuskułą? Odpowiedź brzmiała: falocząsteczką. W naszym wypadku pytanie jest jeszcze dalsze od prawdy, zapewniam pana. To wszystko, co mogę powiedzieć. A teraz proszę wyobrazić sobie naszą sytuację i nie mieć żalu. Obowiązek moralny kazał nam naprawić krzywdę wynikłą z naszej winy i udzielić wyjaśnień, których brak mógłby zaszkodzić pańskiej psychice. Zrobiliśmy to. Nie gniewa się pan na nas?

— Cóż za pomysł? Ja…

— Wobec tego pozwoli pan, że go pożegnam i będę panu zgodnie z ziemskim obyczajem życzył wszystkiego dobrego.

— Chwileczkę! — poderwał się Andrzej Izydorowicz, który

absolutnie nie spodziewał się takiego zakończenia.

Ale na krześle już nikogo nie było — przybysz znikł. Bibliograf Dumkin znów został całkowicie sam wśród znanych w najdrobniejszych szczegółach przedmiotów, znalazł się w uspokajającej ciszy biblioteki między wysokimi ścianami książek, starych, zwyczajnych, niemal odwiecznych. A czuł się tak, jakby dopiero co wydobył się z groźnej morskiej kipieli, która topiła go, targała i podrzucała do góry, a potem, gdy już tracił oddech, złożyła miękko na spokojny brzeg.

Ta kipiel jednak ciągle jeszcze w nim była! Andrzej Izydorowicz, zastanawiając się gorączkowo nad tym, co teraz należy zrobić, podniósł z podłogi teczkę, odruchowo pogrzebał w kieszeniach i nagle znieruchomiał ze zdumienia. Przybysze nie chcieli, aby ludzkość dowiedziała się o ich istnieniu, a jednak ukazali się człowiekowi!

Andrzej Izydorowicz zamyślił się, popatrzył na puste krzesło i uśmiechnął się z odrobiną goryczy. Wiedzieli, co robią. Do ujawnienia się zmusiły ich okoliczności, ale ukąsi a zanie się jednemu człowiekowi nie oznacza jeszcze, że ludzkość się o nich dowie. Dlatego, że są rzeczy, w które nikt nie uwierzy.

Możliwe, że ich promień, teraz już niewidzialny, znowu szpera po półkach, wchłaniając owoce myśli ludzkiej i coś pozostawiając w zamian. A może nic nie pozostawiając? Dobrze by było. Gdyż dając, ludzkość niczego nie traci. Wręcz przeciwnie!

— Słyszycie mnie? — zapytał cicho Andrzej Izydorowicz. — Pozwalam wam brać. Bierzcie jak najwięcej… Bierzcie wszystko! Kiedy się później spotkamy, wasza wiedza nie będzie już prezentem dobrego wujaszka, lecz… Sami zresztą rozumiecie…

Ledwie to zdążył powiedzieć, już zawstydził się własnego patosu.

Cóż to z niego za figura, żeby decydować? Kropelka w ludzkim oceanie! Zaraz ubierze się, wyjdzie na ulicę, wsiądzie do wagonu metra i pojedzie, prześlizgując się wzrokiem po setkach twarzy ludzi, o których niczego nie wie i którzy nic nie wiedzą o nim. W domu żona zapyta jak co dzień: — No co tam u ciebie?

A on jak zwykle odpowie: — Zwyczajnie, nic szczególnego.

Przełożył z rosyjskiego Tadeusz Gosk

Janusz A. Zajdel
869113325

Budząc się, jeszcze w półśnie poczuł, że jest mu chłodno i niewygodnie. Pomyślał, że to na pewno spadek ciśnienia w kolektorze ciepłego sprężonego powietrza. Zdarza się to niekiedy.

Sięgnął do regulatora, by zwiększyć dopływ, ale nie pomogło nawet całkowite rozkręcenie kurka.

Nadal leżał na zimnym i twardym tworzywie pokrywającym spalnię, zamiast unosić się wygodnie na poduszce powietrznej. Stęknął, rozcierając obolałe ramię. Wstał i włączył vifon. Aparat nie działał…

W łazience powiodło mu się nie lepiej. Wyskoczył stamtąd zlany lodowatą wodą. Suszarka też oczywiście nie działała.

„Widocznie jakaś poważniejsza awaria" — pomyślał, wycierając się papierowym ręcznikiem.

Ubrał się spiesznie, bo w mieszkalni robiło się coraz zimniej — ogrzewanie też przestało działać.

„Co za dzień!" — pomyślał, zasiadając przed iluzorem i przekręcając gałkę. — „Od dawna nie pamiętam czegoś takiego, żeby naraz wszystko… Ciepło, powietrze, łączność… i chyba iluzor też, do licha!"

Mimo że aparat był już od dobrej chwili włączony, nie pojawił się na jego ekranie nawet zarys obrazu. Zmienił kanał — i nadal nic. Ani wizji, ani fonii, ani woni. Zaklął pod nosem. To już zaczynało wyglądać na katastrofę.

Sięgnął po mikrofon sieci awaryjnej i wywołał służbę naprawczą. Czekał długo, lecz nikt nie odpowiadał. Siedząc tak, skulony z zimna, poczuł na domiar złego jakieś dziwne mrowienia i ssania we wnętrznościach. Po dłuższej dopiero chwili uzmysłowił sobie, że to dawno nie doznawane uczucie oznaczało głód.

Jeszcze raz wywołał centralę i kazał połączyć się z Centralną Odżywialnią.

— Dzień dobry. Tu dyżurobot 64 — zgłosił się automat.

— Co wy tam wyprawiacie! Dlaczego jestem głodny? Oszukujecie na kaloriach! Ja złożę zażalenie!

— U nas wszystko w normie — powiedział robot spokojnie. — Proszę sprawdzić podłączenie abonenckie.

Przewody były podłączone prawidłowo, lecz mimo to uczucie głodu wzmagało się.

Dzwonek do drzwi. Spojrzał z nadzieją w stronę wejścia. W drzwiach stanął;stary, podniszczony robot, z równie zużytą torbą do

narzędzi i szwedzkim kluczem w dłoni.

— Dzień dobry, panie 869113325 — powiedział skrzypliwie. — Witam, witam — ucieszył się użytkownik mieszkalni. — Jesteś może specjalistą od iluzorów? Czy może od sieci cieplnej?

— Ani to, ani tamto. Przykro mi, że musiałem pozbawić pana śniadanka.

— Jak to? Dlaczego?

— Po prostu. Dostałem zlecenie na odłączenie wymiennika pokarmowego od pana instalacji.

Rachuneczek nie uregulowany, drogi panie. Dłużej już nie mogliśmy czekać! Konto puste, pracować nie chce się szanownemu panu, nóżkami pokręcić, rączkami pomachać… To i krewkę musimy odłączyć. Proszę sprawdzić sobie stymulatorek serduszka, uruchomić, zamknąć pętelkę wewnętrznego obiegu, cewniczki od kolektora odłączyć…

— Jak to? Chcesz mnie odłączyć od centralnego krwiobiegu? Chcesz mnie zamordować?

Zostaw te cewniki, bo jeszcze coś popłaczesz… Słyszałem o takim, co mu robot przez pomyłkę włączył żeńskie hormony i biedak o mało płci nie zmienił.

— Niech pan nie utrudnia! — obruszył się robot. — Czy pan gotów, bo odłączam… Nie chciało się pracować, nie będzie się korzystało z udogodnień. Obieg płucny też proszę sobie na własne płucka przełączyć. Sprawdzić, lewe, prawe… W porządku? Tchawiczkę połączymy z aerociągiem i trzeba będzie samemu krewkę sobie wentylować, hemoglobinkę utleniać…

— A co z moim śniadaniem? — jęknął 869113325.

— Jedną chwileczkę. Przełyczek podłączymy, a jakże, do zupociągu, dziś pomidorowa z kluseczkami, mówili mi, że smaczna, ale sam nie używam. żołądeczek w porządku? Strawi, nie ma obawy, chociaż pewnie odwykł. Sztuczną nereczkę centralną podłączymy na wszelki wypadek, gdyby pan się czym zatruł. Teraz wszyscy się zatruwają od nadużywania pigułek rozrywkowych.

— Zbrodniarze! — protestował coraz słabiej 869113325. — Mam oddychać? Tym śmierdzącym powietrzem z rury? Mam łykać ogólną zupkę z rurociągu? Za co? Dlaczego?

— To normalny los leniwych. Ja tam zawsze na swoją bańkę oliwy zarobię, a jak mi przyjdzie ochota poiskrzyć, to też mnie na to stać — burknął robot, zgarniając narzędzia do torby.

— Ostatnio roboty stały się zdumiewająco bezczelne i aroganckie — zauważył 869113325. — Będę musiał złożyć zażalenie…

— Hm, a do kogo pan skieruje tę skargę, jeśli wolno spytać najuprzejmiej szanownego pana?

— powiedział robot z nie tajonym sarkazmem. — Radziłbym

raczej zająć się pracą, bo będzie jeszcze smutniej. Skończy się zupka, zakręcimy wodę spożywczą i gospodarczą, nawet światełko wyłączymy. Zostanie panu tylko kanalizacja, ale, hi, hi! — na nic się nie przyda, gdy zupki nie będzie. No, to już, gotowe. Jak serduszko? Pompuje jak złoto. Niech pan oddycha ekonomicznie, powietrze coraz droższe, a pan niewypłacalny. Otrzymał pan kredyt tylko na potrzeby elementarne. śadnych luksusów. I proszę się nie zaziębić, bo po odłączeniu centralnego krwiobiegu żadne antybiotyki nie docierają do pańskiego organizmu. Do widzenia, panie 869113325!

Robot wyszedł, a Człowiek 869113325 ciężko westchnął. Czuł wokół siebie niemiłą woń zatęchłego powietrza, które wdychał. „Oszuści! — pomyślał. — Dają powietrze przemysłowe zamiast oddechowego".

Pomidorowa była kwaśna i miała smak grochówki. Widocznie rurociąg niezbyt starannie wypłukano po wczorajszym obiedzie.

Z rozrzewnieniem wspomniał czasy, kiedy to wieczorem wystawiało się pustą butlę za drzwi, by rano znaleźć ją napełnioną świeżutkim, czystym powietrzem górskim z zapachem igliwia i siana. Można z tym było wyjść na zewnątrz, przespacerować się, w skafandrze wprawdzie, ale zawsze to było przyjemne…

Dawno już nie wychodził na zewnątrz. Butli jakoś ostatnio nikt nie wymieniał albo może sąsiedzi kradli pełne spod drzwi, zostawiając puste… A i program w iluzorze był tak bogaty i urozmaicony w porównaniu z tym, co można było zobaczyć na zewnątrz, i pigułki iluzyny były coraz lepszej jakości. Ostatnio nawet podobno wynaleziono znakomity gaz rozrywkowy, iluzyt, który można było sobie zamawiać rurociągiem do mieszkalni…

869113325 poprawił podłączenie powietrza i centralnej nerki, odłączył przełyk od zupociągu i wlokąc za sobą przewody, poczłapał smętnie w stronę pracmaszyny.

„Nie ma innej rady, trzeba się zabrać do roboty, zarobić trochę, bo zupełnie mnie odłączą!"

— pomyślał, siadając na siodle i opierając nogi na pedałach. Chwycił w obie dłonie dźwignie.

„Jakiż to ma sens?" — rozmyślał, pedałując zawzięcie i poruszając rytmicznie dźwigniami pracmaszyny. Sięgnął do kieszeni po flakonik iluzyny, ale nie znalazłszy ani jednej tabletki, z konieczności myślał dalej.

„Czy zawsze człowiek musiał tak bezustannie, bez chwili wytchnienia?… To prawda, zrobiłem sobie kilkutygodniowa przerwę, nie chciało mi się pracować, ale… czyżby wszystkie moje oszczędności stopniały tak błyskawicznie? Puste konto!"

Po chwili namysłu uprzytomnił sobie jednak, że to zupełnie możliwe. Czasem, gdy włączał przez pomyłkę ten najnudniejszy i

najtańszy program informacyjny w iluzorze, słyszał o wzroście cen…

Po trzech godzinach kręcenia pedałami i szarpania dźwigni doszedł do wniosku, że jednak dawniej musiało być lepiej, choć na pewno wszystko było bardziej złożone i mniej wygodne. Ale za to człowiek nie zależał tak silnie od otoczenia…

„Teraz wystarczy zakręcić człowiekowi kilka kurków — i już po nim. Spróbuj tylko przez pewien czas nie obracać tych cholernych pedałów". Niby wygoda, wszystko na miejscu, z dostawą do mieszkalni, nawet praca. Nie trzeba wychodzić na zewnątrz, nie ma problemu komunikacji, rozrywki są dostępne dla każdego, jedzenie również…

A na zewnątrz podobno nie ma już ani grama powietrza. Albo może jest, ale zupełnie do niczego.

„Ech, dobra i ta pomidorowa z kluseczkami!" — westchnął, pedałując ostro. Bolały go ręce i nogi.

„A gdyby tak… w ogóle przestać? Zobaczyć, do czego to doprowadzi? Co oni wówczas zrobią? Gzy pozbawią mnie i tego cuchnącego powietrza, i tej kwaśnej zupki? Jakiż sens ma to ogólne pedałowanie, uprawiane w każdej mieszkalni, tak samo w Ml jak i w M4, tyle że na różną ilość rąk i nóg… śe niby trzeba oddać energię do wspólnego banku, proporcjonalnie do ilości zużywanych dóbr? Kto dziś wierzy, że ta energia ma jakiekolwiek znaczenie w ogólnym bilansie?

Chyba już raczej chodzi o cele wychowawczo-społeczne: że niby nikt nie żyje za darmo. Pracuj — a będziesz miał. Nie pracujesz — nie masz nic. Niby słusznie. Ale żeby zaraz wszystkiego pozbawiać?

Czy po to ongiś automaty przejęły od człowieka ciężki wysiłek fizyczny, a komputery — umysłowy, aby teraz znów zmuszać ludzi do fizycznego wysiłku, w formie zunifikowanej, doskonale wymiernej: jeden obrót — jeden punkt na konto… łatwo porównać, ile kto napracował, ale po co?

Komu na tym zależy, komu to służy teraz, gdy wszystko można by mieć za darmo. Oni z niezrozumiałych przyczyn kultywują stare obyczaje epoki niedosytu, wtłaczając w nie ludzi współczesnych…"

Przestał kręcić pedałami i otarł pot z czoła. Sprawdził stan licznika i zarobione punkty przesłał na swoje konto z dyspozycją pokrycia należności za abonament iluzoryjny. Chciał już zejść z siodła i włączyć iluzor, gdy nagła myśl osadziła go na miejscu.

„Zaraz, zaraz… Jacy «oni»? Któż to taki? Supermózg centralny, roboty… i kto jeszcze? Kto?

Jeśli wszyscy tkwilimy na przemian przed iluzorem lub przed pracmaszyną, to któż pozostaje? Kim są oni? Robot, komputer, maszyny stworzone przez ludzi, nie mogą go zabić. Ale tworzą system.

System! Sieć, w którą jesteśmy wplątani… Jeśli człowiek

przestanie obracać pedały pracmaszyny, to na mocy stworzonych przez siebie praw zginie z zimna i głodu. Sam sobie odłączy środki do życia niezbędne. Sam — sobie! Robot tego nie może zrobić, ale jeśli człowiek sam…

…jakże aroganckie stały się ostatnio roboty!…One tylko na to czekają: żebyśmy przestali obracać tymi pedałami w naszej podróży donikąd, w ścianach naszych mieszkalni, na smyczach jadłociągów i w hipnozie iluzora. To one wymyślają te wspaniałe rozrywki, tysiąc razy piękniejsze niż brzydki, zniszczony krajobraz planety… To one wymyślają pigułki szczęścia, bo któż by!

…ale co robić? Co robić?… Niedoczekanie ich, łobuzów! Nie przestaniemy, nie damy się! To jedyne, co możemy zrobić przeciw nim!”

Człowiek 869113325 wsparł mocno dłonie na dźwigniach pracmaszyny, nacisnął pedały i obracając nimi wściekle prędko, nie ruszając się z miejsca pognał w nieskończoność swego czasu.

Koniec (chyba…) James Blish Dzień statystyka Wiberg był korespondentem zagranicznym New York Timesa od czternastu lat, z czego dziesięć poświęcił równolegle swej osobliwej specjalności. Dwukrotnie w związku z nią odwiedzał Anglię, spędziwszy tam w sumie osiemnaście tygodni. (Jak można się spodziewać, był precyzyjny w takich sprawach). Efektem drugiego pobytu był szok, jakiego doznał w domu Edmunda Gerrarda Darlinga.

Kontrolę Populacji utworzono dopiero dziesięć lat temu po straszliwej światowej klęsce głodu w roku 1980 i odtąd Anglia niewiele się zmieniła. Jadąc z Londynu autostradą M-4, zobaczył ponownie wysokie bloki osiedli, które wyparły Zielony Pas otaczający niegdyś miasto, podobnie jak to miało miejsce w Westchester County w stanie Nowy Jork, Arlington w Wirginii, Evanston w Illinois, czy Berkeley w Kalifornii. Od czasu jego pierwszego pobytu wybudowano niewiele nowych osiedli — w końcu przy stabilnej populacji nie było takiej potrzeby — aczkolwiek większość ich wskutek pospiesznej budowy nie rokowała zbyt długiego żywota.

Podobnie miasteczko Maidenhead, ustabilizowane na dwadzieścia tysięcy mieszkańców, wyglądało tak jak wówczas, gdy przejeżdżał tędy po raz ostatni w drodze do Oxfordu. (Składał wtedy podobną wizytę specjaliście od erozji brzegowej, Charlesowi Charlestonowi Shackletonowi, który parał się również literaturą). Tym razem jednak musiał zboczyć z autostrady przy Maidenhead Thicket i znalazł się nagle wśród krajobrazu, jakiego obecnie nawet w marzeniach nie spodziewał się ujrzeć, a już z pewnością nie między Londynem a Reading.

Droga mogąca pomieścić zaledwie jeden samochód, gęsto zarośnięta po bokach drzewami, zaprowadziła go do ronda, przez

które nawet dziecko zdołałoby splunąć na drugą stronę, gdyby pośrodku nie stał omszały trzymetrowy obelisk upamiętniający pierwszą wojnę światową.

Naprzeciwko leżał cel jego podróży, Shurlock Rów — wioska, która zdawała się składać wyłącznie z kościoła, pubu oraz pięciu czy sześciu sklepików. W pobliżu musiał być również staw z kaczkami, skądś bowiem dolatywało ciche kwakanie.

„Phygtle", siedziba powieściopisarza znajdująca się przy High Street, była chyba jedynym budynkiem na tej ulicy. Duża dwupiętrowa willa w wiejskim stylu z dachem krytym strzecha, białymi ścianami i dębowymi belkami pomalowanymi na czarno. Nad strzechą, najwyraźniej świeżo położoną, była umieszczona druciana siatka służąca do odstraszania ptaków. Reszta zdawała się pochodzić z szesnastego wieku i tak też zapewne było.

Wiberg zaparkował „Morrisa" i pomacał wewnętrzną kieszeń marynarki, sprawdzając, czy znajduje się w niej stereotypowe wspomnienie pośmiertne Associated Press. Usłyszał cichy, uspokajający szelest. Nie wyjmował kartek — znał ich treść na pamięć. To właśnie przesłana pocztą tydzień temu odbitka szczotkowa stała się powodem jego podróży. Wspomnienie nie mogło być opublikowane przed upływem roku, ale chodziły słuchy, że Darling jest chory, co zawsze stanowiło przyzwoity, naturalny pretekst do odwiedzin.

Wysiadł z samochodu i zapukał do drzwi frontowych stylizowanych na wiejskie wrota.

Otworzyła mu pulchna, rumiana dziewczyna w stroju pokojówki, której wygląd świadczył o gorliwym kontakcie z wodą i mydłem. Podał swoje nazwisko. — Ach tak, pan Wiberg. Sir Edmund oczekuje pana — powiedziała z silnym akcentem irlandzkim. — Może woli pan — zaczekać w, ogrodzie?

— Chętnie — odrzekł. Dziewczyna najwidoczniej była nowym nabytkiem, pisarz bowiem nie miał tytułu szlacheckiego, był natomiast kawalerem Orderu Zasługi, co jest odznaczeniem o wiele wyższym. Podobno jednak Darling nie przywiązywał wagi do takich błahostek, więc postanowił jej nie poprawiać.

Pokojówka poprowadziła Wiberga przez ogromną jadalnię z niskim belkowanym sufitem i kominkiem z ręcznie wypalanej cegły ku oszklonym drzwiom werandy. W ogrodzie, zajmującym blisko półakrową powierzchnię, rosło mnóstwo kwitnących krzewów, głównie różanych, a wśród nich wiły się żwirowane alejki. Było tam również kilka starych jabłonek i grusz, a nawet drzewo figowe. Na powierzchni wydzielonej pod warzywnik stała mała szopa ogrodnicza. Całość osłaniało od drogi oraz sąsiadów wiklinowe ogrodzenie oraz wiecznie zielony żywopłot.

Najbardziej jednak zainteresował Wiberga murowany domek gościnny czy też przybudówka dla służby na tyłach ogrodu. W tym właśnie domku pracował Darling w czasach, gdy jego rodzina zamieszkiwała jeszcze willę. Pierwotnie dach przybudówki był spadzisty, kryty dachówką, później jednak górna jego część została wyrównana i założono tam słynne małe obserwatorium astronomiczne.

Ta okolica, pomyślał Wiberg, musiała być tak samo okropna, nim urodził się Darling, ale dla Darlinga nie miało to większego znaczenia. Był miłośnikiem wiedzy (nazywał ją „najwspanialszym, najbardziej widowiskowym sportem świata") i zbudował to obserwatorium nie w celach badawczych, lecz tylko dlatego, że lubił patrzeć w gwiazdy.

Wiberg zerknął przez okno, nie dostrzegł jednak śladów obecności pisarza, widocznie teraz tylko pokojówka korzystała z tego pomieszczenia. Westchnął. Nie był człowiekiem szczególnie wrażliwym — nie mógł sobie na to pozwolić — ale bywały chwile, że nawet on czuł się przytłoczony swoją profesją.

Podjął na nowo wędrówkę po ogrodzie wdychając zapach róż i laków. Laków nie widywał nigdy w Stanach, miały ostrą egzotyczną woń, z lekka przypominającą woń kwitnącego tytoniu lub też — jak sobie wyobrażał — ziół używanych przy balsamowaniu zwłok w starożytnym Egipcie.

Znowu zjawiła się pokojówka. Poprowadziła go raz jeszcze przez jadalnię, następnie przez ogromny obstawiony książkami hali w kształcie litery L, z kominkiem z polerowanego kamienia przy głównych schodach. Na górze znajdowała się sypialnia mistrza. Gdy Wiberg zbliżał się do drzwi, pokojówka zawołała: „Proszę uważać na głowę, sir!", ale było już o sekundę za późno, zawadził czubkiem głowy o poprzeczną belkę.

Z głębi sypialni doleciał chichot.

— To jeszcze betka — usłyszał męski głos. — Ktoś cholernie nieostrożny wchodził tu kiedyś z dzieckiem na ręku.

Uderzenie nie było zbyt silne i Wiberg od razu o nim zapomniał. Edmund Gerrard Darling w kraciastym szlafroku spoczywał podparty poduszkami w ogromnym łożu i zapewne na piernatach, bowiem jego szczupłe ciało zdawało się w nim tonąć. Włosy miał nadal gęste, tylko czoło wyższe niż ma ostatniej fotografii zamieszczonej na okładce książki. Twarz wciąż jeszcze była patrycjuszowska, ale wskutek choroby rysy jej zgrubiały, przez co nabrała nieco łagodniejszego wyrazu, nie bardzo pasującego do człowieka, który jako krytyk przez blisko sześćdziesiąt lat bezlitośnie darł pasy ze swych kolegów, wytykając im brak podstawowej znajomości literatury angielskiej, nie mówiąc już o innych.

— Cieszę się bardzo, że mogę poznać pana. To dla mnie

prawdziwy zaszczyt — powiedział Wiberg wyciągając notatnik.

— Chciałbym odpłacić panu tym samym — odparł Darling, skinieniem ręki wskazując fotel. — Niestety, od dawna już spodziewałem się pańskiej wizyty. Pewne pytanie tkwi w mym mózgu jak ćwiek i będę ogromnie zobowiązany, jeśli odpowie mi pan na nie od razu, zakładając oczywiście, że wolno panu to uczynić.

— Proszę się nie krępować. Ostatecznie ja również przyszedłem tu, aby zadawać pytania.

Cóż to takiego?

— Czy jest pan — spytał pisarz — tylko forpocztą kata, czy też katem we własnej osobie?

Wiberg zmusił się do uśmiechu.

— Obawiam się, że nie rozumiem pytania.

W gruncie rzeczy zrozumiał je aż za dobrze. Nie rozumiał tylko, w jaki sposób Darling zdobył dostateczne informacje, by na to wpaść. Przez całe dziesięć lat główna tajemnica Popkonu była strzeżona nadzwyczaj surowo.

— Jeśli nie odpowie pan na moje pytanie, będę czul się zwolniony z obowiązku odpowiedzi na pańskie — rzekł Darling. — Myślę, że nie zaprzeczy pan, iż ma pan w kieszeni wspomnienie pośmiertne o mnie? Z tym podejrzeniem Wiberg spotykał się w swej praktyce tak często, że odpowiedział na nie gładko, zachowując pozory absolutnej szczerości.

— Jasne, że mam. Niewątpliwie orientuje się pan, iż wielkie dzienniki, jak na przykład Times, czy wielkie koncerny prasowe przechowują w swych kartotekach — tak na wszelki wypadek — wspomnienia pośmiertne o wybitnych lub ciekawych żyjących jeszcze ludziach. Trzeba je często uaktualniać, to samo przez się zrozumiałe. A każdy reporter wysyłany w celu przeprowadzenia wywiadu sam przygotowuje się najpierw na podstawie tych kartotek, co też jest normalne.

— Zaczynałem kiedyś jako dziennikarz — odparł Darling. — Stąd też wiem, iż wielkie dzienniki nie maja zwyczaju wysyłać swoich głównych korespondentów zagranicznych z misją godną początkujących reporterów. — Nie każdy, z kim przeprowadza się wywiad, jest laureatem Nagrody Nobla. A gdy ten ktoś w dodatku liczy sobie osiemdziesiąt lat i z wiarygodnych źródeł wiadomo, że jest chory, wywiadu, który może być już ostatnim, nie zleca się byłe żółtodziobowi.

Jeśli chce pan traktować to po prostu jako uaktualnianie wspomnienia pośmiertnego, nie mogę panu w tym przeszkodzić. Na pewno jest w tym coś niesamowitego, ale przecież pan wie równie dobrze, jak ja, że w ten sposób można określić znaczną część pracy dziennikarza.

— Wiem, wiem — mruknął gniewnie Darling. — l w tej sytuacji, mimo że pan z taką skromnością starał się tego nie podkreślać, fakt, iż właśnie panu powierzono tę misję, winienern przyjąć jako dowód uznania dla mojej osoby. Hę?

— No cóż — odrzekł Wiberg — tak, sir, można by to i tak ująć. — Ściśle biorąc, zamierzał to ująć dokładnie w ten sposób.

— Bzdura!

Wiberg wzruszył ramionami.

— Jak już wspomniałem, nie mogę przeszkodzić, by widział pan tę sprawę w świetle, jakie panu odpowiada. Bardzo jednak żałuję.

— Nie powiedziałem, że widzę to w innym świetle. Powiedziałem: bzdura! Pańskie tłumaczenie jest w dużej mierze prawdziwe, ale równocześnie wykrętne, wprowadzające w błąd.

Miałem nadzieję, że przedstawi mi pan konkretne fakty, do czego, wydaje mi się, mam prawo.

Zamiast tego uraczył mnie pan porcją banalnej paplaniny, jaką zbywa się trudnych klientów.

Wiberg, coraz bardziej zaniepokojony, odchylił się na oparcie fotela.

— Proszę mi więc wyjaśnić, co uważa pan za konkretne fakty?

— Nie zasługuje pan na to, ale byłoby nonsensem ukrywać przed panem coś, co jest panu dobrze wiadome. To dokładnie pokrywa się z tym, co chciałem, aby pan wiedział o mnie — odparł Darling. — No więc dobrze, pozostańmy chwilowo przy prasie. Sięgnął do kieszonki na piersiach i wyjął papierosa, potem dotknął przycisku na szafce nocnej. Natychmiast zjawiła się pokojówka.

— Zapałki — powiedział.

— Sir, doktor…

— Do diabła z doktorem, teraz już wiem, kiedy umrę, i to z dokładnością do jednego dnia.

Nie przejmuj się, moja mała, nie rób takiej zmartwionej miny, po prostu przynieś mi zapałki, a wracając rozpal w kominku.

Dzień był ciepły, ale mimo to Wiberg z przyjemnością: popatrzył na mały ogienek rozbłyskujący za kratą kominka. Darling zaciągnął się i spojrzał z uznaniem na papierosa.

— Swoją drogą ta statystyka to cholerny nonsens — odezwał się. — Moja uwaga ma zresztą bezpośredni związek z przedmiotem naszej rozmowy. Gdy przekroczy pan sześćdziesiątkę, panie Wiberg, stanie się pan niemal fanatykiem nekrologów. Najpierw zauważy pan, że przenoszą się do wieczności bohaterowie pańskiego dzieciństwa, z kolei niektórzy pańscy przyjaciele, potem zacznie się pan niepostrzeżenie interesować zmarłymi ludźmi, których pan nie znał lub też nic dla pana nie znaczyli, a wreszcie nawet takimi, o których nic pan nie słyszał. Rozrywka raczej w niezbyt dobrym guście, gdy

człowiek z pewną satysfakcją powtarza sobie: „Cóż, o n umarł, ale j a wciąż jeszcze żyję”. Oczywiście, jeśli ma pan jakie takie skłonności do introspekcji, może to obudzić w panu coraz większą świadomość rosnącego osamotnienia w świecie. I jeśli nie zrównoważy tego odpowiednie bogactwo ducha, zacznie pan coraz bardziej lękać się śmierci.

Szczęśliwie jedną z moich wieloletnich pasji jest nauka, a zwłaszcza matematyka. Po przeczytaniu mnóstwa nekrologów w New York Timesie, w londyńskim Timesie, a także w kilku innych dużych dziennikach, które śledziłem z początku dorywczo, potem zaś bardzo pilnie, zacząłem uświadamiać sobie całe serie zbiegów okoliczności. Czy dotąd wszystko dla pana jasne?

— Sądzę, że tak — odparł ostrożnie Wiberg. — O jakie zbiegi okoliczności panu chodzi?

— Mogę przytoczyć konkretne przykłady, ale myślę, że wystarczy aspekt ogólny. Aby doszukać się takich zbiegów, trzeba czytać zarówno pomniejsze nekrologi, jak i takie, którym towarzyszą nagłówki w gazetach oraz uroczyste wspomnienia pośmiertne. I nagle znajduje pan, powiedzmy, dzień, w którym umiera zadziwiająco duża liczba lekarzy. Kiedy indziej znów — prawników. I tak dalej… Po raz pierwszy zwróciłem na to uwagę w dniu katastrofy lotniczej, w której zginęło niemal całe kierownictwo dużego amerykańskiego przedsiębiorstwa budowy maszyn. To mnie uderzyło, ponieważ przedtem firmy amerykańskie nigdy nie pozwalały podróżować tym samym samolotem więcej niż dwóm menedżerom. Tknięty podejrzeniem przebiegłem wzrokiem pomniejsze nekrologi i stwierdziłem, że był to w ogóle fatalny dzień dla inżynierów. I jeszcze jedna zaskakująca zbieżność: niemal wszyscy zginęli w różnych wypadkach podczas podróży. Katastrofa samolotu była tym nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, który pozwolił mi odkryć coś wyglądającego na autentyczny szablon. Zacząłem prowadzić zestawienia.

Odkryłem jeszcze sporo innych współzależności. Na przykład w tego typu wypadkach giną często całe rodziny i cóż się wtedy okazuje? śe żonę często łączą z mężem nie tylko więzy małżeńskie, ale również zawodowe.

— Interesujące… i trochę niesamowite — zgodził się Wiberg. — Ale, jak już pan zauważył, to tylko oczywisty zbieg okoliczności. Taka mała próbka…

— Nie jest to mała próbka, jeśli obserwacje prowadzi się od dwudziestu lat — przerwał Darling. — I absolutnie nie wierzę tu w jakiekolwiek zbiegi okoliczności, wyjąwszy może pierwszą katastrofę lotniczą, która popchnęła mnie do śledzenia tej sprawy. W tej chwili zresztą nie jest to już kwestia wiary. Prowadzę dokładne zapisy, co

jakiś czas dzwonię do centrum obliczeniowego przy Uniwersytecie Londyńskim i podaję im moje liczby — oczywiście nie tłumacząc programistom, co oznaczają. Moje ostatnie obliczenia za pomocą testu chi-kwadrat były właśnie w toku, gdy odebrałem pański telegram z prośbą o pozwolenie odwiedzenia mnie. Otrzymałem istotność punktu zero zero zero jeden w pięcioprocentowym przedziale ufności. To znacznie większe prawdopodobieństwo niż to, jakie zdołano kiedykolwiek przedstawić w akcji antynikotynowej, a przecież mieliśmy całe regimenty medycznych osłów, ba, nawet całe rządy, zachowujące się tak, jak gdyby te liczby oznaczały realne zjawisko gdzieś od 1950 roku. Prowadzę poza tym dodatkową kontrolę. Przyszło mi na myśl, że wiek może tu być czynnikiem odgrywającym istotną rolę. Test chi-kwadrat wykazał, że tak.nie jest. Nie ma to żadnego związku z wiekiem. Natomiast nie ulega wątpliwości, że zgony są dobierane według rodzaju zatrudnienia lub zawodu.

— Hmm. Załóżmy, czyniąc zadość wymogom dyskusji, że tak się rzeczywiście dzieje. Czy może pan zasugerować, w jaki sposób?

— W jaki sposób, to żaden problem — odparł Darling. — Wykluczone, aby to było zjawisko naturalne, ponieważ siły przyrody, jak na przykład dobór naturalny, nie wykazują aż tak specyficznej wybiórczości ani też nie dają efektów w ciągu tak krótkiego okresu, jakim jest sto lat.

Właściwe zatem pytanie powinno brzmieć: dlaczego? I może na nie istnieć tylko jedna odpowiedź.

— Jaka mianowicie?

— Polityka.

— Proszę mi wybaczyć, sir — powiedział Wiberg — ale przy całym szacunku, jaki żywię dla pana, pomysł ten wydaje mi się, hmm, nieco paranoidalny.

— Całkiem paranoidalny, a jednak zgodny z prawdą. Zauważyłem, że ani razu go pan nie zakwestionował. To politycy są paranoikami, nie ja.

— Jaki mógłby być pożytek z takiej polityki lub też, jak mógłby go sobie ktoś wyobrażać? Pisarz spojrzał głęboko w oczy Wiberga zza szkieł okularów.

— Ogólnoświatowa Kontrola Populacji — odezwał się — działa oficjalnie już od dziesięciu lat, a nieoficjalnie — chyba od dwudziestu. I działa skutecznie — populacja w chwili obecnej jest ustabilizowana. Większość ludzi wierzy — i tak im się podaje — że Popkon zajmuje się wyłącznie przymusową regulacją urodzin. Nie zastanawiają się nad tym, że utrzymanie prawdziwie stabilnej populacji wymaga również rygorystycznie planowanej gospodarki. Po wtóre, nie zastanawiają się nad tym — a tego im się już nie podaje, przeciwnie, fakty, z których mogliby coś wywnioskować są utrzymywane w tajemnicy — że przy

obecnym stanie wiedzy możemy regulować jedynie liczbę urodzin. Nie możemy natomiast pokierować nią pod względem jakościowym. Oczywiście, jesteśmy w stanie decydować o płci dziecka, to prosta sprawa. Nie mamy jednak wpływu na to, by stało się ono w przyszłości architektem, niewykwalifikowanym robotnikiem, czy też po prostu najzwyklejszym bałwanem. A w całkowicie sterowanej gospodarce zawsze należy przestrzegać, by na każdym etapie istniała ściśle określona liczba architektów, robotników i bałwanów. Ponieważ i nie można tego dokonać za pomocą regulacji urodzin, trzeba zastosować regulację zgonów. Inaczej mówiąc, gdy stwierdza pan nieekonomiczną nadwyżkę, powiedzmy, pisarzy, zgarnia pan ją niczym szumowiny z rosołu. Oczywiście stara się pan ograniczyć to „szumowanie" do najstarszych, ponieważ jednak nie da się przewidzieć okresu, w jakim wystąpi taka nadwyżka, wiek tych najstarszych w momencie „szumowania" jest zbyt zróżnicowany, by mógł mieć znaczenie statystyczne. Zapewne jest to dalej maskowane pewnymi posunięciami taktycznymi, jak nadawanie wszystkim zgonom charakteru wypadków, pozorny brak związku między nimi, co pociąga za sobą często likwidację kilku młodszych członków danej kategorii i pozostawienie kilku starszych dla zachowania tych pozorów. Oczywiście, to znacznie ułatwia historykom prowadzenie zapisów. Jeśli wiadomo, że — jako wynik polityki — śmierć danego pisarza została zaplanowana na konkretny dzień lub też coś koło tego, nie ma obawy, by zbrakło ostatniego z nim wywiadu lub aktualnego wspomnienia pośmiertnego. I taki lub inny pretekst — na przykład zwykła wizyta lekarza u ofiary — może stać się zwiastunem jej bliskiej śmierci. I tu wracamy, panie Wiberg, do mego pierwszego pytania. A więc, czy jest pan Aniołem Śmierci czy też na razie jego zwiastunem?

Zapadła cisza, tylko ogień strzelał głośno w kominku, wreszcie Wiberg odezwał się: — Nie mogę panu powiedzieć, czy pańska hipoteza jest słuszna, czy też nie. Jak pan sam zasugerował na początku naszej rozmowy, gdyby nawet to była prawda, nie wolno mi jej wyjawić z prostych logicznych powodów. Mogę tylko dodać, że ogromnie podziwiam bystrość pańskiego umysłu — i bynajmniej nie jestem nią zaskoczony. Ale raz jeszcze dla dobra dyskusji posuńmy to logiczne rozumowanie o krok dalej. Załóżmy, że sytuacja wygląda tak, jak ją pan przedstawił.

Załóżmy dalej, że zaplanowano pana do… „odszumowania"… mniej więcej za rok od tej chwili. I na koniec, załóżmy, że początkowo miałem być wyłącznie osobą przeprowadzającą z panem ostatni wywiad, nie zaś katem. Czy to ujawnienie mi pańskich wniosków nie zmusiłoby mnie do wzięcia na siebie roli kata?

— Owszem, mogłoby się tak zdarzyć — odrzekł Darling z zadziwiającą pogodą ducha. — Przewidziałem i takie konsekwencje.

Moje życie było niezwykle bogate, a obecna choroba tak mi się uprzykrzyła, że odebranie mi jednego roku życia — zwłaszcza gdy wiem, że jest ona nieuleczalna — nie wydaje mi się przerażającą stratą. Z drugiej strony, nie sądzę, bym w tej sytuacji wiele ryzykował. Pozbawienie mnie życia o rok wcześniej spowodowałoby pewne zachwianie matematycznej ciągłości w systemie. Niewielkie wprawdzie, ale biurokraci nienawidzą jakichkolwiek odchyleń od ustalonej procedury bez względu na ich znaczenie. Tak czy siak, nic mnie to nie obchodzi. Natomiast myślę o panu, panie Wiberg. Tak, tak, proszę mi wierzyć.

— O mnie? — spytał niespokojnie Wiberg. — A to dlaczego?

Nie było wątpliwości, że w oku Darlinga zamigotał znów z dawną żywością złośliwy błysk.

— Jest pan statystykiem. Mogłem to łatwo wywnioskować ze sposobu, w jaki reagował pan na moją statystyczną terminologię. Ja z kolei jestem matematykiem-amatorem, nie ograniczającym się w tych zainteresowaniach do procesów stochastycznych. A jednym z moich koników jest geometria rzutowa. Śledziłem statystykę ludności, liczby zgonów i tak dalej, ponadto sporządzałem wykresy. I dlatego wiem, że czternasty kwietnia przyszłego roku będzie dniem mojej śmierci.

Nazwijmy go dla upamiętnienia Dniem Pisarza. Cóż dalej, panie Wiberg. Wiem również, że nadchodzący trzeci listopada można by nazwać Dniem Statystyka. A myślę, że nie jest pan w zbyt bezpiecznym wieku. Proszę mi powiedzieć: Jak pan stawi temu czoło? Hę? Jak pan stawi temu czoło? Niechże się pan odezwie, panie Wiberg, niech pan coś powie! Pański czas również dobiega końca.

Przełożyła z angielskiego Elżbieta Zychowicz

Włodzimierz Wolin
Przewodnik po kosmicznym zwierzyńcu

1. Wstęp

Niemal wszyscy ludzie mają sentyment do zwierząt, ale niewątpliwie najbardziej płomienną miłością darzą je fantaści naukowi. To właśnie owym wybitnym przedstawicielom rodzaju ludzkiego udało się wypełnić dotkliwe luki w harmonijnym systemie klasyfikacji świata zwierzęcego, który zawdzięczamy wysiłkom Karola Linneusza, Karola Darwina, Alfreda Brehma oraz Igora Akimuszkina. Do półtoramilionowej rzeszy rozlicznej zwierzyny, zarejestrowanej przez naukę oficjalną, fantaści dodali mnóstwo pierwotniaków, jamochłonów, skorupiaków, płazów, gadów, ptaków i ssaków, w tym również naczelnych.

Całą tę żywiole zgromadziliśmy w naszym kosmicznym zoologu. W porównaniu z nim bledną największe zwierzyńce i ogrody zoologiczne wszystkich stolic świata.

Oddając do rąk zwiedzających ten krótki (i z powodu trudności papierowych nader pobieżny) przewodnik, żywimy głęboką nadzieję, że pozwoli on skorygować wasze mylne niestety wyobrażenia o świecie zwierzęcym, wyniesione ze szkolnego programu zoologii.

Serdecznie witamy i życzymy przyjemnego zwiedzania!

2. Karły i giganty

Zwiedzanie proponujemy rozpocząć od rozległego wybiegu, na którym pasą się kurdle, wielkie zwierzęta łowne z planety Enteropii. Są to zwierzęta powszechnie znane, przypomnijmy więc tylko pokrótce najważniejsze osobliwości tych ogromnych stworzeń, pokrytych potężnym, meteorytoodpornym pancerzem. Otóż na kurdle poluje się od środka. Myśliwy naciera się odpowiednią pastą, posypuje drobno pokrojonym szczypiorkiem, soli i pieprzy do smaku. Tak przyprawiony bierze w ręce bombę zegarową, kuca w bruździe i czeka na zwierzynę. Wygłodzony kurdel połyka żywą przynętę i myśliwy trafia do jego wnętrza. Wówczas odbezpiecza zapalnik i gdy tylko pasta zacznie działać, spiesznie opuszcza trzewia zwierzęcia. Najważniejsze w tych łowach to zdążyć opuścić kurdla przed wybuchem machiny piekielnej i nie połamać sobie kończyn przy skoku z wysokości drugiego piętra. Reszta to już tylko sprawa rutyny i odpowiedniego sprzętu.

W naszym zwierzyńcu każdy może sobie obejrzeć przez przezroczyste tkanki żywych kurdli szczątki myśliwych, którym się nie powiodło.

A cóż to za gigantyczne śnieżne kule? Podejdźcie bliżej i przypatrzcie się uważnie: to kwilę (Quilus tropicalis) — cienkorunne ssaki z planety Tenzis, porośnięte bezcenną metaliczną wełną. Stroje utkane z takiej wełny są wodo-, kulo — i ognioodporne, nie smakują molom, nie gniją i nigdy się nie niszczą.

Kwilę niestety z trudem aklimatyzują się poza ojczystą planetą i źle znoszą podróże kosmiczne. Zwierzaki te mają nie umięśniony przełyk i do odżywiania się niezbędna jest im dość wysoka grawitacja. Przy nieważkości pokarm nie dociera do żołądka, wobec czego trzeba go tam wpychać ręką. Ta operacja nasyca wprawdzie kwilą, lecz całkowicie pozbawia apetytu wykonującego ją człowieka.

Jeśli zostawiliście w domu lupę lub chociażby silne okulary, nie macie po co zaglądać do klatki ze smagami. Te szczekające, lecz bardzo miłe wielkie zwierzęta roślinożerne mają dziwny zwyczaj kurczenia się do długości pięciu centymetrów. Czasami, gdy ciążenie jest dla nich zbyt wielkie, smagi kurczą się tak dalece, że w ogóle nie wiadomo, czy są w klatce, czy też ich tam nie ma.

A w tych ogromnych wolierach trzymamy największe ze znanych ssaków, marsjańskie mimikrodony. Te zwierzęta, wykazują energię życiową odwrotnie proporcjonalną do własnych rozmiarów. Gdy taki mimikrodon stanie sobie słupka na ogonie i tylnych łapach, można do niego podejść i konsumować, poczynając od głowy lub ogona, jak komu wygodniej.

Ale nawet mimikrodon jest uosobieniem histerycznej impulsywności w porównaniu z elephantosami, łagodnymi i potężnymi mieszkańcami Wenery. Jedyną ich wadą jest to, że nigdy nikogo i niczego się nie boją. Przed samym nosem takiego flegmatycznego zwierzaka można eksplodować wiązkę granatów albo rozniecić pożar i nic. Elephantos będzie płonął żywym ogniem, lecz dla samej zasady nie ruszy się krokiem z miejsca. Zresztą ze względu na bezpieczeństwo przeciwpożarowe i konieczność utrzymania inwentarza dyrekcja zoo usilnie prosi szanownych gości o uwierzenie jej na słowo i niesprawdzanie tej informacji eksperymentalnie.

3. Formy pośrednie

Wprawdzie ta woliera stoi nieco na uboczu, ale zwiedzający z pewnością zwrócą uwagę na jej mieszkańca. Personel ogrodu nie potrafił go zaliczyć do którejkolwiek z grup systematycznych i stąd taka lokalizacja pomieszczenia. Otóż zobaczycie tam państwo dromaderiusa — dobroduszne zwierzę domowe z planety Jorill. Dromaderius ma tułów hipopotama i głowę konika polnego, cztery słoniowe nogi i mnóstwo niby-nóżek po bokach, jaskrawo ubarwioną skórę i owadzie mozaikowe oczy. Zwiedzającym wolno karmić go z ręki, najlepiej krakersami oraz herbatnikami i innymi rodzajami tak zwanej galanterii piekarniczej. Proszę się nie dziwić: mimo przerażającego wyglądu dromaderius jest zdeklarowanym wegetarianinem. Wielkie ożywienie panuje na wybiegu dla „młodzieży". Baraszkuje tam przekomicznie młodziutkie biochemiczne tygrysiątko imieniem Sylwester, a malutkie, uzdolnione technicznie skunksy samą tylko siłą woli remontują i modernizują samochody, sprzęt lotniczy i kosmiczny, telewizory (zwłaszcza kolorowe) oraz inne maszyny i urządzenia. Wśród nich kicają sobie beztrosko rolle — zwierzaki wielkości teriera, bezwłose i nagie jak oskubana kura, które — jeśli je ładnie poprosić — potrafią od ręki wyhodować pieniężne drzewo lub rakietę kosmiczną. Proszę jednak nie nadużywać ich uprzejmości, bo mogłoby to doprowadzić do nadprodukcji rakiet kosmicznych oraz pogłębić i tak już dotkliwą inflację.

Nieco dalej rozsiadła się grupa łagodnych jak jagnięta półmałp-półjaszczurek z żółtymi kłami, czerwonymi ślepiami i szarozieloną łuską na grzbiecie. To paple, rdzenni mieszkańcy Wenery. Nie obrażajcie się, gdy te nieszkodliwe zwierzaki zaczną was nagle wytykać łapami i śmiać się do rozpuku: chodzi o to, że człowiek jest istotą, na której widok paple nie mogą się powstrzymać od radosnego rechotu. Może ten fakt skłoni was do pewnej rewizji poglądów na temat króla wszelkiego stworzenia.

A teraz przedstawiamy państwu jedną z największych naszych atrakcji — sławną cytę. Jest to zwierzę-mrowisko, zwierzę-inkubator, twór symbiotyczny, zespołowo-rozbieralna mamka wszystkich mieszkańców planety Layard. Cyta zmontowana jest z malutkich krzykaczy, wściekłych szczudlaków, złowieszczych donowaniąt, długorożców, traczy i innych cudaków. Całe to dobrane towarzystwo osesków cyta niańczy w sobie przez długie miesiące i lata, póki nie wydorośleje, a sama nie przekształci się w gigantycznego potwora.

W razie niebezpieczeństwa cyta rozpada się na części składowe, przy czym każda z nich może samodzielnie wykonywać różne akurat niezbędne roboty: kopać doły, zastawiać pułapki na ludzi itd. Poza

tym cyta może w każdej chwili rozbiec się na wszystkie strony.

Czy trzeba tłumaczyć, jakie zapierające dech w piersi perspektywy otworzą się przed ziemską nauką, gdy zdoła ona opanować rewelacyjną metodę cyty?

Człowiek będzie mógł wtedy zasiadać równocześnie w najrozmaitszych komisjach i komitetach, znajdować się w miejscu pracy i równocześnie wypoczywać w modnym kurorcie, uprawiać wszelkie dyscypliny sportu, sztuki i literatury, a nawet prowadzić'długotrwałe dyskusje z samym sobą, pardon, z częściami samego siebie. Rozpowszechniajmy doświadczenie cyty!

Poczuliście się zmęczeni zwiedzaniem? Jest wam gorąco i duszno? Natychmiast udajcie się do terrarium! Natychmiast poczujecie ulgę. W terrarium trzymamy frigele — ogromne, gładkoskóre jaszczurki stale przebywające w stanie śpiączki. Ich podstawowym zastosowaniem w gospodarstwie domowym jest konserwowanie zimna. Frigele to najlepsze w całym Wszechświecie przenośne klimatyzatory i lodówki. Przy gwałtownych skokach ciepłoty nasze jaszczurki natychmiast pokrywają się szronem i wydzielają strumienie lodowatego powietrza.

Jedyna okazja! Tylko u nas! Używajcie wyłącznie naszych żywych chłodziarek!

4. Szczególnie niebezpieczne gatunki

Teraz chcąc kontynuować zajmującą przechadzkę po naszym zwierzyńcu, musicie państwo zmobilizować całą swoją odwagę. Zbliżamy się bowiem do najniebezpieczniejszych przedstawicieli fauny międzyplanetarnej. Oto w oddali ukazał się jakiś niezwykły stwór na kołach.

Ostrzegamy: w żadnym wypadku nie należy pomylić go z jakimkolwiek pojazdem mechanicznym lub niemechanicznym! Jest to bowiem podstępny i okrutny kwadryg, jedyny mieszkaniec znanych nam obszarów Kosmosu dysponujący własnymi kołami. Jest to istota tak potworna, że możemy tylko pozazdrościć starożytnym cywilizacjom Ameryki Środkowej i Południowej, które nie miały najmniejszego pojęcia o kole jako takim.

Czym jest kwadryg? Samobieżnym organizmem ulowym typu konglomeratowego, a mówiąc bardziej zrozumiale bryłą pulchnego budyniu zawieszoną między dwoma kołami. Oś tych kół przechodzi przez środek tułowia, tarcze ich pokryte są futrem, a obręcze — rogowatymi stwardnieniami. Ale to jeszcze nie wszystko: najgorsze rzeczy dzieją się wewnątrz owego budyniowatego cielska. Dół tuszy zwisa jak wypchany worek, a za jego przezroczystymi ściankami nieustannie mrowi się jakieś paskudztwo.

Mimo swego nietuzinkowego intelektu kwadryg jest po jros'tu samobieżną taczką, załadowaną robactwem. Dlatego nie ma podstaw, aby zaliczyć go do naszych braci w rozuue.

Najodpowiedniejszym miejscem dla kwadryga jest ogród zoologiczny.

Uwaga! Niebezpieczeństwo! Osoby szczególnie wrażliwe, kobiety i dzieci prosimy o niezbliżanie się do klatek! Umieściliśmy w nich najbardziej krawawe i żarłoczne potwory Metagalaktyki. Oto puudli, okrutne zwierzę-telepata, czytający myśli i w dodatku cierpiący na manię prześladowczą. Znajdując się na wolności puudli unicestwia każde napotkane żywe stworzenie po prostu na wszelki wypadek, powodowany zwyczajnym instynktem samozachowawczym. Uspokaja się nieco jedynie w okresie rozrodu, gdy wypączkowuje mnóstwo malutkich puudląt. Wówczas straszliwego zwierza można łowić gołymi rękami. W ten właśnie sposób puudli znalazł się w naszym zwierzyńcu.

Ale nawet puudli jest łagodnym jaroszem w porównaniu z mieszkanką sąsiedniej pancernej klatki — gigantyczną pijawką. Pijawka może rosnąć bez końca, żywiąc się energią zewnętrzna i pochłaniając całe planety, słońca i gwiazdy. Szczególnie temu potworowi smakuje energia wybuchów jądrowych. Uwaga!

Kategorycznie zabrania się przeprowadzania robót strzałowych w bezpośrednim sąsiedztwie obiektu! Nie radzimy też zanadto zbliżać się do otarków. Są to drapieżne niedźwiedzie wyhodowane w sposób sztuczny na Ziemi. Otarki władają biegle kilkoma językami obcymi, posiadają rozległą wiedzę naukowo-techniczną i doskonałą znajomość wyższej matematyki. Przy całym swym pozornym intelektualizmie otarki zachowały krwiożerczość dzikich pobratymców i chętnie pożerają się nawzajem, nie gardząc też przekąską z człowieka, co stanowi jeszcze jeden dowód szkodliwości jednostronnego wykształcenia. Jeśli więc zapragniecie przedyskutować z otarkami problemy lingwistyki strukturalnej, topologii różniczkowej, przestrzeni wielowymiarowych lub behawiorystyki — radzimy czynić to z możliwie jak największej odległości.

Musimy z żalem przyznać, że nie zdołaliśmy uzyskać dla naszego ogrodu wielu trudno dostępnych gatunków niebezpiecznej fauny. Do tej pory na przykład nie złowiono ani jednego chyba gigantycznego samoświecącego potwora, który żyje w otwartej przestrzeni kosmicznej i w odległych okolicach Galaktyki napada na statki zwiadowcze. Nie ustajemy jednak w staraniach i nie szczędzimy kosztów, aby zdobyć chociażby niewielki egzemplarz tego rzadkiego zwierzęcia.

5. Ogród botaniczny

Nasz kosmiczny zwierzyniec ma swoistą filię, coś w rodzaju niewielkiego ogrodu botanicznego, wyposażonego w szklarnie i oranżerie. Można w nim obejrzeć istoty z pogranicza świata roślinnego i zwierzęcego, wykazujące w dodatku pewne formy myślenia. Niektóre gatunki flory pozaziemskiej są całkowicie nieszkodliwe, do innych natomiast nie radzimy się zbliżać.

W zielonych alejach mogą się czaić skaczące drzewa oraz krzewy-wampiry, obdarzone zdolnością ruchu drapieżniki zwierzęce. Ale najbardziej niebezpieczne są tryfidy — okrutne rośliny, które potrafią same się wykopywać i nawiązywać ze sobą łączność dźwiękową za pomocą łodyg.

Tryfidy polują na ludzi, paraliżując ich długimi wiciami. Zachowaj cię ostrożność w czasie spacerów po naszym. ogrodzie!

O wiele przyjemniejsze są kontakty z rozumnymi fioletowymi kwiatami. Te urocze roślinki wyprzedziły człowieka w rozwoju technicznym, umysłowym i moralnym, skoro więc pragniecie podnieść swój poziom kulturalny i poszerzyć horyzonty myślowe, lepszych rozmówców nie znajdziecie.

Poza ogrodem botanicznym przy naszym zwierzyńcu uruchomiliśmy niedawno Gabinet Śmiechu. Kłębią się w nim mieszkańcy Merkurego wyglądający jak wielobarwne bąble. Są to zgęstki energii, które osiągnęły najwyższy poziom rozwoju cywilizacyjnego. Bąbelki zabawiają się z nudów w ten sposób, że transformują myśli i przybierają dowolne kształty — człowieka, kota, wielbłąda, butelki whisky itp. — w zależności od tego, o czym sobie pomyślicie. Goście śmieją się z tej fantasmagorii, a bąbelki podśmiewają się z ludzi. Dlatego nazwa „gabinet śmiechu” ma charakter obosieczny i nie wiadomo, kto tam ma więcej uciechy.

6. Posłowie

Kierownictwo ogrodu zoologicznego, uprzedzając sceptyczne uwagi na temat istnienia opisanych tu kurdli, kwadrygów i innych stworów, stwierdza kategorycznie, że nikt również nie dowiódł ich nieistnienia! A skoro tak, zoologia ma obowiązek umieścić w swych spisach całą prezentowaną u nas faunę. Nie ulega bowiem wątpliwości, iż fantastyka odzwierciedla rzeczywistość znacznie pełniej i wiarygodniej niż czyni to nauka oficjalna.

Podziękowanie Autor przewodnika wyraża głęboką wdzięczność wszystkim Instytucjom i osobom, które zechciały mu służyć swą życzliwą radą i pomocą, a zwłaszcza: Stanisławowi Lemowi, Robertowi Sheckleyowi, Braciom Arkademu i Borysowi Strugackim, Siewierowi Gansowskiemu, Cliffordowi Simakowi, Teodorowi Sturgeonowi, Paulowi Andersenowi, Kingsleyowi Amisowi, Johnowi Wyndhamowi, którzy odkryli i po raz pierwszy opisali mieszkańców naszego zwierzyńca.

Przełożył z rosyjskiego Tadeusz Gosk.

Fakty, hipotezy, zagadki

Arthur C. Clarke
Ryzyko prorokowania

I. Brak odwagi

Każdy, kto miałby ochotę spróbować swych sił jako prorok, powinien dla własnego dobra zaznajomić się najpierw z sukcesami, jakie odnieśli inni w tym niebezpiecznym zawodzie, a jeszcze lepiej — z niepowodzeniami.

Z monotonną regularnością ludzie najbardziej kompetentni stwierdzali autorytatywnie, co jest technicznie możliwe, a co nie — i często, nim zdążył obeschnąć atrament z ich piór, okazywało się, że absolutnie nie mieli racji. Po dokładnej analizie można zaryzykować twierdzenie, iż niepowodzenia te dzielą się na dwie kategorie, które nazwałbym brakiem odwagi oraz brakiem wyobraźni.

Najczęściej chyba występuje brak odwagi. Są to przypadki, gdy prorok in spe znając nawet wszystkie istotne fakty nie jest w stanie dostrzec ich nieuniknionych konsekwencji. Niektóre z tych niepowodzeń są tak niewiarygodnie śmieszne, że mogłyby stanowić interesujący materiał dla psychoanalizy. „Oni mówią, że tego nie da się dokonać" — jest zdaniem przewijającym się przez całą historię wynalazczości. Nie wiem, czy ktoś kiedykolwiek usiłował wniknąć w przyczyny, dla których „oni" tak mówili, często z zupełnie niepotrzebnym zacietrzewieniem.

Nie sposób obecnie odtworzyć w pamięci klimatu duchowego, który towarzyszył budowie pierwszych lokomotyw. Ich krytycy zapewniali uroczyście, iż każdego, kto osiągnie straszliwą prędkość trzydziestu mil na godzinę, czeka śmierć przez uduszenie. Równie trudno uwierzyć, że zaledwie osiemdziesiąt lat temu idea oświetlania mieszkań elektrycznością była wyszydzana przez wszystkich „ekspertów" — z wyjątkiem trzydziestojednoletniego wynalazcy amerykańskiego Thomasa Alvy Edisona. Kiedy akcje spółek gazowniczych spadły na łeb w roku 1878 wskutek oświadczenia Edisona (wówczas już ważnej figury z fonografem i mikrofonem węglowym na swym koncie), że pracuje nad lampą żarową, parlament brytyjski powołał komisję do zbadania tej sprawy. (Westminster może bez trudu pobić Waszyngton w tej grze).

Znakomici eksperci orzekli — ku uldze spółek gazowniczych — że pomysły Edisona są „dobre dla naszych przyjaciół zza oceanu… niegodne jednak uwagi ludzi praktycznych, a tym bardziej uczonych". A Sir William Preece, główny inżynier poczty brytyjskiej, wypowiedział się bez ogródek, iż „zastosowanie światła elektrycznego to wręcz ignis fatuus". Wydaje się, że błądził w tym przypadku bynajmniej nie ignis.

Stawiany pod pręgierzem nonsens naukowy, niech mi będzie wolno to podkreślić, nie odnosi się do pierwotnego marzenia o

perpetuum mobile, lecz do skromnej żarówki elektrycznej, którą już trzy pokolenia uważają za coś oczywistego, chyba że się przepali i zostawi ich w ciemności. Mimo iż w tej sprawie Edison sięgał wzrokiem znacznie dalej od swych współczesnych, w jakiś czas później i on dopuścił się podobnej krótkowzroczności jak Preece and Co, przeciwstawiając się wprowadzeniu prądu zmiennego.

Najbardziej znane i być może najbardziej pouczające przypadki braku odwagi wystąpiły w dziedzinie aero — oraz astronautyki. Na początku dwudziestego wieku uczeni niemal jednomyślnie twierdzili, że niemożliwy jest lot obiektu cięższego od powietrza i że każdy, kto próbuje budować aeroplany, jest głupcem. Wielki astronom amerykański Simon Newcomb napisał sławny esej, w którego zakończeniu stwierdza: „Udowodnienie, że żadna możliwa kombinacja znanych substancji, znanych mechanizmów oraz znanych sił napędowych nie może być zespolona w konkretnej maszynie, która pozwoli ludziom pokonywać drogą powietrzną ogromne odległości, wydaje się autorowi tak proste, jak udowodnienie każdego innego faktu fizycznego".

Rzecz zastanawiająca, Newcomb posiadał na tyle otwarty umysł, by nie wykluczyć, że nowe rewelacyjne odkrycie — miał tu na myśli neutralizację przyciągania ziemskiego — umożliwiłoby latanie. Dlatego też nie można oskarżać go o brak wyobraźni. Popełnił błąd, gdyż usiłował uporządkować fakty z dziedziny aerodynamiki, nie pojmując tej nauki. Brak odwagi polegał na tym, że nie zdawał sobie sprawy, iż wszystko potrzebne do zbudowania aparatu latającego znajduje się już w zasięgu ręki.

Artykuł Newcomba zyskał rozgłos akurat w czasie, gdy bracia Wright, nie posiadając w swym sklepie z rowerami odpowiedniego urządzenia antygrawitacyjnego, montowali silnik benzynowy na skrzydłach. Kiedy wiadomość o ich sukcesie dotarła do astronoma, oniemiał tylko na chwilę. Latające maszyny — przyznał — to możliwość marginalna nie mająca jednak znaczenia praktycznego, wykluczone bowiem, by mogły udźwignąć dodatkowy ciężar pasażera oraz pilota…

Takie odrzucanie faktów, dziś uważanych za oczywiste, ciągnęło się przez całą historię lotnictwa. Pozwolę sobie zacytować innego astronoma, Williama H. Pickeringa, który pogodził nie jednomyślną opinię publiczną w kilka lat po starcie pierwszych aeroplanów.

„Przeciętny człowiek często wyobraża sobie gigantyczne maszyny latające nad Atlantykiem i przewożące niezliczone ilości pasażerów na podobieństwo nowoczesnych parowców… Można chyba śmiało zaryzykować twierdzenie, że są to idee zgolą fantastyczne i nawet gdyby taka maszyna zdołała przeprawić się na drugą stronę oceanu z jednym lub dwoma pasażerami „na grzbiecie", stać by na to było

jedynie kapitalistów posiadających własne jachty. Innym częstym błędem jest zakładanie wielkiej szybkości. Trzeba pamiętać, że opór powietrza jest wprost proporcjonalny do kwadratu prędkości, a praca do sześcianu… Jeśli przy trzydziestu koniach mechanicznych możemy osiągnąć obecnie prędkość czterdziestu mil na godzinę, to, by uzyskać prędkość stu mil na godzinę, musimy użyć silnika o mocy czterystu siedemdziesięciu koni mechanicznych… bez wątpienia przy naszych obecnych środkach nie mamy szans na wygranie wyścigu szybkości z lokomotywami czy automobilami".

Tak się złożyło, iż większość kolegów po fachu uważała Pickeringa za obdarzonego zbyt bujną wyobraźnią. Skłonny był widzieć życie — nawet dowody życia owadów — na Księżycu.

Stwierdzam z satysfakcją, że zanim profesor Pickering, dożywszy sędziwego wieku osiemdziesięciu lat, zmarł w roku 1938, miał niejedną okazję oglądać samoloty latające z prędkością czterystu mil na godzinę i z obciążeniem znacznie większym niż „jeden lub dwóch" pasażerów. Era kosmiczna przyniosła na skalę oraz w tempie dotąd nie spotykanym masową rehabilitację jednych proroków oraz obalenie innych. Mając w tym jakiś swój udział i nie będąc bardziej od innych odporny na złośliwą przyjemność, jaka daje okrzyk: „A nie mówiłem!", chciałbym przypomnieć kilka opinii wybitnych uczonych, wypowiedzianych w przeszłości na temat lotów kosmicznych. Ktoś musi odgrzebać wspomnienia o pesymistach. Skwapliwość, z jaką ci, którzy do niedawna twierdzili: „To jest wykluczone", przestawiali się na: „Zawsze mówiłem, że to możliwe", jest doprawdy zdumiewająca.

Co się tyczy szerszych kół społeczeństwa, to idea lotów kosmicznych po raz pierwszy pojawiła się na horyzoncie w latach dwudziestych jako rezultat sprawozdań prasowych z prac prowadzonych przez Amerykanina Roberta Goddarda oraz Niemca Hermanna Obertha (dużo wcześniejsze badania Ciołkowskiego w Rosji były wówczas prawie nie znane poza granicami jego własnego kraju). Kiedy koncepcje Goddarda i Obertha, jak zwykle okaleczone przez prasę, przeniknęły do świata naukowego, wygwizdano je i wyszydzono. Jako próbkę głosów krytycznych, które musieli ścierpieć pionierzy astronautyki, chciałbym zaprezentować ten oto majstersztyk — cytat z rozprawy opublikowanej przez profesora A. W. Bickertona w 1926 roku. Proszę czytać bardzo uważnie, ponieważ stanowi on przykład aroganckiej ignorancji i jest niezwykle trudny do zbicia.

„Idiotyczny pomysł wystrzelenia rakiety na Księżyc jest dowodem, do jakiego absurdu może doprowadzić naukowców wynaturzona specjalizacja. Spójrzmy na ten projekt krytycznie.

Pocisk, by przezwyciężyć przyciąganie ziemskie, musi osiągnąć prędkość siedmiu mil na sekundę.

Energia cieplna wytwarzana przy tej prędkości przez jeden gram

materiału wybuchowego wynosi piętnaście tysięcy sto osiemdziesiąt kalorii… Energia grama najsilniejszego materiału wybuchowego — nitrogliceryny — wynosi niespełna tysiąc pięćset kalorii. Zatem gdyby nawet siła eksplozji nie musiała niczego unieść, posiadałaby zaledwie jedną dziesiątą energii niezbędnej do oderwania się od Ziemi… Dlatego też przedsięwzięcie wydaje się z gruntu niemożliwe…” Oburzeni czytelnicy w kolumbijskiej czytelni publicznej wskazywali mi ze złością napis CISZA, w chwili gdy odkryłem tę małą perełkę. Warto zająć się tym szczegółowo, by zobaczyć, jak „wynaturzona specjalizacja” — jeśli wolno ukuć taki zwrot — sprowadziła profesora na manowce.

Pierwszy jego błąd tkwi w zdaniu: „Energia najsilniejszego materiału wybuchowego — nitrogliceryny…” Można by sądzić, że to energia, nie siła, jest tym, czego wymagamy od paliwa rakietowego. W istocie rzeczy nitrogliceryna i zbliżone do niej materiały wybuchowe zawierają znacznie mniej energii na jednostkę ciężaru niż takie mieszanki, jak na przykład nafta z ciekłym tlenem. Zwrócili na to uwagę już wiele lat wcześniej Ciołkowski i Goddard.

Drugi błąd Bickertona jest bardziej karygodny. Mówiąc bez ogródek — wypływa po prostu z głupoty. Cóż z tego, że nitrogliceryna posiada tylko jedną dziesiątą energii koniecznej do oderwania się od Ziemi? Oznacza to po prostu, że trzeba zużyć przynajmniej dziesięć funtów nitrogliceryny, aby wystrzelić jeden funt ładunku użytecznego 1.

A przecież samo paliwo nie musi odrywać się od Ziemi. Może być spalone tuż przy niej, byle tylko przekazało swą energię ładunkowi użytecznemu — na tym kończy się jego rola. Kiedy w trzydzieści trzy lata później wbrew twierdzeniu profesora Bickertona, iż jest to niemożliwe, wystartował Łunnik II, większa część jego materiału napędowego nie oddaliła się zbytnio od ziemi rosyjskiej… ale za to pół tony ładunku użytecznego dosięgło Marę Imbrium.

Mógłbym jeszcze dodać, że profesor Bickerton, który był aktywnym popularyzatorem nauki, opublikował wśród swych książek jedną o tytule: „Niebezpieczeństwa czyhające na pioniera”. Wśród niebezpieczeństw, jakim muszą stawić czoło pionierzy, znajduje się kilka bardziej zniechęcających niż tacy Bickertonowie.

W latach trzydziestych i czterdziestych naukowcy w dalszym ciągu wyszydzali pionierów rakietowych jeśli w ogóle raczyli ich zauważyć. Każdy, kto zechce wstąpić rio dobrze zaopatrzonej biblioteki uniwersyteckiej, może znaleźć zachowany dla potomności na szacownych stronicach Philosophical Magazine ze stycznia 1941 roku przykład szczególnie interesujący ze względu na wysoką rangę jego autora.

Jest to praca wybitnego astronoma kanadyjskiego, profesora J. W.

Campbella z Uniwersytetu w Albercie, zatytułowana „Lot rakietą na Księżyc". Autor zaczyna ją cytatem z rozprawy edmontońskiej z roku 1938, stwierdzającym, że „lot rakietą na Księżyc wydaje się obecnie mniej odległy niż sto lat temu telewizja", po czym rozpatruje ten temat w kategoriach matematycznych. Po kilkustronicowej analizie dochodzi do wniosku, że potrzeba by miliona ton masy startowej, aby wynieść jeden funt ładunku użytecznego w kosmiczną drogę. Prawidłowa liczba dla dzisiejszych podstawowych paliw i technologii wynosi w przybliżeniu: jedna tona na funt — stosunek niższy, lecz prawie tak samo trudny do przyjęcia jak ów wyliczony przez profesora. Niemniej jego matematyka była bez zarzutu. Gdzież więc tkwił błąd?

Po prostu w założeniach wstępnych, które były beznadziejnie nierealistyczne. Wybrał dla rakiety tor, na którym trwoniłyby się ogromne ilości energii, założył przy tym tak małe wykorzystanie przyspieszenia, że większość paliwa zmarnowałaby się na" małych wysokościach przy pokonywaniu ziemskiego pola grawitacyjnego. To tak, jak gdyby wyliczył osiągi samochodu przy włączonym hamulcu. Nie dziwi więc końcowa konkluzja: „Jakkolwiek negatywne przepowiednie są zawsze niebezpieczne, może się okazać, że twierdzenie, iż lot rakietą na Księżyc wydaje się mniej odległy niż sto lat temu telewizja, jest zbyt optymistyczne". Jestem pewien, że gdy abonenci Philosophical Magazine czytali te słowa w roku 1941, wielu z nich pomyślało sobie: „No, to powinno utrzeć nosa tym szalonym rakietomanom".

A przecież prawidłowe liczby zostały opublikowane przez Ciołkowskiego, Obertha i Goddarda o wiele wcześniej. I chociaż prace dwóch pierwszych były zbyt trudne, by można w owym czasie sięgnąć do nich po konsultację, to rozprawa Goddarda „Metoda osiągania skrajnych wysokości" stanowiła już niemal pozycję klasyczną i była wydana przez Smithsonian Institution.

Gdyby profesor Campbell zajrzał do niej (lub do jakiegokolwiek kompetentnego w tej dziedzinie autora — a było kilku takich, nawet w roku 1914), nie wprowadziłby w błąd swych czytelników ani też samego siebie. I nie musiałby znosić sarkastycznej analizy swej rozprawy opublikowanej przeze mnie w roku 1948 we wrześniowym numerze Journal of the British Interplanetary Society, której ukazanie się napsuło mu sporo krwi. Jeśli przypadkiem czyta on te słowa — przepraszam za ostry ton wypowiedzi, lecz nie za krytykę jako taką.

Nauki płynącej z tych przykładów nie należy powtarzać zbyt często, nie zawsze bywa ona rozumiana przez laików, którzy odczuwają niemal zabobonny lęk przed matematyką. Matematyka jednak jest tylko narzędziem, jakkolwiek niezmiernie skutecznym. śadne równania — nawet imponujące i zawiłe — nie doprowadzą nas

do prawdy, jeśli wstępne założenia są błędne. Aż dziw bierze, jak dalece potrafią pudłować kompetentni, lecz konserwatywni naukowcy oraz inżynierowie, z góry zakładając, że coś, co badają, jest nierealne. W takim przypadku uprzedzenie zaślepia nawet najbardziej wykształconych ludzi, nie są w stanie dojrzeć tego, co mają tuż przed nosem. I rzecz zupełnie niewiarygodna — doświadczenie niczego ich nie uczy, raz po raz powtarzają ten sam błąd.

Wśród moich najlepszych przyjaciół mam kilku astronomów i przykro mi wciąż rzucać kamyki do ich ogródka — wydaje mi się jednak, że astronomowie pobili absolutny rekord jako fałszywi prorocy. Jeśli państwo w to wątpicie, pozwólcie mi opowiedzieć historię tak przewrotną, że może wydać się nieprawdopodobna. Nie wymyśliłem jej — nie jestem aż tak cyniczny. Fakty może każdy sprawdzić w odpowiednich źródłach.

W roku 1935 założyciel British Interplanetary Society, P. E. Cleator, niebacznie popełnił pierwszą książkę o astronautyce opublikowaną w Anglii. Jego „Rakietą w Kosmos" dało (przypadkowo wysoce interesujące) zestawienie eksperymentów prowadzonych przez niemieckich i amerykańskich pionierów rakietowych, a także informacje dotyczące tak powszednich dziś zjawisk, jak rakiety wielostopniowe i satelity. Poważne czasopismo naukowe Naturę w numerze z czternastego marca 1936 roku zrecenzowało ową książkę w sposób dość zaskakujący: „Od razu na wstępie trzeba powiedzieć, że cała procedura nakreślona w niniejszej książce przedstawia trudności tak zasadnicze, iż zmuszeni jesteśmy odrzucić pomysł jako absolutnie niewykonalny, choć autor uporczywie apeluje, by wyzbyć się uprzedzeń i przypomnieć sobie rzekomą nierealność lotów obiektów cięższych od powietrza. Taka analogia może być myląca i przypuszczamy, że tak będzie w tym przypadku…"

Cóż, całemu światu już wiadomo, jak myląca była ta analogia, aczkolwiek recenzent, podpisany tylko zagadkowymi inicjałami „R.v.d.R.W.", miał, rzecz jasna, pełne prawo do wydania swej opinii.

W dwadzieścia lat później — po ogłoszeniu przez prezydenta Eisenhowera amerykańskiego programu satelitarnego — nowy astronom królewski przyjechał do Anglii, by objąć swe stanowisko.

Prasa poprosiła go o wypowiedź na temat lotów kosmicznych. I oto po dwudziestu latach dr Richard van der Riet Woolley nie widział powodu do zmiany swoich poglądów. „Podróże kosmiczne — parsknął — są kompletną brednią".

Prasa nie pozwoliła mu o tym zapomnieć, gdy już w następnym roku wystrzelony został Sputnik I. Później — jak na ironię — dr Woolley został, z tytułu swego stanowiska, prominentnym członkiem komitetu doradczego rządu brytyjskiego do spraw badań kosmicznych. Łatwo sobie wyobrazić uczucia tych, którzy w ciągu całego pokolenia

starali się zainteresować Zjednoczone Królestwo przestrzenią kosmiczną[1].

Nawet ci, którzy sugerowali, iż rakiety mogą być wykorzystane do skromniejszych, za to o wiele bardziej niegodziwych celów, zostali zlekceważeni przez autorytety naukowe — z wyjątkiem Niemiec i Rosji. Gdy zaskoczonemu światu odkryto istnienie V2 o zasięgu dwustu mil, zaczęły się spekulacje na temat pocisków międzykontynentalnych. Zostało to jednak zdecydowanie storpedowane przez dr. Vannevara Busha, jednego z cywilnych kierowników amerykańskiego programu naukowego w służbie wojny, wobec Komisji Senackiej trzeciego grudnia 1945 roku.

Proszę posłuchać: „Wiele się mówiło o rakiecie o zasięgu trzech tysięcy mil. W moim mniemaniu jest to nieosiągalne przez wiele jeszcze lat. Ludzie, którzy wypisują te irytujące rzeczy, wspominają o wystrzeleniu międzykontynentalnej rakiety o zasięgu trzech tysięcy mil, przenoszącej bombę atomową i sterowanej tak precyzyjnie, by trafiła w dokładnie określony cel, jakim może być miasto.

Z technicznego punktu widzenia twierdze, że nie ma na świecie człowieka, który by potrafił coś takiego skonstruować i jestem przeświadczony, że wiele jeszcze wody upłynie, zanim ktoś taki się znajdzie… Nie warto zaprzątać sobie tym głowy. Chciałbym, aby społeczeństwo amerykańskie wyzbyło się tych myśli”.

Kilka miesięcy wcześniej (w maju 1945 roku) lord Cherwell, doradca naukowy premiera Churchilla, wyraził podobne poglądy w czasie debaty Izby Lordów. Niczego innego nie można było oczekiwać, ponieważ Cherwell był uczonym skrajnie konserwatywnym i dogmatycznym, który zapewniał rząd, iż V2 jest tylko plotką propagandową[2]. Podczas majowej debaty na temat obrony lord Cherwell olśnił parów wspaniałym popisem pamięciowej arytmetyki, wyliczając, że rakieta o bardzo dalekim zasięgu musi składać się w przeszło dziewięćdziesięciu procentach z paliwa, a zatem miałaby bardzo niewielki ładunek użyteczny. Słuchacze mogli wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek, a mianowicie, że urządzenie takie jest absolutnie niewykonalne. Było to prawdą na wiosnę 1945 roku, nie było już jednak prawdą w lecie. Zadziwiającą cechą debaty Izby Lordów jest niedbały sposób, w jaki aż nadto dobrze poinformowani parowie szermowali zwrotem „bomba atomowa”, w czasie gdy była to najściślej strzeżona tajemnica wojskowa. (Próba w Almagordo odbyła się dopiero w dwa miesiące później). Urząd Bezpieczeństwa był zaniepokojony i lord Cherwell — który oczywiście znał Projekt Manhattan — nie bez podstaw tłumaczył swym wścibskim kolegom, by nie wierzyli we wszystko, co usłyszą, nawet gdyby przypadkiem było to całkowicie zgodne z prawdą.

Kiedy dr Bush przemawiał na posiedzeniu Komisji Senackiej w

grudniu tegoż roku, jedyną ważną tajemnicę bomby atomowej stanowił jej ciężar wynoszący pięć ton. Każdy mógł wówczas obliczyć w pamięci — wzorem lorda Cherwella — że rakieta przenosząca ją na inny kontynent musiałaby ważyć około dwustu ton — cóż wobec tego znaczy nędzne czternaście ton budzącej wtedy postrach V2.

Postawione wobec tych samych faktów i obliczeń technologie amerykańska i rosyjska obrały dwie różne drogi. Pentagon zrezygnował właściwie z rakiet o dalekim zasięgu na blisko pięć lat, dopóki rozwój bomb termonuklearnych nie umożliwił skonstruowania głowic bojowych pięć razy lżejszych, natomiast pięćdziesiąt razy silniejszych od śmiesznej petardy zrzuconej na Hiroszimę.

Rosjanie postawieni wobec konieczności zbudowania dwustutonowej rakiety, po prostu ją zbudowali. Wykorzystali swoje rezultaty do znacznie ważniejszego celu — i wygrali wyścig w Kosmos.

Wśród nauczek, które powinno się wyciągnąć z tego wycinka historii współczesnej, jest jedna, którą chciałbym podkreślić. Wszystko, co jest teoretycznie możliwe, zostanie osiągnięte w praktyce bez względu na trudności techniczne, jeśli tylko pragnie się tego wystarczająco silnie. Nie jest kontrargumentem stwierdzenie: „Ten pomysł to czysta fantazja!” Większość rzeczy, które zdarzyły się w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, zasługuje na to miano i można zakładać, że będzie tak dalej, nie traćmy więc nadziei na dalsze proroctwa.

Aby tego dokonać — uniknąć braku odwagi, za który historia karze tak bezlitośnie — musimy śmiało śledzić wszystkie techniczne ekstrapolacje z punktu widzenia ich logicznych konkluzji. Za chwilę jednak zademonstruję, że nawet to nie wystarczy. Do przepowiadania przyszłości potrzebna jest logika. Ale potrzebna jest również wiara i wyobraźnia, która czasem przeczy logice.

II. Brak wyobraźni

W poprzednim rozdziale zasugerowałem, że wiele negatywnych opinii na temat możliwości naukowych oraz wiele niepowodzeń dawniejszych proroków w przepowiadaniu rzeczy znajdujących się dosłownie przed ich nosem, wynikało z — nazwijmy to — braku odwagi. Wszystkie podstawowe fakty z zakresu aeronautyki były już dostępne w pracach Cayleya, Stringfellowa, Chanute'a i innych — gdy Simon Newcomb „udowodnił", iż latanie jest niemożliwe. Zabrakło mu po prostu odwagi, by stawić czoło tym faktom. Wszystkie podstawowe wzory matematyczne oraz zasady podróży kosmicznej były opracowane przez Ciołkowskiego, Goddarda i Obertha już od lat — albo i dziesiątków lat — gdy wybitni uczeni kpili sobie z astronautów in spe. W tym przypadku niepowodzenie było nie tyle intelektualnej, co moralnej natury. Krytycy nie mieli odwagi, którą powinno im było dać doświadczenie naukowe. Nie mogli uwierzyć w prawdę, nawet gdy była odcyfrowywana na ich oczach, w ich własnym matematycznym języku. Znamy wszyscy ten rodzaj tchórzostwa, ponieważ sami od czasu do czasu mu ulegamy. Inny rodzaj niepowodzeń, jakie spotykały proroków, jest bardziej godny potępienia i zarazem bardziej interesujący. Zdarzają się one wówczas, gdy wszystkie dostępne fakty są uporządkowane i ocenione w sposób prawidłowy — natomiast fakty o decydującym znaczeniu pozostają wciąż jeszcze nie odkryte i nie dopuszcza się możliwości ich istnienia.

Słynnego przykładu dostarczył nam tu filozof, August Comte, który w swych „Wykładach filozofii pozytywnej".(1835) usiłował określić granice, w jakich musi się mieścić wiedza naukowa.

W rozdziale o astronomii (tom drugi, rozdział pierwszy) napisał te oto słowa dotyczące ciał niebieskich: „Wiemy, jak określać ich kształty, odległości, masę, ruchy, nigdy jednak nie będziemy znać ich struktury chemicznej czy mineralogicznej. Jeszcze mniej będziemy wiedzieć o strukturze zorganizowanych istot zamieszkujących ich powierzchnię… Musimy zawsze rozgraniczać dwa pojęcia: układu słonecznego oraz wszechświata i uświadamiać sobie, iż jedynie to pierwsze powinno stanowić przedmiot naszego zainteresowania. Tylko w ramach takiego rozgraniczenia astronomia jest nauką doskonałą i pozytywną, tak jak to przyjęliśmy… gwiazdy służą nam do celów naukowych tylko jako punkty odniesienia, z którymi możemy porównywać wewnętrzne ruchy naszego układu".

Innymi słowy Comte orzekł, że gwiazdy nie będą nigdy niczym więcej, jak tylko niebieskimi punktami odniesienia, bez istotnej wartości dla astronoma. Wyłącznie w przypadku planet możemy mieć nadzieję na jakąś określoną wiedzę, lecz nawet ta będzie się

ograniczała do geometrii oraz dynamiki. Comte prawdopodobnie uznałby, iż taka gałąź nauki jak „astrofizyka” jest a priori niemożliwa.

A przecież w niespełna pół wieku od jego śmierci cała astronomia była astrofizyką i bardzo niewielu zawodowych astronomów interesowało się planetami. Twierdzenie Comte'a zostało całkowicie obalone dzięki wynalezieniu spektroskopu, który nie tylko pozwolił odkryć „strukturę chemiczną” ciał niebieskich, ale powiedział nam dziś o odległych gwiazdach znacznie więcej, niż wiemy o sąsiednich planetach.

Nie można winić Comte'a za to, że nie przewidział spektroskopu. Nikt nie mógł go sobie wyobrazić, jak też innych bardziej skomplikowanych przyrządów, które obecnie znajdują się w arsenale astronomicznym. Przypadek Comte'a powinien być dla nas nieustającym ostrzeżeniem, którego nie wolno lekceważyć. Nawet rzeczy bezsprzecznie nierealne, przy istniejących lub możliwych do przewidzenia technikach, mogą się okazać całkiem proste w wyniku nowych odkryć naukowych. Odkrycia te ze względu na swą naturę nie dają się przewidzieć, umożliwiły nam jednak ominięcie tylu przeszkód nie do przezwyciężenia w przeszłości, że żaden obraz przyszłości, który je zignoruje, nie będzie prawdziwy. Lord Rutherford, który ma największe zasługi w odkryciu struktury wewnętrznej atomu, także dostarczył słynnego przykładu braku wyobraźni. Lubił pokpiwać z rozsiewaczy sensacyjnych wiadomości, którzy przepowiadali, iż pewnego dnia będziemy w stanie zaprząc do pracy energię uwięzioną w materii. W roku 1937, w niespełna pięć lat po jego śmierci, uzyskano w Chicago pierwszą reakcję łańcuchową. Przy całej swej wspaniałej intuicji Rutherford nie przeczuwał, że zostanie odkryta reakcja jądrowa, która wyzwoli więcej energii, niż potrzeba do jej zapoczątkowania. Aby wyzwolić energię z materii, konieczny był „zapłon” nuklearny analogiczny do spalania chemicznego. To umożliwiło rozszczepienie uranu. Po tym odkryciu wykorzystanie energii atomowej stało się rzeczą nieuniknioną, aczkolwiek gdyby nie presja wojny, mogłoby nastąpić znacznie później.

Przykład lorda Rutherforda jasno wykazuje, że człowiek posiadający najgłębszą znajomość danego przedmiotu i będący uznanym autorytetem w swej dziedzinie, może nie przewidywać przyszłych kierunków jej rozwoju. Zbyt wielkie brzemię wiedzy może zahamować lot wyobraźni.

Próbowałem ująć ten fakt w prawo Clarke'a, które można by sformułować w sposób następujący: „Kiedy wybitny, lecz starszy już uczony stwierdza, iż coś jest możliwe, niemal zawsze ma rację. Kiedy natomiast twierdzi, iż coś jest niemożliwe, z dużą dozą prawdopodobieństwa można założyć, że się myli”.

Przymiotnik „starszy” wymaga ściślejszej definicji. W fizyce,

matematyce i astronautyce oznacza człowieka po trzydziestce. W innych dyscyplinach granica może się niekiedy przesunąć poza czterdziestkę. Oczywiście zdarzają się chwalebne wyjątki, ale, o czym dobrze wiedzą wszyscy młodzi pracownicy naukowi, uczeni po pięćdziesiątce nadają się wyłącznie na członków rad naukowych i za wszelką cenę powinno się ich trzymać z dala od laboratoriów.

Znacznie rzadziej mamy do czynienia ze zbyt bujną wyobraźnią niż z jej brakiem. Zbyt bujna wyobraźnia doprowadza zwykle jej niefortunnego posiadacza do frustracji i porażki — chyba że jest na tyle rozsądny, by o swych pomysłach wyłącznie pisać, a nie dążyć do ich urzeczywistnienia. W tej kategorii znajdziemy wszystkich autorów fantastyki naukowej, historyków przyszłości, twórców Utopii — oraz obydwu Baconów, Rogera i Francisa.

Mnich Roger (ok. 1214 — ok. 1292) wyobrażał sobie przyrządy optyczne, napędzane mechanicznie łodzie i latające maszyny — wybiegając daleko poza istniejącą wówczas lub nawet możliwa do przewidzenia technikę. Trudno uwierzyć, że słowa te napisano w trzynastym wieku: „Być może zbudują kiedyś urządzenia, dzięki którym ogromne okręty, kierowane tylko przez jednego człowieka, pędzić będą z większą szybkością niż przy całej armii żeglarzy. Być może, zbudują kiedyś powozy zdolne poruszać się z niewiarygodną szybkością bez pomocy zwierząt. Człowiek skonstruuje aparaty latające, w których siedząc swobodnie i oddając się medytacjom, będzie na podobieństwo ptaków unosił się w powietrzu na swych sztucznych skrzydłach… jak również maszyny, które pozwolą mu spacerować po dnie mórz…”

Przytoczony urywek jest triumfem wyobraźni nad twardą rzeczywistością. Wszystko to stało się ciałem, jakkolwiek w czasach, gdy Roger Bacon pisał te słowa, były raczej aktem wiary niż logiki. Zapewne wszystkie długofalowe przepowiednie powinny odznaczać się takim charakterem, aby mieć szansę spełnienia. Prawdziwej przyszłości nie da się logicznie przewidzieć.

Wspaniałym przykładem człowieka, którego wyobraźnia wyprzedziła znacznie epokę, w której żył, jest angielski matematyk, Charles Babbage (1792–1871). W roku 1819 Babbage opracował podstawowe zasady automatycznych maszyn obliczeniowych. Wpadł na myśl, że wszystkie formuły matematyczne można rozłożyć na serie kolejnych operacji, które, teoretycznie, mogą być wykonywane przez maszynę. Dzięki dotacji rządowej, która w sumie wyniosła siedemnaście tysięcy funtów — co w trzecim dziesięcioleciu dziewiętnastego wieku było sumą wcale niebagatelną — zaczął pracować nad skonstruowaniem „maszyny analitycznej”.

Jakkolwiek poświęcił temu projektowi resztę swego życia i znaczną część prywatnych funduszy, nie był w stanie ukończyć

maszyny. Jego plany udaremnił fakt, iż technika precyzyjna, niezbędna przy konstruowaniu potrzebnych mu urządzeń, po prostu jeszcze w owych czasach nie istniała. Jego próby przyczyniły się do powstania przemysłu maszynowego — ostatecznie więc rząd zyskał znacznie więcej niż owe siedemnaście tysięcy funtów — i dziś nie nastręczałoby żadnych trudności ukończenie komputera Babbage'a, który stoi obecnie jako jeden z najbardziej fascynujących eksponatów w londyńskim Muzeum Nauki. Babbage mógł za życia zademonstrować działanie tylko stosunkowo niedużej części maszyny. W dwanaście lat po śmierci uczonego jego biograf napisał: „Ten niezwykły pomnik genialnej myśli teoretycznej pozostaje przeto i bez wątpienia pozostanie na zawsze teoretyczną możliwością".

Niewiele dziś ocalało z tego „bez wątpienia". W chwili obecnej tysiące komputerów pracują na zasadach, które nakreślił Babbage przeszło sto lat temu — tyle że w zakresie oraz z szybkością, o jakich mu się nie śniło. Przypadek Babbage'a jest dlatego tak interesujący i tak patetyczny, ponieważ wyprzedził nie jedną, lecz dwie rewolucje techniczne. Gdyby w roku 1820 istniał przemysł precyzyjny, Babbage mógłby zbudować „maszynę obliczeniową", która pracowałaby znacznie szybciej niż człowiek, aczkolwiek bardzo wolno, gdybyśmy ją chcieli oceniać w dzisiejszych kategoriach. Jej szybkość byłaby bowiem ograniczona maksymalnymi dopuszczalnymi szybkościami przekładni zębatych, wałków, krzywek i innych mechanizmów.

Automatyczne maszyny obliczeniowe nie mogły być zbudowane, dopóki elektronika nie umożliwiła osiągnięcia szybkości operacji tysiąc i milion razy większych niż przy zastosowaniu czysto mechanicznych urządzeń. Ten poziom techniki został osiągnięty w latach czterdziestych dwudziestego wieku i wtedy Babbage został z miejsca zrehabilitowany. Przyczyną jego niepowodzenia nie był brak wyobraźni — po prostu urodził się sto lat za wcześnie.

Jest tylko jeden sposób, aby przygotować się na przyjęcie rzeczy nieprzewidzianych — zachowanie otwartego i bezstronnego umysłu, ale osiągnąć to jest niezwykle trudno, nawet przy najlepszych chęciach. Prawdę powiedziawszy, umysł całkowicie otwarty byłby pusty, a wolność od uprzedzeń jest ideałem nieosiągalnym. Istnieje jednak pewna forma treningu umysłowego, którą zalecałbym jako świetne ćwiczenie podstawowe dla ewentualnych proroków. Każdy, kto chce zajmować się przyszłością, powinien odbyć w wyobraźni wsteczną podróż w czasie — powiedzmy do roku 1900 — i zadać sobie pytanie, na ile współczesna technika byłaby nie tylko nie do wiary, lecz wręcz niepojęta dla najtęższych uczonych głów tego okresu.

Wybierzmy rok 1900, najsposobniejszą okrągłą datę, gdyż wtedy mniej więcej rozpętało się istne piekło w nauce. J. B. Conant tak o tym

mówi: „Około roku 1900 nauka przyjęła całkiem nieoczekiwany obrót. Istniało do tej pory kilka rewolucyjnych teorii w historii nauki, ale to, co zdarzyło się między rokiem a powiedzmy 1930, jest nieporównywalne. Zawiodły na całej linii ogólne prognozy opierające się na dotychczasowych eksperymentach".

P. W. Bridgman ujął to nawet mocniej: „Fizycy przeszli kryzys intelektualny spowodowany odkryciem pewnych faktów wykazanych eksperymentalnie, jakich uprzednio nie przewidzieli i jakich nie uważaliby nawet za możliwe".

Upadek nauki „klasycznej" rozpoczął się de facto z odkryciem przez Roentgena promieni X w roku 1895. Była to pierwsza wyraźna wskazówka, iż obraz wszechświata przyjmowany w ramach zdrowego rozsądku nie jest zgodny z rzeczywistością. Promienie X — sama nazwa odzwierciedla konfuzję zarówno naukowców, jak i laików — mogą przenikać przez ciała stałe tak, jak światło przez szklaną szybę. Nikt nigdy nie wyobrażał sobie ani nie przepowiedział czegoś podobnego. Nawet najśmielszy prorok nie zasugerował, że można będzie zajrzeć w głąb ludzkiego ciała i tym samym zrewolucjonizować medycynę i chirurgię.

Odkrycie promieni X było pierwszym wielkim włamaniem się do królestwa, do którego umysł ludzki dotąd się nie zapuszczał. Była to zaledwie jaskółka zwiastująca jeszcze większe rewelacje — radioaktywność, wewnętrzna strukturę atomu, teorię względności, teorię kwantów, zasadę nieoznaczoności…

Reasumując, wynalazki i urządzenia techniczne naszego współczesnego świata można podzielić na dwie ściśle określone kategorie. Z jednej strony — maszyny, których działanie byłoby w pełni zrozumiane przez każdego wielkiego myśliciela starożytności. Z drugiej — te, których najtęższe głowy starożytności nie byłyby w stanie pojąć. Nie tylko zresztą starożytności — obecnie wchodzą w użycie urządzenia, które mogłyby przyprawić o chorobę umysłową Edisona czy Marconiego, gdyby usiłowali zgłębić ich działanie.

Chciałbym poprzeć to stwierdzenie przykładami. Gdybyśmy zademonstrowali nowoczesny silnik dieslowski, samochód, turbinę parową czy helikopter Beniaminowi Franklinowi, Galileuszowi, Leonardowi da Vinci lub Archimedesowi — lista obejmująca dwa tysiące lat — każdy z nich bez trudu zrozumiałby ich działanie. Leonardo, prawdę mówiąc, rozpoznałby niektóre ze swych szkiców. Wszyscy czterej uczeni byliby zaskoczeni tworzywem oraz wykonaniem, które wydawałoby im się magiczne w swej precyzji, ale po otrząśnięciu się ze zdziwienia, poczuliby się niemal w domu — dopóki nie zagłębiliby się zbytnio w układy pomocnicze oraz elektryczne.

Załóżmy teraz, że pokażemy im telewizor, komputer, reaktor

jądrowy, radar. Abstrahując od złożoności tych urządzeń, ich poszczególne elementy składowe będą niezrozumiałe dla człowieka nie urodzonego w dwudziestym wieku. Jakikolwiek byłby poziom jego wykształcenia czy inteligencji, nie posiadałby on struktury umysłowej będącej w stanie pojąć wiązkę elektronową, tranzystory, rozszczepienie atomu, prowadnice falowe czy lampy elektronowe.

Trudność, niech mi będzie wolno raz jeszcze powtórzyć, nie leży tu w złożoności. Niektóre z najprostszych nowoczesnych urządzeń byłyby najtrudniejsze do objaśnienia. Najlepszym przykładem jest tu bomba atomowa (a przynajmniej jej wczesne modele). Cóż może być prostszego od zetknięcia dwóch bryłek metalu? A jak wytłumaczyć Archimedesowi, że rezultatem byłoby zniszczenie znacznie większe, niż to, którego dokonały wszystkie wojny między Trojanami a Grekami?

Załóżmy, że ktoś z nas uda się do uczonego z końca dziewiętnastego wieku i powie mu: „Proszę, oto są dwa kawałki metalu zwanego uranem 235. Jeśli będzie pan je trzymał osobno, nic się nie wydarzy, lecz jeśli zetknie je pan raptownie, wyzwoli się tyle energii, ile można jej uzyskać w wyniku spalenia dziesięciu tysięcy ton węgla". Bez względu na swą dalekowzroczność i wyobraźnię, nasz prawie współczesny uczony odrzekłby: „Ależ to kompletny nonsens! To magia, a nie nauka. Takie rzeczy nie mogą się zdarzyć w świecie realnym!" Około roku 1890, gdy istniały już podwaliny fizyki i termodynamiki, byłby w stanie nawet wyjaśnić, dlaczego jest to niemożliwe.

„Energia nie może powstać z niczego" — powiedziałby zapewne. „Musi pochodzić z reakcji chemicznych, baterii elektrycznych, sprężyn zwojowych, sprężonego gazu, kręcących się kół zamachowych lub innego ściśle określonego źródła. Wszystkie tego typu źródła są w tym przypadku wykluczone — a nawet gdyby nie były, ilość uzyskanej energii jest absurdalna. Przecież to przeszło milion razy więcej, niż można osiągnąć w wyniku najsilniejszej reakcji chemicznej!" Fascynujący jest fakt, który się wiąże z powyższym przykładem — nawet wówczas, gdy już w pełni doceniono istnienie energii atomowej, powiedzmy około roku 1940, niemal wszyscy naukowcy wyśmialiby pomysł wyzwalania jej poprzez zetknięcie dwóch kawałków metalu. Ci, którzy wierzyli, iż energia jądra może być kiedyś wyzwolona, bezsprzecznie wyobrażali sobie, że odbędzie się to za pomocą skomplikowanych urządzeń elektrycznych — „rozbijaczy atomów". (Być może, okaże się to prawdą. Być może będziemy potrzebowali takich maszyn do fuzji jąder atomów wodoru na skalę przemysłową. Któż to wie?).

Nieoczekiwane odkrycie rozszczepienia uranu w roku 1938 umożliwiło zbudowanie tak niezwykle prostych (w zasadzie, jeśli nie

w praktyce) urządzeń, jak bomba atomowa czy reaktor jądrowy. śaden uczony ich nie przewidział. A gdyby przewidział — naraziłby się na szyderstwa kolegów.

Nader pouczające i pobudzające wyobraźnię byłoby sporządzenie listy wynalazków i odkryć pod kątem, które z nich zostały przepowiedziane, a które nie. Postaram się to zrobić.

Wszystkie pozycje znajdujące się po lewej stronie zostały już zrealizowane lub odkryte.

Zawierają one element niespodzianki lub całkowitego zaskoczenia. O ile mi wiadomo, niewiele czasu upłynęło między ich przewidywaniem i odkryciem Po prawej stronie znajdują się pomysły krążące od setek i tysięcy lat. Niektóre już zostały zrealizowane, inne będą, jeszcze inne, być może, nie dadzą się zrealizować. Ale które?

Niespodziewane Spodziewane Promienie X Samochody Energia jądrowa Latające maszyny Radio, telewizja Maszyny parowe Elektronika Łodzie podwodne Fotografia Statki kosmiczne Zapisywanie dźwięku Telefon Mechanika kwantowa Roboty Teoria względności Promienie śmierci Tranzystory Transmutacja Masery. Lasery Sztuczne życie Nadprzewodniki. Nadciecze Nieśmiertelność Zegary atomowe. Efekt Mossbauera Niewidzialność Określenie składu ciał niebieskich Lewitacja bieskich Teleportacja Datowanie (węgiel 14, itd.) Porozumiewanie się z umarłymi Wykrywanie niewidzialnych planet Podróże w przeszłość i przyszłość Jonosfera. Pasy Van Allena Telepatia Lista po prawej stronie jest rozmyślnie prowokująca. Obejmuje czystą fantazję, jak również poważne spekulacje naukowe. Ale jedynym sposobem odkrycia granic możliwości jest cofnięcie się w przeszłość, gdy wiele odkryć wydawało się niemożliwością. Gdy bowiem rzucę okiem na lewą kolumnę, uświadamiam sobie, że zaledwie dziesięć lat temu kilka jej pozycji uważałbym za nierealne…

Przełożyła z angielskiego Elżbieta Zychowicz

Krzysztof W. Malinowski
Wedrując po Wszechświatach

1

Opowiadanie Isaaca Asimova „Ostatnie pytanie” poznałem po raz pierwszy z jego autorskiego streszczenia, które Asimov opublikował w jednym ze swych artykułów na łamach „Science Journal”. Chociaż było to streszczenie dość zwięzłe (jak na Asimova w każdym razie) i tym samym oddawało jedynie główną ideę opowiadania, zaskoczyła mnie wtedy, pamiętam, pewna niezwykła koncepcja ukryta właściwie w tle samego opowiadania. W tle bowiem utwór stanowi sugestywną wizję agonii Wszechświata ukazaną przez pryzmat losów ludzkości i jej swoistego duchowego przywódcy — superkomputera AC. Otóż w drugim niejako planie opowiadania znalazła się i inna, zdawałoby się drugorzędna i mocno już w fantastyce wyświechtana idea „hiperprzestrzeni”.

Hiperprzestrzeń jest w science fiction pojęciem w istocie,hiper uniwersalnym”.

Hiperprzestrzeń to jedyna szansa ucieczki bohatera przed czymś, co nie dopuszcza już możliwości ucieczki; to pokonywanie trudności niepokonywalnych, zawracanie nieodwracalnego biegu czasu i włażenie tam, gdzie z definicji dostać się nie można. A jednak tym razem hipoteza Asimova okazała się nader oryginalna i przy tym zadziwiająco zbieżna z pewną zupełnie nie znana teorią fizyczną, zaproponowaną w połowie lat pięćdziesiątych przez grupę amerykańskich fizyków na czele z J. A. Wheelerem.

Zanim jednak do tej teorii bliżej nawiążę, chciałbym raz jeszcze pokrótce przypomnieć główną myśl opowiadania Asimova. Mam nadzieję, że mi to — jako tłumaczowi tegoż opowiadania — wybaczy…

2

„Ostatnie pytanie” — to opowieść o bilionoletniej ewolucji ziemskiej cywilizacji, począwszy od dnia wyjścia ludzkości w Kosmos, a skończywszy na dniu śmierci Wszechświata. W okresie tym ludzkość doświadcza niewyobrażalnej, co do skali, ewolucji, opanowując najpierw Układ Słoneczny, potem Galaktykę, Metagalaktykę i wreszcie cały Kosmos.

W toku tej ewolucji wiernie ludzkości towarzyszy najdoskonalsza stworzona przez nią maszyna — komputer, doznający u boku swych twórców równie zadziwiających przeobrażeń.

Stopniowo, w miarę upływu milionoleci, z pomocnika ludzi staje się on najpierw ich doradcą, a potem — swoistym duchowym przywódcą, wielokrotnie przewyższającym ludzi pod względem intelektualnym, choć zawsze bezgranicznie im oddanym. I oto, u kresu swej historii, ludzkość poczyna zespalać się w jedno, w pewnym sensie pozbawione indywidualności, ciało zawieszone w pustce Kosmosu. Czuwa nad nim Kosmiczny AC (jak go wtedy ludzkość nazywa). „Kosmiczny AC był wszędzie wokół nich — pisze Asimov — choć nie w Kosmosie… Zrobiony z czegoś, co nie było ani materią, ani energią, czuwał, skryty w hiperprzestrzeni. Zagadnienie jego rozmiarów i natury nie miało już znaczenia w żadnym z aspektów możliwych do pojęcia dla Człowieka”.

A Kosmos umierał — dopalały się słońca, stygł kosmiczny PYŁ zagarniany eskalującą pustką przestrzeni kosmicznej.

„Człowiek — jeden po drugim — jednoczył się z AC. Ciała fizyczne raz po raz traciły swe umysłowe indywidualności…” „Człowiek zapytał: — AC! Czy to już koniec? Czy tego chaosu nie da się już z powrotem obrócić we Wszechświat? Czy nie dałoby się tego dokonać?”

Maszyna nie umiała jeszcze udzielić na to pytanie odpowiedzi.

I wtedy „…ostatni umysł Człowieka zjednoczył się z maszyną i istniał już teraz tylko AC — a i on w hiperprzestrzeni”.

Czym była u Asimova owa hiperprzestrzeń? W opowiadaniu jako pierwsza znalazła się tam maszyna. W hiperprzestrzeni bowiem nie istniał czas, traciło sens pytanie o przeszłość i przyszłość, tam też mogła się schronić i przetrwać ludzkość, kiedy konał Wszechświat. I tam właśnie — gdzie nie istniał problem czasu — mógł AC rozmyślać nad tym, jak przywrócić Kosmos na powrót do życia. Była więc hiperprzestrzeń w pewnym sensie tworem transtemporalnym, nadrzędnym w stosunku do naszej codziennej czasoprzestrzeni.

Podajmy tu jeszcze, gwoli uczciwości, pointę opowiadania Asimova: „W ciągu następnego interwału ponadczasowego AC

rozważał, jak można by tego (tzn. przywrócenia Wszechświata do życia — przyp. K.W.M.) najlepiej dokonać. Starannie, pieczołowicie przygotował program.

Świadomość AC ogarniała już teraz wszystko, co kiedykolwiek wydarzyło się we Wszechświecie i analizowała to, co było teraz Chaosem. Krok po kroku wszystko zostanie zrobione…

I wreszcie AC rzekł: NIECH SIĘ STANIE ŚWIATŁO!

I stało się światło…”

3

Nie sposób odmówić opowiadaniu Asimova ogromnej dozy fantazji. Jest w nim jednak poza fantazją coś jeszcze — coś, co uderzyć musi przede wszystkim tych, którzy na co dzień parają się fizyką: owa idea hiperprzestrzeni — szczególnej przestrzeni fizycznej, w której ustaje bieg zdarzeń, a pojęcie przeszłości i przyszłości zatraca swój sens.

Trudno byłoby chyba dziś stwierdzić, czy Asimov zaczerpnął ten pomysł z jakiegoś źródła naukowego (jako biochemik studiuje z pewnością materiały z fizyki teoretycznej — jest zresztą znany jako popularyzator wszechnauk) — czy też zrodził się on w jego wyobraźni. Faktem jest, że opowiadanie to stanowi — dla mnie przynajmniej — jeden z klasycznych przykładów opowiadań fantastycznonaukowych, w którym kilka świetnych hipotez naukowych bezwzględnie zaważyło na wartości całego opowiadania. Wróćmy jednak do Asimovowskiej hiperprzestrzeni…

4

Jak już wspomniałem, na początku lat pięćdziesiątych coraz częściej rozlegać się poczęły głosy o potrzebie modyfikacji einsteinowskiej teorii względności. Warto tu przypomnieć atmosferę tamtych lat: był to w fizyce okres, kiedy zelżał już nieco entuzjazm i zachwyt nad sukcesami tej teorii, a w czasopismach naukowych i popularnych na całym świecie zaroiło się od prac, zmierzających do podważania, modyfikacji czy wręcz obalenia teorii Einsteina. Całe zastępy młodych naukowców śniły po nocach o sposobach nadgryzienia szczególnej bądź ogólnej teorii względności i zastąpienia jej „czymś lepszym". Wtedy to właśnie ukazały się również pierwsze prace fizyków amerykańskich — C. W. Misnera, B. S. De Witta, J. Schwingera, a później i J. A. Wheelera — poświęcone pewnym propozycjom rozwinięcia i modyfikacji teorii względności.

Trzeba tu jeszcze dodać, że te akurat prace nie spotkały się z ostrzejsza krytyką — może dlatego, że Wheeler był kiedyś współpracownikiem, a w pewnym sensie i uczniem, Einsteina. Ostatecznie więc miał prawo wiedzieć w większym niż inni stopniu, co w trawie piszczy.

A było przecież co krytykować: hipoteza Wheeler a i jego kolegów była niezwykle śmiała i dotyczyła najbardziej chyba drażliwego problemu nauk ścisłych — zagadnienia natury i pochodzenia Wszechświata. Warto chyba będzie na kilku stronicach przedstawić pokrótce główne punkty rozumowania Wheelera. Nie jest to może zadanie najwdzięczniejsze i proste — bowiem teoria ta jest silnie zmatematyzowana i hermetyczna, ale jeśli pobalansować na granicy pomiędzy ogólną teorią względności Einsteina i „ogólną teorią wszystkiego" Lema, można sobie jako tako wyrobić pogląd na zadziwiający obraz wheelerowskiego „Superwszechświata".

5

Aby zrozumieć zamysł Wheelera trzeba wpierwej, jak to już uświęciła tradycja, wspomnieć w kilku słowach o najważniejszych założeniach teorii względności. Główne bowiem natarcie Wheelera poszło na einsteinowski sposób pojmowania przestrzeni — przede wszystkim zaś na samo pojęcie „czasoprzestrzeni".

Jak wiadomo, teoria względności wprowadziła do dwudziestowiecznej fizyki pojęcia czterowymiarowej przestrzeni, opisywanej trzema współrzędnymi przestrzennymi i czwartą — czasem. Tak więc taki „punkt" w przestrzeni czterowymiarowej nie tylko lokalizował położenie ciała w znanej nam przestrzeni trójwymiarowej, ale i chwilę czasu, w której rozważane przez nas ciało tam się znajdowało. Usytuowanie ciała w czasoprzestrzeni związane było również z innym fundamentalnym pojęciem STW (szczególnej teorii względności) — pojęciem „bariery świetlnej"; zgodnie z tym pojęciem żadne ciało materialne nie może się w naszym Wszechświecie poruszać z prędkością większą od prędkości światła c = 300 000 km/s.

I oto J. A. Wheeler stwierdził, iż pojęcie czasoprzestrzeni — owego czterowymiarowego kontinuum, o którym tyle już napisano w fizyce i science fiction — jest w teorii względności zupełnie niepotrzebne! Powoływał się Wheeler przy tym na nie byle jakie autorytety, wyznające podobny pogląd. Wspominał on o pracach choćby największego z żyjących obecnie fizyków — Paula A. M. Diraca.

Zdaniem Wheelera do opisu naszego Wszechświata miały zupełnie wystarczać zwykłe, trójwymiarowe przestrzenie, które on sam nazywał „trójgeometriami". Mimo jednak, iż w samych trój geometriach można by się dopatrywać pewnego uproszczenia — a nie skomplikowania — teorii Einsteina, sama hipoteza okazała się nieco trudniejsza do zrozumienia. Trój geometria bowiem nie oznaczała tego samego co: przestrzeń trójwymiarowa.

Trójgeometria — to twór absolutnie statyczny, nie trwający w czasie, lecz zawisły poza nim.

Trójgeometria — to trójwymiarowa przestrzeń wypełniona ciałami zamarłymi w ruch u; to niejako trójwymiarowa fotografia stanu Wszechświata, dokonana w pewnej chwili — i to stanu, który kiedyś zaistniał, zaistnieje w przyszłości bądź też nigdy nie istniał i nigdy istnieć nie będzie w naszym Wszechświecie. Trójgeometrii takich może istnieć nieskończenie wiele — tyle, ile byłoby tylko do pomyślenia konfiguracji materii we Wszechświecie. A przecież każde dwie konfiguracje stają się odmienne, jeśli tylko różnią się od siebie

stanem jednego atomu!

Wszystkie owe trójgeometrie tworzą pewien zbiór — podobnie jak punkty płaszczyzny — który określił Wheeler mianem superprzestrzeni. Mówiliśmy już, iż w trójgeometrii nie istniało pojęcie czasu, że była ona tylko zamarłym tworem, odzwierciedlającym dowolny, momentalny stan Wszechświata, strukturą, w której zamarło wszystko, co składa się na Kosmos. Jak wobec tego należało tłumaczyć sobie fakt, iż wszystko to przecież zmieniało się wraz z nami, stanowiąc o istnieniu w naszej świadomości pojęcia, która zwykliśmy określać mianem upływu czasu?

6

Trzeba tu będzie znów się odwołać do jednego z najnowszych działów fizyki — do teorii kwantów. Jednym z podstawowych pojęć fizyki kwantowej jest pojęcie dwoistej natury materii.

Teorię owego dualizmu zbudował na początku naszego stulecia współtwórca mechaniki kwantowej, francuski fizyk Louis de Broglie. Zgodnie z tą teorią wszelka materia — a szczególnie jej fundamentalne składniki (cząstki elementarne) — przejawia w pewnych doświadczeniach fizycznych własności korpuskularne (cząsteczkowe), w pewnych zaś — własności charakterystyczne dla fal. Oznacza to, w pewnym uproszczeniu, że w niektórych doświadczeniach fizyki mikroświata jesteśmy w stanie bez wahania stwierdzić, że „w tym a tym miejscu znajduje się ta a ta cząstka", w innych natomiast doświadczeniach nie bylibyśmy w stanie wskazać żadnego takiego punktu ani żadnej cząstki. W tym drugim przypadku jednak wiemy, iż w analizowanym przez <nas obszarze znajduje się pewna fala materii, reprezentująca tę cząstkę. I — jak to z falami bywa — niemożliwe jest wtedy stwierdzenie: „w tym punkcie jest fala", można natomiast mówić o jej prędkości rozchodzenia się, o jej amplitudzie czy dłu — gości. Te bowiem wielkości zastępują nam w takim przypadku terminy, których zwykło się używać w odniesieniu do cząstek: masę, energię czy pęd mechaniczny.

W fizyce kwantowej od dawna już są znane zjawiska typowo falowe, którym podlegały fale np. elektronów. Należy do nich przede wszystkim zjawisko interferencji fal materii — swoisty fenomen nakładania się na siebie dwóch fal. Zjawisko to w odniesieniu do powszechnie znanych fal (na przykład fal na wodzie czy fal dźwiękowych) jest szczególnie łatwe do zaobserwowania.

Takiemu nakładaniu się fal zawsze bowiem towarzyszy powstawanie specyficznych wybrzuszeń, zwanych „węzłami" interferencji (są to miejsca, w których nakładające się fale wzajemnie się wzmacniają), oraz zagłębień (tj. miejsc, w których obie fale, drgając w przeciwnych kierunkach, nawzajem się niwelują). Najlepiej zresztą ilustruje to przykład interferencji dwóch fał na wodzie.

Tu najwyraźniej można także zaobserwować swoisty obraz interferencyjny, przyjmujący kształt specyficznej, ziarnistej struktury.

W teorii Wheelera trójgeometrie charakteryzowały się właśnie ową specyficzną dwoistością natury: cechowały je bowiem zarówno własności materialne (niejako „namacalne), jak i falowe (a więc dla nas związane z pewnym rozmyciem przestrzennym). Toteż, zgodnie ze swymi własnościami falowymi, mogły trójgeometrie interferować ze sobą, przy czym, co ważne, liczba takich jednocześnie nakładających

się trójgeometrii mogła być nieograniczona. I właśnie w wyniku takiej interferencji trójgeometrie *symulowały* upływ czasu. Nakładając się na siebie, tworząc kolejne „węzły”, następujące po sobie w sposób ciągły, modelowały one upływ czasu. Nazwałem ten proces symulowaniem upływu czasu, bowiem w superprzestrzeni w istocie pojęcie czasu jako takiego nie istnieje. Cała historia, cała przeszłość i przyszłość jest tu przecież tworzona z elementów, które już są w superprzestrzeni zawarte — trzeba je tylko składać w kolejności, rządzonej jakimiś nieznanymi prawami…

Ów ziarnisty ślad, jaki pozostaje po interferencji trójgeometrii, jest właśnie w superprzestrzeni śladem znaczącym upływ czasu. Jeszcze w teorii względności nadano mu piękną nazwę linii świata.

7

Wróćmy w sferę fantazji. Ciekawe jest na przykład, jakie wrażenie odniosłaby istota — powiedzmy rozumny obserwator — która znalazłaby się w jakiś sposób w superprzestrzeni, poza zasięgiem jakiejkolwiek trójgecmetrii?

Zapewne stwierdziłaby ona, iż istnieje nie jeden Wszechświat — lecz cała ich mnogość. Jeśli bowiem pogodzić się z hipotezą Wheelera, nasz Wszechświat może być modelowany w każdej chwili przez skończoną, może nawet niewielką, liczbę trójgeometrii. Ich pozostała, przeważająca część mogłaby doraźnie być niezaangażowana w symulację upływu zjawisk w naszym Wszechświecie. Te więc trójgeometrie, w całej swej nieprzeliczalnej liczbie, mogłyby z równym powodzeniem tworzyć biegi historii jakichś innych wszechświatów — jednego, dwóch, miliona.

Możliwa jest do wyobrażenia nawet bardziej skomplikowana sytuacja — kiedy jedna i ta sama trójgeometria zaangażowana jest w interferencję z dwoma lub kilkoma naraz różnymi trójgeometriami, należącymi w danej chwili do *różnych* wszechświatów.. Mogłyby przeto istnieć choćby i w naszym świecie chwile, które byłyby wspólne dla kilku naraz wszechświatów!

Gdyby tylko wiedzieć, jakie to chwile…

I tak oto rodzi się pierwsza propozycja dla fantastów: w świecie, rządzonym opisanymi wyżej prawami, naukowcy wynajdują sposób na wykrywanie takich „czasowych punktów styku" kilku wszechświatów. Otwarty jednak pozostaje problem przechodzenia z jednego do drugiego (zwłaszcza jeśli zważyć, że i my w świetle tej teorii stanowimy takie wirtualne produkty nakładania się trójgeometrii!). Poszukiwania nauki idą w dwóch kierunkach — ku zastosowaniu metod psychicznych lub psychoenergetycznych (np. zażywanie środków psychodelicznych — coś takiego praktykuje już z wielkim powodzeniem „enfant terrible" amerykańskiej s-f Philip K. Dick; wędrówki jego bohaterów pomiędzy różnymi światami — choćby w „Trzech stygmatach Palmera Aldridge'a" — mogą przyprawić o zawrót głowy), oraz w kierunku urządzeń czysto fizycznych (specjalne machiny czasu, pętle czasu wywoływane polami grawitacyjnymi o kolosalnym natężeniu czy wreszcie dokonywanie przejść w pobliżu obiektów osobliwych Wszechświata — „czarnych dziur" lub kwazarów). Ponieważ w takiej interferencji trójgeometrii istnieje znaczny pierwiastek probabilizmu, nigdy nie byłoby pewności, czy powrót się uda. I jeśli się uda — to czy będzie to powrót do właściwego Wszechświata…

8

Ile przeto istnieje wszechświatów? Nieprzeliczalna mnogość — jak by na to mogła wskazywać nasza interpretacja teorii Wheelera, czy też ograniczona liczba? A może — tak naprawdę — tylko ten jeden, nasz?

W większości hipotez kosmologicznych (czy nawet fantastycznych) przeważa przekonanie, że dwa! Być może bierze się to li tylko z naszego umiłowania symetrii, być może zaś z ograniczoności wyobraźni. Faktem jednak pozostaje, iż koncepcje kosmologiczne, w których rozważa się mnogość wszechświatów, najczęściej operują właśnie dwoma tego rodzaju tworami.

Do najgłośniejszych z nich należy bezwzględnie hipoteza o istnieniu Antywszechświata.

9

Sam fakt istnienia antymaterii od wielu już lat nie budzi w fizyce żadnych wątpliwości. Na przestrzeni ostatniego dwudziestolecia udało się doświadczalnie wykazać istnienie praktycznie wszystkich „antypartnerów" dla znanych nam obecnie cząstek elementarnych. Nie oznacza to wprawdzie w żadnej mierze, iż rozwiązany został tym samym problem pochodzenia antycząstek; po prostu fakt ich istnienia nie podlega już obecnie żadnej wątpliwości. Co do ich pochodzenia, to nie od dziś łamią sobie nad tym głowy fizycy na całym świecie. Przez wiele lat były antycząstki fenomenem, nie mieszczącym się w ogóle w ramach naszych wyobrażeń o naturze i pochodzeniu Wszechświata. Do bardzo popularnych poglądów należy teoria R. Feynmanna, zgodnie z którą antycząstki — to po prostu „nasze" zwykłe cząstki elementarne, poruszające się w kierunku przeciwnym do kierunku upływu czasu. Z teoretycznego punktu widzenia jest to teoria dość prawdopodobna, choć być może trudna do ogarnięcia wyobraźnią. Jak się zdaje, na tym właśnie gruncie narodziła się również fantastyczna koncepcja Antywszechświata (częściej zwanego po prostu Antyświatem) — słynnego „antytworu" charakteryzującego się zwierciadlaną symetrią. Byłby to wszechświat, w którym każdy obiekt materialny stanowiłby niejako zwierciadlane odbicie naszego obiektu — włącznie z zamianą kierunku lewego na prawy (wiąże się z tym tak ważna konsekwencja, jak wyróżnianie i uprzywilejowanie tam kierunku prawego, podobnie jak w naszym świecie — lewego. Wygląda to na stwierdzenie trywialne, lecz w istocie ma to wielkie znaczenie!).

Czymże jednak tłumaczyć fakt, iż w naszym Wszechświecie tak rzadko pojawiają się antycząstki? I jak sprawdzić, czy są one w istocie „anty"? O ile bowiem w przypadku antyelektronu (pozytonu) sprawa była prosta — bowiem dysponuje ona dodatnim ładunkiem elektrycznym, równym co do wartości ładunkowi elementarnemu elektronu (masy obu tych cząstek są równe), o tyle w przypadku np. neutronu i antyneutronu nie ma sensu mówić o ładunku elektrycznym, bowiem obie te cząstki są obojętne elektrycznie. Toteż jako podstawowy sprawdzian uważa się tu zjawisko *anihilacji* cząstki i antycząstki. Każda cząstka przy napotkaniu swego antypartnera znika (!) wydzielając przy tym pewną ilość energii w postaci promieniowania gamma, ściślej: wydzielająca się energia równa jest sumie energii spoczynkowych obu cząstek (równoważnej ich masie zgodnie ze słynną formułą E = mc2) oraz energii kinetycznych, jakie posiadały one przed zderzeniem. Rzadkość występowania antycząstek we Wszechświecie staje się więc zrozumiała, są one tu bowiem jedynie

gośćmi i każde ich wtargnięcie do „naszego świata” musi się wcześniej czy później (a zwykle bardzo wcześnie) skończyć anihilacją.

Jest więc anihilacją pewną naturalną barierą, oddzielającą od siebie oba opisane światy.

Wszystko wskazuje na to, że nie jest to tylko bariera fizyczna. Nie mogą jej również przekroczyć pisarze science fiction. Wychodząc z zupełnie niesłusznego założenia, że wszystko, co znalazłoby się w Antyświecie musiałoby natychmiast ulec anihilacji — omijają oni zwykle ten temat, ograniczając się do stosowania rozwiązań typu „pistolet anihilacyjny” lub „napęd anihilacyjny”. A jest to przecież pogląd niesłuszny, bowiem w istocie mechanizm oddziaływania materii i antymaterii jest bardzo złożony i wcale nie musi się sprowadzać do prostych aktów anihilacji.

Istnieje poza tym jeszcze — również doświadczalnie sprawdzony — efekt kreacji materii i antymaterii przez promieniowanie! Temat to, chyba, zupełnie jeszcze przez fantastykę nie wyeksponowany, a jakże wdzięczny.

10

Jeśli już mowa o dwóch wszechświatach, to jeszcze ciekawiej prezentuje się tu teoria radzieckiego fizyka J. Terleckiego. Zasłynął on ze swych oryginalnych sposobów interpretacji (nie zaś modyfikacji! — dla teorii względności jest to bowiem różnica ogromna) ogólnej teorii względności. Otóż od dawna już wiadomo, iż teoria względności dopuszcza istnienie nie tylko masy dodatniej — a więc takiej, jaką zwykliśmy brać pod rozwagę w naszych teoriach fizycznych — lecz z równym powodzeniem we wszelkie formuły wchodzić mogą np. masy ujemne.

Dopuszczalne jest również rozważanie tzw. mas urojonych (warto tu przypomnieć, iż pod pojęciem jednostki urojonej rozumie się w matematyce pierwiastek kwadratowy z minus jeden). Masą urojoną nazywałoby się więc masę, której kwadrat byłby wielkością ujemną.

Obiekty zbudowane z takich mas charakteryzowałyby się bardzo ciekawymi własnościami.

W szczególności do pomyślenia jest twór zbudowany z obiektów o ujemnej masie — nazwijmy go Negawszechświatem lub krócej (przez analogię do Antyświata) — Negaświatem. W moim mniemaniu negaświaty to nie dostrzeżona jeszcze szansa fantastyki, zdolna zapewnić chleb dobrym paru tuzinom pisarzy s-f.

A tymczasem ogromne pole do popisu otwierają tu choćby zasady oddziaływań materii i negamaterii. Rzecz nie jest trywialna, jeśli bowiem sprawę rozważyć w kategoriach praw fizycznych — powiedzmy w świetle prawa ciążenia powszechnego Newtona — dwie masy o różnych znakach powinny się nawzajem odpychać! Tak na przykład siła przyciągania Ziemi i Księżyca zmieniłaby się natychmiast na przeciwną, gdyby jedno z tych ciał było zbudowane z negamaterii (przy czym wartość tej siły pozostałaby taka sama!). Jednak, mimo iż oddziaływanie masy i negamasy ma charakter ujemny, jeśli nadać tym ciałom ku sobie odpowiednią prędkość, można doprowadzić do ich zderzenia i unicestwienia! (Zachodzi tu zupełna analogia z pierwszą prędkością kosmiczną. Wprawdzie ciała, wyrzucane z powierzchni Ziemi, spadają na nią wskutek siły przyciągania, jednakże gdy nada się im odpowiednią prędkość, zwaną pierwszą prędkością kosmiczną, będą one zdolne do oderwania się od powierzchni Ziemi na zawsze — a więc pokonania sfery efektywnego oddziaływania owego ciała i Ziemi).

Na dobrą więc sprawę taka teoria „Negaświata” i zderzenia przedstawicieli „negacywilizacji” z naszą — to świetny temat na co najmniej jedną książkę science fiction i należy się jedynie dziwić, że Lem jej jeszcze nie napisał.

11

Równie ciekawie przedstawia się sprawa z Tachiświatem (nie brzmi to już tak miło, jak wprowadzona przeze mnie poprzednio nazwa „Negaświat”, czy też powszechnie znana „Antyświat”, lecz jeśli już się trzymać stosowanej w fizyce nomenklatury — to tak chyba trzeba by ten twór nazwać). W świetle modnych ostatnio hipotez fizycznych, głoszonych przez grupę fizyków amerykańskich — a już wcześniej i przez Terleckiego — istnieć mogłyby teoretycznie i twory zbudowane z masy urojonej. Cząstki o takiej masie cechowałby szereg nieprawdopodobnych własności, o których pozwolę sobie tu wspomnieć.

Otóż w świecie tachionów — bo taką nazwę owe cząstki otrzymały — wszelka materia (a właściwie *tachimateria*) musiałaby się poruszać z prędkościami większymi od prędkości światła.

Jest to fundamentalne założenie teorii tachionów (stąd i nazwa z gr. tachos — szybki). W świetle tej teorii możliwe byłoby istnienie dwóch wszechświatów, pomiędzy którymi barierę stanowiłaby tym razem prędkość światła. Ona to oddzielałaby od siebie owe dwa światy, ona to również powodowałaby, że teoretycznie granicy tej nie dałoby się przekroczyć. O paradoksach związanych z tachionami napisano już nieco — choćby o słynnym telefonie z przyszłości. Wiele jednak zostało tu jeszcze do wymyślenia, że wspomnę tu tylko o paradoksie perpetuum mobile. Jest to, o dziwo, kwestia nader niechętnie przez fantastykę poruszana. Wiadomo bowiem, że sprawa perpetuum mobile — to domena maniaków i należy ją wstydliwie — nawet w science fiction — przemilczać. Mało kto wie natomiast, że sprawa perpetuum mobile — w szczególności zaś perpetuum mobile drugiego rodzaju — wcale nie wygląda tak beznadziejnie, jak to się zwykło uważać, a fizyka zna już kilka urządzeń, które co najmniej teoretycznie działają wbrew uznawanym jeszcze do niedawna poglądom na stosowalność drugiej zasady termodynamiki. Wystarczy tu wspomnieć choćby laser — urządzenie, w którym temperatura strefy aktywnej jest teoretycznie niższa od zera bezwzględnego.

12

Otóż, zarówno w „tachiświatach” jak i „negaświatach”. machiny takie jak perpetuum mobile mogłyby pracować z największym powodzeniem. Trudno powiedzieć, czy dla „tachiistot” (lub „negaistot”) byłyby one również wiecznymi silnikami — dla nas jednak byłyby to doprawdy wzorce tychże.

Stąd i wspaniałe pole do popisu dla science fiction: obserwowane przez nas we Wszechświecie nieprzebrane źródła energii jak kwazary czy jądra galaktyk, zadziwiające — nas do dziś ilością energii emitowanej w Kosmos i materii, jaka na ten „przepał” jest zużywana — same aż się proszą o podobną interpretację. Czym są? Skąd biorą tak kolosalne ilości energii? Materii?

Czyż nie byłoby najprościej (z fantastycznego punktu widzenia) uznać je za źródła energii wyzwalanej kosztem np. masy ujemnej? Przecież takie ciało o ujemnej masie, tracąc jakąś jej część, w sensie wartości bezwzględnej (a więc liczby bez znaku) jednocześnie powiększa swą masę — na zasadzie:

(— M) — m = — (M + m).

Tak więc, im więcej energii (masy) emitować będzie obiekt kosmiczny z negamaterii, tym większy jej zapas mu pozostanie. Takie obiekty mogłyby być właśnie swoistymi „pompami materii”, pracującymi na styku dwóch światów. I to, co dla nas byłoby „perpetuum mobile” wyrzucającym masę i energię bez żadnych ograniczeń w nasz Wszechświat, dla istot z Negaświata stanowiłoby jedynie gwiazdę spalającą ich materię.

Dlaczego jednak miałby to być tylko proces jednostronny ów mechanizm „przepompowywania energii” od „Nich” do nas? Dlaczego w jedną tylko stronę miałby ten proces przebiegać, powodując energetyczne kurczenie się Negaświata — a pęcznienie naszego?

Odpowiedź, iż jest to dziełem przypadku, jest wprawdzie możliwa — ale z punktu widzenia science fiction ani jedyna, ani efektowna. Można by odpowiedzieć, że tak się to kiedyś zaczęło, tak trwa i może któregoś dnia, wskutek innego przypadku, odmieni się. Ale nawet z naukowego punktu widzenia nie byłaby to odpowiedź do przyjęcia (choć w nauce efekt liczy się najmniej). Można sobie obmyśleć rozwiązanie lepsze.

Choćby takie: Na granicy obu tych światów działają nie tylko „pompy” z Negaświata do naszego Wszechświata; są i działające odwrotnie — „czarne dziury”. One to, gromadząc w wielkich ilościach masę, sprężając ją do granic możliwości, magazynują ją — ów równoważnik energii — w najbardziej zwartej formie, jaką umiemy sobie wyobrazić. Po czym zamykają wokół siebie przestrzeń tworząc w

ten sposób pewien uniwersalny twór, wspólny dla obu światów. I oto, wraz z zakończeniem się ostatniego stadium kolapsu, w Negaświecie otwiera się czarnodziury bąbel przestrzenny — masa zebrana w naszym Wszechświecie zostaje tam, w Negaświecie, wyrzucona jako… negamateria.

Jeśli zgodzić się, że masa i zakrzywiona przestrzeń — to to samo (a jest to przecież jeden z podstawowych postulatów teorii względności), dla nas pozostaje do kontemplacji jedynie równoważnik owej masy — maksymalnie zakrzywiona przestrzeń, jedyny ślad po materii, która należy już do Negaświata. I tam ów czarny — dla nas przestrzenny! — bąbel jawi się jako „biała dziura", twór o nieprzebranych zasobach energetycznych, jakoweś „perpetuum negamobile" („negakwazar" być może) napawające negaobserwatorów niedowierzaniem i respektem dla swej niezwykłej rozrzutności energetycznej…

13

Wszystko to, co zostało tu powiedziane, stanowiło nie tyle próby spopularyzowania nie znanych jeszcze szerzej hipotez fizycznych, co raczej ujawnienia mnogości tematów nie odkrytych jeszcze przez fantastykę. Daleko tym rozważaniom do ścisłości naukowej, daleko również do stwierdzenia, ile w tych hipotezach prawdy. Kierowała mną tu zresztą głównie chęć wskazania wszystkich tych koncepcji i hipotez fizycznych, które — być może z racji ich hermetyzmu i niejakiej naukowej elitarności — pozostały do dziś nie dostrzeżone przez pisarzy science fiction. Niechaj będą one zarazem dowodem przeciwko często ostatnio wypowiadanym poglądom, jakoby totalna wyobraźnia science fiction — w obliczu kryzysu naukowo-technicznego i eksplozji „pulpy" fantastycznonaukowej została ostatecznie wyprana z wszelkich świeżych pomysłów i koncepcji, a jedyne co science fiction pozostało, to wnikanie w sferę jeszcze nie spenetrowaną: starcia psychiki człowieka przyszłości ze światem przyszłości (plus ewentualne wariacje: nie nadążający psychicznie człowiek za zbyt szybko rozwijającą się technologią, zbyt szybko rozwijający się człowiek kontra nie nadążająca technologia, tudzież niedorozwinięty człowiek i słabo rozwinięta technologia kontra nader rozwinięci kosmici). Chciałoby się raczej rzec, iż jeśli fantastyka jest już z czegoś w istocie wyprana, to raczej z pisarzy, którzy by, poza — często wątpliwą — umiejętnością pisania mieli jeszcze rzetelną wiedzę naukową — ów główny atrybut s-f, który kiedyś zadecydował przecież o narodzinach tego gatunku. Mikołaj Bodnaruk — Tajemnicza sieć na globusie Akwen atlantycki w pobliżu Bermudów zyskał sobie ponurą nazwę „Diabelskiego trójkąta".

W jego okolicach już wielokrotnie w tajemniczych okolicznościach ginęły samoloty i statki.

Amerykański badacz T. Sanderson, który utrzymuje, że zebrał wszystkie relacje o tych niezwykłych wydarzeniach, pisze w swojej książce, iż współrzędne awarii ustalono często tylko orientacyjnie, gdyż radiostacje pokładowe w chwili katastrofy.milczały i nikt nie słyszał sygnału SOS.

Nie jest to jedyne „zaczarowane miejsce". Sanderson stwierdził, że na Ziemi jest ich dokładnie 10, przy czym rozmieszczone są one dość symetrycznie po 5 z każdej strony równika.

Gdyby amerykański autor dodał do tego jeszcze dwa punkty — biegun północny i południowy — uzyskałby zestaw współrzędnych geograficznych, który doskonale godzi się z oryginalnym schematem, przedstawionym przez radzieckich badaczy Mikołaja Gonczarowa, Walerego Makarowa i Wiaczesława Morozowa. Czym wytłumaczyć

taką zbieżność? Zanim na to pytanie odpowiemy, wyobraźmy sobie fotografię globusa, pokreśloną białymi i czarnymi liniami, jakby zgodnie z dwoma różnymi wykrojami. Najpierw omówmy pierwszy (z pięciokątnych „brytów"): „Ziemia widziana z góry przypomina piłkę zszytą z dwunastu kawałków skóry". Tak pisał grecki filozof Platon. Tak uważali również pitagorejczycy, głoszący, iż „światem rządzą liczby".

Tak samo też wyobrażali sobie oblicze naszej planety trzej badacze radzieccy. Ale ciekawa rzecz: doszli do tego sami, a dopiero później zapoznali się z wypowiedziami antycznych myślicieli!

Przypadkowa zbieżność, czy też po prostu nowe sformułowanie idei, która od dawna „leżała pod nogami"?

Bez względu na to, jak było naprawdę, pierwszy model Ziemi skonstruowany przez Gonczarowa i jego kolegów przypominał dwunastościan pięciokątny (dodekaedr). Drugi, uściślony, okazał się bardziej skomplikowany: do dwunastościanu doszedł ikosaedr z jego 20 trójkątnymi ścianami. Taką konstrukcję wyobraża właśnie fotografia globusa z nałożoną nań siatką białych i czarnych linii.

Ale czemu służyło przekształcenie w wielościan znanej wszystkim kuli ziemskiej?

Wiadomo powszechnie, że Ziemia wcale nie ma kształtu idealnej kuli. Chodzi nie tylko o to, że nasz glob jest spłaszczony przy biegunach. Istnieją również inne odchylenia od tego prawidłowego kształtu geometrycznego, który zazwyczaj nadajemy globusowi. Jeszcze większe te odchylenia były dawniej. Wiemy zresztą dlaczego. Układ Słoneczny powstał z obłoku pyłowo-gazowego, który rozpadł się na pojedyncze zgęstki. Każde skupisko substancji stopniowo rosło, obrastając nie tylko w drobniutkie, lecz także i duże kawałki materii w rodzaju meteorytów lub nawet asteroidów (małych planetek). Jest oczywiste, że ówczesny kształt Ziemi różnił się znacznie od obecnej formy obłej bryły. Jest niemal pewne, że nasza planeta „wyokrągliła się" znacznie później, a początkowo przypominała raczej wielościan niż kulę.

Jeśli tak było w istocie, to może ślady tej ówczesnej kanciastości zachowały się do dziś w formie utajonej? Ale wówczas wynika pytanie, czy mogą one mieć prawidłową, krystaliczną formę naszego dwunaste — i dwudziestościanu?

Kiedy kryształ wyrasta z malutkiej drobinki, jego powiększające się krawędzie i ściany zachowują niezmiennie swoją początkową geometrię. Rzecz jasna, że kolejne warstwy Ziemi nie mogły idealnie powtarzać pierwotnego kształtu. Z drugiej jednak strony ten tytaniczny proces nie mógł przebiegać zupełnie bezładnie. Pozorny chaos przypadków podporządkowany był pewnym prawidłowościom.

Jakim mianowicie? Tłumaczy je inna hipoteza: pokłady rud

żelaza tylko z pozoru przypominają chaotyczny zestaw plam rozsypanych po mapie geologicznej. W istocie są one powiązane w jeden wielki globalny system, obejmujący całą Ziemię trzema gigantycznymi pasami.

Tak twierdził Michał Kałganow, pracownik naukowy Komisji Badania Sił Wytwórczych i Zasobów Naturalnych Akademii Nauk ZSRR.

Najbardziej zadziwiające jest jednak to, że Mikołaj Gonczarow niczego nie słyszał o żadnej tego rodzaju hipotezie, gdy po raz pierwszy zaczął konstruować model Ziemi „zszyty z dwunastu kawałków skóry". Jego zainteresowania nie miały punktów stycznych z problemami geologii i geofizyki. Pracował wówczas na wydziale zaocznym Instytutu Sztuki i zajmował się wyłącznie starymi kulturami. Gdy jednak zaznaczył ich najważniejsze ogniska na mapie, intuicyjnie wyczuł istnienie przesłanek precyzyjnego systemu geometrycznego.

Dopiero w wiele lat później, gdy Gonczarow zetknął się z inżynierem elektronikiem Walerym Makarowem i Wiaczesławem Morozowem, który jest z wykształcenia budowlanym, niejasne przypuszczenia nabrały kształtu precyzyjnej hipotezy. Przez wiele lat trzej młodzi badacze z benedyktyńska wpr,ost cierpliwością poznawali podstawy najrozmaitszych nauk — od archeologii do geochemii, od meteorologii do ornitologii — zanim zdecydowali się oddać swą „zwariowaną ideę" pod sąd opinii publicznej. Znawcy byli zaintrygowani wieloma zadziwiającymi zbieżnościami.

Wiele ognisk kultury i cywilizacji starożytnej leżało nie byle gdzie, lecz właśnie w węzłach układu geometrycznego. Dotyczyło to Mohendżo Daro, ośrodka cywilizacji protoindyjskiej, Egiptu, Mongolii Północnej, Irlandii, Wyspy Wielkanocnej, Peru i wreszcie Kijowa, „matki miast ruskich"…

Gdzieniegdzie wprawdzie widniały białe plamy, ale i one stopniowo się wypełniają.

W ostatnich latach dokonano sensacyjnych odkryć archeologicznych. Na przykład w Indochinach znaleziono ślady nader starożytnej kultury (7000 lat p.n.e.). Rolnictwem zn28 a częto tam zajmować się 2000 lat wcześniej niż na Środkowym Wschodzie, który dotychczas uważany był za kolebkę ludzkości. Nowe odkrycia znakomicie nałożyły się na hipotetyczny system.

Dotyczy to również pokładów cennych kopalin. Proszę to sprawdzić na mapie: wzdłuż „szwu" na styku gigantycznych trójkątnych „płyt" ciągną się pola roponośne Afryki Północnej i Zatoki Perskiej. Tak samo jest w Ameryce, od Kalifornii do Teksasu. Spójrzcie na węzły podwójnej siatki: niezmiernie bogate południe Afryki; złoża Cerro de Pasco w Ameryce Południowej; pokłady na Alasce i w

Kanadzie; podziemny ocean gazu i ropy naftowej na Syberii Zachodniej i wiele innych.

Inna rzecz, że i tu trafiają się „białe plamy". Ale może właśnie na tych terenach czekają na człowieka skarby, których do tej pory nie odnaleziono? Oczywiście tego rodzaju zbieżności nie występują wszędzie, ale jest ich zbyt wiele, aby mogły być dziełem czystego przypadku. Zresztą odchylenia od ścisłej siatki geometrycznej są w pełni zrozumiałe: oblicze planety zmieniło się i zmienia nadal, ciągle jeszcze trwają procesy odkładania się pożytecznych kopalin.

W każdym razie szczególne punkty i linie na mapie tylko na pozór sprawiają wrażenie spekulatywnych, gdyż przy bliższej analizie odnajdujemy pod nimi konkretne utwory geologiczne.

Jeśli skorupa ziemska rzeczywiście przypomina parkiet ułożony z kolosalnych płyt, to złącza między nimi powinny być możliwe do wykrycia. Tak jest w istocie: krawędzie obu wielościanów pokrywają się z wieloma śródoceanicznymi łańcuchami górskimi,f które odkryto w ostatnich latach, z planetarnymi uskokami skorupy ziemskiej, ze strefami aktywności tektonicznej, której towarzysza ruchy pionowe warstw skalnych oraz intensywna działalność sejsmiczna i wulkaniczna.

W wierzchołkach wielościanów znalazły się środki największych na Ziemi anomalii magnetycznych, obszarów maksymalnego i minimalnego ciśnienia atmosferycznego oraz miejsca, w których rodzą się huragany. Wiele zaś wiatrów wieje stale wzdłuż krawędzi wielościanów.

Wokół niektórych węzłów siatki występują gigantyczne zawirowania prądów morskich, w innych znajdują się obszary otrzymujące najwyższe dawki promieniowania słonecznego. Czy aby nie w tym kryje się rozwiązanie zagadek, które tak zafascynowały T. Sandersona?

Wiadomo, iż anomalia magnetyczne nazywają się tak dlatego, że na ich obszarze igła kompasu odchyla się od zwykłego położenia. Ten sam skutek wywołują burze magnetyczne powodowane gwałtownym wzrostem aktywności słonecznej, który zakłóca równowagę naładowanych elektrycznie warstw atmosfery i tym samym uniemożliwia prawidłowe działanie aparatury radiowej. Okazuje się więc, że za obrazowym wyrażeniem „zaczarowane miejsce" nie kryją się żadne przyczyny nadnaturalne, lecz fenomeny poddające się analizie naukowej, cały zespół zjawisk geofizycznych. Na przykład zakłócenia wywołane przez wzmożoną radiację słoneczną mogą sparaliżować najdoskonalsze urządzenia radiołącznościowe i nawigacyjne, a wiatry, prąd i fale — spowodować „tajemnicze" zniknięcie statku lub samolotu.

Jest oczywiste, iż żadna hipoteza nie wyjaśnia wszystkiego do

końca, lecz jest mniej lub bardziej prawdopodobnym przypuszczeniem. Jeśli hipotetyczny obraz okaże się bliski rzeczywistości, schemat geometryczny naszego globu pozwoli zapobiegać katastrofom komunikacyjnym, podobnie jak to robią locje, opisujące podwodne rafy i mielizny.

Proszę teraz spojrzeć na drugi rysunek, przedstawiający znalezisko archeologiczne.

Trzydzieści takich dziwnych przedmiotów ze złota znaleziono w Wietnamie i jeden — z brązu — we Francji. Uczeni nie znają ich przeznaczenia. Niektórzy z nich mówią, że jest to amulet astrologiczny, inni domyślają się w nim przyrządu niezbędnego przy astronomicznych obliczeniach kalendarzowych. Gonczarow, Makarow i Morozow są innego zdania. Uważają mianowicie, że jest to wizerunek ich własnego modelu Ziemi. Ale czy ten model mógł być znany w starożytności?

Analogie bywają zawodne, przypomnijmy sobie jednak, że słowo „atom" pochodzi z epoki antycznej i było znane na długo przedtem, zanim zyskało swój dzisiejszy sens fizyczny. System heliocentryczny, zgodnie z którym środkiem Wszechświata jest Słońce, a nie Ziemia, powstał na 19 wieków przed Kopernikiem. Hipoteza ta, wysunięta przez starogreckiego astronoma Arystarcha z Samosu, nie została przyjęta przez współczesnych, bowiem wydała się im zbyt obrazoburcza, zbyt „zwariowana". Zatriumfował geocentryczny system Ptolemeusza, wedle którego centrum świata miała być Ziemia. Zresztą nawet ten pogląd kosmogoniczny wymagał od swego twórcy wielkiej wyobraźni, gdyż mówił o kulistości Ziemi, która w owych czasach niemal powszechnie była uważana za płaską.

Trudno wnioskować, w jaki sposób Platon doszedł do wyobrażenia Ziemi jako podobnej do piłki zszytej z 12 kawałków skóry. Za jego czasów nikt nie miał pojęcia ani o podmorskich śródoceanicznych grzbietach górskich ani o anomaliach magnetycznych, ani wreszcie o tym, w jaki sposób rozkładają się strumienie promieniowania słonecznego czy bogactwa kopalne. A jednak…

Kiedy Gonczarow, Makarow i Morozow zapoznali się z mapą ornitologiczną, okazało się, że ich system pokrywa się również z najważniejszymi światowymi rejonami zimowania ptaków, a zachowanie skrzydlatej braci, jej przeloty mogły być przedmiotem obserwacji już w czasach najdawniejszych.

Gdy mowa o okresie lodowcowym, który zakończył się przed 10 lub 15 tysiącami lat, specjaliści wspominają zwykle „schroniska życia". Naprzykład na obszarze ZSRR wykryto trzy takie regiony, w których wszystko, co żywe, chroniło się i przetrwało śmiertelne zagrożenie niesione przez atakujące lody. Owe tereny również

znajdują się w węzłach siatki. Informacje o takich regionach także mogły dotrzeć do antycznych filozofów natury wraz z podaniami sięgającymi czasów, gdy ludzie jeszcze bytowali w jaskiniach.

Gonczarow, Makarow i Morozow przedstawiali swą hipotezę na posiedzeniach różnych towarzystw naukowych. Jak zazwyczaj w podobnych wypadkach bywa, w trakcie dyskusji wypowiadano pod ich adresem wiele słów krytyki, czasem bardzo ostrej, lecz generalnie przychylnej. Dyskusja trwa nadal i jest to dyskusja prowadzona całkiem serio, bez cienia dobrotliwej pobłażliwości dla niedawnych „naukowych nowicjuszy". Zresztą wszelkie oficjalne opinie podkreślają zgodnie wielką erudycję autorów hipotezy w najrozmaitszych dziedzinach wiedzy, wielką fachowość historyka sztuki, elektronika i budowlanego, którzy podjęli się rozwiązywania tak wielostronnego i niezmiernie trudnego zadania naukowego.

Naturalnie sami autorzy nie sądzą, że już wyczerpali temat i nadal pracują nad swą hipotezą, uważnie wsłuchują się w słowa krytyki, gromadzą nowe informacje. Kto wie, rnoże dzięki temu zdobędą jeszcze bardziej przekonywające dowody swej słuszności, jak to już nieraz zdarzało się z twórcami najbardziej nawet „zwariowanych pomysłów"?

Przełożył z rosyjskiego Tadeusz Gosk

notes

1

Oddając sprawiedliwość dr. Woolleyowi, chciałbym przypomnieć, że owa krytyka z roku 1936 zawierała — prawdopodobnie pierwszą — sugestię, iż rakiety mogą wnieść wkład do wiedzy astronomicznej poprzez dokonywanie obserwacji w promieniach ultrafioletowych poza pochłaniającym ekranem atmosfery ziemskiej. Dzięki orbitalnym obserwatoriom astronomicznym oraz ich następcom idea ta została w pełni zrealizowana.

2

Wpływ Cherwella — szkodliwy czy nie — był przedmiotem żywej dyskusji od momentu opublikowania pracy Sir Charlesa Snowa Nauka a rząd.